KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/135-2/136 1959



• « La Culture » • Revue mensuelle •

M. CZAPSKA : **OKO ZA OKO**

T. NOWAKOWSKI : **SYN ZADŻUMIONYCH**

P. ZAREMBA : **« HISTORIA POLSKI »**

SPIS RZECZY

KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Styczeń-Luty – Janvier-Février 1959

NSTYTUT  LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM " KULTURY

Andrzej Bohomolec, Kevisville, Alta (Kanada), ponownie	Frs	45.00
Wanda Hajduga, Edmonton, Alta (Kanada), ponownie	,,	1.70
A.J. Kruszyński, Holstebro, (Dania)	,,	1.00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada)	,,	90
Władysław Szul, Elizabeth, N.Y. (USA) ponownie	,,	2.25

DZIĘKUJEMY



Redakcja KULTURY serdecznie dziękuj Czytelnikom i Przyjaciołom za nadesłan życzenia Świąteczne i Noworoczne.

Imprimé en France.

Oko za oko

Wypadki zaszłe w październiku br. we Francji tj. aresztowanie kilku księży katolickich, oskarżonych o pomoc udzielaną członkom F.L.N. (Front Wyzwolenia Narodowego), oraz stanowisko, które hierarchia katolicka zajęła w tej sprawie, poruszyły opinię całego kraju i zwróciły raz jeszcze uwagę świata na Kościół francuski.

O co chodziło?

O to, że niektóre ośrodki akcji katolickiej, charytatywnej i społecznej wspierały Algierczyków, udzielały schronienia i opieki bezdomnym, zagrożonym łapankami policyjnymi, organizując nadto pomoc rodzinom aresztowanych. Policja wiedziała o tej akcji, podobnie jak osoby biorące w niej udział wiedziały że policja ma je na oku.

Zwłaszcza jeden z nich, ks. Carteron, przydzielony do arcybiskupstwa Lyońskiego, bliski współpracownik Prymasa Francji, księdza Gerlier, był solą w oku urzędów bezpieczeństwa. Ale Arcybiskup Lyonu, Kardynał Gerlier, kilka miesięcy temu dał znać komu należy, że o ile ks. Carteron byłby niepokojony, to władze miałyby z nim, Prymasem, do czynienia. Policja zbierała więc materiały gromadząc zeznania składane przez Algierczyków na śledztwach. Do aresztów przystąpiono dopiero po wyjeździe trzech kardynałów Francji do Rzymu na conclave.

Ks. Boudouresque, z zawodu inżynier, wyświęcony na księdza w 1952, w seminarium Misji Francji (*Mission de France*), tej samej, która wydała w ostatnich kilkunastu latach kilkuset księży misjonarzy świata robotniczego, był przydzielony przez arcybiskupa Paryża, ks. Feltin, do pracy misyjnej w środowiskach naukowych i pracował w ośrodku badań jądrowych w Saclay, w pobliżu Paryża. Tamże został aresztowany w dzień wyjazdu do Rzymu kardynała Feltin.

Ks. Boudouresque nie zaprzeczał wysuwanym przeciwko niemu oskarżeniom.

„...Czyli, że Ksiądz wspierał członków F.L.N.-u?”

Prawie jednocześnie to samo pytanie stawiał komisarz poli cji w Lyonie Ojcu Chaire, przełożonemu nowicjatu Seminarium w Prado. O. Chaire przeznaczył pokój w jednym z budynków seminaryjnych na biuro pomocy Algierczykom. Tu składano listy potrzebujących, udzielano porad, niekiedy noclegów ludziom zagrożonym.

Seminarium w Prado, na którego czele stoi biskup sufra gan Lyonu, ks. Ancel, mieści ponadto warsztaty mechaniczne W tych warsztatach pracuje i przyjmuje interesantów w robot niczym kombinezonie sam biskup, znany w tej robotniczej dziel nicy po prostu jako Monsieur Ancel, odwiedzający swoich pod opiecznych na rowerze.

Biskup bez mitry, pierścienia i baldachimu.

„...Czyli że Księża przechowywali zamachowców z F.L N.-u?”

F.L.N. brzmi groźnie we Francji. Walcząc o wyzwoleni ojczyzny prowadzi zarówno w kraju jak i w metropolii akcj terrorystyczną. Bombami i rewolwerami załatwiają bojowcy pierwszym rzędzie porachunki pomiędzy sobą. Śmierć dla współ pracujących z władzami francuskimi, dla zdrajców i opieszałych a także śmierć dla wrogów Wolnej Algierii, śmierć najokru niejsza, okaleczanie i kastrowanie jeńców, znęcanie się naw nad zwłokami. Dla sfanatyzowanych żywiołów F.L.N.-u wszy stkie środki łamiące opór wroga są dobre, nawet niszczeni ogniem i granatami własnych siedzib, wiosek żyjących w zgc dzie z wojskiem lub francuskimi farmerami, barbarzyńskie ma sakrowanie kobiet i dzieci.

Policja, zwłaszcza w większych miastach Afryki i Francj żyje w nieustannym napięciu bojowym, wystawiona na ku i pociski przenikającej wszędzie armii terrorystów i podpalacz *Coups de filet* organizowane systematycznie w dzielnicach r botniczych i podmiejskich, mimo licznych aresztów i stałyc śledztw, nie dają spodziewanych rezultatów, zatruwając wz jemne stosunki nienawiścią i żądzą odwetu.



Kościół katolicki nie sprzeciwia się dążeniom do niepodl głości krajów dotychczas kolonizowanych. Pius XII niejedn krotnie ostrzegał w myśl tej zasady rządy krajów zachodnic Uznania praw narodu algierskiego do niepodległości w rama poszanowania mniejszości francuskiej bronili również księża m sji osiadłej w Sukh Ahres w algierskiej prowincji Constantin Na skutek tego odważni księża zostali wysiedleni ze swojej p

rafii. Gubernator Lacoste oświadczył, że nie chce być oskrzydlony na lewicy przez księży !

Na zakończenie obrad, które się toczyły w Paryżu w początkach bieżącego roku księża Misji Francji, ich sympatycy i współpracownicy wydali kilka oświadczeń publicznych bardzo źle przyjętych przez tzw. katolików ,,integrystów'', prawe skrzydło kleru francuskiego.

,,Jest rzeczą oczywistą — głosiło między innymi to oświadczenie — że w Algierii istnieje naród, pragnący żyć w odróżnieniu od narodu francuskiego... Praca apostolska nie może być pretekstem do władztwa jednego narodu nad drugim... Nie jest zdrajcą ojczyzny chrześcijanin, który żąda poszanowania praw innych narodów... Nie demoralizuje armii ani narodu chrześcijanin, który potępia pewne nieludzkie metody...''



Ale co było karygodnego w akcji księży zamieszanych w tzw. już dziś ,,sprawę Prado''?

Nie pytali kim był ten co kołatał do ich drzwi; był głodny albo bezdomny, nagi albo prześladowany, a jaka może być nędza Algierczyków na przedmieściach najludniejszych, uprzemysłowionych miast Francji, o tym wie każdy, który ma oczy otwarte. Na około 150 tys. osiadłych np. w okręgu paryskim tylko 70 tys. ma stały zarobek. Prawie całość zarobków *des bicots* (kozłów), jak ich pogardliwie nazywa lud francuski, płynie rzeką do duarów algierskich, do rodzin pozostałych w kraju, nękanych głodem i wojną. Na tysiąc pracowników algierskich aresztowanych w metropolii, kilku tysiącom kobiet, starców i dzieci grozi śmierć głodowa, a więzienia francuskie są przepełnione. Pokój w Seminarium Prado, przeznaczony na biuro pomocy, służył zwłaszcza rodzinom więźniów, tu zgłaszano ich adresy, przeprowadzano wywiady. Biuro było czynne od miesięcy letnich do chwili obecnej, przez nikogo nie niepokojone.

Kiedy w ubiegłych latach kołatali do furt klasztornych i plebanii, do kościołów i zborów Żydzi i komuniści, zbiegli jeńcy i partyzanci, potem stronnicy Vichy, ludzie oskarżeni o kolaborację — nie pytano ich skąd przychodzą i czy mają coś na sumieniu; dawano im pożywienie, schronienie, lewe dokumenty. Tym i tamtym groziła śmierć — to samo dzieje się dzisiaj.

Komu zależało na tym aby z akcji ściśle charytatywnej, prowadzonej być może nie dosyć ostrożnie, ukuć aferę polityczną?

Dwa dni po aresztowaniach lyońskich Prymas Gerlier złożył w Rzymie publiczne oświadczenie ,,dla uspokojenia sumień'', jak powiedział. W tym oświadczeniu stwierdził Arcybiskup Lyonu kategorycznie, że pomoc udzielana nieszczęśliwym wyłączała wszelką akcję polityczną a tym bardziej terrorystyczną, jak to sugerowały niektóre pisma, przedstawiając ks. Carteron jako wpływowego członka F.L.N-u w Paryżu.

Ponadto Prymas Gerlier dał do zrozumienia, że niektóre zeznania opatrzone podpisami Mahometan, zostały wymuszone torturą.

(*„Pour y parvenir... certains membres de la police n'auraient pas reculé devant l'emploi de la violence et des sévices les plus graves en même temps que les plus attentatoires à la dignité humaine”*).

Deklaracja Prymasa, datowana z Rzymu 24 października, czyli w dwa dni po wypadkach lyońskich, wywarła ogromne wrażenie. Chyba pierwszy raz w historii Francji książe Kościoła odważył się oskarżyć publicznie urzędników policji o użycie gwałtu dla wymuszenia kłamliwych zeznań przeciwko księżom. Oczywiście że Prymas Francji, znakomity dawniej adwokat, nie wydałby podobnego oświadczenia gdyby nie miał dowodów stwierdzających prawdziwość wysuwanych oskarżeń. Od kilku miesięcy bowiem, krążyły w Lyonie pogłoski o metodach śledczych w lokalach policji, przy ulicy Vauban, metodach zbliżonych do tych, które stosowano w niektórych komisariatach algierskich i których szczegółowy opis ujawniła w b. roku wstrząsająca broszura jednego z torturowanych, Alega, pt. *La Question*, metodach które zakłócały ostatnio sen sąsiadom gmachu przy ul. Vauban.

Kilku storturowanych Algierczyków wniosło skargi do sądu. Znaleźli się adwokaci i księża, którzy zgromadzili materiały i tenże ks. Carteron przedstawił Prymasowi, trzy tygodnie przed wybuchem „sprawy Prado”, tekę aktów stwierdzających prawdziwość krążących pogłosek.

W ciągu lata 1958 ks. Boudouresque i jego przyjaciel Robert Deveries, w towarzystwie dwóch młodych Algierczyków, obchodzili dziennikarzy, przedstawicieli duchowieństwa, redakcje pism poczytnych. Młodzi Muzułmanie zaopatrzeni w świadectwa lekarskie pokazywali na nogach i ramionach ślady oparzenia prądem elektrycznym. Ale wszędzie spotykali się z tą samą reakcją : smutkiem i zniechęceniem.

„Czy macie świadków?...” — pytano.

Oburzenie na zamachy F.L.N., na okrucieństwa wojenne w Algierze rozbrajają sumienia zarówno humanitarystów jak i chrześcijan. Ludzie zamykają uszy na sprawę tortur, tego słowa unikają nawet dziennikarze, nie wymówił go również Prymas Francji w swoim orędziu. Nędza, krzywda, poniewierka Mahometan algierskich, francuskich przecie obywateli, przyjmowane są wzruszeniem ramion : zło konieczne... położenie bez wyjścia... sami sobie winni...

Tortura, *questio perpetua*, stosowana w sądach doraźnych starego Rzymu, przyjęła się prawem zwyczajowym w późniejszych wiekach i we wszystkich krajach. We Francji wzbroniona za Ludwika XVI-go, zniesiona dekretem Rewolucji z 1795 — czy była istotnie zawieszona?

Wznowiona w sądownictwie sowieckim, przyjęła najprzemyślniejsze formy okrucieństwa i sadyzmu, służąc za wzór gotowy dla policji hitlerowskiej. Gestapo wprowadziło swoje metody śledcze do policji francuskiej. Polska skorzystała z doświadczeń przekazanych jej ze Wschodu i z Zachodu.



Prawie jednocześnie ze ,,sprawą Prado'', rozpoczął się w Polsce proces zbrodniarza wojennego Ericha Kocha.

Koch ma na sumieniu wymordowanie całego ghetta białostockiego śmierć dziesiątków tysięcy Żydów i Polaków w komorach gazowych i całe hekatomby ofiar ukraińskich, palenie wiosek i osiedli, masakrowanie kobiet i dzieci.

20 października, na pierwsze posiedzenie Sądu w Warszawie, przywlekło dwóch policjantów strzęp człowieka. Erich Koch spędził w więzieniu polskim osiem lat. Korzystając z prawa głosu przedstawił Sądowi swoje skargi i życzenia. W pierwszym rzędzie żądał szczegółowego zbadania stanu swego ciała przez odpowiedzialnych lekarzy, w obecności przedstawicieli prasy, zapytywał czy Wysoki Sąd wie o tym, że był przedwcześnie, ubiegłego lata przeniesiony ze szpitala do bloku karnego więzienia Mokotowskiego i że ten blok jest istnym piekłem ? Że był torturowany fizycznie i moralnie, dzielił celę z kryminalistami, atakowany przez nich miał połamane żebra, wybitych dziewiętnaście zębów, że z 83 kg. spadł do wagi 50, że znęcano się nad nim bezkarnie fizycznie i moralnie, że zwracano się do niego tylko po to by go lżyć ? Czy Wysoki Sąd wie o tym, że uratowała mu życie nieporównana kobieta, polska Żydówka, dr Kawińska ?

,,Więzienie piekłem — wybuchnął prokurator — doprawdy? A czym że był w takim razie obóz koncentracyjny w Białymstoku?

— Potępiam praktyki obozowe — odpowiada Koch — ale nie ma powodu aby w Polsce, kraju socjalistycznym, stosowano te same metody''.

Chwila zaskoczenia, krótka utarczka słowna pomiędzy prokuraturą a obroną i posiedzenie Sądu zostaje zawieszone do następnego dnia.

Podsądny chce zyskać na czasie, to jasne. Toteż następnego dnia żadnemu z jego godziwych życzeń nie stanie się zadość.

Kilkuminutowe badanie, przeprowadzone przez dwóch spiesznie sprowadzonych lekarzy specjalistów, bez dopuszczenia prasy, daje w wyniku orzeczenie, że Koch jest w stanie znieść trudy procesu. Podsądny podejmuje swoje żale : Śledztwo wznowione w 1950 było prowadzone nieprzepisowo ; nie wszystkie jego zeznania uwzględniono ; dlatego przestał odpowiadać na pytania ; był umieszczony w karcerze ; chciano złamać jego opór ; nie-

kompletnych zeznań nie podpisał... — stwierdza ledwo dosłyszalnym głosem.

Kocha umieszczono w jedynym na sali sądowej fotelu, ale całe audytorium, publiczność, dziennikarze polscy i obu Niemiec powstają z miejsc, aby się napatrzeć zdeptanemu robakowi. W oślepiającym blasku skierowanych na niego *sunlight*'ów zwieszone na poręczy bezwładne ciało, ziemista o zielonkawych cieniach twarz, robią wrażenie człowieka konającego.



Dla chrześcijanina każda męka, nawet najgorszego zbrodniarza, ma coś z męki Krzyża; słońce świeci na sprawiedliwych i niesprawiedliwych, cierpienie doświadcza świętych i łotrów, ale człowiek umęczony godzien jest nie tylko litości, godzien jest też poszanowania. Widok storturowanego i sponiewieranego Gauleitera nie zdawał się wzruszać na warszawskiej sali sądowej żadnego sumienia.

Czy w Polsce istnieje jeszcze jakiś moralny opór przeciwko tego rodzaju metodom traktowania podsądnych? Fałszowanym śledztwom, wymuszonym lub niepodpisanym zeznaniom, chociażby chodziło nawet o Ericha Kocha? Jak się odnoszą prawnicy dzisiejsi do praworządności procedury sądowej? Czy obywatel polski pamięta o prawach człowieka, prawach za które ludzie umierali?

Prawa moralne, cywilne, karne i wszystkie inne przekraczano w ciągu ubiegłych lat tak powszechnie, nie tylko bezkarnie ale w poczuciu bohaterstwa, spełnionego obowiązku społecznego lub narodowego; napatrzono się takim gwałtom sumienia, takiemu lekceważeniu życia ludzkiego, takiemu odczłowieczeniu... Gdzie zbrodnia a gdzie kara za zbrodnię? Gdzie zemsta a gdzie obrona? Gdzie zasługa a gdzie przewinienie? Które sumienia przeprowadzają dziś tego rodzaju rozeznania?

Upomnieć się o praworządność procesu Kocha to wziąć w obronę łotra, dla którego sto śmierci byłoby za lekką karą.

„Trzyma z Niemcami, to jasne!..."

Rozbijać stereotyp wrogiego stosunku do Rosji, upomnieć się o poszanowanie jej pisarzy, jej kultury... to robić propagandę sowiecką:

„Pisze tak, bo każą... za to mu płacą!"

Mówić jawnie i bez ogródek o sprawie żydowskiej, o nowych formach hańbiącego Polaków antysemityzmu — nie sposób! Bo „obserwatorzy zagraniczni", bo „interesa Polski"...

„Broni ich bo sam Żyd, czy z Żydów, znamy się!"

To samo z Ukraińcami (1). Nieludzki stosunek Polaków do garści Ukraińców przebywających na terenach polskich, to zemsta za ich władzę za okupacji niemieckiej, za mordercze napady band U.P.A. Kto pierwszy zawinił?... Oko za oko! Nie będzie ich, nie będzie sprawy ukraińskiej.

„Mieliby wracać?... To tak? To już zapomnieliście?"

Pisarze nasi również milczą; chyba bardziej zastraszeni czytelnikiem, sfanatyzowanym i ogłupiałym, aniżeli okiem i węchem cenzury.

„O tym pisać nie możemy!"

Doprawdy? Więc kto przerwie milczenie?

Przecież nawet ci z Partii, którzy sami przeszli przez więzienia i na własnej skórze zaznali metod śledczych Bezpieki, ci sami, którzy kraj wyzwolili od hańby tortur i dali mu nadzieję wielkiej odmiany — nawet ci ludzie nie zdobyli się na definitywne odcięcie od tamtych zbrodni: *proces Różańskiego i Fejgina nie został ujawniony.*



Metodom sądownictwa francuskiego, zawleczonym z komisariatów algierskich, przeciwstawiło się we Francji kilku pisarzy, kilku odważnych księży, grupy chrześcijan, grupy młodzieży, prasa lewicowa. Ponadto hańbiącą Francję procedurę napiętnował Prymas Gerlier, kładąc na szalę tego ruchu sumień (*Résistance spirituelle*) autorytet najwyższego urzędu Kościoła francuskiego.

Zauważmy, że trzej kardynałowie francuscy zamieszani obecnie w „sprawę Prado": Prymas ks. Gerlier, arcybiskup Paryża, ks. Feltin i arcybiskup Lille ks. Liénart to ci sami, którzy cztery lata temu stanęli w obronie apostolstwa księży-robotników, ci sami, którzy po dekretach rzymskich osłonili swoją purpurą wszystkich duchownych zaangażowanych w tym apostostwie, włącznie z księżmi opornymi.



„Rzym był jakby tandetnym jarmarkiem bogów zapożyczonych i ludów podbitych — pisze B. Pasternak w „Doktorze Żiwago" — tłok dwupiętrowy na ziemi i w niebie, kloaka potrój-

*) Patrz: M. Pankowski: „Kto ty jesteś? Polak mały", *Kultura* Nr 9/131, 1958.

nie zawęźlona, niby jakiś skręt kiszek. Dakowie, Getulowie, Scytowie, Sarmaci, Hiperborejczycy, ciężkie koła bez szprych, oczy tłuszczem zalane, bestialstwo, zwisające podbródki, ryby karmione ciałem światłych niewolników, imperatorowie analfabeci...

I to w tym stłoczeniu marmurów i złota bez smaku i stylu, zjawił się on, lekki, blaskiem odziany, człowiek prawdziwy, naumyślnie z prowincji, galilejczyk — i od tej chwili narody i bogowie przestali istnieć a począł się człowiek, człowiek stolarz, człowiek oracz, człowiek pasterz pośród swego stada owiec o zachodzie słońca, człowiek, co zupełnie nie brzmi dumnie, człowiek głoszony z wdzięcznością przez kołysanki matek i przez wszystkie muzea malarstwa całego świata..."

Co zostało w nas z nauki o miłości bliźniego, o przebaczaniu wrogom, nauki, która, zdawało się, żłobiła przez dwadzieścia wieków sumienia chrześcijańskie?

„Słyszeliście iż powiedziano jest oko za oko a ząb za ząb... A ja wam powiadam...".

Dzień, w którym francuska hierarchia katolicka wzięła w obronę księży oskarżonych o stawianie oporu władzom państwowym i pobłogosławiła ich poczynania, pozostanie pamiętny w historii tego kraju. Nawet o ile ci księża, co staną być może jutro przed sądem ludzkim, zgrzeszyli brakiem rozwagi — przyczynili się do odparcia groźnego zarzutu, że chrześcijaństwo i jego apostolstwo idzie w parze z interesem politycznym narodów panujących i kolonizatorskich. Dzięki tym księżom i ich towarzyszom, Francja odzyskała godność narodu chrześcijańskiego, ojczyzny tylu świętych.

Księża Boudouresque, Carteron, Magnien, ojciec Chaire, biskup Ancel i im podobni, jak również poprzednicy ich i współbracia księża robotnicy, jak i księża parafii Sukh Ahres, zasłużyli się bardziej *obu narodom* niżbyśmy dziś przewidzieć mogli.

Maria CZAPSKA

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

PO POWODZI

W wiosenne popołudnie jechałem kiedyś z pewnym paryskim bankierem przez bulwary w kierunku Madeleine. Na wysokości Opery towarzysz mój zaczął wpatrywać się pilnie w tłum przechodniów, mrucząc: ...,,dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden...'' Potem, zwracając się do mnie:

— Same zielone kapelusze... Dla ludzi mego zawodu zbiorowe kaprysy tłumu są zawsze interesujące. I my bowiem mamy z tymi zjawiskami do czynienia. Rodzice i mężowie kobiet w zielonych kapeluszach mają przeważnie oszczędności, które mogą ulokować na cztery sposoby: mogą kupić akcje, obligacje lub nieruchomości, mogą wreszcie sprzedać wszystko i trzymać pieniądze na koncie bankowym. Gdyby jedni wybierali taką, drudzy inną !okatę, nie powstawałyby żadne zagadnienia, zazwyczaj jednak na sprzedaż papierów decydują się wszyscy razem, jednego dnia. Gdyby nie było banków skupujących zniżkujące papiery i sprzedających je znów publiczności w chwili nowego popytu, każda z tych zbiorowych i najczęściej nie umotywowanych decyzji miałaby skutki podobne do trzęsienia ziemi. Trafne obliczenie prawdopodobnego napięcia i trwania zbiorowych szałów pozwala zapobiegać katastrofom.

Słowa te wskazują, w jak różnych i odległych od siebie dziedzinach postępowanie będące zrazu wynikiem studiów, na mysłu, obliczeń i wysiłków wyobraźni może się stać owczym pędem, zbiorowym szałem naśladowczym. Prąd taki podobny jest do powodzi, znoszącej mosty i tamy. Trudno z nim walczyć; trzeba czekać spadku wód. Zbiorowe gusty i sposoby zachowania się osiągają też pewne napięcie i odpływają jak wody. Zmysł naśladowczy traci na sile i znów powstają warunki sprzyjające przychylnej ocenie pomysłowości i wyobraźni.

Życie sztuki, zwłaszcza od kiedy biorą w nim udział wielkie rzesze konsumentów, nie jest wolne od tych zjawisk, mających wszakże w tej dziedzinie inny rytm. Zapoznanie się z jakimś nowym prądem artystycznym, napisanie i nawet przeczytanie powieści wymagają więcej czasu niż kupienie zielonego kapelusza i wydanie polecenia sprzedaży akcji; życie sztuki ulega więc powolniejszym przemianom.

W ostatnich kilkudziesięciu latach literatura ulegała także kaprysom mody, wyciskającym swe piętno na całej niemal produkcji literackiej. Przyszły historyk literatury, po przeczytaniu kilku stronic, będzie mógł bez błędu poznać powieść napisaną w naszych czasach, jak bibliotekarz po kształtach czcionek i rodzaju papieru poznaje czas i miejsce druku.

Unoszeni powszechnym prądem, nie mamy być może dostatecznego dystansu, aby rozpoznać rysy charakterystyczne literatury bieżącej. Nasze próby w tym kierunku będą, zapewne już po kilku latach, wymagały poprawek i uzupełnień, o ile oczywiście nowe prądy nie pozbawią tej sprawy wszelkiej aktualności. Spróbujmy więc, tymczasowo przynajmniej, opisać główne aspekty obecnej literatury.

SZATA SŁOWNA

Język literacki naszych czasów ma osobliwą historię. François-Eugène Vidocq, były galernik, potem zaś prefekt policji w czasach Napoleona, zostawił obszerne studium o obyczajach i języku francuskiego świata przestępczego. Ogłoszona w 1819, książka jego wywarła widoczny wpływ na kilka pokoleń pisarzy. Eugène Sue, pragnąc dla efektu kompozycyjnego zestawić obok siebie arcyksiążąt i przestępców, znalazł w niej materiał do barwnego opisu obyczajów i języka podziemnego Paryża. Victor Hugo pogłębił i rozwinął ten temat w swych „Nędznikach". Gwara podziemi wielkomiejskich weszła odtąd do literatury i stała się pikantną przyprawą rozmów naszych parababek. Powracający z pierwszej wojny światowej przynieśli do domu pokrewną tamtej gwarę okopów i koszar. Barwny ten język stał się artykułem mody; pojawiły się liczne słowniki *argot*, pozwalające pogłębić jego znajomość. U nas podobne miejsce zajęła gwara legionowa, później zaś język przedmieścia, spopularyzowany przez Wiecha. Gwara przedmieści stała się językiem towarzyskim, wypierając dawny język salonów. Kto chciał pisać powieść, zaczynał od kupna najkompletniejszego słownika *argot* i przysłuchiwania się językowi przekupek lub nawet alfonsów.

Podmiejski wdzięk nowego języka nie wszędzie jednak znalazł również szerokie zastosowanie. Mniej figlarny i bardziej poprawny język poprzednich pokoleń uczonych w piśmie utrzymał swe stanowisko w różnych dziedzinach życia. Podania do sądu ani listu do zagniewanego teścia nie można i dziś zaczynać od „znakiem tego". Wielu nie pamięta jednak dobrze, jak się

takie rzeczy piszą, i nie ma się gdzie tego nauczyć, bo żadna grupa społeczna nie posiada dziś monopolu na poprawność języka i na decydowanie w tej dziedzinie o ,,dobrym obyczaju''. Stąd wielka popularność ,,gramatyków'', udzielających we wszystkich gazetach porad językowych. I im jednak brak wzorów żywego języka; poprawności szukać muszą u autorów klasycznych, proponując nam zwroty książkowe, pachnące czernidłem drukarskim lub perfumami prababki. Jeżeli ten stan rzeczy potrwa dłużej, będziemy — jak autorzy rzymscy u schyłku imperium — pisali językiem archaicznym, spóźniającym się o kilka pokoleń za językiem mówionym. Barwny chaos, przeniesiony z rynków warzywnych, szynków, kordegard i nawet kryminałów do mowy drukowanej, jest jednym z rysów właściwych współczesnej literaturze.

SENTYMENTALIZM

A. I. Richards w *The Principles od Literary Criticism* mówi, że słowo te oznacza rozbieżność i niewspółmierność między wyrazem uczuć i motywującymi je okolicznościami. Sentymentalizm może więc być łzawy lub, odwrotnie, pełen krzepy. Jako przykład drugiej odmiany Richards wymienia Hemingwaya.

Hemingway nie jest twórcą ani skrajnym reprezentantem nowego stylu, ale sława i laury tego autora przyczyniły się wybitnie do uznania sentymentalizmu za poprawny i niemal akademicki styl obecnego stulecia. Dzięki przyzwyczajeniu przestajemy spostrzegać, jak wielkich spustoszeń manieryzm ten dokonał w literaturze współczesnej. Szanowni autorzy korzystają z najbłahszej okazji, aby spluwać w garści i rzucać po kilka mocnych wyrazów.

Do brutalności słów dołącza się brutalność obrazów. Pewien utalentowany autor przeczytał mi kiedyś pierwszy rozdział swej nowej powieści.

Dla zapoznania czytelnika z bohaterem opowiadania zaczynano dawniej od jego dziadka i babki, od wspomnień dzieciństwa itd. My robimy to bez żadnych ceremonii.

Po tych słowach przeczytał rozdział opisujący realistycznie, jakkolwiek z pewnymi słownymi wyolbrzymieniami, dokonywaną na głównej postaci jego powieści operację hemoroidów. Kiedy wyraziłem wątpliwość, czy po takiej prezentacji czytelnicy nie stracą dla jego bohatera szacunku i sympatii, mój znajomy pokazał mi świeżo nagrodzoną w Paryżu powieść, która zaczynała się od upstrzonego obrzydliwymi szczegółami opisu zabiegu wypędzania solitera.

ŚRODOWISKO SPOŁECZNE POWIEŚCI

Naturaliści umieszczali akcję swych powieści w środowisku społecznym, na które mogli patrzeć trochę z góry na dół. Prze-

pis ten należał do konwencji naturalistycznej i objaśnienie jego znajduje się m. in. w dzienniku Goncourtów. Powieściopisarz — skarży się Edmond de Goncourt — musi z notatnikiem w ręku krążyć dokoła koszar i domów publicznych. Zgodnie z tą receptą Flaubert, syn lekarza, napisał powieść z życia felczerów (*Madame Bovary*), Goncourt — z życia prostytutek (*La Fille Elisa*), Descaves — z życia podoficerów (*Les Sous-offs*) itd. Jest to bodaj jedyna recepta naturalistów, która przetrwała ich szkołę i, poprawiona przez nowych mistrzów pióra, utrzymała się do naszych czasów.

Naturaliści uchodzili w oczach współczesnych za plemię grubiańskie. Po blisko stu latach opinia ta wydaje się niesłuszna lub przesadna. Koryfeusze naturalizmu byli wychowani w salonach; na postacie swe patrzyli nieco z góry, ale na widok ich nie spluwali i nie popychali ich bez żadnej ceremonii, jak się to praktykuje obecnie. Dla dzisiejszych autorów powieści i scenariuszy postacie ich nie stoją nigdy zbyt nisko na szczeblach drabiny społecznej. Aby zainteresować szanującego się pisarza, trzeba być co najmniej włóczęgą lub kryminalistą. Naturaliści nie byli tak ekskluzywni.

Włóczęga jako temat literacki ustawi się być może w innej perspektywie, kiedy weźmiemy pod uwagę, że przy obecnym systemie powszechnego zatrudnienia zjawisko te nawet we Włoszech staje się coraz rzadsze, niemal egzotyczne. Św. Marcin musiałby dziś jeździć daleko, aby znaleźć nagiego, z którym mógłby podzielić się płaszczem. Nawet ,,nigdzie nie meldowani'' zatrzymywani są przez policję najczęściej w skradzionych samochodach. Znikając jako kategoria społeczna, włóczęga stał się zjawiskiem innego wymiaru. E.-M. Cioran pisze, że chciałby być *hagiografem* jednego z hiszpańskich włóczęgów.

SZTUKA OMFALOSKOPICZNA

Stosunki pisarza z światem zewnętrznym zaczęły się rozluźniać już w czasach romantyzmu, kiedy sny i majaczenia zaczęły dostarczać autorom tworzywa literackiego. Sny romantyków wydają się nam wszakże snami grzecznych chłopców i dziewczynek, śpiących w białych łóżeczkach.

Sny obecnych literatów są ciężkie i ponure, pełne lęku i niezadowolenia, skrywających się na dnie naszej egzystencji. Sny takie nawiedzały już Greków i nie są nowe. W snach dzisiejszych uderza raczej jednostajność tonu i inspiracji. We śnie wszyscy czują się dziś przegrani, zawiedzeni i opuszczeni w obliczu ostateczności. Stąd melancholia rozlewająca się po drukowanych stronicach. Nawet piszące panienki witają poranek życia słowami: *Bonjour, tristesse*.

Atmosfera nadchodzącego zmierzchu skłania raczej do milczenia, i do głosu dochodzą w niej przede wszystkim powołani do wzywania do pokuty lub ci, którzy tonąc chcieliby jeszcze rzu-

cić przekleństwo na całe plemię Kaina. ,,Jestem złamany; pozostała mi tylko moja nienawiść i mój styl'', pisze Céline. Tego rodzaju wypowiedzi przybierają oczywiście łatwo charakter retoryczny. Literatura współczesna, wielosłowna i retoryczna, przypomina często barokowe kazanie.

Waga tych elementów tradycyjnych wzrosła w nowej koniunkturze. Literatura mianowicie zaczęła zamykać się coraz bardziej w kręgu danych dostarczanych przez introspekcję, odwracając się od świata zewnętrznego. Wielu autorów zwęża jeszcze swój zakres obserwacji do tego co nazwalibyśmy dyssatysfakcją cenestezyjną, uczuciem niezadowolenia płynącym z głębi naszego organizmu. Podobny proces odbywa się w sztukach plastycznych. Retoryka czysta, pozbawiona elementów związanych z obserwacją świata zewnętrznego, ma pewne powinowactwo z malarstwem abstrakcyjnym. Jeszcze większe podobieństwo zdradzają procedery, przy pomocy których pisarze i malarze wypłukują z przedstawianych przedmiotów wszelką samodzielną treść. Tak spreparowane przedmioty stają się jedynie martwą dekoracją retoryki autora. Za najbliższego prekursora w tej dziedzinie można by uważać K.-J. Huysmansa. W *A vau-l'eau* np. opis restauracji, po których wędruje Monsieur Folantin, jest tylko transpozycją jego dyspepsji.

Jednostronność tej formuły budzi różne pytania. W *En attendant Godot* Pozzo wypowiada jedno z nich w sposób następujący: ,,Co mógłbym zrobić, mówię sobie, aby czas wydał się im mniej długi? Dałem ich kilka kości, pomówiłem i o tym i owym, wytłumaczyłem im zmierzch... Ale czy to wystarczy, pytam, czy to wystarczy?''

Świat wyobraźni wysnuty z patrzenia w własny pępek jest z natury swej ograniczony. Zamykanie się w nim nie jest dla nikogo rzeczą bezpieczną. Pies, gdy przestaje obserwować otaczające go przedmioty, zaczyna wyć. Literatura obecna pełna jest skomlenia i wycia. Jeżeli głosy te nie rozlegają się w niej tak prosto i żywiołowo jak w psiarni, jest to dowodem wysokiego stopnia dyscypliny i pewności rzemiosła większej części autorów współczesnych.

◆

Długie trwanie jakiejś formuły czy mody literackiej zostawia po sobie pewną pustkę. Czytelnicy, którzy dla odświeżenia wyobraźni nie czytywali, prócz produkcji bieżącej, także Lukiana, Ariosta czy Gracjana, przywykają do gry w obrębie jednej konwencji i tracą poczucie nieskończonych możliwości zawartych w przeszłej i przyszłej literaturze. Gdy aktualność pewnej mody się kończy, czasopisma literackie i witryny księgarń przypominają miejsce, przez które przeszła powódź. Szara masa lepkiego lub łuszczącego się w słońcu iłu pokrywa wszystko. Trudno domyśleć się od razu, gdzie przed tygodniem jeszcze stały białe i pomarańczowe ściany domów, grzędy kwiatów,

grupy krzewów, i gdzie dzwonił po kamieniach strumień. Zarówno powrót do dawnego jak przejście do czegoś nowego wymagają wysiłku wyobraźni.

◆

Bez naszkicowanej wyżej panoramy nie umiałbym wytłumaczyć, dlaczego ,,Wieża'' Gustawa Herling-Grudzińskiego wydała mi się nie tylko bardzo przyjemną lekturą, ale także utworem znaczącym dla czytelników traktujących na serio swe zajęcie. ,,Wieża'' mianowicie oddała się rezolutnie od wszystkich wyliczonych wyżej recept i manieryzmów. Widać od razu, że autor jej jest z domu eseistą, znającym wiele innych konwencji i patrzącym na nie z pewnej odległości.

,,Wieża'' jest przede wszystkim wznowieniem tradycji poszukiwania stylu i przypomnieniem jednego z najciekawszych dla nas rozdziałów historii prozy. Czytelnicy ,,Kultury'' pamiętają zapewne, że akcja ,,Wieży'' toczy się dokoła mało znanego dziś opowiadania Xavier de Maistre'a pt. *Le Lépreux de la cité d'Aoste*. Grudziński nie tylko streszcza opowieść sabaudzkiego autora ale z różnych stron stara się zbliżyć do jego stylu.

Xavier de Maistre należy do pokolenia wychowanego w XVIII-ym wieku, które za czasów Cesarstwa i Restauracji stworzyło pewien szczególny typ prozy. Paul-Louis Courier, Charles Nodier i Benjamin Constant byli jego rówieśnikami. Pamiętając *la douceur de vivre* wieku Oświecenia, pisarze ci widzieli skoki historii zerwanej z łańcucha, hekatombę młodzieży, okupację swoich i obcych krajów przez armie Napoleona i jego przeciwników oraz ruinę wszystkich poprzednich instytucji. Xavier de Maistre mieszkał przez długi czas w Rosji, Benjamin Constant w Niemczech, Charles Nodier był urzędnikiem efemerycznego królestwa Illirii. Wraz z rówieśnikami czytali encyklopedystów, potem pisarzy sentymentalnych końca stulecia, potem wzorowane na rzymskich oratorach prozy Rewolucji i Cesarstwa, ale żaden z tych stylów nie odpowiadał świadkom takich wypadków. Za każdym z tych stylów stały jakieś pojęcia i obyczaje, do których nie było powrotu: wiara w potęgę rozumu, w zasadniczą dobroć człowieka, w niezłomność cnót republikańskich. Z chaosu doświadczeń wyłaniały się natomiast same prawdy negatywne: że *contro la forza la ragion non vale,* że na zasadniczą dobroć człowieka lepiej nie liczyć, że przy szybkim tempie wydarzeń przekonania zmieniane są szybciej niż koszule, że od okropnej rzeczywistości można wprawdzie uciekać w świat wyobraźni, lecz elementarna przezorność każe oceniać uważnie autonomiczną treść otaczających rzeczy i ludzi. Do mówienia o tych doświadczeniach potrzebny był język nowy, jasny i rzetelny. Skróty, błyskotliwości i manieryzmy nie stały na wysokości sytuacji.

Z takich potrzeb i okoliczności powstał szczególny język literacki tego okresu czasu. Nie znajdujemy w nim piorunują-

cych skrótów Saint-Simona, ani lapidarności Lafontaine'a, ani elegancji i dowcipu Voltaire'a, ani lekkiej potoczystości abbé Prévost'a. Jest to język poważny i powolny, nieco jak gdyby zatroskany, o nieporównanej jasności i dokładności, przylegający ściśle do każdego opisywanego przedmiotu. Język ten budzi zaufanie jak relacja człowieka mającego za sobą wielkie doświadczenie pozaliterackie. Już same okoliczności powstania tego języka wskazują na jego aktualność dla żyjących obecnie świadków podobnych wydarzeń.

Próba zbliżenia się do takiego wzoru ma w sobie coś z wynalazków praktycznych, po których pytamy: jak się stało, że tego już przedtem ktoś nie wymyślił? Wszyscy — piszący i milczący — poszukujemy słów potrzebnych do nawiązania kontaktu ze światem, który zmienił się dokoła nas i przerósł nasz poprzedni zapas terminów i pojęć. Wszyscy wiemy, że nie zbędziemy go żadnym frazesem, nie odgrodzimy się odeń żadną dymną zasłoną fikcji, że musimy przyjąć go do wiadomości i że do opisania go potrzebny nam jest język dokładny, rzeczowy, jasny, przylegający dokładnie do naszych doświadczeń. Literatura bieżąca nie dostarczyła nam dotąd takiego języka, ale literatura ma własne drogi, własny rozkład jazdy: chwilami wyprzedza, chwilami spóźnia się za historią. Wyjście z zaczarowanego koła konwencji literackiej stało się w obecnych warunkach niezbędnym krokiem wstępnym do stworzenia jakiejś metody opisu i porządkowania naszych doświadczeń. Nie jest też zapewne rzeczą przypadku, że poszukiwaniem takiej metody zajął się Gustaw Herling-Grudziński, który, zanim zaczął pisać, był na zesłaniu w Rosji i wojował w różnych krajach, usiłując wciąż notować i porządkować swe wrażenia. „Wieża" jest próbą stworzenia narzędzia, które nam wszystkim będzie potrzebne. Wyróżnienie przyznane mu przez jury „Kultury" ocali być może to opowiadanie od pospolitego losu druków i zwróci na nie uwagę czytelników.

Paweł HOSTOWIEC

Polska w połowie XII-go wieku

Zbliżające się „Millenium" — tysiączna rocznica powstania państwa polskiego — ożywiło niepomiernie działalność pisarską historyków polskich, bez względu na rozmaitość szkół, do których należą i osobiste poglądy. Wydarzenie tego typu pobudza wyobraźnię i skłania do tworzenia syntez, które obok prac monograficznych opartych o źródła mogłyby ułatwić Polakom nabycie wiedzy o samych sobie.

W tak ważnym momencie historiografia polska znajduje się w położeniu szczególnym. Najliczniejsi jej przedstawiciele w Kraju nie posiadają pełni swobody pisarskiej, nawet gdy posiadają swobodę badań. Z góry narzucony posłuch doktrynie politycznej każe im szeregować fakty i wysnuwać wnioski w sposób, który wystawia na próbę ich poczucie bezstronności.

Obrona przed zaciemnianiem prawdy lub jej paczeniem stwarza z drugiej strony niebezpieczeństwo zbyt kurczowego trzymania się tradycyjnego sposobu przedstawiania dziejów. Temu niebezpieczeństwu ulega część polskiego piśmiennictwa historycznego na emigracji.

HISTORIA POLSKI

w opracowaniu Pawła Zaremby

będzie próbą bezstronnego spojrzenia na dzieje Polski od zarania jej istnienia do chwili obecnej. Jej zamierzeniem jest przedstawienie nurtu wydarzeń w oparciu o rzeczywistość polityczną, gospodarczą i kulturalną całej Europy. Posługując się narracją z uwzględnieniem możliwie dużej ilości faktów i naświetleń dostarczonych przez najnowsze badania różnych szkół naukowych, „Historia Polski" zamierza jednocześnie spełnić rolę

popularnego podręcznika i opowieści o życiu kilkudziesięciu pokoleń Polaków od czasów Mieszka I. do roku 1957.

Ostateczne przygotowanie tekstu uległo kilkumiesięcznemu opóźnieniu ze względów niezależnych ani od wydawnictwa, ani od autora, choć połączonych z jego zmniejszoną wydajnością pracy spowodowaną stanem zdrowia.

Data ukazania się ,,Historii Polski'' została obecnie definitywnie ustalona na jesień 1959 roku.

REDAKCJA KULTURY

FRAGMENT ,,HISTORII POLSKI''

ROZDZIAŁ VIII

Panowanie Bolesława Krzywoustego zamyka dwustoletni bez mała okres istnienia historycznego państwa polskiego. Okres ten obfitował w przeobrażenia poglądowe, ustrojowe i kulturalne zarówno w Polsce jak i w reszcie Europy. Nie były one bynajmniej jednakowe. Innymi słowy proces dziejowy Polski nie był tylko echem lub cząstką procesu ogólno-europejskiego.

W Europie zachodniej powstawały i upadały państwa. W r. 1066 Wilhelm normandzki zdobywa Anglię. Przesuwały się granice. Dokształcały się formy ustroju feudalnego, uwidoczniały się jego przerosty i schorzenia, z żywiołową siłą wybuchał przeciwko niemu opór dążący do wytworzenia form nowych, feudalizmowi przeciwnych. Kościół porastał w potęgę materialną nie tracąc rządu dusz. Przeżywały się reguły zakonne i miejsce starych, dumnych opactw zajmowały nowe pracowite zgromadzenia. Papiestwo przechodziło kryzysy, polityczne i moralne, wygrywało i przegrywało bitwy w nieustającej wojnie z cesarstwem, z herezjami, z królami Francji. Zapał misyjny, mistyka codziennego życia, wybuchowa i gorąca wiara obdzielały ładunkiem energii książąt, panów i rycerzy, którzy niestrudzenie walczyli o nawrócenie lub o zagładę pogan. Rodzina krajów chrześcijańskich powiększyła się o Węgry, Skandynawię, Polskę. Na półwyspie Iberyjskim rozpoczął się odpływ Islamu, któremu coraz trudniej przychodziło obronić swe zdobycze także i w południowych Włoszech i na Sycylii. Rok 1095 przynosi zjawisko niesłychane, piękne z ducha i ciężarne w następstwa. Jest nią pierwsza wyprawa Krzyżowa do Ziemi Świętej. Ta i dalsze wyprawy otworzą szeroko bramy dla nowych wpływów i dla wymiany kulturalnej i handlowej z krajami Lewantu. Wbrew zakazom dyktowanym przez idealistyczną doktrynę chrześcijańską rozwija się handel w oparciu o pieniądz i kredyt. Powstają i mnożą się szkoły — nie brak ludzi światłych

nie tylko wśród duchownych. W Prowancji rozkwita wielka lite
ratura, która zapłodni przyszłe ośrodki kultury europejskiej
w Nadrenii, we Francji, w Oxfordzie i we włoskiej Toskanii

Wiek XII przynosi dalszą dezintegrację Niemiec, gdzi
powstaje szereg państw w rzeczywistości niezależnych, chocia
uznających moralne zwierzchnictwo i symboliczne przywództw
„cesarza rzymskiego”, który był i pozostał królem niemieckim

Uniwersalizm cesarski przestaje być siłą rozpędową pro
cesu dziejowego. Jedynym uniwersalizmem żywym i rozkwita
jącym jest chrześcijaństwo. Świat chrześcijański i Europa t
synonimy, pojęcia pokrywające się w każdym przejawie i w każ
dym szczególe. Bez chrześcijaństwa Europa nie znaczy nic, ni
scala niczego, jest pustą nazwą geograficzną, nieużywaną zresz
tą przez współczesnych. Zespoliwszy się ze sobą, chrześcijaństw
i Europa zacieśniają się geograficznie do obszaru, którego miesz
kańcy uznają zwierzchnictwo duchowe papieża i skupiają si
dokoła obrządku posługującego się łaciną. Kościół wschodn
jest już kościołem schizmatyckim, wiarą nienawistną i obca
Razem z nim cesarstwo bizantyńskie wyrzucone zostaje poz
nawias Europy. Trwa w samotnej obronie przeciw Islamow
i coraz to nowym barbarzyńcom, zagrożone także od stron
chrześcijan łacińskich. Teren jego ekspansji kulturalnej — Ru
słowiańska — rozpada się politycznie, przenosząc właściwy ośro
dek przyszłej siły w daleki Suzdal.

„Uniwersum” — świat chrześcijański, świat cywilizac
łacińskiej pulsuje bujnym życiem, szukając ujścia dla nagroma
dzonej energii. Jest ciągle w stanie płynnym. Nowe przywiąza
nia wypierają dawne, opróżniając często miejsce dla nowyc
nienawiści. Stare różnice plemienne wygładziły się pod wpły
wem wspólnej wiary, wspólnego języka pisanego — jest ni
łacina — wspólnej ogłady i kodeksu rycerskiego. Kiełkują ju
jednak różnice nowe, wynik solidarności interesów poszczegó
nych warstw społecznych i zarysowujących się odrębności na
rodowych. Feudalizm tkwi ciągle mocno w obrazie życia jak
kamień węgielny ładu politycznego i społecznego. Jego genez
gospodarcza i wojskowa przestaje już być siłą ożywczą — go
rę nad nimi biorą nawyki uczuciowe, symbolika na poły mi
tyczna. Potrzeba, która go stworzyła przeradza się w praw
które go strzeże, umowę zastępuje przymus, opiekę i ochron
wypiera przywilej i ucisk. Układając ludzi i ziemie w przedziw
ną mozaikę złożonej zależności, łączy jednak chrześcijan dzięk
podobieństwu swych kształtów we wszystkich krajach i wsk
tek podobieństwa swych przyczyn i początków. Uzupełnia obra
kultury powszechnej, gdyż jest powszechnym ustrojem.

Feodalizm wyrósł na podłożu gospodarczym w najbardzi
prymitywnych jego przejawach. Powstał na gruzach silnej o
ganizacji centralnej, jako panaceum na anarchię walki wszys
kich przeciwko wszystkim. Brak poczucia bezpieczeństwa k
zał szukać oparcia w jednostkach dysponujących siłą zbroj
i mogących zabezpieczyć rokroczny cykl siewu i zbioru płodó

rolniczych. Za opiekę i za możność produkcji na własne potrzeby konsumpcyjne trzeba się opłacać rozygnacją z własnej swobody. Hierarchia, drabina zależności między możnym i wasalem, między panem i poddanym, drabina o różnej ilości szczebli, jest widomym znakiem organizacji feudalnej. Zjawisko nie jest ograniczone do świata zachodniego wyrastającego do nowego życia na gruzach i rozwaliskach imperium rzymskiego: feudalizm powstaje samorodnie także w Chinach i w Japonii, w rozkawałkowanych i zanarchizowanych Indiach. Nie znają go jedynie kraje, w których utrzymała się silna administracja centralna, zdolna zapewnić minimum ładu i porządku potrzebnego dla spokojnej produkcji i używania jej płodów. Nie zna feudalizmu imperium bizantyńskie i imperium stworzone przez Arabów.

Nie zna go też, lub broni się przed nim, wiele krajów europejskich tych, które nie zatraciły silnej władzy monarszej, rozciągającej skutecznie swą moc i przemoc na wszystkich mieszkańców rządzonego przez siebie kraju. Dokonują niekiedy recepcji form feudalizmu — przejmują jego pozory, jego symbolikę, pozostają pod cząstkowym jego oddziaływaniem, zachowując jednak istotę ustroju z feudalizmem niezgodną. Takim krajem jest Anglia, do której Normanowie przenoszą wszystkie zagmatwane parafernalia systemu feudalnego, łącznie z dziedziczeniem urzędów — królowie jednak zachowują stary anglosaski stosunek bezpośredniego zwierzchnictwa nad każdym wolnym człowiekiem.

Takim krajem jest przede wszystkim i w sposób najwyraźniejszy Polska piastowska, zwłaszcza w okresie którego koniec przypada na śmierć Bolesława Krzywoustego. Feudalizm ustrojowy ledwo się o nią otarł — pełnia władzy monarszej i jej centralizacja pozostały treścią jej bytu państwowego i synonimem niezależności. Dla cesarzy niemieckich ład feudalny wydawał się podstawą prawidłowości ich stosunku do książąt piastowskich: dla Piastów stosunek lenny nie bywał wynikiem przyrodzonego porządku rzeczy, lecz rzeczywistością polityczną, uwarunkowaną prawdziwym w danej chwili stosunkiem sił. Składając po wiele razy hołd cesarzowi, czynili to pod przymusem i nie zaniedbywali żadnej sposobności by się spod zobowiązań w ten sposób przyjętych wyłamać. Nie chcieli włączyć się w system, choć musieli przyjmować do wiadomości jego istnienie i ponosić jego konsekwencje. Nie bez słuszności też nazywano stosunek ten w nauce zależnością danniczą, trybutarną, a zobowiązania haraczem wymuszonym, nawet wówczas, gdy cesarze ograniczali swe pretensje do części terytorium piastowskiego, najczęściej do Pomorza Zachodniego.

W przeciwieństwie do innych krajów Europy, Polska zachowała przez dwieście lat swego historycznego istnienia integralność całego terytorium. Rozpad na dzielnice, ilekroć następował, spotykał się z natychmiastową reakcją. Co ważniejsze, nie dopuścili Piastowie do rozczłonkowania wewnętrznego, wstępem do którego byłoby nieznane w Polsce dziedziczenie

urzędów terytorialnych. Jedynie na Pomorzu wschodnim w drugiej połowie XII wieku piastowscy urzędnicy administracyjni zamienili się w dynastów co wywołało oburzenie kronikarzy.

Zjawisk społecznych i ustrojowych nie sposób nagiąć do sztywnej ramy jednoznacznych terminów i definicyj. I feudalizm ma co najmniej tyle znaczeń w literaturze ile było jego odmian i odcieni w różnych krajach i okresach historii. Nie ogranicza się już dziś feudalizmu, jako pojęcia, do zjawisk ustrojowych, lecz pod wpływem sztywnej doktryny determinizmu historycznego, zwanej ,,szkołą marksistowską'', przenosi się arbitralnie tłumaczony wyraz na system gospodarczy w poszukiwaniu nieistniejącej, bo nie udowodnionej przez rzeczywistość historyczną, prawidłowości zjawisk dziejowych. Jeżeli by tę nomenklaturę narzucić na obiektywny opis procesów dziejowych, nic nie stałoby na przeszkodzie, aby za ,,feudalne'' uznać podporządkowanie ludności chłopskiej warstwie możnych pod względem rzeczywistej zależności gospodarczej, wzmocnionej lub nie wzmocnionej, rygorem zwyczaju lub normy prawnej. Tego rodzaju ,,feudalizm'', jak również jego rzekomą przyczynę w postaci określanego z trudem typu ,,bazy produkcyjnej'', zna oczywiście Polska piastowska. W połowie wieku XII, którego obraz staramy się tu nakreślić, jest on nawet głównym zrębem jej organizacji społecznej i gospodarczej z głębokimi cieniami na jej ustroju i kulturze.

I w tym względzie Polska Bolesława Krzywoustego różni się od krajów zachodnio-europejskich. Długi proces podporządkowania chłopa-rolnika panu-rycerzowi nie jest jeszcze zakończony, choć posunął się znacznie. Jest to jednak proces rodzimy, nie ślepa recepcja gotowych, obcych wzorów.

UKŁAD SPOŁECZNY

Pod względem uwarstwienia społecznego Polska Bolesława Krzywoustego przedstawia obraz dość jednolity. Podziały są wyraźne, ugruntowane przez obyczaj lub rzeczywisty układ zależności, wzmocnione przywilejami, obwarowane dysproporcją sił. Pierwotne rozróżnienie między człowiekiem ,,wolnym'', podległym tylko księciu i ,,niewolnym'' w dosłownym znaczeniu, od których to dwóch grup odcina się nieliczna grupa ,,możnych'' różnego pochodzenia i zamożności, ustąpiło nowemu układowi, w którym olbrzymia większość ludności znalazła się w stosunku zależności osobistej i gospodarczej nie od księcia bezpośrednio, lecz od warstwy uprzywilejowanych rycerzy-wojów. Sprawa nazwy jest obojętna: dla uproszczenia możemy już teraz wprowadzić terminy, z którymi nie rozstaniemy się przez długie wieki. Terminami tymi są ,,chłopi'' i ,,szlachta''.

,,Szlachta'' — słowo to piszemy w cudzysłowie, gdyż jest zapożyczone z późniejszych czasów — rekrutuje się częściowo

z wojów, rycerzy, którzy gospodarują na ziemi darowanej im lub danej w posiadanie przez księcia, częściowo zaś z tych grup ludności, które zdołały wzbogacić się do tego stopnia, iż władają znaczniejszym majątkiem ziemskim, w taki sposób jakby stanowił ich własność. I jedni i drudzy zatracają szybko pamięć swego pochodzenia społecznego jednakie bowiem są ich faktyczne przywileje i jednakie obowiązki. Do obowiązków należy przede wszystkim służba wojskowa. Drużyna, znana za Chrobrego, należy już do przeszłości za Śmiałego i Krzywoustego. Wojsko zawodowe, utrzymywane wprost przez księcia, ustąpiło miejsca organizacji wojskowej, terytorialnej. Wojowie-rycerze utrzymać się muszą sami, z ziemi którą otrzymali jako uposażenie, lub którą sami zawładnęli. Włości ich są dobrami rycerskimi — *bona iure militari possessa*. Kto wywiązuje się z obowiązku służby wojskowej na wezwanie księcia, tego własności i dziedzictwa nikt nie poddaje w wątpliwość. Gdy obowiązku swego zaniedbuje — książę władny jest ukarać go odebraniem ziemi.

Z wojów-rycerzy osiadłych wybiera książę urzędników, przy ich pomocy rządzi i utrzymuje w karbach resztę ludności. Poza służbą wojskową rycerz ponosić musi różne świadczenia na rzecz księcia. Najczęściej przerzuca je na zależną od siebie ludność chłopską. Istotą polskiego „prawa rycerskiego" — *ius militare* — jest bezpośredniość stosunku każdego z nich do księcia. Istnieje stosunek wierności — nie ma drabiny lennej. Dziedziczność ziemi rycerskiej jest już regułą w połowie XII wieku, choć prawdopodobnie pierwotne nadania były tylko dożywotne. Ważną też cechą jest system dziedziczenia swobodnego, to jest dzielenia ziemi między potomków męskich, niekiedy przez spadkobierców-krewnych w linii bocznej. Nie wytwarza się więc zasada majoratu — przechodzenie włości tylko na najstarszego syna — zasada tak typowa dla feudalnych stosunków na zachodzie, gdzie wykształciła się jako sposób zabezpieczenia przed rozdrabianiem własności. Ma to ten w Polsce skutek, że warstwa szlachecka wzrasta stale w liczbę, zamiast kostnieć w szczupłych i uregulowanych ramach ilościowych. Okolicznością drugorzędną, lecz w symbolice tak zawsze w każdym ustroju ważną, jest niewykształcenie się w Polsce zewnętrznych cech feudalizmu: uroczystości nadawania lenna, składania hołdu przez następcę itp. Nie zastępował jej, gdyż nie miał z nią nic wspólnego na wpół religijny obrzęd pasowania na rycerza, wykwit romantycznej kultury słonecznych połaci Europy chrześcijańskiej. W wieku XII był w Polsce znany, choć nie zakorzenił się głębiej niż na dworze księcia i w stosunku do nielicznej grupy możnych posiadających ogładę i znajomość obyczajów zachodnich, zupełnie obcych i nie zrozumiałych zapewne dla ogółu wojów stających do boju na wezwanie księcia.

Bezpośredniość stosunku wojów do księcia uwidoczniała się również w ich podległości sądowej. Sądownictwo nad nimi mógł książę zlecać swym urzędnikom siedzącym po grodach, sprawo-

wali je jednak w księcia a nie we własnym imieniu. Za zabicie lub zranienie woja płaciło się wyższą główszczyznę (za śmierć) lub nawiązkę (za rany). Jej wysokość była zresztą zmienna, i różna w różnych dzielnicach, zawsze jednak nieporównanie wyższa niż w przypadku zabicia lub ranienia chłopa.

Wojowie-rycerze nie stanowili zagrożenia dla władzy książęcej. Przeciwnie, silny monarcha, zwłaszcza żądny wojen, miał w nich gorących popleczników. Wojna bowiem była głównym zajęciem i przeznaczeniem rycerzy — nawet jeśli z konieczności przemieniali się w ,,ziemian'' w czasie dłuższych okresów pokojowych. Wojna dawała im możność łupu to znaczy wzbogacenia się osobistego, a także uzyskania nowych nadań ziemi. Zagrożeniem władzy księcia była natomiast warstwa możnych — ludzi i rodzin bardzo bogatych, a przez to ambitnych, przy czym ambicje te mogło wzmacniać wspomnienie niezależności całkowitej w zamierzchłych już czasach przedpiastowskich. Czynnik ten jednak należy uznać za mało istotny w rzeczywistości XII wieku, z tego przede wszystkim względu, że większość możnych rekrutuje się wówczas ze wzbogaconych wojów, których rody łaskami i przywilejami otaczali książęta od kilku pokoleń. Nie można też zapominać, że wielkie dobra niektórych możnych pochodziły nie tylko z ogromnych nadań, mnożonych nowymi nadaniami, lecz także ze zwykłego zawładnięcia ziemią sąsiadów w czasie licznych wojen domowych lub po prostu z zagarnięcia całych opoli pod swe zwierzchnictwo, względnie z zajęcia ziemi książęcej bez żadnego w ogóle nadania. Dobra Piotra Włostowica, comesa wrocławskiego z czasów Krzywoustego, obejmowały setki siół i dworzyszcz, rozrzuconych na dużej przestrzeni.

Możni nie byli ani wówczas ani później warstwą otoczoną wałem specjalnych praw i przywilejów prawnych. Immunitet gospodarczy i sądowy, gdy się pojawi, nie będzie im nadany jako określonej klasie społecznej. Swą pozycję, siłę i znaczenie czerpali nie z prawa, lecz z faktów. Musieli się z tym liczyć Piastowie nie zaniedbując żadnej sposobności, by łamać potęgę poszczególnych możnych. Krzywousty oślepił swego wojewodę Sędzimira, choć był on jego wychowawcą i przyjacielem. Liczenie się z realiami życia kazało im wśród możnych wybierać doradców, biskupów, kasztelanów znaczniejszych grodów i dowódców wojskowych. Kazało im jednak także wystrzegać się najpilniej nadawania takich przywilejów i dowodów łaski, które byłyby czymś więcej niż przywilejem indywidualnym, skierowanym na jednostkę lub na rodzinę. W chwilach osłabienia władzy książęcej możni rej wodzili w państwie, wyrastali nieraz wpływami w swej dzielnicy kraju ponad urzędników książęcych, nie zdołali jednak nigdy zorganizować się jako odrębna klasa społeczna. Nie wiemy nawet czy kiedykolwiek do tego dążyli. Nie poszanowanie dynastii i nie interes państwa nimi powodował, lecz najpewniej wzajemna zawiść. Na przeszkodzie wytworzeniu wspólnego interesu klasowego stawała zaś typowa dla Polski organizacja rodowa rycerstwa.

Wiek XII przynosi odrodzenie jak gdyby starych organizacji rodowych. W gruncie jest to jednak rzeczywistość zupełnie nowa. Wykształcają się one ponownie dokoła przywilejów osiadłych wojów, dokoła interesów wzbogaconych i skoligaconych możnych. Pierwotna własność rodowa zaginęła po opolach — dawno ustępując miejsca własności indywidualnej — nowe nadania ziemi wojom ożywiły jej wspomnienia jako zabezpieczenia przed konfiskatą, zawłaszczeniem przez sąsiada lub przepadkiem w razie braku dziedzica. Zawołania i przezwiska — zapowiedź niedaleka nazwisk — i pojawiające się już znaki herbowe stwarzały klimat odpowiedni dla nawiązywania spójni szerszej niż rodzinna. Zjawisko powszechne w warstwach uprzywilejowanych i osiadłych, zanikające wśród ludzi ubogich i upośledzonych. Rody szlacheckie, których początki kiełkują za Bolesławów, to nie dostojna kontynuacja jakichś w pomroce dziejów prasłowiańskich zagubionych tradycyj, lecz zalążki nowych, często zmiennych i zawsze, aż po wiek XVI, płynnych.

Ród, spójnia rodowa, solidarność członków rodu, odradzają się, porastają w siłę, by znowu zaniknąć, osłabić się i z nową wybuchnąć w jakimś nowym układzie warunków, pod naciskiem nowych konieczności, nowych przywiązań i nowych symboli. Herby w XII wieku to znaki indywidualne, rzadkie jeszcze wśród wojów, zmieniające się w zależności od fantazji. Powoli dopiero rozwiną się w znaki łączące grupy wojów o wątpliwej często koligacji i pokrewieństwie. Często zastąpią pokrewieństwo i będą zalążkiem „rodu", który nigdy rodem nie był. Z drugiej strony węzły prawdziwego pokrewieństwa łączyć będą wojów rozrzuconych swymi dziedzinami od świeżo zdobytej na Pomorcach ziemi nakielskiej po górzyste Gołężyce i puszczańskie Nadbuże. Zepną mocną siecią przywiązań i solidarności różnych ludzi w różnych dzielnicach, swobodnie przekraczając i skutecznie niwelując stare odrębności plemienne i z nich wyrosłe niechęci dzielnicowe. Rody polskie, te w XII i XIII wieku wśród możnych i szlachty wyklute, to nie klany celtyckie i nie zabytki przedpaństwowej organizacji, lecz z nowych potrzeb wyrosłe związki ludzi i rodzin. Będą żyły własnym bujnym życiem obok nurtu życia całego państwa, podlegały przeobrażeniom, zanikały i dzieliły się na mniejsze organizmy psychicznych przywiązań. Nie będzie w nich jednak żadnego śladu innej niż dobrowolna więzi.

Do boju zaś wojowie stawać będą równie często pod znakiem swych ziem, gromadząc się na wyprawę dokoła urzędnika książęcego, jak wokół starszego rodu.

Nadając ziemię, książę nadawał ją wraz z ludźmi na niej osiadłymi. Dwieście lat między Mieszkiem I i Krzywoustym wystarczyło na zrównanie różnic społecznych w obrębie ludności chłopskiej i to zarówno na ziemiach nadanych lub zawładniętych przez możnych i wojów jak i w olbrzymich dobrach stanowiących uposażenie Kościoła — biskupów i nielicznych jeszcze klasztorów, oraz we włościach należących bezpośrednio

do księcia. Ostały się różnice między wolnymi i niewolnymi, nie były to już jednak różnice położenia gospodarczego. Wolni nie byli już dawnymi dziedzicami. Nie posiadali bowiem ziemi, lecz uprawiali ,,źrebia'' i ,,jutrzyny'' na podstawie umowy, oczywiście regulowanej zwyczajem tylko lub wolą pana, byli dzierżawcami, którzy zatrzymywali część płodów na swe potrzeby i swej rodziny. Nie podlegali jednak panu pod względem osobistym, sądził ich kasztelan. Najwięcej było ich na gruntach książęcych, najmniej na rycerskich. Ich swoboda osobista stawała się jednak coraz bardziej problematyczna — coraz częściej zabraniano im opuszczanie uprawianej ziemi. Jako ,,przypisańcy'' do ziemi (termin późniejszy) upodabniali się do tej części ludności niewolnej, którą osadzano na ziemi, na oznaczonej ,,dziedzinie'', zamiast używać jako czeladzi pod stałym nadzorem.

Obie kategorie zlewały się szybko ze sobą, zwłaszcza, że w praktyce ani w jednej ani w drugiej nie stawiano przeszkód dziedziczeniu uprawianych ,,źrebi'' i zagród. Praktyka niwelowała również różnice między nimi a zwykłą czeladzią niewolniczą.

Proces ten został przyspieszony przez immunitety. W stosunku do panów świeckich okres udzielania immunitetów przez panującego przypada zapewne na wiek XIII i zbiega się z osadnictwem na prawie niemieckim. Wiek XII zna immunitety nadawane dobrom kościelnym i wnosić należy, że posłużyły one za wzór dobrom szlacheckim, które w większości zapewne zdobyły immunitet nie w drodze aktu prawnego, lecz w drodze ,,zapatrzenia'' na immunitet sąsiedniego możnego lub klasztoru. Immunitet gospodarczy polegał na zwolnieniu ludności na obszarze jakiejś wielkiej własności od ciężarów i danin na rzecz panującego. Ciężary te mógł na swoją korzyść zagarnąć, choć nie zawsze miało to miejsce, właściciel ziemi. W każdym jednak wypadku przywilej immunitetu stanowił dla niego korzyść materialną o pierwszorzędnym znaczeniu. Dochodów przysparzał mu też immunitet sądowy, który przekazywał ludność jego własnemu sądownictwu (zwykle z wyłączeniem niektórych spraw i z zastrzeżeniami co do wysokości kar) i wyjmował ją spod władzy administracyjnej urzędników książęcych. Nie opłaty sądowe i grzywny są jednak najistotniejsze w immunitecie sądowym, lecz fakt przekazywania panom na stałe zwierzchnictwa nad chłopem i rozrywania w ten sposób bezpośredniości stosunku między państwem i człowiekiem, który nie był niewolnikiem, lecz człowiekiem z pochodzenia wolnym. Immunitet, sądowy zwłaszcza, jest ściśle sprzężony z systemem feudalnym na Zachodzie i był tam jego uzupełnieniem i nieodłącznym towarzyszem. Do Polski wprowadził go Kościół, przynosząc z Zachodu jasno określone pojęcia o prawie własności i nakłaniając Piastów do jego stosowania. Nie znajdując pożywki w innych instytucjach feudalnych nie rozwinął się też na miarę niemiecką, gdzie biskupi i klasztory stawały

się samodzielnymi państwami. Przyspieszał jednak proces przekształcenia chłopów zależnych gospodarczo w poddanych osobistych.

GOSPODARSTWO I KULTURA MATERIALNĄ

Gall Anonim mówi o Polsce, że choć jest pokryta gęstym borem, bogata jest w złoto i w srebro, w chleb i w mięso, w miód i w ryby... i nigdy nie doznała podboju. Jest to kraj, w którym powietrze jest rzeźkie a ziemia urodzajna. Żyją w nim waleczni rycerze, pracowici wieśniacy, mocne konie, woły dobre do pługa, krowy mleko dające i owce wełniste". Jak daleki był panegiryk rozmiłowanego w przybranej ojczyźnie mnicha z Langwedocji od prawdy?

Na szczęście nie jedyne to źródło wiadomości. Uzupełniają je dane archeologiczne, wiadomości pośrednie i analiza porównawcza. Druga połowa wieku XII i wiek XIII przyniesie też sporo dokumentów pisanych, z których wysnuć można prawidłowe wnioski wstecz. Od połowy XII wieku zaczyna się wolnym początkowo tempem, z dekady na dekadę coraz szybsza gruntowna rewolucja gospodarcza ze społeczną jak najmocniej powiązana, która przyniesie z czasem i gospodarkę folwarczną i oczynszowanie chłopów. Osadnictwo na prawie niemieckim będzie procesu tego ważnym członem, lecz nie jedyną jego przyczyną. U schyłku panowania Krzywoustego procesu tego jeszcze nie sposób wypatrzeć. Widać za to wpływ ulepszeń technicznych produkcji rolnej, dokonywującej się częściowo przy współudziale klasztorów, bardzo jeszcze nielicznych. Więcej tu zdziałać mógł wpływ przez Czechy lub Niemcy, idący z zachodu, często w osobie niewolnika przywiezionego z wyprawy.

Podstawa gospodarki nie uległa zmianie od czasów przedhistorycznych. Jest nią rolnictwo indywidualne uprawiane przez chłopa na sporych nadziałach gruntu. „Dziedziny", „źrebia", „pługi" to wszystko nazwy parceli gruntu, którą chłop może obrobić wołem, w konia, sochą, radłem (którego jest wiele odmian) lub pługiem. Są to parcele duże, po kilkanaście lub po kilkadziesiąt hektarów. Produkcja jednak jest skromna: z jednego ziarna zebrać można trzy lub cztery, nierzadko tylko dwa.

W osadach starych, o różnych kształtach wsi i rozrzuconych polach, panuje dwupolówka, wyjaławianie ziemi do szczętu, aby ją na lata zostawiać ugorem. Trójpolówka, system racjonalny przeplatający siew ozimy z jarym i z ugorem, dla wytchnienia ziemi, też już jest znana, ale chyba niepowszechnie. W okolicach o osadnictwie młodszym borów do wypalania jest wciąż bez liku — stosuje się najstarszą gospodarkę żarową. Znane są specjalne kategorie ludności rolniczej, wolnej, bo swobodnie wędrującej, które wynajmują się na karczunek i wy-

żarzanie lasu, aby potem oddać go właścicielowi pod właściwą uprawę.

Ze zbóż, żyto jest na pierwszym miejscu, a obok niego pszenica, owies, jęczmień i proso dla wyrobu piwa. A dalej len i konopie, groch i rzepa — podstawowe jarzyny. Sadownictwo popierały klasztory, które z zapałem i uporem, choć ze skutkiem zapewne niewielkim, pragnęły także pokrywać nowy kraj winnicami.

Las i wody uzupełniały gospodarkę rolną całego kraju, gdzieniegdzie, jak dawniej, głównego dostarczając ludności zajęcia. Po wsiach i przy dworzyszczach hodowano owce, świnie, drób i bydło. Bydła i świń było zapewne pod dostatkiem, z uwagi na olbrzymi procent gruntów dających wypas. Przez analogię z innymi krajami, bogatymi w źródła historyczne, sądzić możemy, iż były to okazy drobne, sięgające najwyżej połowy wzrostu bydła z wieku XX.

Czy ziemia mogła wyżywić swych mieszkańców? Czy chłop potrafił tyle zebrać, by i rycerzowi i kościołowi i księciu zapewnić byt i samemu przetrwać przez przednówek? Nie mamy odpowiedzi pewnej, lecz sądzić można ze słów Galla, że Polska szczęśliwsza była od niejednego z krajów dzięki mnogości ziemi i małej ilości ludzi do wyżywienia.

Przemysł lokalny zaspakajał potrzeby chłopa, a nie wiele było takich, którym nie mógłby zaradzić sam, względnie z pomocą rzemieślników z własnej wsi. Tych musiało być sporo, zwłaszcza kowali, gdyż coraz więcej używano żelaza.

Podgrodzia wzrastały w liczbę i były coraz większe. Targowiska na nich odbywane zamieniały się niekiedy w stałe targi. Ciągle nie było jeszcze miast, gdyż nie było organizacji prawnej tego typu, podgrodzia jednak, w sensie gospodarczym nie mogły być niczym innym niż ,,miastem''. Specjalne ,,prawo targowe'' *ius fori* — znane w całej Europie zachodniej, także i w Polsce było stosowane i było niekiedy wystarczającą formą dla organizacji życia miejskiego i regulowania wymiany towarowej pod opieką panującego. Pomorze stanowi i tutaj wyjątek, gdyż tam miasta, zwłaszcza portowe, miały samorządy rozmaitego pokroju i były siłą polityczną, większą niekiedy od książątek dzielnicowych, czy raczej ,,powiatowych''.

,,Mir książęcy'', surowymi karami grożący zakłócającym swobodę i porządek wymiany targowej, rozciągał się także na szlaki komunikacyjne, biegnące przez kraj i łączące go z zagranicą. Przedmiotem obrotu handlowego z zagranicą były wyroby rzemieślnicze, broń, ozdoby, naczynia; wywożono futra, wosk i niewolników.

Większość obrotów polegała zapewne w dalszym ciągu na wymianie. Na pewno tak było w handlu lokalnym. Z pieniędzy znano monety z całego bodaj ówczesnego świata, choć ubywało raczej monet arabskich. Piastowie, od Chrobrego, bili monety własne, czynili to także niektórzy możni. Wiemy na przykład o monetach bitych przez Sieciecha.

Odzież i mieszkanie ogółu ludności nie uległo zbyt wielkim przemianom, choć coraz więcej używa się sukna w miejsce podstawowego lnu. Bardziej wyrafinowany strój możnych porzucił wzory pierwotne, upodobniając się do stroju europejskiego. Chata drewniana, coraz rzadziej półziemianka, otrzymuje niekiedy piec z okapem zamiast otwartego paleniska — pod wpływem Rusi raczej niż Niemiec. Dworzyszcza możnych i chaty wojów, tak samo jak budowle grodowe i większość kościołów buduje się z drzewa, przy czym styl podhalański uważa się powszechnie za dość wierną kontynuację starodawnego budownictwa polskiego. Powiększa się jednak ilość budowli z kamienia w charakterystycznym rotundowym stylu romańskim. Są to budynki prawie wyłącznie kościelne, często spełniające jednocześnie zadania obronne.

URZĄDZANIE PAŃSTWOWE I ZARZĄD PAŃSTWA

Władza pierwszych Piastów nie znała innych ograniczeń niż hamulce nakładane na nią przez koniunkturę polityczną. Możni przeciwstawiali się niekiedy skutecznie jednowładztwu, niekiedy zagarniali część władzy lub władzę na określonym terytorium dla siebie, wystarczało jednak zmiany sytuacji, większej indywidualności księcia lub kunsztownej gry sił, by natychmiast znikał wszelki opór jego władzy. Nie znał bowiem żadnych ograniczeń natury prawnej lub zwyczajowej. I w tym względzie widoczna jest różnica między państwem piastowskim, a przesiąkniętą już systemem feudalnym i przeoraną immunitetami na rzecz Kościoła i świeckich Europą zachodnią.

Zbyt dużym jednak byłoby uproszczeniem, gdybyśmy poprzestali na przyrównaniu państwa do olbrzymiego majątku ziemskiego, którego życie i zarząd opiera się wyłącznie na wykonywaniu prawa własności przez właściciela. Już sama rozległość obszaru i złożoność struktury społecznej zamieszkującej go ludności, przesądza o płytkości tego rodzaju porównań. Niewątpliwie wola księcia była decydująca w każdym przejawie życia — on stanowił o prawie i o wiadomości dobrego i złego. Rząd dusz, podobnie jak rząd ciał, był jego niezaprzeczonym atrybutem, spod którego tylko on mógł zwolnić w drodze przywileju, chociażby zwalniał pozostając pod fizycznym przymusem. Niemniej sprawowanie rządów miało wyraźny związek z dobrem ogółu, co wynosiło rządy wysoko ponad zarząd nad włościami.

Z funkcji państwowych dwie były najważniejsze: decydowanie o wojnie i pokoju i sprawowanie sądownictwa. Obie spełniał książę. Czuwał on również nad bezpieczeństwem i ładem wewnętrznym, był postrachem złoczyńcy i opiekunem pokrzywdzonych. Oczywiście częściej w teorii aniżeli w praktyce. Nie wszędzie bowiem docierało oko księcia. Gdy zaś docierało

— nie należało zawsze do księcia sprawiedliwego, dobrego i rozumnego, lecz do człowieka szarpanego uczuciami, podległego nastrojom, przesądnego, gniewnego lub tylko zarozumiałego. Nie zbywało też na wyrokach niesprawiedliwych i na okrucieństwie, nie zbywało nigdy na uciemiężeniu i ogołacaniu całych okolic, przez które książę ze swym dworem i wojskiem przejeżdżał.

Ciężar utrzymania księcia spoczywał bowiem na całym kraju, lecz nie rozkładał się po równi. Nie należy go utożsamiać — jak udowadnia Zygmunt Wojciechowski — z ,,ciężarami prawa książęcego'', gdyż dotyczą one okresu późniejszego, gdy książę wyraźnie zastrzegał sobie niektóre świadczenia, przekazując inne, przy pomocy immunitetu, Kościołowi lub rycerstwu. W państwie Bolesławów spotykamy przede wszystkim daniny stałe, znoszone przez ogół ludności do grodów kasztelańskich. Płacono je w bydle, w zbożu i w innych płodach naturalnych. W połowie XII wieku, zwłaszcza na Śląsku, spotykamy też daniny pieniężne. W pieniądzach, choć nie tylko w pieniądzach, płynęły dochody z myta, ceł, opłat targowych i kar sądowych. Obok danin, z których zwolnieni byli częściowo rycerze, jako zobowiązani do służby wojskowej, lecz z których nie byli zwolnieni ich chłopi, istniał cały szereg uciążliwych służebności, spadających na barki różnych grup ludności : ,,stróża'' w grodach, ,,powóz'', ,,podwoda'' i ,,przewód''. Te ostatnie polegały na obowiązku transportu ludzi i towarów na życzenie księcia, jak również zapewniały komunikację wewnątrz kraju. Do szczególnie uciążliwych służebności zaliczyć należy ,,stan'', który polegał na obowiązku utrzymania księcia, jego dworu i wojska ilekroć znalazł się w okolicy.

Książę zaś wędrował stale po kraju. Celem wędrówek było przede wszystkim osobiste załatwianie spraw ważnych dla tej lub innej okolicy i kontrola nad urzędnikami, zarządzającymi w jego imieniu poszczególnymi okręgami. Przybywając na miejsce książę sprawował sądy sam. Zapewne także względy gospodarcze odgrywały pewną rolę — łatwiej było utrzymać dwór na podstawie ,,stanu'' przenoszonego z miejsca na miejsce niż trzymając go zawsze w stolicy.

Pojęcie stolicy było zresztą płynne. Rzecz jasna, że jeśli wiązać je z miejscem pobytu księcia to wobec jego wędrówek w przeciągu długich nawet okresów o stolicy nie można by mówić wcale. Nie ulega jednak wątpliwości, że za stolicę lub za stolice, uznać należy gród lub grody, w których książę przebywał najchętniej lub gdzie pozostawiał rodzinę. Gród taki stawał się głównym ośrodkiem życia państwowego nawet wówczas, gdy księcia w nim chwilowo nie było. W przeciwnym razie należałoby za stolicę Polski w czasie wypraw Bolesławowych uznać w pewnym momencie Kijów lub Budę. Za Bolesława Krzywoustego stolice były dwie : Kraków, gdzie przebywał najczęściej, i który wyznaczył na siedzibę swym następcom ,,seniorom'', i Gniezno, gdzie przebywał metropolita, dru-

ga po nim w państwie osoba. Fakt pochowku Krzywoustego w Płocku świadczy tylko o tym, że chciał spoczywać koło ojca, Władysława Hermana, tak jak Chrobry spoczął w Poznaniu przy Mieszku I.

Główny ciężar danin spadał na włości pozostające w bezpośrednim posiadaniu księcia i zarządzane w jego imieniu przez tych samych kasztelanów po grodach, którzy byli jego urzędnikami prowincjonalnymi. Nie nastąpił jeszcze podział pojęciowy między ,,administracją terytorialną'' i ,,administracją dóbr''. Co nie należało do możnych, Kościoła lub rycerzy (zawsze zresztą z łaski księcia) należało wprost do niego.

Polska Piastów, pomimo pochwał gallowych, była krajem biednym. Jako państwo nie dysponowała też dużymi dochodami. Hojność Piastów wobec Kościoła i klasztorów była rozrzutnym rozdawnictwem ziemi, której zapasy były zda się nieprzebrane i podarkiem ,,na kredyt'' w postaci immunitetu gospodarczego. Uposażenie rycerstwa-wojów było nie tylko hojnością w wynagradzaniu zasług. Było przede wszystkim oszczędnością. Likwidacja drużyny, której już nie miał zapewne Śmiały, była koniecznością gospodarczą. Zjawisko to spotykamy zresztą nie tylko w Polsce.

Nie było w Polsce dochodów z handlu na miarę krajów zachodnich; tak ludność cała jak i państwo ucieleśnione w osobie księcia opierać się musiały na dochodach z renty ziemskiej po największej części pobieranej w naturaliach. Dlatego też wojna i łup wojenny były ważnym uzupełnieniem gospodarstwa książęcego. Łupem najcenniejszym byli ciągle niewolnicy, rzucani na uprawę pustkowi aby podnieść ilość płodów — jedynego bogactwa kraju.

Wystawność dworu księcia jest wymysłem chwalców lub chwilowym skutkiem nagromadzenia łupów lub darów. Obfitość jadła musiała zastępować bardziej rafinowane dowody zamożności książęcej. Przestrzegał także książę swych przywilejów łowieckich, co dostarczało mu i zabawy i żywności i futer. Liczyły się one do ,,regalii'', monopoli książęcych, których wyjątkowo tylko w drodze przywilejów pozbywał się najczęściej na rzecz Kościoła — jak czytamy w ,,bulli gnieźnieńskiej'' z roku 1136. Obok łowiectwa należały do ,,regalii'' : górnictwo, rybołóstwo, prawo targowe i prawo utrzymywania karczem.

Administracja państwowa połączona ściśle z zarządem dóbr książęcych, opierała się za Krzywoustego, tak samo jak za jego dziadów, o system grodowy. Za wcześnie w tej epoce mówić o ,,kasztelanach'', gdyż słowo to jest zapewne znacznie późniejsze. Z dokumentów łacińskich do potocznej mowy polskiej przeniesiono : *comes castellanus*. Urzędnika zwano ,,kmieciem grodowym'', choć równie często ,,panem'' w skrócie od ,,żupana'', słowa starego i zawsze oznaczającego przełożonego nad jakimś dobrem — nie koniecznie ziemskim, jak z późniejszej żupy solnej wynika. Pan, comes, kasztelan zarządzali szeregiem opoli. Ich organizacja jeszcze działała sprawnie, gdy

chodzi o powinności i odpowiedzialność zbiorową. Z podległośc
kasztelanowi nie były wyłączone dobra rycerskie położon
w opolach. Z rycerzy zresztą rekrutowali się kasztelanowi
Było ich, podobnie jak grodów, w różnych okolicach mniej lu
więcej, ku granicom więcej, co tłumaczyć należy ich czyn
nościami wojskowymi. Zastąpili już zdaje się zupełnie sąd
starszych opolnych i, rzecz ciekawa, i jakże różna od zachod
Europy — sądzili sami, bez ławy. Opole świadczyło prze
swych przedstawicieli; może niekiedy *iudex castri* pytał ic
o radę — wyrokował jednak sam, podobnie jak książę gdy
sądzie zasiadał.

Nim rozbicie dzielnicowe uczyniło urząd ten zbyteczny,
istnieli także — na pewno za Krzywoustego — wielkorządc
całych prowincji. Takim był, na przykład, znany nam com
Magnus, siedzący we Wrocławiu.

Urzędy centralne państwa były jednocześnie, a przez dług
czas przede wszystkim, urzędami nadwornymi. Wszystkie on
— a niektórych w XII wieku jeszcze w Polsce nie znamy -
są pochodzenia zachodniego, dostają się do nas najpewni
przez Czechy, a źródła mają w starej organizacji frankońskie
Karolingów. Jeśli były przed nimi urzędy pochodzenia słowia
skiego to w funkcjach i w nazwie złączyły się z nowymi. Każd
z nich jest „comes"-„kmieć", z dodatkiem określającym bliż
jego funkcje: stolnik, cześnik, komornik (*camerarius*), łowcz
notariusz późniejszy kanclerz. Ci byli duchownymi, choć n
tylko oni. Nad nimi był urzędnik naczelny, przełożony całeg
dworu i zastępca księcia w wojnie i w rządach. To *com*
palatinus — „kmieć pałacowy" także wojewodą od najba
dziej poczesnej swej funkcji nazwany.

Potęga wojewodów przerażała często możnych i rycer
a nierzadko i samego księcia. Sieciech nie jest jedynym i
przedstawicielem. Obok niego znamy Skarbimira i Piot
Włostowica, za uzurpację władzy ukaranego oślepieniem.
podobne ambicje wojewodę Krystyna ukarano śmiercią, Mar
— wygnaniem. Wiemy też o wojewodach Świętosławie i Mik
łaju, którym się nic złego nie przydarzyło. Zespół urzędnikó
dworskich rozszerzył się o takich jak skarbnik, koniuszy, ch
rąży, miecznik. Nie były to bynajmniej godności honorow
Nie umiemy rozróżnić kompetencji niektórych z nich. Miał t
książę swych sędziów nadwornych.

Sprawowanie urzędu było drogą do wzbogacenia się n
tylko przez nadziały ziemi, które były właściwym uposażenie
lecz przy pomocy zatrzymywania sobie części danin lub opł
Książę otaczał urzędników szczególną opieką, co wyraża
się w wyższej niż rycerska główszczyźnie za zabicie, i nawiąz
za rany.

„Wiece urzędnicze", na których książę zasięgał rady i w
dawał decyzje należą jako instytucja do czasów późniejszyc
Niewątpliwie jednak odbywały się od wypadku do wypadk

zwykłym rzeczy porządkiem, od najdawniejszych czasów. Głos miały tylko doradczy, lecz rady zapewne książęta, a nieraz nagany, słuchać musieli.

Sądy książęce i kasztelańskie, a także innych urzędników, nie tylko orzekały i wymierzały sprawiedliwość, lecz także worzyły prawo. Wyjątkiem były tylko te sprawy, w których naruszony był interes księcia, jak na przykład pogwałcenie egalii. Nie wiele spraw dostawało się jednak przed sądy. Większość załatwiano bez pomocy państwa, w oparciu o dobrowolny arbitraż lub w myśl okrutnych wymogów zemsty rodowej, która najdłużej, i chyba ona jedna, przetrwała z zamierzchłych czasów przedpaństwowych.

Sądownictwu państwowemu, książęcemu lub jego urzędnikom, podlegali jednak wszyscy mieszkańcy Polski, tak przypisańcy jak i biskupi. Jedynie nad niewolnikiem sąd sprawował właściciel. Tam, gdzie ludność rolnicza wymieszała się z niewolnymi, w dobrach rycerskich, zarysowywały się nieśmiałe początki sądownictwa patrymonialnego, może z dobrej woli przez zainteresowanych uznawane dla taniości i wygody, by nie iść do dalekiego grodu i narażać się na opłaty.

SIŁA WOJSKOWA

Głębokim i istotnym przemianom uległa na przestrzeni dwóch pierwszych wieków istnienia państwa polskiego zarówno organizacja siły zbrojnej jak i technika wojenna. Wiązała się ona jak najściślej z ewolucją urządzeń ustrojowych i z uwarstwieniem społecznym, będąc jednocześnie tej ewolucji przyczyną i skutkiem. Najwidoczniej też zaznaczyły się w tej dziedzinie wpływy obce upodabniając w niejednym wygląd wojska piastowskiego do wyglądu nieprzyjaciół, z którymi staczać musiało walki.

Pierwotna drużyna nie była jedynym wojskiem. Obok niej, od najdawniejszych czasów, istniało pospolite ruszenie, powoływane zwykle nie z całego kraju, lecz tylko z okolic położonych najbliżej zagrożonej granicy. Obejmowało ono pierwotnie całą ludność — w zasadzie tylko wolnych — choć zapewne także i w Polsce posługiwano się niewolnymi dla pewnych funkcyj pomocniczych z wojną związanych. Organizacja grodowa, zwłaszcza pograniczna na Śląsku i w zachodniej Wielkopolsce, a także nad Wisłą przeciw Rusi, dostarczała gotowych ram organizacyjnych dla pospolitego ruszenia, które spełniało rolę wojska służącego ku obronie, podczas gdy drużyna, będąc rdzeniem armii i wojskiem wyborowym w każdej okazji, spełniała główną rolę siły uderzeniowej w wojnach napastniczych. Stale przedsiębrane wyprawy na Pomorze były jej monopolem, o tym łatwiej wytłumaczyć iż z Pomorza właśnie, z rabunku bogatych osiedli nadmorskich zarówno książę jak i drużynnicy

czerpali znaczną część dochodów. Wyprawy na Ruś lub do Czech stanowiły podobną atrakcję.

Rozkład drużyny nastąpił w ciągu XI wieku. Za Krzywo ustego, rycerze skupieni w terytorialne związki taktyczne, za stąpili ją zupełnie. Roty przyboczne książąt lub wojewodów nie były drużyną, gdyż służący w nich rycerze nie pozostawa na stałym żołdzie. Mogli go otrzymywać, lecz posiadali także uposażenie w ziemi, na którą wracali po latach służby. Sam też musieli, tak jak i ogół rycerzy, starać się o swą broń, koni i odzież. Obok nich, w bezpośrednim otoczeniu wojskowym księcia, znaleźć można wielu cudzoziemskich awanturników zarówno z zachodu jak z Czech, Węgier i Rusi. I oni z kole przechodzili do warstwy szlacheckiej osiadłego rycerstwa.

Nastąpił znaczny postęp w dziedzinie uzbrojenia, któr choć upodabniało się do zachodniego, rzadko mu dorówny wało. Jeszcze za Krzywoustego Niemcy dziwili się, że napo tykają przeciwników, którzy do boju występują z samą tylk tarczą drewnianą i z oszczepem lub toporem, obnażając s przy tym do pasa, zwyczajem barbarzyńskich wojownikó (także i Germanów o czym ich niemieccy potomkowie już n pamiętali). Obrazy te jednak zaliczyć należy do wyjątkowyc i nie chodziło tu o rycerstwo, lecz o ludność chłopską z opol powołanej do obrony grodów lub przepraw. Siły zbrojne ciąg bowiem uzupełniano chłopstwem. Świadczy o tym obowiąze nałożony przez Krzywoustego na Pomorzan, aby dziesięc osiadłych wysyłało jednego zbrojnego na wojnę. W późnie szym okresie znana jest warstwa „włodyków" to jest drobneg rycerstwa, nie powiązanego w rody, nie mającego herbów i z wołań i za których zabicie należało płacić pół główszczyzn rycerskiej. Także i w mowie słowo „smerda", „smarda", pie wotnie określające chłopa słowiańskiego, zaczęło oznaczać l dzi zajmujących się wojną i posługą wojenną, nie zaś wojóv rycerzy.

Jazda, stale wypierająca piechotę — główną siłę państw pierwszego Mieszka — staje się rdzeniem i podstawą siły wo skowej. Dosiadanie zbrojno konia staje się synonimem powi ności rycerskiej. Nie znaczy to, by wszyscy biorący udzi w bitwie walczyli konno. Za najlepiej uzbrojonym rycerze stawali „w płot" jego pomocnicy, synowie i czeladź — ni którzy na koniach, inni pieszo. Czyniło to z wojska aparat ni ruchliwy, a każdą bitwę zamieniało w szereg chaotyczny potyczek, tak jakby kilkadziesiąt czy kilkaset zespołów bi się ze sobą, nie zwracając uwagi na sąsiadów. Sposób ten b recepcją z Zachodu, wiązał się z kanonami obyczajów ryce skich i z zachodnim uzbrojeniem. W Polsce zakorzeniał s powoli, głównie dzięki temu, że nie tylko z przeciwnikie wojującym modą zachodnią mieli Polacy do czynienia, le także z Połowcami, Rusinami, Prusami i Jaćwieżą. Stąd moż wnosić, że zwycięstwa Krzywoustego należy zawdzięczać n tylko jego talentom wodzowskim, lecz także stosunkowo m

łemu wpływowi taktyki zachodniej, nad którą przekładano szacunek dla ruchu, jako elementu walki. Polskie wyprawy wojenne, tak samo zresztą jak i ruskie, oznaczały się szybkością; przerzucanie wojsk o setki kilometrów nie było rzadkością — podczas gdy na Zachodzie było to niemożliwe.

Od czasów Chrobrego, lub wcześniej, łuk pozostawał bronią ulubioną i bardzo skuteczną, chociaż używano także kusz, nie mówiąc o procach. Uzbrojenie obejmowało poza tym oszczepy i dłuższe włócznie, coraz popularniejsze wśród ciężko zbrojnego rycerstwa zachodniego, topory i miecze, sprowadzane przeważnie z zagranicy i nie każdemu, z uwagi na koszt dostępne. Pancerze kolczugowe i z łuski, hełmy żelazne i szyszaki nie wyparły wcale kaftanów i czap skórzanych domowego wyrobu. Nie zbywało na koniach, wydaje się nawet, że były one w posiadaniu nie tylko księcia i możnych, lecz i prostego rycerstwa oraz chłopów. Wykopaliska z XI-go wieku świadczą nawet, że wschodni wynalazek strzemion był dobrze w Polsce znany.

KOŚCIÓŁ JAKO INSTYTUCJA PAŃSTWOWA

W Europie dopiero koniec wieku XI-go przyniósł odrodzenie zarówno duchowej roli Kościoła jak i jego zwartości organizacyjnej. Było to wynikiem energii papieża Grzegorza VII i jego reform ,,gregoriańskich'' oraz nowych idej przyświecających zgromadzeniom zakonnym, opartym o prądy idące z Cluny które przeciwstawiały się skostnieniu i zeświecczeniu starożytnego zakonu Benedyktów. O Polskę nowe prądy ledwo się otarły, mimo przymierza Bolesława Śmiałego z papiestwem i mimo podróży przedsiębranych przez legatów papieskich. Ich większe oddziaływanie przypaść miało dopiero na następny okres historii,idąc równolegle z osłabieniem politycznym państwa i w niemałej mierze nadrabiając złe skutki tego osłabienia.

Do czasów Krzywoustego, Kościół polski, czyli ,,cerkiew'' — gdyż tego słowa wyłącznie używano — był organem państwowym, zależnym całkowicie od woli księcia. Biskupów mianował książę i utrzymywał w zupełnej od siebie zależności, sądząc ich tak jak innych poddanych, czego najjaskrawszym przykładem jest sprawa św. Stanisława. Opór ich przeciwko władzy książęcej, ilekroć się uwydatniał, był zwykle wiernym odbiciem opozycji kiełkującej wśród możnowładztwa lub wynikiem kontaktów i wpływów cesarza i Niemców w ogóle. Biskupi Polacy byli bowiem zjawiskiem raczej wyjątkowym; zdecydowana ich większość to Niemcy, Lotaryńczycy, Flamandowie a nie brak i Francuzów. Chociaż przestawali już być biskupami misyjnymi o nieokreślonych diecezjach, nie stali jeszcze na czele silnej organizacji hierarchicznej i terytorialnej.

w bezpośrednim otoczeniu mieli oni zespoły księży, świeckic i zakonnych, z których wkrótce miały powstać kapituły. Natc miast poza ich siedzibami, kościołów i księży było niewielu Znajdujemy ich w niektórych grodach, niekiedy przy dworac możnowładczych. Spełniają raczej rolę kapelanów niż dusz pasterzy ludności — nie zawsze też mają władzę administro wania sakramentami, prawie nigdy nie mają prawa wygłasza nia kazań. Powstają dopiero pierwsze archidiakonaty, o czyn wiemy od Galla. Po nich pokazują się diakonaty, jako stał lub dorywczy podział diecezji, pokrywający po kilka lub kilka naście opoli. Parafie powstają ostatnie. Początkowo jest ic bardzo niewiele. Organizuje się je w oparciu o gród kaszte lański. Z tego też faktu wywodzi się nazwa „kościoła" n oznaczenie warownego budynku, poświęconego czci Bożej, nie kiedy wcale bez związku z „kasztelanią" lecz zawsze od sło wa „castellum".

Ważnym uzupełnieniem organizacji kościelnej były klasz tory, bardzo jeszcze w połowie wieku XII nieliczne. Próc kilku benedyktyńskich miały się wnet pokazać klasztory cys tersów. O nich dopiero powiedzieć będzie można, że spełnił rolę cywilizacyjną na większą skalę w szerokich warstwac społeczeństwa. Do czasów Krzywoustego klasztory nie rozw nęły prawie żadnego ruchu naukowego. Biblioteki zaopatrzon w kilka lub kilkanaście książek nie były źródłem wiedzy dl nikogo, poza szczupłą garstką wybranych. Nie wiemy nawe czy wzorem ludnych klasztorów zachodnich trudniono si w nich przepisywaniem manuskryptów. Wiemy natomiast, ż biskupi zakładali szkoły katedralne. Uczono też zapewne prz klasztorach. I w jednych i drugich przysposabiano do stan duchownego wybranych z miejscowej ludności, najczęściej młoc szych synów możnych rodzin, których w ten sposób usuwan od współdziedziczenia.

Wyglądem swoim kler, zarówno pochodzenia krajoweg jak napływowego, nie różnił nię od otoczenia świeckieg Opieka księcia wynosiła jego członków na piedestał społeczn — czego dowodzi sama nazwa „ksiądz". Nosili i używali bro ni, żenili się i mieli dzieci, które bardzo często przeznacza do stanu duchownego. Spotykano nawet biskupów żonatych ku zgorszeniu zresztą legatów papieskich. Celibatu, jednej z re form gregoriańskich, długo nie dało się zaprowadzić w Polsce kler krajowy bronił się tu uparcie i skutecznie, nawet wted gdy stał się on regułą i praktyką na zachodzie. Nie dotyczy t zakonników, których śluby czystości, posłuszeństwa i osobiste go ubóstwa odróżniały od kleru świeckiego.

Podstawą utrzymania kleru, kościołów i zakonów był dziesięcina. Do czasów Krzywoustego wypłacał ją książę jak jedną dziesiątą swoich dochodów z danin i wszelkich innyc źródeł, o czym czytamy wyraźnie jeszcze w bulli z roku 1136 Wiemy już jednak, że biskup krakowski Maur pobierał ją bez

pośrednio od ludności, oczywiście od tej tylko, która winna była księciu świadczyć daniny. Pobierano ją w zbożu i w pieniądzach. Biskupi otrzymywali też czasem nadaniem książęcym prawo wybierania dziesięcin z dochodów z regalii, czyli wspomnianych już monopoli książęcych, jak z opłat targowych, ceł, mennicy lub karczem.

Nadaniami specjalnie ważnymi, gdyż stanowiącymi rzeczywistą podstawę względnego bogactwa w biednym kraju były darowizny ziemi i niewolników, względnie półniewolnych. Nadawał najwięcej książę,obok niego jednak, zwłaszcza klasztorom, nadawali możni. Nadania samej ziemi nie byłyby właściwym darem: o ich wartości stanowiła jej dochodowość w postaci zagospodarowanych wsi. Książę przelewał dochody razem z prawem posiadania. Chociaż nagromadzenie dóbr ziemskich w ręku Kościoła nie osiągnęło swego szczytu za Krzywoustego, to jednak w jego ręku znajdowały się już wtedy całe kasztelanie. Nadania te nie były jednak związane z immunitetem sądowym, nie były też w każdym wypadku jednoznaczne z immunitetem gospodarczym. Księciu bowiem przysługiwało *ius spolii* — prawo dowolnego rozporządzenia całym majątkiem zmarłego biskupa. Z faktu, że w roku 1180 Statutem Łęczyckim Kościół wywalczył zniesienie tego prawa wnosić należy, że pierwsi Piastowie skwapliwie z niego korzystali.

Stosunki Piastów z papiestwem układały się przede wszystkim jako sojusze polityczne w walce z cesarzem. W sprawach duchowych zależność Kościoła polskiego od Rzymu szła nie obok lub ponad osobą księcia, lecz przez niego. Legaci papiescy, wśród których spotykamy wielkie imiona zachodnich dostojników Kościoła, występowali zawsze w porozumieniu z księciem, często jako jego pomocnicy we wspólnym dziele reformy lub usunięciem niedomagań. ,,Świętopietrze'' — denar św. Piotra — trybut lub raczej darowizna, ma początek niejasny, jedni łączą go z ,,Dagome iudex'', inni z ceną jaką Bolesław Śmiały zapłacił za koronę. Poza Polską ,,Świętopietrze''płaciła w Europie Anglia. W obu wypadkach symbolizowało ono szczególność stosunku. Szczupłość źródeł (w przeciwieństwie do Anglii) nie pozwala na szczegółową analizę jego charakteru. Wiemy jedynie, że początkowo płacił je sam książę, a od roku 1075 obowiązek ten przerzucony został wprost na ludność. Nie stanowiło ono jednak dużego procentu dochodów papieskich.

ZASIĘG CHRZEŚCIJAŃSTWA I KULTURY

Sąsiadująca z nami Ruś i o sto lat wcześniej nawrócone Czechy nie wyzbywały się przez całe wieki obyczaju pogańskiego. Świadczą o tym o wiele bogatsze niż w Polsce źródła. Analogia z nimi i skąpe przekazy, z późniejszych zresztą cza-

sów, wskazują, że w połowie XII wieku chrześcijaństwo jako świadoma postawa życiowa nie sięgnęła głębiej w społeczeństwo niż do możnych, części rycerstwa i ludności osiadłej w bezpośrednim sąsiedztwie katedr biskupich, klasztorów i kościołów-kaplic grodowych. Reszta ludności, jej olbrzymia większość, przyjęła zapewne zewnętrzne cechy nowej wiary, wplatając je niekiedy misternie w stare obyczaje i zobobony — trudno jednak mówić o niej jako o chrześcijanach, rozumiejących treść nauki chrześcijańskiej, przestrzegających przepisów kultowych i etycznych, czerpiących z wiary otuchę i nadzieję i gotowych jej bronić.

Przestało istnieć pogaństwo jako siła żywiołowa, tym bardziej zaś jako określony system wierzeń i zasad postępowania. Może nigdy zresztą takiej roli nie spełniało. Chrześcijaństwo przyjmowano jako rzeczywistość narzuconą wolą księcia, nad której treścią nie rozumowano, której przepisy traktowano jako nieznośne ograniczenia, niczym nieuzasadnione w prymitywnej umysłowości polskich chłopów. Dziesięcina, gdy ją książę zaczął przerzucać na ludność, była widomym przypomnieniem istnienia Kościoła, dla wielu jedyną z nim przez całe życie stycznością. A obok niej nakazy książęce, wymuszające szacunek dla duchownych, narzucające przestrzeganie postu, karzące za wielożeństwo, za praktykowanie starych guseł, ,,wieczorów pustych'' przy zmarłych, masek i korowodów przy lada okazji, jawnej rozwiązłości młodzieży, obiat i żalów.

Nie tylko mała liczba duchownych, lecz także po największej części ich nieznajomość krajowego języka, utrudniała pracę misyjną i katechizację. Nie było zresztą katechizmów, nie było sposobu nauczenia nowej wiary, poza tworzeniem parafii i bezpośrednim, cierpliwym wpływem parocha. Za Krzywoustego ten stopień organizacji kościelnej ledwo był znany. Być może, że większość ludności była ochrzczona przez wędrujących biskupów i księży, choć jeszcze na przełomie XII i XIV wieku zdarzali się w łukowskim i w lubelskim chłopi niechrzczeni. Innych sakramentów nie udzielano, chyba wyjątkowo. Przy śmierci zachowywano stary obrzęd, żony przepędzano według zwyczaju słowiańskiego, choć obawa kar ograniczała dzieciobójstwo i pozbywanie się starców.

Pewna obojętność w sprawach wiary i powierzchowność w myśleniu charakteryzowały już wtedy naszych praojców, skoro ,,dwuwiarowość'' nie wykształciła się w prawdziwy system filozoficzny i etyczny, jak to miało miejsce na Rusi, a później przy nawracaniu plemion litewskich. Polacy ustępowali powoli naporowi nauki chrześcijańskiej, przywiązywali się do niej na swój sposób : powierzchowny i odświętny.

W połowie XII-go wieku chrześcijaństwo zapuściło mocniejsze korzenie tylko w warstwie przodującej, wśród możnych i rycerstwa, ale i ta nie odznaczała się żarliwością, zastępując ją raczej hojnością w stosunku do Kościoła i jego sług. A były do czas ożywienia religijnego w Europie : pielgrzymek i wy

praw krzyżowych. Wiadomości o pielgrzymkach polskich do miejsc świętych na Zachodzie Europy są dość liczne, nic jednak nie wskazuje, by był to ruch masowy. Wyprawy krzyżowe nie odezwały się echem wśród rycerstwa i możnych, jeśli nie liczyć sporadycznych wypadków, jak udział w wyprawie syna Krzywoustego — Władysława Henryka. Tłumaczenie, że istniała konieczność nawracania pogan pod bokiem, na Pomorzu, w Prusach, wśród Jaćwieży, jest słuszne gdy chodzi o postępowanie książąt, nie towarzyszył mu jednak entuzjazm religijny, jaki by porównać można z entuzjazmem na Zachodzie. Nawrócenia Pomorza zachodniego przy poparciu Krzywoustego dokonali duchowni niemieccy. Prusów i Jaćwieży nie zdołano ani podbić ani nawrócić, co z kolei ułatwiło ich nawrócenie i wytępienie w jednym wypadku przez niemiecki zakon krzyżowy, a w drugim przez Ruś.

Niemniej wspólnota wiary z Europą zachodnią — formalna dla całej ludności a głębsza i prawdziwsza dla wyższych jej warstw — była już co najmniej podstawą wspólnoty kulturalnej. Wiązało się z nią naśladownictwo urządzeń i obyczajów i nieodzowny warunek wszelkiego postępu — ciekawość. Postęp ten był bardzo powolny; połowa XII wieku pozostawia Polskę w tyle za krajami Europy zachodniej. Wiek XII przygotowuje ją dobrze do pełnego zachłyśnięcia się kulturą w wieku następnym, w którym pomimo rozbicia politycznego Polska włączy się w rytm dziejów Europy, budując na fundamencie ,,zachodniości'' pierwsze zręby swej przyszłej, własnej kultury, bliskiej Zachodowi, choć nie tylko z niego czerpiącej pożywkę.

Paweł ZAREMBA

Podróż do Europy (I)

I. ANGLIA

19 *maja* 1958

Wylatuję z Nowego Jorku po południu, w deszczową pogodę. Przez okrągłe okienko widać tylko chmury, kłębiące się nad nami i pod nami. Kupiłem na lotnisku książkę, próbuję czytać, ale nie mogę. Myślę o Ameryce, w której mieszkam od czternastu lat, i w tej chwili jeszcze też, bo oderwałem się od niej tylko fizycznie, a oderwanie duchowe, wewnętrzne, nastąpi, jak to zawsze bywa, o wiele później. I też jak zawsze podczas dalekich podróży, niezależnie od tego, czy trwają długo czy, jak ta, krótko, bo z Nowego Jorku do Londynu leci się tylko dziesięć godzin, podsumowuję ubiegłe lata, usiłuję zrobić to, co sam dla siebie nazywam trochę za szumnie rachunkiem sumienia. Ale myśli skaczą i rwą się jak kawałki puszystej waty, podnieca mnie świadomość, że już za kilka godzin będę w Europie. Przypominam sobie przyjazd do Ameryki, i to i tamto, i częstą radość zaraz po przebudzeniu, że sen był z innego rozdziału i że przecież jestem naprawdę w Ameryce — radość, która minęła dopiero wtedy, kiedy Ameryka spowszedniała. Przypominam sobie ludzi, z których wielu już teraz nie ma, i mój świat coraz bardziej upodabnia się do letniska późną jesienią, kiedy już prawie wszyscy wyjechali, ponieważ skończył się sezon. Ale nie udaje mi się podsumować ogólnego bilansu tych lat, nie mogę zdecydować, co było dobre a co złe, przekreślam pozycje, znowu sobie mówię, że gdyby wtedy inaczej, to teraz... I zaraz potem, że najgorszym, najstraszniejszym ze wszystkiego jest to, że rok i tak upływa za rokiem, na co nie ma żadnej rady. Myśl jest jednocześnie kojąca, bo pozwala odłożyć sprawę rachunku na później.

Deszcz nad oceanem wciąż pada, wciąż też przynoszą coś do jedzenia. Najpierw obiad, później podwieczorek i kolację.

Mijają godziny, o północy jesteśmy już nad Anglią, ale północ jest teraz w New Yorku a tu piąta rano i w samolocie robi się szarawo. Trzeba przesunąć zegarek o pięć godzin naprzód. Stracone pięć godzin, czy zyskane, bo w Londynie będzie już dzień i prędzej wszystko zobaczę? Zależy od punktu widzenia, a ten głównie od wieku. W dzieciństwie najbardziej ze wszystkiego pociągały mnie i interesowały tunele. Czym dłuższy tunel tym większa radość, bo i niezwykle, i trochę groźnie, a teraz tunele mnie irytują, ponieważ odcinają od świata, i trudno rozmawiać z powodu hałasu, i trzeba zamykać okno w przedziale, bo dym. Tak samo z tymi pięcioma godzinami. Dawniej, bardzo dawno temu, byłoby pewnie zadowolenie, nawet duma, że się w takim bądź co bądź planetarnym zjawisku bierze udział, a teraz tylko żal że, niewykorzystane, zniknęły.

Wylatujemy z chmur i lecimy dosyć nisko nad pociętą na kwadraty, prostokąty i paski ciemnozieloną ziemią. Szare nitki łączą pola i grupy domów. Zapala się napis : *Fasten your belts*.

Lądujemy. Manchester. Skromne lotnisko, cichy bufet, mały, może na 50 osób, nie wytrzymuje porównania z ogromnymi jak sale balowe halami lotniska w Nowym Jorku, i tam drzwi, kiedy się do nich ktoś zbliżał, otwierały się same, automatycznie, a tu jeszcze nie ma takich sztuczek. Za oknami ryczą śmigła wielkiego samolotu linii Luft-Hansa. Za bardzo angielski Anglik w czapce i z fajką czyta w bufecie książkę. Leci ze mną z Nowego Jorku. Na nikogo nie patrzy, nic go nie obchodzi, ma żonę, ale z nią nie rozmawia, tylko od czasu do czasu mruczy coś pod nosem. Uważam, że trochę szarżuje.

Passengers to London will now... Mówi żywa osoba, nie ściana z ukrytym w niej głośnikiem. Jakoś przyjemniej.

Za chwilę z okna samolotu widać znowu ziemię, porżniętą na prostokątne pola, nie taką pustą i beznadziejną jak w Ameryce, gdzie ziemię uprawia się tylko w niektórych stanach, a w innych nie, ponieważ jest jej o wiele za dużo i rząd już od lat musi płacić farmerom premie, żeby za dużo nie zasiewali, bo to wywoła spadek cen na rolnicze produkty i ekonomiczny zamęt. Czym mniej kto zasieje, tym więcej mu rząd zapłaci, właściciele wielkich obszarów dostają co rok po kilkaset tysięcy. Takie są podstawy współczesnej ekonomii. Kiedy się temu dziwiłem, oświecił mnie pewien wybitny ekonomista, że nie tylko premie są całkowicie w porządku, ale gdyby na przykład rząd kazał wyrabiać miliony baloników i zaraz wszystkie przedziurawiał szpilką, to by też się zgadzało, ponieważ robotnicy dostaliby swoje pieniądze i puścili je w ruch, stwarzając popyt, a o to tylko chodzi.

Z góry wydaje się, że lecimy bardzo powoli, ledwo ledwo, a tymczasem samolot już ląduje. Londyn. I tu lotnisko, po amerykańskich, wydaje się ciche, budynki, jak dla liliputów. W małym domku sprawdzają paszporty. Manchester się nie liczył, Anglia jest dopiero tu. Paszporty ogląda bardzo młody pan. Jest poważny, niemal uroczysty, choć absolutnie w cywilu, nie ma nawet czapki z jakimś sznurkiem, ani żadnych innych sym-

bolów władzy. Każdego pasażera uprzejmie wita, na co w Ameryce nikt nie ma czasu. Przyjmuje interesantów oddzielnie, broń Boże żeby następny za bardzo się zbliżył, nie wolno. Dyskrecja. Niemal jak przy spowiedzi. Kiedy podczas wojny chodziło się do komisariatu policji po *identity card,* wpuszczali po jednej osobie, reszta czekała w kolejce na ulicy. Pamiętam, że był dzienny nalot, grzmiały bomby i artyleria przeciwlotnicza. Policjant pilnujący kolejki był świeżo wygolony, jego twarz nie miała żadnego, absolutnie żadnego wyrazu.

Spostrzegłem bokiem, że szarżujący Anglik ma istotnie brytyjski paszport. W autobusie linii lotniczej, który nas wiezie do miasta, czyta dalej swoją książkę. Patrzę przez okno. Pierwsze wrażenie: spokój i rytm. Samochody zatrzymują się przed czerwonym światłem równomiernie, bez zgrzytu hamulców i pisku opon, a później, ruszając, nie prześcigają się wzajemnie, choćby mogły, mają dosyć miejsca. Żaden Amerykanin nie przepuściłby takiej okazji.

Bardzo mało amerykańskich wozów, nie widzę ich prawie wcale. Tylko angielskie, czarne albo ciemne, jeżeli jaśniejsze, to w jednym kolorze, nie pstrokate. Brzydkie, jak dawniej, przedmieścia, domy z czerwonej cegły, też bardzo brzydkie, choć upiększeniami, z pretensją na wille, a nawet zamki. Inna ulica, nowy rząd takich samych czerwonych domków, stojących jak żołnierze. Nie, nie jak żołnierze, bo ci mają tylko jednakowe mundury i różnią się wyrazem twarzy, a te domki niczym. Nie znam tych przedmieści, nigdy tu chyba nie byłem, choć mieszkałem podczas wojny w Londynie pięć lat. Zaraz, zaraz... Ten narożny dom z figlarną wieżyczką. Tak, oczywiście. I od razu wyskakuje bolesne wspomnienie. Tu zaraz obok, na stacji kolei podziemnej, rzuciła się pod pociąg bardzo młoda, wesoła polska dziewczyna, maszynistka w jednym z polskich urzędów. Zawód miłosny. Byłem na jej przeraźliwie smutnym pogrzebie, odprowadzało ją na cmentarz tylko kilka osób, ktoś bezgłośnie płakał. Znaleziono przy niej najtańszy bilet, za dwa pensy, i list. Je biurowy szef mruczał, że przecież wojna, a ona w takiej chwili i co Anglicy o nas powiedzą.

Autobus zatrzymuje się przed stacją miejską, dalej nie idzie, trzeba wziąć taksówkę. Mam angielskie pieniądze, ale zupełnie zapomniałem co szyling, a co pens i funt, i jak się jeden ma do drugiego, i dlaczego pół korony. Wyciągam do tragarza garść monet, niech sobie wybierze. To samo robię później z taksówkarzem. Wiem że nie oszukają, bo takie oszukiwanie jest w Anglii absolutnie nieprzyjęte. Co innego szachrajstwa na wielką skalę. To owszem, to się uprawia, w gazetach są później portrety solidnych panów z taką miną, jakby musieli ukraść niejako wbrew własnej woli, jakby to była ciężka praca, która ich przyprawiła o wrzody żołądka. Tylko złodzieje małego kalibru wyglądają zwykle wesoło i beztrosko.

Jestem zmęczony, nie spałem wcale, bo nocy nie było. Położyć się w hotelu spać? Nie, szkoda czasu. Nie byłem w Euro

ie 14 lat, trzeba wykorzystać każdą chwilę. Dzwonię do jednego rzyjaciela, do drugiego. Dziwna rzecz, że po tylu latach poznaje ię od razu przez telefon głos.

1 maja

Zapisałem pierwsze spotkania, pierwsze rozmowy, wszystko o widziałem. Wieczorem porządkuję notatki. A więc: Londyn ardzo się zmienił od czasu wojny. Jest o wiele przyjemniejszy, adniejszy, mniej obcy niż wtedy. Dzielnica Chelsea przypomina eśli nie Paryż, to w każdym razie jakieś miłe miasto na kontyencie, pozbawione angielskiej sztywności. Polacy też się zmieili — ogólnie biorąc na lepsze. Kierownik polskiego hotelu vygląda i mówi jak kierownik hotelu, nie jak ktoś, kiepsko grający tę rolę i spoglądający co chwila w przeszłość. Kelnerki w olskich restauracjach także. W polskiej kawiarni widzę Anglika samolotu, tym razem bez fajki. Mówi oczywiście po polsku.

Mnóstwo przyjezdnych z Warszawy, z Krakowa, z Łodzi. Przychodzą do ,,Ogniska'', żaden się nie boi, że go tam z kimś obaczą. Rozmawiam z pierwszym, drugim, dziesiątym. Nic, ic nowego. Mam wrażenie, że już wszystko wiem, bo i gazety, tylu naocznych świadków. Są na ogół nastrojeni pesymistycznie. Będzie pewnie gorzej, w każdym razie w ciągu kilku najbliższych lat. Mimo to wracają, choć niektórzy mogliby zostać. Dlaczego? Trudno im wytłumaczyć, dlaczego, najczęściej mówią vzrokiem, mówią spojrzeniem, że to się rozumie samo przez ię, że tego nie trzeba tłumaczyć.

Starzy znajomi mówią trochę więcej. Jeden był komunistą,ługo, z przekonania. ,,Najważniejszym, jedynym ważnym zagadnieniem jest Niepodległość. Niepodległość z dużej litery. O niczym innym poważnie się nie mówi, rzadko myśli. Marksizm? Socjalizm? To są dla mnie minione etapy. Dla innych takich jak a? Nie wiem. Dla wielu tak. Inni jeszcze rozstawiają szeroko ogi, żeby ich nie uniósł ogólny prąd, bohatersko, ale żałośnie. Młodzież? Robotnicy? Zaraz po Październiku był entuzjazm, eraz jest zobojętnienie, apatia. Jest tylko jedno hasło, które nie bankrutowało: hasło Niepodległości''.

23 maja

Do znajomych przyjechał krewny, młody student z Warszawy. Idziemy wieczorem na tańce do jednego z polskich klubów. Młodzieniec z Warszawy jest poważny, dużo czytał, dużo wie, v tym co mówi o Polsce jest umiar i ścisłość. Spotyka w klubie vielu kolegów z Warszawy, jednego czy dwóch przypadkowo, nawet nie wiedział, że są w Londynie. Rozmawiam i z nimi. Ten am wysoki poziom ogólny. widać że dużo czytają, dużo się uczą. ten sam umiar i ścisłość — i prócz tego takt. Dawniej Polacy

nie odznaczali się tymi zaletami. Wszyscy wracają. Nie pocią
ich emigracyjny Londyn. Nic mu nie mają do zarzucenia, al
,,w Warszawie jest inne życie''.

Ciekawe, że żaden nie mówi o swoich osobistych przeży
ciach. Nie żyją przeszłością. Wśród emigrantów wciąż się jeszcz
spotyka takich, od których trzeba uciekać, których trzeba si
wystrzegać, bo gotowi są o każdej porze i w każdej chwili roz
winąć wstęgę wspomnień, sięgającą aż do wojennego Strattonu
aż do ucieczki z Warszawy w 1939 roku, aż do przedwojennyc
intryg w przedwojennych warszawskich urzędach. Wiek? Pewni
że wiek, ale to nie jest tylko kwestia wieku. A ci z Warszaw
nie. Jeden z nich wypytuje mnie o różne specjalne, związan
z jego studiami sprawy, dochodzimy do Hercena, do pewne
nowej o nim pracy, wydrukowanej niedawno w Londynie. Ską
się o niej dowiedział? ,,O, my wszystko czytamy, tłumaczy si
prywatnie na polski, albo ktoś czyta na głos z angielskiego tekst
wprost po polsku...''.

Naraz zrywa się i przeprasza. Chce tańczyć. Orkiestrę za
stępuje inny młodzieniec z Warszawy, gra z ogniem ,,boogie
woogi'', amerykańskie tańce bez melodii, które były modne dwa
trzy lata temu (mówię o Ameryce), a teraz już przeminęły. Mó
rozmówca zrzuca marynarkę, przemienia się w akrobatę, skacze
przegina, przerzuca przez głowę partnerkę. Jego koledzy te
emigracyjne pary ustępują im placu i ze zdziwieniem patrzą n
to co się dzieje. Nie trwa to zresztą długo, orkiestra wraca, p
sali suną bardziej stateczne pary. ,,Gdzie się pan tego nauczył?''
,,O, my mamy w Warszawie studenckie kluby, a muzykę bierz
się z radia, albo ktoś przywozi płyty. Dawniej takie tańce był
zabronione''.

25 *maja*

Polski Londyn, jak i podczas wojny, robi wrażenie małego
prowincjonalnego miasteczka, w którym wszyscy się znają i wszy
scy wszystko o sobie wiedzą. Ale są pewne różnice. Jest po pier
wsze bardzo dużo młodzieży, urodzonej albo w każdym razie wy
chowanej w Anglii, ale mówiącej po polsku bez żadnego obceg
akcentu. Widziałem w autobusach i na ulicach tę młodzież, sły
szałem, że mówi po polsku między sobą. W Ameryce chłopc
i dziewczyny w tym wieku mówią po polsku — jeśli w ogól
mówią — tylko ze starszymi, a między sobą wyłącznie p
angielsku.

Drugie spostrzeżenie: emigrantom ,,z cenzusem'' dobrz
się na ogół powodzi, o wiele lepiej niż tym, którzy pracują f
zycznie. W Ameryce jest na odwrót. Emigranci w Anglii maj
posady i zajęcia, wyjeżdżają na urlopy do Włoch albo do His
panii. Bardzo wielu ma samochody, choć są na ogół droższ
niż w Ameryce — zwłaszcza jeśli chodzi o wozy używane —
i benzyna też. Nie ciągnie ich już tak do Ameryki, jak przedtem

Politvka emigracyjna. Tu trzeba odróżniać emigracyjną ma-
ę od politycznych działaczy. Mam wrażenie, że między pierwszą
drugimi jest przepaść, wątpię czy jeden na stu emigrantów
nógłby powiedzieć, kto zasiada w Radzie Jedności, a kto gdzie
ndziej. Mało to kogo obchodzi. Do zasiadających nie ma wro-
iego stosunku, nie ma żadnego. Uderzył mnie też stosunek
nasy emigracyjnej do obecnego reżymu, czy może osobiście do
Gomułki. Pozwolę sobie zaryzykować twierdzenie, że Gomułka
na obecnie więcej sympatyków w emigracyjnym Londynie, niż
v Warszawie. Kraj przecenia i idealizuje emigrację, a emigracja
Gomułkę. Słówko o londyńskich ugrupowaniach politycznych,
kładających się zresztą prawie wyłącznie z wodzów bez żołnie-
zy. Jeśli panowie X. i Y. należą do tego samego ugrupowania,
o trzeba być z góry przygotowanym, że będą wieszali na sobie
sy w rozmowach w cztery oczy, ale nie jest wykluczone, że
baj wypowiedzą się przychylnie o Zecie, należącym do innego
grupowania.

Ignorancja w dziedzinie polityki i kultury angielskiej jest
masie emigracyjnej taka sama jak dawniej. Nie wiedzą kto,
dzie i dlaczego, zwykle nie chcą nawet wiedzieć.

8 *maja*

Z teatrami też jest tak jak podczas wojny: albo bardzo do-
rze, albo bardzo źle. Byłem w „Palladium", żeby zobaczyć, co
awi lud. Zła muzyka, złe skecze, źli wykonawcy. Byłem na
ewii, przeznaczonej dla intelektualistów wyższego polotu
„Expresso Bongo", czy coś w tym guście). Jeszcze gorzej,
wiele gorzej. Przykro patrzyć, bo ciężkie, niedowcipne, wymu-
zone i anty-muzykalne. I tak nudne, że aż w dołku boli. Do-
rego angielskiego teatru nie widziałem, czasu mi nie starczyło,
le z pewnością jest.

Widziałem natomiast polską rewię i polski teatr. Naprawdę
biektywnie stwierdzam, że to jest zupełnie inny poziom, o wiele
yższy.

Widziałem też jedno przedstawienie moskiewskiego Teatru
rtystycznego, który był w Londynie na gościnnych występach.
Kończyłem w Moskwie szkołę średnią, widziałem wtedy „Dia-
ię Wanię" chyba ze dwadzieścia razy, chodziło się wówczas
o teatru Stanisławskiego tak jak się chodzi na koncert, gdzie
rzecież też grają utwory, które się dobrze zna. Moskwin grał
Diadię Wanię", Kaczałow doktora, Suszkiewicz profesora,
Germanowa jego żonę. Wszyscy już umarli. Kobiet nie potrafio-
o zastąpić, aktorek najwyższej kategorii jest wszędzie mniej
iż aktorów, nie tylko w Rosji. Ale zastąpiono Moskwina, co
la każdego, który go kiedyś widział, jest nie do uwierzenia,
Kaczałowa, i Suszkiewicza. Dobrano ich tak dokładnie, że
ktor, który zastąpił Kaczałowa, ma nawet ten sam głos. Są to
aturalnie kopie, żywe kopie, inscenizacja też jest skopiowana,

ale jak wielkich trzeba talentów, żeby umieć tak skopiować! T
jest w dalszym ciągu teatr, którego z żadnym innym nie możn
porównać, teatr wspaniały, wzruszający, jedyny w swoim ro
dzaju.

II. FRANCJA

12 *czerwca*

Na lotnisku w Paryżu czekali na mnie znajomi, powiedzia łem im że mam ważne spotkanie i umówiłem się na następn dzień. Nie miałem żadnego spotkania. Chciałem być sam, sa zobaczyć Paryż po 18 latach, wczuć się w niego i z nikim n rozmawiać. Chciałem sprawdzić sny, bo w Ameryce Paryż cz sto mi się śnił, ale nie dawny Paryż, tylko zmieniony, niezrozu miały, niegościnny dla mnie i bardzo obcy.

Wiedziałem, że do pewnych ulic, do pewnych domów, lepi się nie zbliżać, bo nie warto, nie ma sensu, bowiem dawno ju wiadomo, że, jak napisałem w jednej książce, „przeszłość je latarnią, która się pali za naszymi plecami. Naprzód rzuca on tylko cienie".

Nie wytrzymałem, poszedłem i tam, ale dopiero późny wieczorem, kiedy się już zrobiło zupełnie ciemno. No i naturaln niepotrzebna ckliwość i rzewność, i spojrzenie na samego sieb z boku, ironiczne, nawet szydercze, żeby to rozczulenie zdławi i myśl, że tak się oto przechadza po tych samych trotuarac starszy bądź co bądź pan, w palcie z Nowego Jorku, obieżyświa nie mający odwagi spojrzyć w oczy dawnym prawdom przy dzien nym świetle.

Ale to było wieczorem, stamtąd pojechałem już do dom do mojego pokoju zaraz obok Pól Elizejskich, bo tak się złożył że tam mieszkam, choć pisałem do przyjaciół jeszcze z Ameryk żeby mi wynajęli pokój wszystko jedno gdzie, byle nie w t jedynej w Paryżu dzielnicy, której nie lubię.

W domu zanotowałem, co widziałem pierwszego dnia. Ot niektóre notatki:

Paryż robi złe wrażenie, jeśli się do niego wjeżdża od stron Porte d'Italie. Za dużo kramików na ulicach, chaos i bied i mnóstwo młodzieńców w amerykańskich koszulach w kwiat Jeszcze gorzej wyglądają Pola Elizejskie, może dlatego, że s mochody parkuje się tam teraz na trotuarach, i naturalnie jeźd po trotuarach, bo jakże inaczej parkować i później wyjechać Szoferem taksówki był Rosjanin. Zagadnienie matematyczne szeforami wielu paryskich taksówek zostali zaraz po rewoluc oficerowie carskiej armii. Mieli co najmniej po trzydzieści la często znacznie więcej, a rewolucja była przed 40 laty. Wi jakże? Ci sami, czy już następne pokolenie? Bo przecież R sjan — szoferów wciąż jest jeszcze dużo.

Bulwar St. Michel. Jedna kawiarnia, druga, trzecia. Pada leszcz, delikatnie, grzecznie, już Majakowski napisał, że tylko v Paryżu deszcz jest taki delikatny. Chcę pójść do „La Source", am się najczęściej siadywało i pisało, ale zrobili z niej coś w odzaju amerykańskiego baru, oszklili werandę, zepsuli do szczęu. Inne kawiarnie mało się zmieniły. Ale bulwar się zmienił, est inny, jakby nie ten sam, jakby go ktoś źle skopiował. Nie nogę początkowo uchwycić, na czym polega zmiana, udaje mi się to dopiero po dłuższej chwili. No tak, drzewa. Wyrosły w ciągu tych osiemnastu lat, wyciągają do siebie ręce przez ulicę, dawniej były niziutkie, skromne. Ulica wyładniała, ale jest nna. Drzewa mają swój urok, ale, kiedy przestaje padać deszcz, przesłaniają pewnie słońce i jest mniej wesoło. St. Michel przypomina cienistą aleję, jest zamknięty od góry, a dawniej pociągał swoją otwartością. To się musi odbijać na rozmowach, na nastroju, bo nie ma na świecie spraw i rzeczy, które istnieją same v sobie, nie wpływając na inne.

Werandy przepełnione. Studenci i studentki, jak gdyby młodsi i młodsze wiekiem, niż za moich czasów. Dużo Murzynów z francuskich kolonii i niepodległych afrykańskich krajów. Mówią świetnie po francusku, wielu ma europejskie rysy i tylko czarną skórę, o wiele czarniejszą, niż Murzyni w Ameryce. O żadnej dyskryminacji nie ma mowy, przeciwnie, ich stoliki obsadzają najładniejsze dziewczyny. Murzyni są weseli, młodzi Francuzi poważni. Ogromnie dużo poważnych, nawet namaszczonych, z dziwnymi brodami, ujmującymi twarz w ramy. „La Capoulade" est zamknięta. Przebudowują, ma tam być elegancki lokal. Znajduję stolik naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy. Mieszane towarzystwo, dużo niemieckich turystów. Szkoda, że dawnej „Capoulady" nigdy już nie będzie. Miała kiedyś szeroką werandę od strony ulicy Souflot, w lecie otwierano wielkie parasole, chroniące od słońca. Pewnego dnia studenci zmajstrowali stojący w przejściu parasol w taki sposób, że opadał za pociągnięciem sznurka, i chwytali do pułapki przechodzące panienki. Kelnerzy przypatrywali się zabawie, żadnemu nie przyszło do głowy protestować.

Do werandy zbliżył się w tym czasie żebrak-włóczęga, oberwany i pod gazem. Studenci zwabili go pod parasol i pociągnęli za sznurek. Żebrak przestraszył się, począł krzyczeć, a kiedy się wreszcie spod parasola wydostał, zaczął wymyślać studentom w okropny sposób, nie licząc się z wyrazami. Odszedł, znowu wrócił i wygrażał im pięścią. Sytuacja była przykra i wcale niezabawna. Z jednej strony żebrak, chudy, zbiedzony, z drugiej chmara młodych byczków, silnych, zdrowych, wesołych. Każdy mógł mu dowcipnie odpowiedzieć i miałby pewnie poparcie galerii. Każdy mógł rozłożyć go na ziemi jednym uderzeniem, gdyby doszło do rękoczynów, które żebrak zapowiadał. Ale wszyscy milczeli. Rozumieli, że to byłoby za łatwe i nie bardzo ładne zwycięstwo. Wreszcie główny sprawca, żeby rozładować atmosferę, zaprosił włóczęgę na kieliszek wina.

— Najpierw mnię przeproś! — krzyknął żebrak. — Z łobu zami nie piję!

Przeprosili go i żebrak się udobruchał. Ale zaproszenia ni przyjął. Odszedł dumnym krokiem i dopiero wtedy taras kawiar ni ożywił się i wrócił do normy.

Pomyślałem sobie wtedy, że wielki naród poznaje się po ta kich drobnostkach.

18 *czerwca*

Jestem w Paryżu już prawie tydzień i dopiero teraz wszystk w nim wraca na dawne miejsce, wszystko się ze sobą zgadza powstaje harmonia, zakłócona w pierwszych dniach moimi pre tensjami, że nie jest tak jak było i jego, Paryża, zemstą za to że nie obchodził mnie przez 18 lat. „Jak ty komu tak on tobie" mówiły mi ulice. „Wyjechałeś, a tu działy się tymczasem różn rzeczy i już nas teraz też nie obchodzisz. Dzieci, które się bawi w Ogrodzie Luksemburskim, nie było wtedy na świecie, rodzic ich jeszcze się nie znali, a ta przystojna pani w samochodzi miała może cztery albo pięć lat, był to jednym słowem zupełni kto inny".

Tak, racja. Już sobie to wszystko wyperswadowałem i po godziłem z Paryżem, już go oglądam od wewnątrz, a nie o zewnątrz, nie jak turysta. I już znowu, jak dawniej, wyczuwam dominującą cechę tego miasta, która polega na tym, że się tu pracuje tylko po to żeby żyć. Nie na odwrót, jak prawie wszę dzie na świecie.

I ludzie żyją, naprawdę żyją, nawet te dwie młodziutki Angielki w kącie kawiarni, które tyle miały sobie do opowiedze nia, i jedna wciąż się zrywała, żeby pobiec do telefonu. Mówił o jakiejś *party*, ciągle o tej samej *party*, która musiała być cie kawa, zwłaszcza w porównaniu z angielskimi, na których si pewnie wysilały na inteligencję, na artystyczne abstrakcje, po nieważ to jest przyjęte, usiłując jednocześnie wyciągnąć z wszystkiego praktyczne życiowe wnioski i zakatalogować, dl spokoju koniecznie zakatalogować każde zjawisko. Przy innym stoliku siedziało dwóch studentów, mieli w teczce artykuły i ry sunki, coraz to je wyciągali i omawiali. Czekali na kogoś, okazał się że na bardzo starego pana z żółtawym wąsem od tytoniu który przyniósł swój utwór i zaraz im go półgłosem odczytał z minami, gestykulacją i z wielkim zadowoleniem. Po czym do piero im go wręczył, ale jeszcze wciąż powtarzał ustępy swoje pracy z pamięci, i młodzieńczo się uśmiechał. Był to pewnie arty kuł szyderczo-satyryczny. Staruszek prawie że nie miał zębów widocznie mógł się bez nich obejść, fascynowały go inne zagad nienia. Studenci przygotowywali pewnie do druku jakieś pismo najprawdopodobniej pierwszy jego numer. Bardzo możliwe, ż pismo nigdy nie wyjdzie, albo że będzie kiepskie, ale rzecz ni w tym, tylko w tym, że ci trzej nim żyją, że to co robią sprawi

im przyjemność, że mogą dyskutować na tematy, które ich naprawdę interesują. W Ameryce nie ma kawiarni. Może dlatego, że gdyby były, ludzie nie mieliby w nich o czym rozmawiać.

Tak, ludzie tu żyją, choć trudno mi zrozumieć, jak sobie materialnie dają radę. Wszystko, z wyjątkiem taksówek i teatrów, jest straszliwie drogie, znacznie droższe, niż w Ameryce i ceny są zupełnie nieprzystosowane do zarobków. Najgorzej jest z mieszkaniami. Moi przedwojenni znajomi przenieśli się za miasto, do niektórych trzeba jechać metrem, potem autobusem, potem jeszcze iść pieszo kawał drogi, i wchodzi się wreszcie po schodach z zapachami do malutkich izb w gnijących ze starości kamienicach. Mieszkań w mieście nie można wynająć, można je tylko kupić, co kosztuje kilka albo kilkanaście milionów franków — i co rok jest gorzej.

19 *czerwca*

Paryski język bardzo się zmienił. Wyszło z obiegu wiele skrótów myślowych, zastąpiono je innymi, zwykle bardziej szorstkimi. Niektóre świadczą o psychologicznych zmianach w sposobie myślenia, w nastawieniu do życia. W latach przedwojennych — tych najcięższych, bezpośrednio przed wojną — istniało modne powiedzonko : *Faut pas chercher à comprendre*. Była w nim smutna ironia, wypowiadano je z westchnieniem, jakby ubolewając, że rozumowanie stało się uciążliwe i mało pomoże. Teraz już się nie ubolewa, mówi się niemal w trybie rozkazującym *Ne vous occupez pas*. Powiedzenie oznacza w argot to samo, obejmuje tę samą grupę zagadnień, ale wypowiada się je na wesoło i kategorycznie.

Zapytałem dzisiaj panią N., niemłodą już Francuzkę, lekarkę, raczej zamożną, dlaczego tak dużo pracuje. Dziesięć, piętnaście godzin na dobę. Odpowiedziała od razu, bez zastanowienia : Żeby nie myśleć. *Trop penser, c'est dangereux.*

20 *czerwca*

Potrzebne mi były stare numery jednego amerykańskiego pisma. Nie znalazłem ich w amerykańskiej bibliotece, więc dowiedziałem się gdzie mieszka jego paryski korespondent i poszedłem do niego.

Myślałem, że dostałem zły adres. Mały, brudnawy hotelik.

— Czy mieszka tu pan N.?

— Mieszka. Piąte piętro. Numer 26.

Windy nie ma. Wspinam się na górę po kręconych schodach, stukam do drzwi. Otwiera mi jegomość w spodniach, ale bez koszuli i opryskliwie pyta, czego chcę.

— Może wejdziemy najpierw do pokoju. Mam do pana interes.

— W pokoju nie ma miejsca. I strasznie gorąco, bo pod dachem. O co chodzi?

Legitymuję się i objaśniam. Wprowadza mnie do pokoju, który jest właściwie ćwiercią normalnego pokoju. Stoi w nim łóżko i krzesło. Pod łóżkiem leżą stosy pism. N. wyciąga numery, o które mi chodzi. Chcę za nie zapłacić.

— Daj pan spokój. Co mi przyjdzie z tych kilku franków? Już i tak wszystko stracone.

Pytam go, co się stało. Dlaczego mieszka w takim pokoju?

— Bo tani. Moja redakcja zlikwidowała stanowisko paryskiego korespondenta pół roku temu. Kazali mi wrócić do Ameryki. Ani myślę. Wzywał mnie już amerykański konsul, groził odebraniem paszportu. Ale ja się urodziłem w Chicago, nic mi nie może zrobić. Będę tu siedział do ostatniego dolara, a później się zobaczy. Może znajdę pracę, wszystko jedno jaką.

— O co chodziło konsulowi?

— O prestiż. Nie wypada, żeby Amerykanie klepali biedę. Ciągle kogoś wzywa, bo takich jak ja jest więcej.

— Ale w Ameryce miałby pan pracę.

— Miałbym. Ale z Paryża nie wyjadę.

22 czerwca

Polska emigracja ma się w Paryżu materialnie znacznie gorzej, niż w Londynie. Emigracyjną polityką interesuje się jeszcze mniej, choć są wyjątki. Tu właśnie natrafiłem na działacza, który, zanim się obejrzałem, począł sypać datami: „Deklaracja z dwunastego sierpnia", „Pismo Prezydenta z ósmego grudnia", „Oświadczenie Premiera z czwartego listopada". „Ciągłość prawno-państwowa, którą potwierdza nasza rezolucja z dziesiątego stycznia...".

Usiłowałem go uspokoić, wytłumaczyć mu, że te daty — które tu zapisałem na chybił-trafił, bo mnie mało interesowały — nie są tak znowuż epokowe i historyczne, jak mu się to wydaje. Ale zaraz spostrzegłem, że nic nie wskóram, że nawet nie należy odbierać mu iluzji, bo go to boli, bo mu wyciągam spod nóg jego zbawczą deskę ratunku. Pożegnałem się z nim w przerwie między dwiema datami i wskoczyłem do autobusu, gdzie mi się przypomniało opowiadanie Maupassanta pod tytułem „Maska": tragiczne opowiadanie o panu w podeszłym wieku, który chodził na bale w gumowej, młodzieńczej masce na twarzy, bo chciał tańczyć, nie mógł przestać tańczyć.

23 czerwca

Ze wszystkich sztuk, które widziałem w Paryżu, najbardziej podobała mi się sztuka Marceau „L'Oeuf". Jest ostra, ma wspaniały, telegraficzny styl, jakby była napisana znakami Morse'a

tylko kryminalny koniec do niej nie pasuje. I szkoda, że reżyser przepuścił świetny teatralny chwyt, który jest w wydaniu książkowym: natychmiast po zabójstwie niewiernej żony wbiegają pędem na scenę jednocześnie ze wszystkich stron sędziowie, obrońca i prokurator, i zaczyna się rozprawa.

Sztuka — podobnie jak inna, która nazywa się ,,Irma la Douce'' i jest znacznie gorsza — jest właściwie bezlitosną satyrą na ustrój, na obecny ustrój społeczny, czyli innymi słowy na ustrój kapitalistyczny. Byłem na niej ze starym przyjacielem, który różne już przechodził koleje. ,,Jak mocno w siodle musi się czuć ustrój społeczny, żeby sobie mógł pozwolić na taką sztukę'', powiedział mój przyjaciel. ,,Wyobraź sobie, że w Moskwie wystawiają sztukę, zwróconą przeciwko tamtemu ustrojowi i mającą choć dziesiątą część tego ładunku. Nie, tego sobie nawet nie można wyobrazić''.

29 czerwca

Jadę samochodem do Marsylii. Przyjechali po mnie przyjaciele-Francuzi, pytam ich, czym tłumaczą apatię, która ogarnęła ich kraj. Mówię im, że w Anglii interesowano się kryzysem francuskim o wiele bardziej niż we Francji, tu nikogo on wielce nie obchodzi.

Zgadzają się, że tak jest, nie umieją wytłumaczyć przyczyn tego zjawiska, ale nie widzą w nim nic złego. Opowiadają, że poprzedniego dnia słyszeli przez radio jakiegoś marsylskiego komika, który powiedział, że Francuzi różnią się zasadniczo od innych narodów. ,,Inne narody chcą mieć mocne i trwałe rządy. Cóż to za głupota! My dobrze wiemy, że czym silniejszy rząd, tym dla nas gorzej. Wolimy, żeby był słaby i dał nam spokój. Możemy się obejść w ogóle bez rządu. Niestety, rząd nie może się obejść bez nas''.

Zatrzymujemy się na obiad w małym miasteczku. Jest niedziela. Na ławkach pod kasztanami, naprzeciwko restauracji, siedzą młodzieńcy i panny w strojach do konnej jazdy, nadzwyczaj stylowych, dokładnie takich, jak na starych angielskich drzeworytach. Później zjawia się mistrz ceremonii, może właściciel stajni, a może tylko profesor jazdy konnej. Ten wygląda, jakby przyszedł wprost ze sceny, ma zaokrąglone ruchy i biały żabot na szyi, do tego bryczesy z wszytą skórą na pośladku i krótką szpicrutę. Powiada, że konie zaraz przyprowadzą. Nie siada, choć mu proponują, podkreślając lekkim podniesieniem palców, że mu nie wypada w obecności klientów, którzy są jednocześnie jego gośćmi. *Vieille France* w całej okazałości. Wszystko jak sto lat temu, i łatwo spostrzec, że dziewczyny i młodzieńcy doskonale się w swoich ubiorach czują i cieszą, że jest znowu — od niedawna — tak jak za dawnych lat i można sobie przyjemnie żyć. Nie wytrąci ich z tego błogiego stanu ani Malraux, ani Soustelle. (*A propos* Malraux: słyszałem kilka

jego telewizyjnych przemówień. Gdybym nie widział, że ten sam, myślałbym, że parodia. Puste frazesy i tani patos. Żadnych idei ani nawet myśli, z którymi można się zgodzić albo nie. A zdawać by się mogło, że jeżeli tak świetny pisarz... Pomniejsza go, unicestwia ta jego nowa, *niższa* ranga).

W Ameryce taką trasę odbywa się jednym tchem, we Francji nie. Nocujemy w prześlicznym starym miasteczku, które się nazywa Tournus. Miasteczko śpi. Chodzę po nim sam, moi przyjaciele nie chcieli ze mną pójść, powiedzieli że je znają, że nic nadzwyczajnego, że koło Marsylii jest dużo ładniejszych. Kiedy wracam, stukają do moich drzwi.

— No i co? W Ameryce nie ma takich miast?

— Nie ma. I u was tak ładnych jest niewiele. Avignon, Aix-en-Provence, jeszcze kilka. Na jednej wieży był napis, że broniono z niej miasta w trzynastym wieku przed najściem Węgrów. Skąd tu Węgrzy?

Nie wiedzą. Uczyli się w szkole, ale nie pamiętają. Ja pewnie też się uczyłem i również nie pamiętam. Przypominam sobie tylko, że w 1240 roku Dżyngiz Chan zawojował Polskę i Węgry; ta jedna data z jakiegoś niewiadomego powodu utkwiła mi w pamięci. Więc może później nie Węgrzy, tylko Mongoli, i ktoś zwalił na Węgrów?

Rano, przed wyjazdem, jemy śniadanie na terasie przed hotelem. Zajeżdża wspaniały Rolls Royce z angielskim numerem. Byłem niedawno na wystawie automobilowej w Nowym Jorku i wiem, że ten model kosztuje dwadzieścia tysięcy dolarów. Kierowca, którego zauważyłem już poprzedniego wieczoru, jest po pięćdziesiątce, ma rybie oczy i chytre usta. Usta są zawsze najbardziej charakterystyczne, o wiele bardziej, niż oczy. Ciągle się mówi, nie może być żeby to nie pozostawiało śladów. Jeśli ktoś na przykład stale kłamie, musi mieć odpowiednio wygimnastykowane wargi, inaczej będą się fałszywie zamykały i nikt mu nie uwierzy. Ten w Rolls Roysie umie z pewnością długo gadać o niczym, co jest niezbędne do robienia interesów na wielką skalę. Nie jest bowiem prawdą, że takie interesy załatwia się sucho i rzeczowo: tyle a tyle, i już. Nie, musi być z sosem, z Sartrem i „Czekaniem na Godota". Do finansisty wychodzą dwie średnio starsze panie, jedna pewnie siostra, bo podobna, druga chyba żona. Tak straszliwie brzydka, że z pewnością nigdy nie była ładna. Może się wżenił w poważniejszy interes, a oto skutki. Trudno, niczego na świecie nie dostaje się za darmo.

30 czerwca

Nie jest prawdą, że Francja jest zamerykanizowana — w złym znaczeniu tego słowa. Na szosach nie ma plakatów reklamowych, widzi się lasy, pola i rzeki, nie głupią gębę faceta szczęśliwego, że się ogolił takim nożykiem, a nie innym. Szpetnych „moteli" po drodze też nie ma. Ale są gdzieniegdzie prz

kre dla oka plamy. W Fontainebleau, ponieważ jest tam siedziba ,,Nato'', wybudowali pośrodku lasu sztywny drapacz chmur. Nie taki wysoki jak w Ameryce, ale drapacz. Widać go ze wszystkich stron, szpeci ten wielki i piękny las. W wielu barach są amerykańskie maszyny do wygrywania pieniędzy. Można wygrać pięć franków i przegrać tysiąc. W Ameryce takie maszyny są w wielu miastach zabronione, w inych należą do gangsterów. We Francji, jak mi mówili, przeważnie też.

5 lipca

Późnym wieczorem widziałem w Marsylii taką scenę: po pustej ulicy chodziła prostytutka, sto kroków w jedną stronę, chwila odpoczynku, sto kroków w drugą. Z okna na drugim piętrze wyjrzała siwa pani w okularach i zaproponowała, że jej zrzuci coś ciepłego na plecy, bo się zrobiło chłodno.

— *Mais non, maman,* — powiedziała prostytutka. — Wcale mi nie jest zimno.

Mama, nie bacząc na to, zrzuciła jej szeroki szal, który córka złapała w locie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Wacław SOLSKI

Koncert

Rok 1892-gi.

Kanadyjskie Toronto jest miastem, w którym „mówi się *tylko* po angielsku" — w szkockim, walijskim lub irlandz-kim tego języka wydaniu.

Przy kominkach, w zborach i kościołach, w tawernach i na ringach walk kogucich lub pięściarskich; przy angielskiej herba-cie, portugalskim porto i kanadyjskim piwie — pasjonuje się niezwykle ważnym dla siebie zagadnieniem: czy tramwaje mają jeździć w *niedzielę*! Czy będzie to pogwałcenie świę-tego *sabatu* — czy też tylko udogodnieniem życia, nic z re-ligią nie mającym wspólnego??? Rewolucyjny ten pomysł, dys-kutowany właśnie przez radnych miasta, gorąco popierany prze-jednych a zaciekle zwalczany przez drugich, wypełnia łamy „lis-tów do redakcji" miejscowych pism. W sąsiednim Hamiltonie tramwaje wożą już ludzi w niedzielę. Wprawdzie do kościołów tylko — ale wożą...

Toronto jednak wzdryga się przed tym radykalnym krokiem naprzód. Jest przecież „miastem Bożym", pełnym kościołów pastorów, lojalistów i purytanów.

Zapatrzone w swoje wewnętrzne problemy, mało przywią-zuje wagi do spraw międzynarodowych. Niewiele czasu i uwag poświęca wiadomościom o narastającym konflikcie anglo-fran-cusko-egipskim, wywołanym próbą narzucenia temu ostatniemu — siłą, jeżeli nie da się inaczej — międzynarodowej kontroli sa-nitarnej, celem powstrzymania rozchodzącej się znad Nilu cho-lery i innych plag, przez Mojżesza, jak wiadomo, tam wprowa-dzonych.

O Polsce dowiaduje się w sposób całkiem nieoczekiwany Z ostatniej strony poczytnego tygodnika „Saturday Night" gdzie sprawozdawca mody pisze: „Każda Polka nosi w tym roku żałobę, by uczcić setną rocznicę utraty niepodległości. Su

kiennicy i modniarki, sprowadzający do Polski towary z Wiednia, tego Paryża wschodniej Europy, umówili się z kupcami, że to co nie zostało sprzedane w zeszłym roku, w tym roku zostanie wymienione na czarne materiały... My, których znajomość z Polakami ogranicza się do podziwiania Modjeskiej (Modrzejewskiej) i Paderewskiego, oraz do wielkiej niechęci (*strong dislike*) do polskich robociarzy (!!!), z trudem możemy sympatyzować z tymi interesującymi i wiernymi ludźmi w ich narodowej żałobie...".

Życie muzyczne miasta koncentruje się w starym i drewnianym *draughty firetrap* (jak go nazywa prasa) pawilonie muzycznym (1). Stanowi on centrum intelektualnego i snobistycznego życia, przyciągając liczne rzesze mieszkańców — mających wówczas więcej czasu i ochoty na oglądanie imprez nie koniecznie związanych z pogonią za dolarem. Firmą trudniącą się (obok sprzedaży pianin i publikacji nut) organizacją koncertów, jest spółka „Suckling & Sons" (2).

W owych konserwatywnych, naftą oświeconych, bogobojnych czasach, imprez artystycznych nie ściągnięto jeszcze do wulgarnego poziomu trykotowej bielizny, gorsetów i proszków na kaszel, czyli nie reklamowano ich przy pomocy ogłoszeń prasowych. Były inne, bardziej kulturalne i snobistyczne sposoby. O tym więc, że firma „Suckling & Sons" sprowadza, na jeden tylko występ, sławnego już ze swoich koncertów w Europie a ostatnio w Stanach Zjednoczonych, pianistę Ignacego Jana Paderewskiego — Toronto dowiedziało się z końcem stycznia 1892 roku za pośrednictwem sprawozdawców muzycznych pism codziennych i tygodników.

Koncertom Paderewskiego w Stanach patronowała (po dzisiejszemu mówiąc: sponsorowała je) znana wytwórnia pianin „Steinway & Sons". Zależało jej tylko na reklamie. Wzamian za to, że Paderewski grał wyłącznie na pianinach jej wyrobu, co w recenzjach i na programach wyraźnie było zaznaczone, firma odstąpiła mu wszystkie dochody z koncertów. Z kolei manażer Paderewskiego, Charles F. Tretbar, zorganizowanie koncertów w różnych miastach amerykańskich odstąpił miejscowym agentom, za z góry ustaloną cenę. Tak też było z koncertem torontońskim, którego organizację odkupili Sucklingowie.

Paderewski w swoich pamiętnikach (3) ani słowem nie wspomina o pierwszym pobycie w Toronto, czy w ogóle w Kana-

(1) „Pavilion Music Hall", wzniesiony w 1880 roku, w typowym na owe czasy pretensjonalnym stylu. Żadna z publicznych budowli nie była tak opłakiwana przez torontończyków jak właśnie ów pawilon, gdy spłonął w 1902 r.

(2) „Messrs Suckling I. & Sons (Isaac & George H.), Music Publishers, Pianos and Organs". Firma założona została w roku 1875. Dzisiaj już nie egzystuje. Jej „dom muzyczny" mieścił się przy ulicy Yonge, pod Nr. 107.

(3) „The Paderewski Memoirs", New York, 1936.

dzie. W różnych jego biografiach również głucho na ten temat. Warto więc może przypomnieć jak to się odbyło (4).

◆

25-go stycznia 1892 roku, sprawozdawca muzyczny poczyt-nego dziennika torontońskiego „The Globe", w swojej codzien-nej rubryce zatytułowanej : „Music and the Drama", tak roz-poczyna kampanię reklamową koncertu Paderewskiego :

„Paderewski pochodzi z rosyjskiej Polski. 6 listopada ub. r. ukończył dopiero 31 lat. Jest blondynem i ma wspaniale zwi-chrzone włosy, co stwarza bardzo malowniczy efekt. Jest wdow-cem. Ożenił się mając 19 lat i ma syna. Świat muzyczny Lon-dynu, Paryża i Wiednia leżał u jego stóp. Od przyjazdu do Ame-ryki (z końcem 1891) nie tylko potwierdził wszystko to co było o nim napisane lub mówione jako o artyście, ale koncertami w New Yorku (5), Bostonie i Chicago swoją wielką sławę zarów-no udostępnił jak jeszcze bardziej podkreślił. Miłośnicy muzyki w Toronto wspaniale go przywitają, co niewątpliwie udowodni przedsprzedaż biletów na koncert, otwarta dla publiczności w domu muzycznym Messrs Suckling & Sons... Koncert Paderew-skiego odbędzie się w piątek, dnia 12 lutego, w Pawilonie Mu-zycznym. Zamawiający bilety wcześniej będą mieli wybór miejsc według kolejności podpisów na liście i przed tymi, którzy tego nie uczynią".

Tygodnik „Saturday Night" poczyna sobie jeszcze spraw-niej. Biorąc zapewne pod uwagę wielkie powodzenie jakim Pa-derewski cieszył się wśród płci pięknej (o czym dalej), w nu-merze z dn. 30 stycznia reprodukuje na pierwszej stronicy wiel-ką podobiznę Mistrza, z podpisem „Ignace Jan Paderewski, the Celebrated Pianist". Wewnątrz numeru, sprawozdawca mu-zyczny pisma podaje również krótki życiorys Paderewskiego roz-szerzony jeszcze danymi o jego studiach muzycznych i zakończo-ny nadzieją, „że na koncercie Mistrz zagra swojego sławnego Menueta".

1-go lutego „The Globe" ponownie przypomina czytelni-kom, by zawczasu zamawiali bilety na koncert, bowiem „Toron-to będzie miało tylko jedną okazję usłyszenia wielkiego, p o l-s k i e g o pianisty. I. Van Paderewski" (6), po czym dla przy-

---

(4) Opieram się głównie na kronikach muzycznych pism „The Globe", „The The Toronto Mail" i „Saturday Night". Archiwum firmy „Suckling & Sons" nie zdołałem niestety odszukać.

(5) Pierwszy koncert Paderewskiego w New Yorku odbył się 17 listo-pada 1891, w „Carnegie Hall".

(6) Jest to jedyny wypadek gdy nazwisko Paderewskiego podane zos-tało w prasie torontońskiej w tej formie. We wszystkich innych recenzjach sprawozdawcy piszą nadzwyczaj poprawnie „Ignace Jan Paderewski", bez żadnych „von" lub „de".

nęty podaje, że „na koncerty Paderewskiego w Stanach Zjednoczonych uczęszczało zawsze 2 do 3 tysięcy widzów, a tacy pośród naszych obywateli jak Mr. Henry Bourlein, Mr. D.E. Cameron i inni, którzy pianistę słyszeli w New Yorku, nie mogą wystarczająco zachwycić się jego grą i gorąco polecają wszystkim torontońskim miłośnikom muzyki, by nie opuścili okazji usłyszenia Mistrza''.

3-go lutego z kolei notatka personalna: „Mówią, że Paderewski zwykle ćwiczy od 10 wieczorem do 3 rano, po czym śpi do południa, oraz że przed koncertem zawsze trzyma dłonie przez pewien czas w gorącej wodzie... Prasa amerykańska pełna jest pochwał dla tego wspaniałego artysty. Od lat nie było takiego entuzjazmu w świecie muzycznym wokół jednego człowieka. Jedyna więc okazja... (itd., itd., itd.)''.

5-go lutego przypomnienie, że bilety zamawiać można od 10 rano i że firma Sucklingów obiecuje, że koncert Paderewskiego będzie najelegantszą imprezą sezonu.

8-go lutego „The Toronto Mail'' z kolei podaje podobiznę artysty (rysunek piórkiem) a „The Globe'' nadal reklamuje: „Bostońska agencja prasowa stwierdza, że Paderewski podczas swojej ostaniej bytności w tym mieście otrzymał najbardziej porywające oklaski jakie może zdobyć wirtuoz. Nawet jego wykonanie sonaty Beethovena opus 57 „Appassionata'', najmniej może wartościowe z całego wspaniałego i magnetycznego programu, miało takie powodzenie jak rzadko kiedy zdarza się odtwórcom tego arcydzieła''. Jest to pierwsza wzmianka o krytycznym nastawieniu konserwatywnych i purytańskich Anglosasów do Paderewskiego interpretacji Beethovena. Po koncercie, Toronto również dorzuci do niej swoje trzy muzyczne grosze.

10-go lutego nadzieja, że „pawilon torotoński będzie w piątek napchany po same drzwi najbardziej muzykalnymi torontończykami'', przypomnienie że „publiczność proszona jest o zajęcie miejsc punktualnie o godzinie 8-mej wieczorem'', ostrzeżenie, że „na koncercie, podczas wykonywania poszczególnych utworów, wstęp do pawilonu będzie zamknięty'', zawiadomienie, że „dla wygody publiczności do pawilonu kursować będą specjalne tramwaje'' (Jest przecież piątek — więc niczego nie pogwałcą!) i wreszcie na osobistą nutę, że „Paderewski odpływa do Europy 22-go lutego i tęskni za swoim krajem''.

W tymże numerze „The Globe'' znajdujemy również ciekawą wiadomość z Montrealu, będącą dalszym przyczynkiem do pierwszego pobytu Paderewskiego w Kanadzie: „Paderewski stanął dzisiaj (tj. w środę 10 lutego) po raz pierwszy przed wyborową publicznością montrealską. Windsor Hall, mogący pomieścić tylko 1500 osób, wypełniony był do ostatniego miejsca i ci, którzy nie zamówili biletów co najmniej na tydzień przed koncertem, nie dostali się już na salę... Ludzie, którzy słyszeli różnych muzyków grających w Montrealu od czasu Rubinstei-

na (7), jak Von Bulow'a (8), Aus der Ohe, Koutsky'ego i Grue felda twierdzą, że żaden z nich nie dorównał Paderewskiem Program montrealski był krótki i koncert zakończył się o g dzinie 10'15 wieczorem".

A w dzień później „The Toronto Mail" dorzuca inny szcz gół z montrealskiego koncertu : „Paderewski wywołał prawdzi entuzjazm. Matka Przełożona Szarytek oczekiwała na niego koncercie i ofiarowała 500 dolarów by zechciał przez godzi grać w klasztorze. Paderewski jednak odmówił".

Warto zwrócić uwagę na tę ostatnią wiadomość. Pac rewski w pamiętniku bardzo się uskarża na finansową stro swoich pierwszych koncertów w Ameryce. Odstąpienie ich org nizacji miejscowym agentom spowodowało, że gdy dochody sprzedaży biletów sięgały 3 tysięcy dolarów za koncert, Pac rewski otrzymywał z tego zaledwie 200 do 300 dolarów. N dziwnego więc, że był zły i winą obarczał swojego główne manażera amerykańskiego. W tej sytuacji suma 500 dolar musiała być dla artysty bardzo ponętna i jeżeli Matce Prze żonej odmówił to zapewne z powodu przemęczenia lub bra czasu, bowiem już w dwa dni później miał koncertować w T ronto.

Paderewski nadawał się wyśmienicie do karykatury. Og damy go więc w „The Globe", chudego jak zapałka z fant tycznie olbrzymią, sterczącą na wszystkie strony czupryną (w dług rysunku z „Grip") i podpisem „Fantasia on well-know air" (co na język polski nie sposób przetłumaczyć). Korzyst tego również „Saturday Night" w ilustrowanym dowcipie, którym Mistrz z rozwianą grzywą siedzi przy fortepianie, a s chająca go z loży elegancka para komentuje :

„Mrs. Musicmad — Doktorze, dlaczego wszyscy wielcy p niści mają takie długie zwichrzone włosy ?

Profesor Savage (po namyśle) — Sądzę, że w tym celu nimi odpędzać muchy podczas gry".

Można tylko stwierdzić, że anglosaski zmysł humoru wiele się zmienił od owych czasów...

W sam dzień koncertu „The Globe" zawiadomiwszy c telników, że poprzedniego wieczora Mistrz opuścił Montreal drodze do Toronto, podaje wiadomość (celowo zapewne na ost nią chwilę zachowaną) najważniejszą chyba dla wiernych i loj nych koronie torontończyków. „Paderewski (pisze) grał na s cjalne życzenie przed Królową (Wiktorią) na zamku winds skim. Królowa była pod wielkim wrażeniem i ofiarowała pia ście wartościowy prezent mówiąc : gra pan jak anioł!" Sp

(7) Rubinstein Antoni (1829-94), sławny pianista i kompozytor rosyj Współcześni uważali go za drugiego pianistę po Liszcie. Paderewski p o nim : „największy artysta tych czasów".

(8) Von Bulow, Hans Guido (1830-94), znany pianista i dyrygent miecki. Mąż Cosimy, córki Liszta, która po 12 latach małżeństwa rzu go dla Wagnera.

ozdawca donosi również (tym razem nie snobom, lecz prawziwym miłośnikom muzyki), że ,,Paderewski będzie tematem wóch artykułów w marcowym zeszycie ,,Century'', oraz poeiatu napisanego przez Mr. Gilder. W tymże numerze na stroie tytułowej znajdzie się portret artysty wykonany przez Johnona oraz szkic przez Irvin Wiles. Z artykułów jeden jest kryczenym studium muzyki Paderewskiego, napisanym przez znaego amerykańskiego muzyka Williama Mason, drugi zaś szkiem biograficznym, którego autorce, Miss Fanny Morris Smith, aderewski — jak sam przyznaje, dał więcej materiału niż koiukolwiek przedtem. Korzystała ona również z rad Madame Iodjeska, artystki, która jest przyjaciółką Paderewskiego jeszze z jego lat chłopięcych (9)''.

Jak widać, reklama torotońskiego koncertu Paderewskiego rowadzona była, nawet z dzisiejszego punktu widzenia, zupełie fachowo. Była również konieczna. Paderewski nie był jeszcze Ameryce tak znany jak w Europie. A i publiczność amerykańka była inną niż europejska. Trzeba ją było o nim dokładnie oinformować, do niego przekonać. Nie darmo też sprawozdawa ,,The Toronto Mail'' podkreślał, że ,,nawet sam Rubinstein ie był tak dobrze reklamowany jak Paderewski i niewątpliwie rzedsiębiorczym metodom swoich manażerów zawdzięcza on ak wspaniałą publiczność jaka witała go w głównych miastach tanów Zjednoczonych''.



12 luty, 1892 r. Piątek. Godzina wieczorna. Złota mgiełka okół gazowych lamp. Dzwonki tramwajów, trzask batów, stuk opyt. Prasa nie zajmuje się jeszcze pogodą — nie wiemy więc zy leży śnieg lub chlupce błoto. Sala koncertowa w pawilonie iuzycznym zapełnia się powoli. Zbyt powoli. ,,Spóźnianie się iapisze nazajutrz recenzent), tak charakterystyczne dla eleganciej publiczności Toronta, dało się poznać w całej swojej odrazie a koncercie Paderewskiego. Opóźniło jego rozpoczęcie o pół odziny, nie warto bowiem było rozpoczynać przy pustych ławach wiedząc, że 1500 ludzi kupiło już (w przedsprzedaży) bilety niebawem się zjawią...''.

Specjalne tramwaje i powozy (czy może sanki, jeżeli był iieg) poczęły jednak w końcu wyrzucać przed pretensjonalnym awilonem miłośników muzyki i eleganckich snobów. Sala poęła nabierać życia i kolorów. Zwracają uwagę oczywiście koety. Można już podziwiać teatralne czepeczki, przetykane ,,karuszonami'' i przytrzymywane białymi, satynowymi wstążeczami, zawiązanymi pod brodą. Można też zachwycać się fryzu-

(9) Był to marcowy (1892) numer amerykańskiego miesięcznika ,,Century lagazine''. Poeta Gilder, przyjaciel Paderewskiego, poemat swój zatytuwał ,,How Paderewski plays''. Dr William Mason był najwybitniejszym ówczas pedagogiem muzycznym w Stanach Zjednoczonych.

rami. Ta w modny ,,węzeł Psyche'' (włosy ściągnięte na sk
niach, upięte nad czołem i loczkami spadające we wszystkie st
ny, do czego konieczne były sztuczne dodatki), tamta na ,,ko
nialno'' (z rozdziałkiem przecinającym głowę od czoła po k
czek), à la ,,Mother Shipton'', à la starożytna Grecja. Żabo
sziffony, mousseline de soir, crèpe de chine i miękkie jedwab
Aksamitne maki, fijołki, gardenie a szczególnie dahilie, wyp
rające właśnie modne dotychczas chryzantemy. Diamenty, st
sie pióra, perły i wieczorowe rękawiczki, zapinane na 24 guzi
No i futra! Najmodniejsze są czarne, perskie baranki, szczeg
nie twarzowe dla starszych pań, które futra długowłose pozos
wiają dla tych o świeższych cerach i figurach. Ale i młode o m
marzą, szczególnie zaś o ,,tudor cape'', bardzo długich i bar
drogich. Nie wszystkie jednak miłośniczki muzyki czy elegar
stać na całe futro. Obywają się więc jak mogą futrzanymi ,,bo
z minków, soboli, skunksów lub perskich baranków, przemyśl
ozdobionych wąsatymi pyszczkami i figlarnie świecących szkl
nymi oczkami.

A panowie ??? Wiadomo. Fraki na froncie a czarne gar
tury i wysokie po uszy, sztywne kołnierzyki na tyłach sali.
kobrody i łyse czaszki lub gładko ulizane fryzury z przedz
kiem po środku. Białe rękawiczki, białe getry, złote łańcu
i breloki przy zegarkach, pierścienie, spinki i ,,pince-nez''
szerokiej, czarnej wstążce.

Czy są Polacy? W pierwszym rzędzie widać już siwą c
prynę niegdyś powstańca listopadowego a obecnie honorowe
adiutanta królowej Wiktorii, Sir Kazimierza Gzowskiego. J
na pewno (jeżeli koncertu dożył) Henryk F. Chałupka, b
,,band-master'' pułku ,,Queen's Own'' i nauczyciel muzyki o
jego kolega po fachu William Labitzky (?). Są może (równi
jeżeli jeszcze żyją) doktór Jakub Zieliński, krawiec Ludwik W
kowski (66 Adelaide Str. East) i rzeźnik Jakub Bosanko.
pewno przyjechała Róża Guzowska (zawsze pisała się ,,z Polsk
studiująca w Guelph na rządowym ,,Ontario Agricultural C
lege''. Właśnie (jak w styczniu tego roku podały gazety), z
była na pierwszym roku zaszczytną 5-tą lokatę i była praw
podobnie pierwszą polską studentką w Kanadzie... Czy byli i
— nie wiemy. Sprawozdawcy nie zanotowali, lista przedpłat
bilety nie zachowała się. Na pewno jednak byli, przyciągn
sławą pianisty podkreślającego zawsze i wszędzie swoje pols
pochodzenie.

◆

Ci, którzy zawczasu nie kupili biletów, zawiedzeni ode
od kasy. Entuzjazm był — jak przewidzieli sprawozdawcy
olbrzymi. W sobotnich (13 lutego) wydaniach lokalnych p
ukazały się już pełne recenzje.

Pod tytułem: ,,Triumf Paderewskiego — Wspaniały k
cert w Pawilonie'' sprawozdawca muzyczny ,,The Globe''

ał: ,,Publiczność, która po brzegi wypełniła Pawilon, aby po-
itać znakomitego pianistę polskiego, Ignacego Paderewskiego, okazji jego pierwszej bytności w Toronto, składała się z elity orontońskiej oraz wielkiej ilości entuzjastów muzyki, przybyłych okolicznych miast i miasteczek. Śmiało rzec można, że żadna kazja o podobnym charakterze, od czasów chyba wizyty Ruinsteina, 18 lat temu, nie wywołała tak wielkiego zainteresowaia i nie pobudziła takich oczekiwań. Toronto miało ostatnio zczęście słyszeć różnych pianistów jak von Bulowa, Carreno, oseffy, Aus der Ohe, de Pachman, Gruenfeld i innych. Zgodna pinia jednak stwierdza, że Paderewski jest z nich wszystkich ajwiększym".

Według programu podanego w gazetach (10) Paderewski rał:

Sonate opus 53 — Beethovena,
Papillons — Schumana,
Improptu, Etude, Nocturne i Walce — Chopina,
Menueta à l'Antique i Melodie — własnej kompozycji,
oraz Rapsodię węgierską Liszta.

Na bis dodał: Szuberta ,,Króla Elf", walca Chopina i Camanella Paganiniego w opracowaniu Liszta.

Program był krótki i trwał nie dłużej jak półtorej godziny.)owodziłoby to, że Paderewski po męczącym turnée amerykańkim ograniczył się (podobnie jak dwa dni przedtem w Montreaı) do koniecznego minimum — nie przywiązując może zbytniej agi do ,,prowincjonalnych", jakby nie było, koncertów kanayjskich. Niemniej — jak podkreślają recenzenci — program ył wystarczająco urozmaicony, by zadowolnić wszelkie wymaania publiczności i wykazać wspaniałe zalety pianisty.

,,Technika Paderewskiego (zachwyca się dalej sprawozdawa ,,The Globe") jest nadzwyczajna, frazowanie doskonałe, oderanie w najwyższym stopniu poetyczne i artystyczne, uderzenie ezbłędnym wcieleniem delikatności" i podziwia: ,,ten zupełny rak wszelkich fachowych sztuczek, który jest znamieniem prawziwego artysty", co również podkreśla sprawozdawca ,,Saturay Night" pisząc, że ,,pozycja Paderewskiego przy pianinie est spokojna i zupełnie pozbawiona wulgarnych popisów emoonalnych lub akrobatycznych".

,,Grę Paderewskiego charakteryzuje idealna czystość stylu ciągnie dalej ,,The Globe"), wdzięk, tkliwość, inteligencja i głęokie wyczucie poetyczne, połączone ze wspaniałym rozmachem, uchem, ogniem i ferworem" — a ,,Saturday Night" do tej deladv XIX-wiecznym przymiotników dorzuca: ,,jego ton jest ogaty i uczuciowy i nigdy nie traci swojej znamiennej charak-

(10) Autor nie był w stanie stwierdzić czy uchował się w Toronto gzemplarz drukowanego programu lub afisz z tego pierwszego koncertu aderewskiego. W archiwach i muzeach ich nie ma.

terystyki, bez względu na to czy Paderewski gra piano czy fo
Raz usłyszany nigdy nie zostanie zapomniany i zawsze mo
go rozpoznać, co by nie grał".

Sprawozdawca ,,The Toronto Mail" podchodzi do konce
bardziej fachowo i krytycznie. ,,Gra Paderewskiego (pisze
pełni usprawiedliwia pochwały krytyków amerykańskich,
nych z tego, że nie pozwalają swojej imaginacji panować nad
chowym sądem. Paderewski rozpoczął koncert Sonatą opus
Beethovena, znaną lepiej amatorom jako sonata Wallenstein
ska. Odznacza się ona szczególnymi trudnościami techniczn
Paderewski udowodnił jednak, że trudności te są dla niego *tr*
light as air. Słuchając jego gry nie myśli się o technice. Sł
się zmysłowe piękno uderzenia, wspaniałą gładkość i szyb
tonacji i pasaży, bogate, śpiewne właściwości tonów i zach
cającą miękkość uderzeń w pianissimo... Mimo to (zastrzega
sprawozdawca robiąc ukłon w stronę konserwatystów i pu
tanów muzyki) wykonania tej sonaty nie można uznać za
kowicie zadawalające. Uderza, że interpretacja Paderewski
jest zbyt zniewieściała i przerafinowana, podczas gdy muz
Beethovena jest przecież wybitnie męska. W wykonaniu Pa
rewskiego traci ona dużo z tej męskości i głębi. Folguje on sc
w dorywczych zmianach tempa i w dynamicznym cieniowa
usprawiedliwienie czego znaleźć można jedynie w indywidual
ści pianisty dominującej nad indywidualnością kompozyto
Innymi słowy, Paderewski interpretuje Beethovena zależnie
humoru który nim kołysze".

Do tej beethovenowskiej krytyki, rozpoczętej zresztą j
cze wcześniej przez krytyków amerykańskich, dołącza się r
nież sprawozdawca ,,Saturday Night". ,,Interpretacja Pa
rewskiego (pisze) wolna jest od konwencjonalnych i trady
nych więzów. I ta właśnie dowolność i niezależność powod
że wielu miłośników muzyki kręci głowami słuchając jak Pa
rewski gra Beethovena. Super-emocjonalne, fantastyczne nie
wykonanie utworów Wielkiego Mistrza odczuwane jest nien
jak świętokradztwo i jako takie wywołuje oburzenie. Niem
(przyznaje sprawozdawca), bez względu na to jak się Pader
skiego potępia lub żałuje, jego odtworzenie sonaty Wal
steinowskiej wszyscy podziwiali za poetyczność i sentymen
ność".

Dopiero w utworach Chopina — jak zgodnie wszyscy stw
dzają — Paderewski naprawdę zabłysnął: ,,W Paderewsk
szopeniście zachwyca wyrafinowanie a piękno uderzenia i za
sowanie tempa ukazują się w największym blasku".

Z recenzji warto przytoczyć jeszcze jedną obserwację. ,,
dawać się może paradoksem (pisze ,,The Globe"), że gdy
gry Paderewskiego wyróżnia się rafinowanym sentymentem i
likatnością, to jednak często folguje on w nadmiarze siły,
ostateczności wypróbowując wytrzymałość instrumentu. Kont
ty te szczególnie dały się zauważyć w wykonaniu ,,Króla
Szuberta i ,,Rapsodii węgierskiej" Liszta". — Jest to o tyle

ıwe, że Paderewski w swoich pamiętnikach obszernie rozwodzi ę nad kłopotami jakie miał w Stanach Zjednoczonych z powodu roicieli. Pianina na których koncertował były z reguły zbyt warde" co powodowało wielkie i bolesne zmęczenie rąk. Z udem doprowadził do tego, że stroiciele stroili pianina tak, k on chciał a nie tak jak oni uważali!



Do fachowych uwag sprawozdawców muzycznych wypada szcze dorzucić ,głos z widowni". W 64 lata po pierwszym oncercie Paderewskiego w Toronto, sędziwa Mrs. E.J. Johnn wspomnia (11): „Gdy Paderewski zasiadł za pianiniem uczył coś, czego ani przedtem ani potem nigdy nie widziałam. ciukiem uderzył podwójne fortissimo w środku klawiatury, po ym przebiegł szybko całą skalę w tak wspaniałym diminissimo, ostatnie tony ledwie można było dosłyszeć". Podaje ona róweż ciekawe szczegóły, jak np., że Paderewski grał na przywieonym ze sobą pianinie „Mason and Hamlin Grand" oraz z dziękiem przypomina jak to New Yorku Paderewski cieszył się brzymim powodzeniem u płci pięknej. Kobiety szaleć miały za m do tego stopnia, że odgłosy tych zachwytów trafiły nawet ı łamy prasy. Powstało z tego powodu wiele karykatur, z któch jedna przedstawiała Paderewskiego („Poor Paddy" jak go rs. Johnson z łezką kobiecego sentymentu nazywa, używając opularnego zapewne amerykańskiego skrótu trudno wymawialgo nazwiska artysty) przy pianinie, w klatce pełnej lwic zapnotyzowanych jego grą.

Sprawozdawca „Saturday Night" również o tym nie tylko tystycznym powodzeniu Paderewskiego musiał słyszeć, skoro sał, że „ze swoją lwią grzywą, głęboko osadzonymi szarymi zyma i zamyśloną, wrażliwą twarzą, Paderewski jest osobisścią którą trudno zapomnieć, człowiekiem który szerzył spusszenie (*played sad havoc*) wśród serc niewieścich na dwóch konnentach..." — na co za Mrs. Johnson można powtórzyć · poor Paddy!"

Wygląd Paderewskiego, szczególnie zaś jego sławna czuyna, budziły wszędzie niezwykłe zainteresowanie. I tak, gdy rawozdawca „The Globe" został po koncercie torontońskim szczycony (jak pisze) krótkim wywiadem z artystą — znalazł bardzo miłym i przystępnym, stwierdził że mówi po angielu całkiem dobrze acz z wybitnym cudzoziemskim akcentem, jest średniego wzrostu, o jasnej cerze i bystrych zach, ale najbardziej zachwycił się właśnie jego włosami, któ „wyglądają jak gdyby były naładowane elektrycznością. Nie armo też (zaznacza), Paderewski zwany jest — człowiekiem grzywą".

(11) List do redakcji torontońskiego dziennika „The Globe and Mail", dn. 30.8.1956 r.

O grzywie tej najwięcej jednak (oczywiście) ma do pow dzenia kobieta. ,,Jego (Paderewskiego) dwu-kolorowe, kt włosy (wspomina Mrs. Johnson) sterczały na sześć do oś cali — lub więcej — przypominając mały lecz gruby dyw położony na głowie. Przyjaciele musieli mu w końcu wytłum czyć by poświęcił swoją czuprynę, bowiem gdy w kilka lat p niej po raz drugi zjawił się w Toronto, włosy miał już o 3 c cali krótsze, a później nadal je skracał tak, że z czasem wyg dały całkiem naturalnie. Niemniej (zaznacza ostatnia już ch żyjąca uczestniczka pierwszego w Toronto koncertu Pader skiego), gdy Paderewski grał, nikt nie zwracał uwagi na j wygląd''.

,,The Globe'' kończąc swoje sprawozdanie z koncertu nosi, że Paderewski udaje się następnie do Buffalo, skąd d na tournée po zachodnich Stanach, po czym powróci do N Yorku na pożegnalny koncert i z końcem marca odpłynie do ropy. Uwagą, że ,,po koncercie uszanowanie swoje złożył a ście jego znakomity ziomek, Sir Kazimierz Gzowski'' koń się entuzjastyczne recenzje z pierwszego występu Paderews go w Toronto. Jak już zaznaczyłem, sam Paderewski nig o nim nie wspomina. Entuzjazm ten musiał więc być bardzo nostronny. A to, że był ,,zachwycony Torontem'' i w wywia miał powiedzieć, że rzadko zdarza mu się grać dla tak intelig nej i rozumiejącej muzykę publiczności — należy uznać za ost numer w koncertowym repertuarze artysty.

Aleksander GROBICKI

Syn zadżumionych

Przeklęte Bochum!

Wieczorny chłód, przesycony dymem i benzyną, wdarł się do pokoju. I znowu mgła. Arturek zamknął okno. W tym strasznym mieście trucizna unosi się w powietrzu.

— Żyjemy w komorze gazowej! — powiedział.

— Niesmaczne porównanie! — skarcił go Paps. — Sam już nie wiesz co pleciesz...

Z Papsem od kilku dni ma na pieńku. Ściślej mówiąc, od tego wieczoru, gdy uśmiech Papsa, nie wiadomo dlaczego, skojarzył mu się z małpim grymasem Jacobiego.

To było tak. Paps naszedł go wtedy z tyłu i znienacka, w filcowych cichołazach. Gruby dywan do reszty przygłuszył jego kocie kroki. Już te kroki nie były godne Papsa!

Mimo zaskoczenia Arturek książki za siebie nie schował. Sumienie miał czyste. Nie oddawał się zakazanej lekturze. Nie czytał, u licha, pornografii, ale książkę co się zowie, poważne, pięćset stronicowe dzieło literackie...

— Co czytasz? — roześmiał się Paps. — Idę o zakład, żeś zwędził Dekamerona z mojej szafy...

I to powiedzenie nie było godne Papsa.

— Nie, to *Der Untertan* Henryka Manna.

Paps aż zastygł ze zdumienia i na moment zrobił się podobny do Studienrata Jacobiego. Tak samo palce rozczapierzył w powietrzu. Tak samo wyszczerzył zęby.

— Lektura nie dla ciebie, syneczku. Paszkwil. Żółć. Pióro maczane w nieczystym atramencie — mówił. — Tendencja niszczycielska. Przejaskrawione od początku do końca. Co gorsza, pod wieczór życia autor tej książki stał się narzędziem w ręku...

—...w czyim ręku? — zdziwił się Arturek.— Profesor Brandt powiedział, że to klucz do poznania naszej duszy narodowej.

— Klucz? — roześmiał się Paps gorzko. — Wytrych! Złodziejski wytrych! A ten wasz Brandt, to też jeden z tych, którzy stają dzisiaj do wyprzedaży najcenniejszych wartości...

,,Wyprzedaż najcenniejszych wartości''. Cóż to właściw znaczy ? A brzmi wręcz teatralnie. Takich utuczonych zwrotó najchętniej używa Studienrat Jacobi. Z trzeciego rzędu ław można oglądać tego siwego bęcwała cztery razy w tygodni Popisuje się, zgrywa się bez litości. Uczniów traktuje jak w downię prowincjonalnego teatrzyku. Podium, na którym ry micznie, w takt wierszy, kołysze się w kolanach, zastępu mu scenę. Po każdym występie łasi się, wyczekuje oklasków a pod koniec lekcji, na dźwięk dzwonka, zastyga w pożegnal pozie, pokazując w uśmiechu całą klawiaturę żółtych zębów.

Pamięć ma przy tym, przyznać trzeba, fenomenalną. Nie tety, jest to pamięć czysto podniebienna. Obżartuch Jacobi p trafi powiedzieć, nawet po wielu latach, co gdzie i kiedy zja Obdarzony pamięcią żołądek zastępuje mu kalendarzyk historyc ny.

— 23 sierpnia 39-go ! — powiedział kiedyś z błyskiem oczach — podpisanie paktu między Berlinem a Moskwą. Nig nie zapomnę tej daty. Byłem wtedy w Monachium, na zjeźd germanistów. O drugiej w nocy pojechaliśmy na Schwabing, ,,Siegesgarten''. Mówię wam : kurczaczek prosto z rożna, chru ki, soczysty, lepki a do tego kufel mocnego ,,Salvatora''...

Arturek przysłuchiwał mu się zawsze z największą niech cią. Nie znosił zwrotów nic nie znaczących, przypominający wydeptaną słomiankę :

— Poezja Hölderlina prześwietlona jest blaskiem Aute tycznej Sztuki...

— Utwory Rilkego nacechowane są powagą Wewnętrzn go Przeżycia...

Albo taka guma do żucia, obrócona w ustach po sto raz

— Jakże ubogo byłoby w naszej poezji bez harmonijny strof Olimpijczyka z Weimaru !...

— Cóż byśmy robili bez dzieła tej miary co ,,Faust'' (— Popełnilibyśmy samobójstwo ! — jęknął jakiś wesołek kącie).

— Novalis, niedościgniony piewca smutku i zadumy, wzn sił się w sferę Ducha... wysoko... wysoko...

— Schiller zaś najgłębiej miłował Wolność, Prawdę i Pię no...

A banalny Studienrat najgłębiej miłował Podarki, i to n te od Ducha Świętego, ale od zwykłych śmiertelników. Prz rokiem głupkowaty Xaver, najgorszy uczeń w klasie, syn b gatego hurtownika, ,,zrobił go na szaro''. Cud prawdziwy, się ta historia nie rozeszła po mieście ! Wyrwany z drzem Xaver przez cztery minuty nie mógł sobie przypomnieć daty ur dzin Friedricha Gottlieba Klopstocka, a w piątej minucie w prz pływie rozpaczy zawołał :

— Herr Studienrat ! Tatuś każe się pięknie kłaniać i z pytuje czy przysłać nową skrzynkę koniaku ?

Po tych słowach izba szkolna omal nie poszła w drzazgi, ak silny był wybuch śmiechu. Ale Jacobi, stary wróbel, jakoś ię nie speszył eksplozją złośliwej radości. Uniósł kościste palce v górę; rzekłbyś: dyrygent orkiestry, zasłonił nimi połowę ortretu Prezydenta Republiki Związkowej i jakby się nic nie tało — zaczął deklamować:

„...Götlin Freude, du selbst! dich, wir empfinden dich!...

I już kołysze się na bocianich nogach, rytm gumowym bcasem wybija.

„...ja, du warest es selbst, Schwester der Menschlichkeit”...

Po czym zastygł efektownie w powietrzu; spójrzcie na jego alce rozczapierzone na tle podbródków Heussa i na pożółkłą lawiaturę rozdziawioną od ucha do ucha. Błazeńsko nadęty acobi, Kabotyn Doskonały, zawodowy obrzydzacz piękna, zawze z patriotyczną lemoniadką w ustach, i zawsze na pozłacanych zczudłach.

Pastor Pfirsich mówi, że drugą naturą ducha nieczystego est wieczny plagiat. Nazywa diabła „patronem imitatorów”. eśli prawdą jest, że w diable, naśladowcy doskonałym, nie ma ic twórczego, Studienrat Jacobi musi być synem Belzebuba.) Jacobim krążą pogłoski, że w t e d y wydawał miesięczik poświęcony tradycjom starogermańskim pod nazwą „Walhala żyje”. Jeden z chłopców przyniósł kiedyś do klasy starą gazetę, odaj sprzed dwudziestu lat, w której Jacobi w dziale ogłoszeń odzinnych donosił z dumą, że jego żona wydała na świat „nowego żołnierza dla Wodza”. Poza tym wszystkie dziatki Stuienrata noszą imiona zgodne z ideologią „Walhalli”: Heidrune, Verburga i Teutobald... — Czy to możliwe, żeby nasi rodzice yli wtedy takimi dziećmi”? — dziwili się chłopcy w klasie.

Jest tylko jeden ptak znakomity w klatce z belframi. Orzeł zupurny, historyk Brandt. Ale Paps go nie lubi...

Ciekawe dlaczego? Podobno „wyprzedaje najcenniejsze warości”...

Jakie wartości, podług Papsa, są najcenniejsze? I ten nieozekiwany atak na *Untertana*, książkę o czasach wilhelmińskich! „Pióro maczane w nieczystym atramencie”? Nic podobnego. 'o świetna satyra. A takich „poddanych”, zastrachanych, a rzy nadarzającej się sposobności — drapieżnych złoczyńców, ak to pruskie ladaco bohater powieści, Diederich Hessling, nie ıa co żałować. W każdych Niemczech powinno ich być jak ajmniej. I tak za wielu Studienratów Jacobich straszy na świeie. Złotousty pastor Pfirsich woła co niedzieli w zborze: „Rozice, nie znacie swoich dzieci, nie zaglądacie do ich serc i umysłów, i w tym tkwi zarodek zła jutrzejszego!” Ale może należałoy odwrócić te słowa?” Chłopcy i dziewczęta, nie znacie swoich odziców, nie zaglądacie do ich serc i umysłów, i w tym właśie...”. Jedno jest pewne: Paps nie powinien robić konkurencji razesowiczom pokroju Jacobiego. „Tendencja niszczycielska!” — nie mógł się uspokoić — „Wyprzedaż wartości”... A jakież

to, zacny Papsie, wartości niszczy we mnie Henryk Mann i jeg
książka sprzed lat z górą czterdziestu?

Arturek ciężko westchnął. Przyszło mu na myśl, że n
zna własnego ojca.

Był wtedy dzieckiem, ale pamięta ten dzień dokładnie.

Pobiegli z matką na dworzec, przepychali się przez gęst
tłum. Gdy pociąg wjechał na stację, dyrygent kopalnianej orki
stry, wąsaty dryblas w kaszkiecie, podniósł pałeczkę w górę.
Chłopiec ucieszył się, że zaraz lunie muzyka z zawijanych trąb
ale w tej samej chwili podbiegł do kapelmistrza nieduży czło
wieczek w surducie (dopiero później dowiedział się, że był t
pastor Pfirsich) i zaczął wołać:

— Proszę nie grać powitalnego marsza. Pamiętajcie, że prz
graliśmy wojnę. Uklęknijmy lepiej i prośmy Boga, żeby na
przebaczył!...

Kapelmistrz poczerwieniał na twarzy.

— Bochum jest miastem katolickim, żaden pastor nie b
dzie nami komenderował! *Gehen Sie weiter!*

Górnicy także spoglądali na intruza z niechęcią, ale ju
zebrane na peronie kobiety zaczęły wołać „Nie chcemy ma
szów!", klękały na ziemi i pociągały mężczyzn za kapoty.

Arturek spostrzegł, że z okien wjeżdżającego na stację p
ciągu wychylają się chude, nieogolone twarze. Dziewczęta
białych kitlach z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawie po
biegły z kwiatami. Orkiestra jednak zaczęła grać. Ludzie krz
czeli, klaskali, śmiali się i płakali. Jakaś staruszka biegała wzdł
pociągu z przekrzywionym kapeluszem, wołając płaczliwym gł
sem: — „Gdzie jest mój syn Otto? Otto, odezwij się! Ott
gdzie jesteś?"

Matka szarpnęła go za rękę. Posłyszał jej krzyk:

— Tam! W drugim wagonie!

W chwilę później, w obłoku pary, zobaczył wysokiego mę
czyznę w czapce ze złamanym daszkiem. Poczuł jego kwaśn
oddech na oczach. Nie ogolone policzki tarły mu twarz z cał
siły. Miał ochotę krzyczeć z bólu.

— To jest nasz Paps! — posłyszał głos matki, i w bru
dach nachylonej nad sobą twarzy zobaczył brud. — Pocał
ojca!

Z głębi tamtego czasu wyłania się jeszcze jedno wspomni
nie. Dłoń pokryta jasnymi włoskami. Oczy zmrużone ze złośc
I ból w palcach...

Przeglądał grubą książkę z obrazkami, gdy wypadła z ni
pomięta fotografia. Podszedł do okna, by przypatrzeć się zdj
ciu. Dostrzegł kilkanaście osób w mundurach i w cywilu. A
samym środku Paps! Uśmiechnięty, z rękami w białym kitl
stoi u wejścia do dużego budynku. Jakaś fabryka... Na bi
łym szyldzie czarny napis. Ale nie „Sanitas", tylko inny, dłu
szy... Dwa słowa połączone ze sobą dziwną, nieznaną literką.

— Co też kawaler zwędził mi z biurka? — słyszy rozgni

vany głos nad uchem. — Nie wolno myszkować po szufladach! Spamiętaj sobie! Masz po łapie! Masz!...

— Nie bij go! — prosi mama — to jeszcze dziecko...

Tak, póki żyła mama, w domu było ciepło i jasno. Słońce świeciło w każdym oknie i na każdym stole stała waza pełna bzu. Z różowego saloniku wybiegały na ogród skoczne dźwięki fortepianu. Miał nieraz ochotę szukać porozrzucanych klawiszy wśród kwiatów. W całym mieszkaniu unosił się cieniutki, zawsze wesoły głos:

„Wenn der Frühling kommt mit dem Sonnenschein”...

Albo:

„Ich bin die Prinzessin Ilse,
und wohne im Ilsenstein...”

Któregoś dnia zapadło wieko fortepianu, i chłopiec odkrył, że mieszka w brzydkim mieście. Szkoła z czerwonych cegieł, ogrodzona czarnymi sztachetami, wygląda jak więzienie, a nawet teatr, wysepka piękna, ściany ma przykopcone sadzą. Ludzie chodzą po ulicach szybko, ciężarówki wzbijają rdzawy kurz, dudnią niewidoczne młoty, a co nocy lokomotywy na bocznicach i dworcach nawołują się przejmującym skowytem. Wycie smutniejsze od psiego nie opuszcza miasta na chwilę. I ten straszny, śmiercią ziejący obrazek nad łóżkiem! Już nieraz próbował go zdjąć ze ściany. „Nie rusz! — nie pozwala Paps — mama go zawiesiła, niech wisi!” A jest na nim scena, która grzybem strachu rozrosnąć się musi w umyśle każdego wrażliwego dziecka, oleodruk biblijny z zagniewanego świata. Na stosie drzewa chłopaczek związany, z głową kędzierzawą w tył odchyloną, a nad nim ojciec zawzięty z nożem wzniesionym do ciosu...

— Mopsik, delikacik, mimoza — naśmiewa się gospodyni Emma. — Panienka nam w domu rośnie, a przydałby się *Halbstarker....*

A to pewnie dlatego, że Arturek co sobotę zamyka okiennice od ulicy, by nie słyszeć pijackich wrzasków o północy. Jakże straszne są dni wypłaty, gdy ulicami przeciągają ze śpiewem watahy podchmielonych górników, a ostre przekleństwa wpadają do środka pokoju jak cegły przez rozbite okno. A w niedzielę, zamiast pobiec z tysiącami rówieśników na pobliski stadion na mecz piłki nożnej i krzyczeć „Szy-ma-niak! Szy-ma-niak!”, zaszywał się przed potężnym rykiem tłumu w głąb ogrodowej altany i tam jeszcze zarzucał marynarkę na głowę. On jeden chyba z całej szkoły nie gryzł pięści przy odbiorniku radiowym, gdy jedenastka Niemiec przegrała na mistrzostwach świata ze Szwecją. Żałoba narodowa w całym kraju, a on nawet się nie zmartwił. A przecież odkąd wielki dobroczyńca ludzkości, minister szkolnictwa na Północną Nadrenię i Westfalię, zaprowadził pięciodniowy tydzień pracy w szkołach i surowo zakazał odrabiania lekcji w domu, nikt już nie piecuchuje w czterech ścianach. Można teraz całymi godzinami podglądać za miastem sławnych

mistrzów wykopu z dortmundzkiej „Borussii" lub „Rot-Weiss Essen".

— Cóż z tego, że jesteś ponad wiek rozwinięty i poważny, mój Turciu, kiedyś za miękki! — groził mu Paps pół żartem, pół na serio. — To po matce, po wiedeńskich Praxmeyerach, bo Ostermannowie zawsze byli twardzi. W życiu, syneczku, trzeba gryźć, kopać, bić na odlew, a nie rozmarzać się w altanie. Ma rzyciele giną w tłoku. Pamiętaj, że żyjemy w epoce boksu. Czasy cierpiących Werterów należą do przeszłości!

— Nienawidzę tłumu, brzydzę się boksem!

— Za dużo czytasz, za dużo myślisz, głowa ci jeszcze pęknie!

Chłopiec w milczeniu spoglądał na ojca. Duża, okrągła twarz wyłaniała się ze słodkawej woni cygar. Wyblakłe oczy jakby schowane w fałdach skóry. Policzki nacętkowane prze krwionymi żyłkami. A nad jasno rudymi brwiami, jak rzeki i ich dopływy, ukazywały się bruzdy i zmarszczki. Twarz naj bliższej osoby, a patrzył na nią nieraz jak na mapę nieznanego lądu.

Aż przyszedł dzień, który ich zbliżył ku sobie. W czasie jednej z wielu podróży Papsa przytrafił się wielki kłopot. „Plamka", którą mama przywiozła kiedyś z Wiednia, zapadła na tajemniczą chorobę. Targana dreszczem jamniczka, z przerażeniem w zwężonych ślepiach, zdławionym skomleniem wzywała szybkiego ratunku. Nikogo nie było w domu. Paps pod Hamburgiem, Emma pobiegła na nieszpory. Chłopiec owinął psa w pulower, wziął na rękę jak chore dziecko i zawiózł taksówką do najbliższej przychodni. Po zastrzyku i pastylce „Plamka" poczuła się lepiej, dreszcze ustały. Gdy wyjął z kieszeni banknot, weterynarz odmówił przyjęcia pieniędzy.

— Pies dyrektora Ostermanna — powiedział — jest naszym honorowym pacjentem!

— Dlaczego? — zdziwił się Arturek.

— Bo dyrektor Ostermann ufundował naszą klinikę. Ukłony dla tatusia!

Arturek wyszedł z przychodni wyższy co najmniej o trzy centymetry.

— Nic mi o tym nie wspomniałeś — powiedział Papsowi nazajutrz.

— Ot, drobiazg — machnął ręką. — Nieraz trzeba coś dobrego zrobić w życiu. Gdy umrę — zażartował — przynajmniej psy i koty z całego Bochum zbiegną się na mój pogrzeb...

To znowu w jakiś czas później, również podczas nieobecności Papsa, stuka do drzwi trzech dryblasów.

— Czy zastaliśmy pana dyrektora Ostermanna w domu?

— Nie ma! W podróży — Emma wsuwa fartuchem opięte brzuszysko między drzwi. — A panowie w jakiej sprawie?

— Przychodzimy podziękować osobiście — szurają nogami — za te trzy stypendia na chemii, co je pan dyrektor dla nas ufundował...

I o tym Paps także nie wspomniał ani razu.
— Cichy dobroczyńca — mówi gospodyni Emma, która po mierci mamy prowadzi dom. — Pomaga ludziom gdzie może. Dwadzieścia paczek z ubraniami wysyłamy co miesiąc do nienanych biedaków we wschodniej strefie.
— I ja nic o tym nie wiem? — zdziwił się Arturek.
— A bo pan dyrektor tak przykazał: ,,Nie mówcie nic Turiowi. Nie chciałbym, aby chłopiec myślał, że Niemcy po tamtej tronie, to kupa nędzarzy. Obdartusów się nie lubi... I tak vielu młodym ,,republikanom związkowym'' nad Renem, poviedział pan dyrektor, tamta część naszej ojczyzny kojarzy się dołem na odpadki...
I wreszcie: ów niezapomniany, wielkanocny wyjazd pod Ierne, na otwarcie Domu Dziecka. Ledwie wysiedli z samohodu, otoczyły ich dziesiątki uśmiechniętych ludzi, dzieciarnia odbiegła z kwiatami. Potem Papsowi wręczono nożyczki. Rozegł się trzask aparatów fotograficznych, gruchnęły oklaski. Paps przeciął wstążkę na progu nowiutkiego, jeszcze tynkiem farbą pachnącego budynku i wygłosił krótkie przemówienie. Nawet nie przypuszczał, że Paps umie tak ładnie mówić.
— Zasychają rany — powiedział. — Na pobojowisku zieeni się trawa. Na zasypanych rowach znowu rosną kwiaty. A z ruzów powstają nowe domy. Nowe dachy, nowe ściany, nowe ycie. Oby i nowi, lepsi ludzie! Całą naszą wiarę, nadzieję miłość oddajemy w ręce niemieckich dzieci. Oby ich życie było epsze i piękniejsze od naszego!
Znowu długie, serdeczne oklaski, Papsowi ściskają ręce.
— Pan dyrektor Ostermann, dzięki któremu powstał ten om... — zawołała jakaś niska, otyła kobieta w białym kitlu — iech żyje!
Po powrocie do domu, życząc ojcu dobrej nocy, bąknął zazerwieniony:
— Jestem z ciebie, Papsie, bardzo dumny...
Stare dzieje, sprzed kilku lat... Od tego czasu pogląd na Papsa ma ustalony: szlachetny, zacny człowiek — stwierdza uznaniem — ale nie zawsze czuje i myśli jak ja... Ale czy musi zuć i myśleć jak ja? — zastanawia się nieraz. — Oczywiście, yłoby lepiej... Jeśli tak nie jest, trudno! Więcej tolerancji vobec własnego ojca, młody człowieku!

Dawniej dość często uciekali z miasta w zieleń. Mama zawze umiała znaleźć jakiś zaczarowany zakątek, wysepkę buków ıb brzózek, spoza których nie było widać ani kominów ani abli wysokiego napięcia. Na przykład z początkiem lata zostaiali za sobą hałaśliwą, tysiącami opon pokreśloną szosę Wupertal — Essen, zapuszczali się na piechotę w dolinę Neviges, między strumyki zbiegające ku Ruhrze. Z dala od hałdy, z dala d zwalisk wypalonej szlaki. Razem z rozmodlonym tłumem ięli się na Górę Maryjną pod baldachimem śpiewu, nie przyymionego słońca i wonnych kadzideł. Jakże inny był wtedy

świat! Jeszcze dziś słyszy czasem na spodzie snu zawodzą śpiew bab w czarnych chustach i starców z konopiastymi w siskami. Olbrzymie sztandary z orłem i krzyżem, chorążow w cylindrach, złote feretrony, święci z gipsu z aureolą wok której migotały druciane gwiazdki, orkiestra górników wysyp jąca muzykę z olbrzymich trąb w puszystą trawę, kazanie p rozłożystym dębem w jakimś obcym, śpiewnym języku, niezn nym ani mamie, Wiedence z pochodzenia, ani jemu, urodzon mu Westfalakowi... Czy nic nie zostało po tej wyprawie w gł innego świata? Został modlitewnik, kupiony na pamiątkę u fra ciszkanów, i tęsknota do czegoś nieznanego...

Paps znowu jest w drodze. Odkąd rozbudował sieć prz stawicielstw ,,Sanitasu'' od Hamburga po Monachium i od H noweru po Saarbrücken, bywa coraz rzadszym gościem w dom Herr Direktor Ostermann, nasz sublokator! Willa przy Gart strasse od dawna nie jest ogniskiem rodzinnej radości.

— Pan dyrektor powinien do swego wozu wbudować jesz łóżko, wannę i biurko — łasi się Emma. — Jego dom, to M cedes...

— Przy mojej tuszy — wzdycha Paps — zdrowiej był *per pedes...*

Co drugi, trzeci dzień powtarza się ta sama scena: P na stojąco wypija filiżankę kawy, każe się połączyć telefonicz z Kolonią to z Bonn, to z Bremą, całuje jedynaka w czoło głośnym: ,,Zadzwonię z drogi!'' zbiega do samochodu. C sem przychodzi kilku brzuchaczy na karty, zadymiają cały d cygarami, i popijając koniak siedzą w gabinecie ojca do póź nocy. Najgłośniej zachowuje się rubaszny fabrykant rurek n nowych, którego łysa pała mogłaby rozjaśnić najgęstszy m setkami watów. Nazywa się Jelonke, jeszcze przed tamtą w ną zaniosło go w egzotyczne strony, i od tego czasu cz to powtarza bez sensu: ,,Kto z państwa jeździł kiedy słoniu, ten wie...''. Nikt, oczywiście, w Bochum nie jeździł słoniu i nikt nic nie wie... Podobno był kiedyś wspólnikiem Pa i od tego czasu datuje się ta przykra i hałaśliwa zażyłość. G bym mógł wybierać Papsowi przyjaciół — myśli młodzieniec wybór mój bez chwili wahania padłby na profesora Brand To jest człowiek!

Po południu Arturek najczęściej bywa sam. Zamyka się klucz i wkuwa do matury. Pod wieczór zjawia się okular Herbert lub Pfirsich, syn pastora, ,,na wspólną naukę'' i wt grają na werandzie w ping-ponga, idą do kina albo do teat Raz na tydzień Arturek zagląda, potajemnie przed Papsem tego już doszło!) do Brandta. Na pogawędkę lub na szkla *Pfälzera.*

Tak płyną dni.

I jeszcze jedna chmura unosi się nad domem przy Gart strasse: stosunek Papsa do dziadka Praxmeyera.

Wracając któregoś poranka z całonocnej podróży na połud-
ie, aż pod Baden-Baden, Paps natknął się na listonosza, i przy
kazji wpadł mu w ręce list z austriackim znaczkiem.

— Chociaż nasza konstytucja gwarantuje wszystkim oby-
watelom tajemnicę pocztową (paragraf dziesiąty) — roześmiał
ię przy śniadaniu — radbym jednak wiedzieć z kim korespon-
lujesz?

— Z dziadkiem Valentinem! — odpowiedział, niczego złe-
go nie przeczuwając. — Poczciwy staruszek przysyła mi co
akiś czas znaczki pocztowe, a ja nie chcąc go zasmucać, udaję
ilatelistę...

Paps rozsupłał serwetkę pod szyją, jakby mu nagle zabra-
kło powietrza, i wymachując widelcem powiedział z przesadną
urowością, zupełnie jak Studienrat Jacobi:

— Mam do ciebie wielką prośbę, odwołuję się do twojej sy-
nowskiej solidarności: nie utrzymuj korespondencji ze starym
Valentinem!

— Dlaczego? — zdziwił się Arturek. — Przecież to ojciec
naszej mamy, mój dziadek!

— To długa historia! Jak dorośniesz, wszystko ci wytłu-
maczę!

Mijały miesiące i lata, i jakoś nigdy tego nie wytłumaczył.

Chłopiec próbował zasięgnąć języka u Emmy:

— Dlaczego Paps nie pozwala mi pisywać do dziadka Va-
entina?

— Nie wiem — wznosiła ręce ponad sztuczny kok — i nie
chcę wiedzieć, to nie moja sprawa!

Funduje stypendia, stawia Domy Dziecka! — pomyślał
Arturek z żalem — a taki niesprawiedliwy dla ludzi. Uprzedza
się nie tylko do Brandta, ale i do poczciwego dziadka Valen-
ina...

Któregoś popołudnia, w samym śródmieściu, dojrzał zna-
omą sylwetkę Brandta. Poznał go z daleka. Po parasolu, po-
ężnej torbie i głowie owiniętej w gazetowy papier.

— Halt!

Zgrzyt hamulców. Smród spalonej gumy. Gwizdek poli-
cjanta. Wyzwiska, przekleństwa, grożenie pięścią.

Staruszek gotów jeszcze któregoś dnia wpaść pod tramwaj
ub samochód. On czyta na ulicy! Nawet przechodząc przez
ezdnię, nie odrywa oka od gazety. Murowany kandydat na
amobójcę!

Arturek podbiegł w ostatniej chwili.

— Panie profesorze, ostrożnie! Czerwone światło!

— Przepraszam, zaczytałem się — kiwa parasolem Brandt,
iwe kędziory wychodzą mu spod wytłuszczonego ronda. —
Czytał pan dzisiejszą *Frankfurter Allgemeine*? Ci Chińczycy,
no, no, no... Znowu strzelają!

Do rogu następnej ulicy poszli razem. Arturek zaofiarował
się ponieść torbę wypchaną prowiantem, która najwyraźniej

przeszkadzała profesorowi w jednoczesnym gestykulowaniu rasolem i czytaniu gazety. Czego tam nie było w czeluściach potężnej torby! Dwie główki sałaty, szalik, kostka margary *War and Civilisation* Toynbee'go, chleb z kminkiem, *D Geschichte des Rabbi Nachman* Bubera, rękawiczka z wyprut do połowy palcem, pożółkły egzemplarz ,,Le Monde'' sprzed ku miesięcy...

Biedaczek, sam chodzi na zakupy! Brandt może i dlate nieco zdziwaczał, że jest starym kawalerem, i to z premedytac Małżeństwo? *Apage satanas!* Umysł rdzewieje, a charakt stale narażany na potrzebę kompromisu, ulega zwyrodnieniu W epoce tanich jadłodajni i pralni mechanicznych odpada naw wzgląd czysto praktyczny...

— Nie mam zbytniego zaufania do tej instytucji — mó żartem. — Zresztą nie ja jeden. Czytajcie kroniki sądov Niech tylko znajdą gdzieś nieżywą mężatkę, pierwsze podejrze z reguły pada na męża. Widocznie zabójstwo uważa się w instytucji za objaw jak najbardziej naturalny. Znawcy prze miotu utrzymują, że połowa wszystkich nieszczęść na świe bierze się z faktu, że ludzie się żenią...

— ...a drugie tyle z faktu, że się nie żenią! — protest w tylnej ławce von Wickenberg.

— Trzeba zatem szukać rozwiązań pośrednich! — hu Herbert, pierwszy dowcipniś w klasie.

— Jeszcze panu nie podziękowałem — powiedział profe nad odchodnym — za ugłaskanie swego ojca. Podobno przygo wywał na zebranie koła rodzicielskiego jakieś ostre wystąpie przeciwko mnie, ale w ostatniej chwili ulitował się nad star belfrem. To na pewno pańska zasługa, Arturku!

— Ależ to jakieś nieporozumienie! — zaczerwienił się ch piec.

— Drobiazg, drobiażdżek — pogładził go Brandt parasol po rękawie. — Zdaje się, że poszło o zadanie, jakie wam dał przed miesiącem. Przyznaję się do demagogii, ale cóż mogł innego zrobić? Co roku, gdy zaczynam wykładać o złym chu naszej historii, wstaje jakiś grzeczny synuś i powiad ,,tak, *ale* on zbudował austostrady!'' Dałem wam więc do r wiązania dosyć dziwne, przyznaję, zadanie. Co roku, zresz to samo: ,,dowiedz się ile mamy kilometrów autostrady w Nie czech, dowiedz się ilu ludzi zabiliśmy w obozach, spróbuj oblic ilu zamęczonych przypada na jeden kilometr autostrady!'' Pr cież coś, na Boga, muszę robić, aby osłabić ciągle jeszcze wygasły w naszym społeczeństwie podziw dla Wielkiego downiczego Dróg i Mostów.

— Mój ojciec miałby występować... przeciwko panu pro sorowi?... — zasapał się chłopiec. — Nie! Nic mi o tym wiadomo! To niemożliwe! Zaraz sprawdzę, czy to nie jal nikczemna intryga!...

Głęboko wzburzony pobiegł do domu. Sprawdził i — szczęście wszystko się wyjaśniło. Zacny profesor musiał p

fiarą fałszywej informacji. Bo naprawdę, jak mówi Paps, było ık:

Studienassessor Arnold, łącznik między szkołą a rodzicami, ıdzwonił któregoś dnia z propozycją zorganizowania zebrania yskusyjnego, „Na jaki temat? — zapytał Paps — „Na temat ontrowersyjny — odpowiedział Arnold. — A może by się zastaowić nad nauką najnowszej historii Niemiec?" To wszystko. ' osobie Brandta w ogóle nie było mowy. Do zebrania zresztą ie doszło z braku *quorum*. Zjawiło się pięć osób. Dzisiejsi odzice nie interesują się swoimi dziećmi, za bardzo są zajęci obą...

Któż to mówi! — zdziwił się Arturek. — Widuję Papsa ie częściej jak dwa razy w tygodniu...

— Owszem, zgadza się: miano dyskutować nad programem auczania „jako takim", ale nazwiska Brandta nikt nie wymieił. Z igły, jak zawsze, zrobiono widły...

— To dobrze — odetchnął z ulgą Arturek. — Pamiętaj, apsie, że my go ubóstwiamy!

— Wiem, wiem — roześmiał się Paps. — A jeśli wam krzywdzą „dziadka do orzechów", zwiejecie całą klasą do Legii udzoziemskiej. Na znak protestu!

Nic dziwnego, że Brandt ma wrogów. Studienrat Jacobi ık się kiedyś wyraził o nim z fałszywym podziwem:

— Wasz historyk ma unerwiony, błyskotliwy intelekt, co ę niewątpliwie łączy z określoną formacją pochodzeniową...

— „Określona formacja pochodzeniowa"? — skrzywił się ławce Herbert. — Czy pan profesor chce nam dać do zrozumieia, że Herr Brandt jest pochodzenia żydowskiego?

— Nic wam nie chcę dać do zrozumienia. Proszę mi nie kładać w usta słów, których nie wypowiedziałem! — wycofał ę germanista.

— Bo jeśli chodzi o nos... — przypieczętował basem hracz von Wickenberg — to Herr Brandt złamał go jako dziecko a ślizgawce...

— *Ruhe!* — zastyga w powietrzu wypchany ptak Jacobi - Cóż mnie obchodzi nos pana Brandta!

Rzeczywiście, historyk ma nos z lekka przetrącony. W niżych klasach dzikuseria woła za nim: „Dziadzio-bokser" lub Krzywonos", chociaż daje smarkaczom słowo honoru, że nidy w życiu nie widział ringu z bliska. Ofiara sportu łyżwiarkiego! Zaprawdę, nie trudno go sobie wyobrazić w tej roli! oć ślizga się, niezgrabny niedźwiadek, na wywoskowanym noleum, potyka się przy wejściu o słomiankę, to wreszcie przyeptawszy za długie sznurowadło omal nie zjeżdża ze schodów. rturek ma nieraz ochotę wziąć go pod ramię i jak małego hłopca przeprowadzić na drugą stronę ulicy. Nieporadny i nieraktyczny, w marynarce poplamionej atramentem, w spodniach tóre od lat nie zetknęły się z żelazkiem, w butach gwałtownie omagających się szewca, nie budzi jednak w nikim złośliwej esołości. Wiadomo nie od dzisiaj, że w tym niezbyt starannym

opakowaniu towar ukrywa się znakomity! Erudyta, gawędziarz, mistrz dygresji, przemytnik aluzji, kpiarz bez kropli żółci, złote serce, a przy tym zawsze rogaty i tak zabawnie zadziorny.

Na przykład: weźmy ostatnią lekcję o Fryderyku Wielkim. Herr Brandt figlarnie kręcąc na palcu siwy kędziorek przy skroni, ni stąd ni z owąd powiada:

— Panowie, byłem wczoraj w piwnicy naszych rodzimych, pożal-się-Sartre „egzystencjalistów". Jacyś pono Paryżanie o twarzach junkrów pruskich, w swetrach pachnących piwem, próbowali czytać wiersze o nicości życia, o pełnym wyzwoleniu człowieka z potrzasku tradycji i moralności, o pogardzie dla autorytetu niebieskiego i ziemskiego... Hałas panował przy tym piekielny. Wówczas jeden z koryfeuszów ryknął na całe gardło: *„Ruhe! Ordnung muss sein!"* I nagle — proszę panów — jak makiem zasiał: diabli wzięli wszelki bunt młodości, cała piwnica zamieniła się w bunkier posłusznych rekrutów. *O, braves Vaterland!* Fridericus Rex pozdrawia cię z zaświatów!...

Albo taki, dość nieoczekiwany, „wstęp do wykładu" o wojnie prusko-niemieckiej:

— Panowie, zastanówmy się na chwilę, czy modna obecnie gadanina o przemożnej sile „odruchów warunkowych" wnosi coś nowego do poznania naszych dziejów ojczystych? Myślę, że nie. Wyniki eksperymentów Pawłowa z psami wydzielającymi soki trawienne na dźwięk dzwonka, nie mogą chyba zaimponować nam, potomkom owych grenadierów spod Gravelotte, którzy na dźwięk hymnu narodowego, wydzielając ze siebie jad nienawiści do Francuzów, poszli na bagnety jak burza. Pawłow przy niektórych doświadczeniach z psami, jak słyszymy, wypróbował również działanie bodźców wzrokowych: powiewał szmatką określonej barwy. Tutaj wtrącę ni w pięć ni w dziewięć, że mój przodek pod Gravelotte, chociaż nie czworonóg, widząc sztandar pułkowy w rękach nieprzyjaciela, w przystępie furii patriotycznej niejedną francuską czaszkę porozbijał kolbą i niejeden brzuch odwiecznego wroga otworzył bagnetem...

— Drastyczne porównanie! — protestuje von Wickenberg — Francuzi nas sprowokowali. *It takes two to make a quarrel*, jak mówią Anglicy!

Von Wickenbergowi nie można się dziwić: jego ojciec stoi na czele Ligi Monarchistów. Paps natomiast kiedyś tak powiedział:

— Obawiam się, że Herr Brandt, zamiast uczyć was historii, ogranicza się do oplotkowywania dziejów naszego narodu...

Brandt ani na chwilę nie dawał „oberprimie" do zrozumienia, że jest wykładowcą lub też, nie daj Boże, wychowawcą. Przychodził do klasy jak do kawiarni. Nie piął się, jak Studienrat Jacobi, na podium, nie zasiadał za potężnym pudłem katedry, ale przysiadał się na brzegu ławki lub oparty o kaloryfer, podtrzymując brzuszek małymi rączkami, gawędził o tym i o tamtym. Ba, częstował chłopców papierosami i nie bardzo wiadomo dlaczego, mówił do nich per „panie kolego"...

— *Herr Kollege* Hubert! Proszę wyjrzeć na korytarz, czy nie skrada się jakieś „oko i ucho" dyrektorskie — wysyłał jednego z młodzieńców na zwiady — A my tu sobie poplotkujemy...

I dalej się natrząsać z przemówienia polityka, który powiedział w Bochum na wiecu przedwyborczym: „Przestańmy mówić i pisać o Republice Weimarskiej. To było tak dawno — że w gruncie rzeczy nikt już nie wie, co się wtedy działo naprawdę, a bezstronnych świadectw o tamtej epoce jest bardzo mało"...

— Dobre, co? — śmieje się „dziadek do orzechów". — To taki profesor Hürzeler w Szwajcarii potrafił napisać całe studium o skamieniałych szczątkach szkieletu, znalezionego w Grosseto. *Oreopithecus bamboli* liczy sobie ponad dziesięć milionów lat. A my nie wiemy, co się działo w Niemczech przed trzydziestu laty? A może, proszę panów... — i tu przymruża chytrze oko — my nie chcemy wiedzieć?

Inni nudzą bez litości, dukają przez nos z podręczników (Pfirsich junior wkleja wówczas setną fotografię Brigitte Bardot do swego albumu), każą notować jakieś „punktacje" i „konspekty" do zeszytów (Herbert wypełnia wtedy kupony „Loto" i „Toto"), co więcej: każą wkuwać na pamięć. Albo, jak ten frant Jacobi, pławią się w odświętnym frazesie i dydaktycznym patosie. Natomiast Brandt uczy nie ucząc, od niechcenia i bardzo po swojemu. Fakty przeplata anegdotą. Z pomników wypuszcza trociny. Nie patyczkuje się ani z Bismarckami ani z Wilhelmami. Niejedna Cesarska Wysokość w jego interpretacji nabiera cech Studienrata Jacobiego. Trzeba było słyszeć, jak zabawnie opowiedział historyjkę o bohaterskim wyczynie kawalera orderu „Pour le mérite", o Ludendorffie, zdobywcy twierdzy Leodium przez pomyłkę... Brandt nie znosi Ludendorffa. Napiętnowując jego plany podbojów i masowych przesiedlań ludności, nazywa go duchowym ojcem chrzestnym tego „hycla z wąsikiem"...

Dość często dochodzi w klasie do sprzeczek. Von Wickenberg, na przykład, protestuje swoim pięknym basem:

— Pan profesor nazwał ostatnio dyscyplinę w armii Fryderyka Wielkiego „barbarzyństwem". Jest to, proszę mi wybaczyć, opinia nieco tendencyjna. Nie zapominajmy, że w tym samym czasie dyscyplina we flocie angielskiej była dwakroć większa!

— Gdybym był Anglikiem, mówiłbym panom o barbarzyństwach angielskich — odpowiada Brandt. — Będąc Niemcem, mówię o barbarzyństwach niemieckich...

Także i Xaver, satelita Wickenberga, nazywany w klasie „hrabiowskim giermkiem", wyraża swoje wątpliwości:

— Nie wierzę, żeby Bismarck mógł nazwać Francję „narodem zer i dzikusów"...

Brandt odpowiada z wyszukaną uprzejmością:

— Zechce pan łaskawie sprawdzić. Moritz Busch, „Pamiętniki", Lipsk, 1899, tom 3, albo: Hugo Ball, „W sprawie kry-

tyki niemieckiej inteligencji", Bern, 1919.

— Obawiam się — wydyma hrabicz wargi na przerwie — że nasz goniący w piętkę Brandt nie grzeszy nadmiernym poczuciem odpowiedzialności.

— A ja się obawiam — przedrzeźnia go czupurny Hubert — że w naszym biednym, gusłami zaczadzonym kraju nie brak umysłowych pigmejów, którzy każdy przejaw odwagi cywilnej z reguły nazywają ,,brakiem poczucia odpowiedzialności!"

Najsympatyczniejszy jest jednak Brandt wtedy, gdy ucieka się do małych, zacnych fortelików. Na przykład: pod srogim ,,słowem honoru" pożycza czasami ze swego prywatnego księgozbioru ,,kroniki skandaliczne". W wielkim zaufaniu zawierza na kilka godzin odpisy i fotokopie ,,ważnych dokumentów historycznych", podobno ,,jeszcze nieznanych światu naukowemu"...

Arturek też padł kiedyś ofiarą profesorskiego podstępu.

— Sensacyjne odkrycie — szepnął mu Brandt do ucha tonem tak namaszczonym, jakby wyjawiał tajemnicę bomby wodorowej. — Własnoręczne zapiski światłego monarchy. Poczynił je Johann von Sachsen w latach 1830-54, a więc jeszcze przed wstąpieniem na tron! Kapitalne! Nigdzie nie opublikowane! Powierzam tylko panu, Arturku! A na dodatek: prawdziwy rarytas, nieznany dotychczas list z tajnego archiwum! Generalfeldmarschall Alfred von Schlieffen pisze do swej siostry Luizy Gräfin Egliffstein, że sam Pan Jezus powierzył mu losy sztabu generalnego...

W kilka dni później Arturek, przechodząc ulicą, wybuchnął głośnym śmiechem. W witrynie popularnej księgarni, po dwadzieścia marek za sztukę, w płóciennej okładce, leżały dwie kilkuset stronicowe kobyły: ,,Listy" sławnego marszałka i ,,Wspomnienia" światłego monarchy...

Lecz nieraz Brandt przychodzi do klasy bez humoru, skupiony i poważny.

— Zaczynam się starzeć — wzdycha, kiwając główką — za długo żyję, proszę panów. Cała sztuka życia: umrzeć we właściwym momencie. Za dużo widziałem, za wiele pamiętam. Co kilka dni obchodzę jakąś swoją ,,rocznicę", jakiś swój ,,jubileusz", ważny tylko dla mnie, ale nie dla innych. Jak tej bawarskiej chłopce z Konersreuth, co jakiś czas odnawia mi się mój Wielki Piątek. Młodość chyba dlatego jest synonimem szczęścia, że nie ma poczucia czasu. Dopiero po pięćdziesiątce człowiek dokonuje sensacyjnego odkrycia: że każdy dzień przybliża go do śmierci...

Po dłuższych naleganiach opowiadał o sobie i o swoich dawnych, berlińskich przyjaciołach. Smutne to były wspominki...

— Właśnie dzisiaj mija ćwierć wieku — powiedział niedawno — gdy widziałem się z Carlem von Ossietzky'm po raz ostatni". Dlaczego nie uciekasz? — dogoniłem go na ulicy. — Lada chwilę cię złapią. Jedź razem ze mną do Szwajcarii. Przeczekajmy za granicą aż się t o skończy!" — ,,Wyjechałbym

z Niemiec" — powiedział — „kocham życie i wolność jak i wy, ale po namyśle dochodzę do przekonania, że bardziej niewygodny dla n i c h jestem tutaj !" I nie pojechał ze mną na dworzec. Poszedł za druty i... domyślacie się chyba co się z nim stało. Inny, z moich przyjaciół, spotkanych tego dnia na ulicy, nazywał się Hans Otto i był aktorem, niebyle jakim aktorem... Widziałem jak go wywlekali z garderoby teatralnej na ulicę, jak prowadzili go z wykręconymi w tył rękami do samochodu. Zginął następnej nocy na Prinz-Albrecht-Strasse, wyrzucony po śledztwie przez okno kancelarii na bruk więziennego podwórza. A wiecie, co zawołał do swoich oprawców w ostatniej chwili? To moja najpiękniejsza rola !"...

Brandt w milczeniu kręcił siwy włosek na palcu i jakby cały zmalał w swym niemodnym, znoszonym ubranku.

— Chińczycy, perfidny naród, mają okrutne przekleństwo w swoim języku : „Obyś żył w ciekawych czasach !" Ja, niestety, żyłem w bardzo ciekawych. I dlatego, drodzy panowie, radzę wam : proście opatrzności, by wam pozwoliła żyć w nudnych, nieheroicznych, przyziemnych i małych czasach. Ile razy bierzecie rano gazetę do ręki, cieszcie się że „nic się nie dzieje", a gdy was pytają : „co słychać?", mówcie zawsze : „NA SZCZĘŚCIE nic !". A jeśli wam jakiś blagier zacznie deklamować o „łopocie skrzydeł", „gorącym oddechu", „przyśpieszonym rytmie" czy innym idiotycznym „wichrze" historii przez duże „H", odwróćcie się od niego z pogardą, odpowiedźcie mu cytatem z „Goetza von Berlichingen"...

Brawo ! Taki jest nasz Brandt ! — pomyślał Arturek z czułością. Jutro z samego rana podejdzie do niego na korytarzu i wyjaśni mu wszystko. Niech wie, że zaszła pomyłka : Paps jest bez winy.

Zaczął przeglądać brulion z notatkami. Przekartował go raz, drugi i dziesiąty... I nagle ze zdziwieniem stwierdził, że brak w nim kartki z zadaniem o autostradzie i więźniach. Ze zmarszczonym czołem spoglądał na ślad wydartej stronicy.

Czyżby to zrobił... ? Nie, to niemożliwe !

— Nie rób przerażonej miny ! — posłyszał dźwięczny śmiech Papsa za plecami. — Nic się nie stało ! Tak jest, to ja wyrwałem tę kartkę ! Jako prezes komitetu rodzicielskiego mam chyba prawo wiedzieć, co się dzieje w szkole. Przynoszę ci „na dobranoc" szklankę gorącego mleka z miodem, coś dla cherlaków ! *Prost !*

Kątem oka dostrzegł olbrzyma na rozkraczonych nogach, w szlafroku z wielbłądziej sierści, w safianowych pantoflach, z kubkiem w ręku.

Bez słowa wyszedł z pokoju.

Dzień bez deszczu. I to się czasem zdarza w Bochum. Tylko wiatr klekoce w rusztowaniach neonowych reklam. Arturek pędzi na rowerze w stronę dworca, do biblioteki miejskiej. Spotyka się tutaj od pewnego czasu, najczęściej „przypadkowo", z nie-

dużą, czarnowłosą osóbką... Wypożyczają książki z tej samej biblioteki. Urzekła go tanecznym chodem i sposobem noszenia teczki. Chwilami miał wrażenie, że Gizela nie schodzi z chodnika, jak zwykli śmiertelnicy, ale sfruwa. A gdy słyszał jeszcze przy tym chrzęst usztywnionej haleczki, wydawało mu się, że to furkot niewidzialnych skrzydeł. Teraz większość dziewcząt otacza się obręczą *petticoat'u*, co ich spódniczki upodabnia do rozpostartego na roścież parasola lub otwartego spadochronu. Już się modnisie z „lepszych domów" nie mieszczą w za ciasnych szkolnych ławkach, nie dostosowanych do nowej mody. W takt tego ptasiego pół lotu pół kroku podskakuje jej na plecach związany kokardą „koński ogon". Teczki zaś nie nosi jak inne licealistki ! Nie ściska jej pod pachą. Nie obija jej o biodra. Buja nią wesoło w powietrzu jak mała dziewczynka...

Poznał ją z daleka po chodzie i po własnym, radosnym niepokoju. Co zrobić z rowerem? „Opieranie rowerów o ścianę surowo wzbronione" — ostrzegają napisy na każdym budynku. („Nasza wolność rośnie w ogródku tysiąca drobnych zakazików, co drugi napis : VERBOTEN!" — powiedział kiedyś Brandt). Oparł rower o drzewo i wybiegł jej na przeciw.

— Co za miły przypadek... — bąknął. Wyjął jej teczkę z ręki, przeszedł grzecznie na lewą stronę, i, speszony, nie umiał zacząć rozmowy. A tyle jej miał do powiedzenia, nazbierało się tematu co nie miara, słyszał ostatnio kilka świetnych dowcipów — wszystko pozapominał.

Gizela mu pomogła.

— Czy to prawda, Arturku, że nazywają cię w szkole „książkojadkiem ?" Twój przyjaciel Herbert twierdzi, że do każdego posiłku zjadasz jedną książkę — roześmiała się przymilnie.

— Poniekąd... — przyznał się z dumą. — Inni zajadają się jazzem, lambrettami, boksem, ja wolę książki. Przeczytałem już wszystkie książki ze zbiorów mego ojca (z wyjątkiem chemii, to mnie nie interesuje), przeczytałem wszystkie książki w bibliotece szkolnej...

— Wszystkie ! — zawołała z podziwem.

— ...wszystkie z wyjątkiem śmiecia dla smarkaczy, a teraz dobieram się do tej rudery — wskazał palcem na odrapany budynek. — Mój ojciec, ilekroć gasi mi światło o pierwszej w nocy...

— O pierwszej w nocy !

Jak przyjemnie się opowiada, gdy po każdym zdaniu rozlega się pisk podziwu !

— ...a nieraz i później, powiada : „Opamiętaj się, Turciu Kto w ogóle nic nie czyta, podobnie jak człowiek który nie je. ginie śmiercią głodową, ale kto czyta za wiele, pęka z przejedzenia" !

Arturek wie, że Gizela, w odróżnieniu od wielu płochych dziewcząt w jej wieku, też sporo czyta, chociaż szyderca z tej samej ławki, okularnik Herbert, powtarza często za Tomaszem Mannem, że „piękne dziewczęta nie mają sposobności rozwinię

cia pozostałych uzdolnień". Gizela gardzi modnymi obecnie romansami, w których bohaterka co kilka stron pojawia się w nowej sukni, w nowym samochodzie i z nowym mężem, natomiast najchętniej czyta o Indiach, o Dalekim Wschodzie... Gdy się mieszka w Bochum, nie można nie tęsknić do egzotycznego świata.

— Czy czytałeś książkę Bungaku Hakushi?

— Nie — przyznał się ze wstydem — ale chętnie ją przeczytam...

Ostatnio, gdy byli razem u Włocha na lodach, pozwoliła mu zajrzeć na chwilę do swego „dziennika lektury" w safianowej okładce (podarek od ojca).

Czując puszystość jej włosów na policzku, z zachwytem przyglądał się zadzierżystym kulaskom, tu i tam zakropionym kleksem:

Heinrich Böll: nie lubię; znów o wojnie, zbyt brutalne...

Thomas Mann: zabawne o tym Felixie Krollu. Czy to możliwe, żeby istniał taki hochsztapler? Dosyć dobre, ale film z Horstem Buchholzem lepszy.

Graham Greene: wstrząsające. Ten ksiądz w Meksyku nie powinien jednak był tyle grzeszyć. To ma być pisarz katolicki?...

Ernest Hemingway: „Pożegnanie z bronią" — całkiem niezłe. Część o wojnie mniej udana, ale tragiczne zakończenie wzrusza do łez... Film o całe niebo lepszy!...

Daisetz T. Suzuki: jakie to mądre! „Jeść tylko wtedy, gdy się jest bardzo głodnym, a spać gdy się jest naprawdę zmęczonym". Ducha, mówi, też można gimnastykować...

Françoise Sagan: „Bonjour Tristesse". Wszystko nieprawda! Papa powiedział niedawno: „gdy czytam książki o żołnierzach, jako stary żołnierz mogę stwierdzić tylko jedno: żołnierz taki nie jest! Gdy czytam książki o młodzieży, mogę powiedzieć tylko jedno: młodzież taka nie jest!...".

Ach, gdyby tam nawet napisała, że dwa razy dwa jest pięć, a Londyn leży nad Sekwaną, też by wycałował te kartki oczami!

W drzwiach wypożyczalni wpadli na Brandta i na młodego Pfirsicha, który pomagał profesorowi nieść książki.

— Tłok nieludzki! Ogonki przed okienkiem! — ostrzegał pastorski synek. — Tylko jeden jegomość obsługuje dziś sklepik, a w dodatku jest trochę głuchy, ślepcy, chromy i stuknięty!

— Wobec tego chodźmy na kawę! — powiedział profesor. — Ja państwa zapraszam!

W sąsiednim espresso, przy dymiącej filiżance, od razu przypomniał sobie nową historyjkę:

— Gdy byłem młodzieńcem w waszym, panowie, wieku — aż zatarł rączki z zadowolenia — pożyczałem mądre dzieła z biblioteki miejskiej we Frankfurcie. Któregoś dnia (a było to jeszcze przed tamtą wojną), przy odnoszeniu jednego z wypożyczonych atlasów, spotkała mnie fatalna przygoda. Nie wiem, czy w obecności młodej damy godzi się o tym mówić...

— Proszę bardzo — pisnęła Gizela.

— Otóż przez roztargnienie zapomniałem wyjąć coś ze środka, he-he, coś raczej niecenzuralnego. A mianowicie kilka niezbyt przyzwoitych pocztóweczek, przechowywanych przed czujnym, ojcowskim okiem w głębi opasłego tomiska...

— A wstyd, profesorze, wstyd! — wybuchnęli radością na całe espresso.

— Właśnie! Stanąłem więc przed bibliotekarskim kontuarem, zaczerwioniony jak panienka, jak ówczesna panienka. Sędziwy kustosz, wykapany profesor Unrat z ,,Niebieskiego anioła'' w kreacji Emila Janningsa, zmierzył mnie od stóp do głów, a potem przez grube okulary przyjrzał się każdej Lorelei z osobna. Przypadek zrządził, że między te niecne obrazki przyplątała się również patriotyczna pocztówka ze złoconym napisem ,,Cesarz pojmany'', na której zgnębiony Napoleon III ze spuszczoną głową stał przed zwycięskim Bismarckiem. Tu smutno spuszczona w dół bródka, tam wąsy dumnie pnące się w górę, i napis w zielonym wianuszku: *Sic transit gloria mundi*. Stary kustosz, ciągle jeszcze groźnie mierząc mnie okiem, wziął i ten bohomaz do ręki, a ja stałem z sercem bijącym w gardle, skazaniec w oczekiwaniu egzekucji. Cisza trwała dość długo, wreszcie podszedł do mnie tak blisko, że poczułem jego sztywny półkoszulek na swojej piersi. — ,,Młody człowieku, opamiętaj się! — syknął mi do ucha zgorszonym szeptem — znalazł się pan na drodze wiodącej do hańby, do upadku, do grzechu! Nie mam nic przeciw kobiecej urodzie — oddał mi nieprzyzwoite zdjęcia, sam mi je nawet wcisnął do kieszeni — ale brzydzi mnie każdy przejaw patriotycznej pornografii! Jestem zgorszony!'' — zawołał i podarł ,,Cesarza pojmanego'' na drobne kawałeczki...

Młodzieńcy aż klasnęli z uciechy w dłonie.

Gdy profesor zniknął z Pfirsichem za drzwiami (widocznie nie chcieli im przeszkadzać), Arturek zapytał:

— Podobała ci się ta historyjka?

— Nie! — wydęła wargi.

— Dlaczego?

— Bo nie lubię Brandta!

— Dlaczego? To uroczy człowiek!

— Być może — odpowiedziała Gizela — ale mój ojciec go nie lubi, więc ja go też nie lubię...

Jakie to dziwne — pomyślał ze smutkiem. — Paps go nie lubi, ojciec Gizeli go nie lubi... Cóż im zawinił ten niepozorny, skromny człowieczek w lichym ubranku, zawsze dla wszystkich grzeczny i delikatny, pozdrawiający świat i ludzi pomiętym kapeluszem i przedpotopowym parasolem?

Znowu doszło do różnicy zdań z Papsem. Tym razem na temat ,,siły''.

Paps czytał ,,Le Figaro'' w gabinecie. Wypuszczał przy tym bukieciki dymu. W pewnej chwili wyjął cygaro z ust i mruknął niechętnie:

— Francuzi, jak zawsze, przesadzają. Nie jesteśmy dzisiaj żadną potęgą. Owszem, mamy pieniądze i poważne osiągnięcia eksportowe, ale za to pogłębia się u nas niebezpieczny na dalszą metę proces duchowej ,,szwajcaryzacji'' republikanów związkowych; stajemy się narodem sybarytów, pozbawionych wyobraźni historycznej...

— Jesteśmy słabi? — zdziwił się Arturek.

— Jesteśmy podzieleni i bezbronni. Póki nie odzyskamy ziem utraconych, nie możemy marzyć o silnych Niemczech...

— Po co mamy o tym marzyć? Dlaczego mamy być silni i w imię naszej ,,wyobraźni historycznej'' znowu rozpychać się łokciami po całej Europie? — próbował podyskutować — Czy wielkość narodu zależy od jego siły fizycznej?

— Słabi i biedni na świecie się nie liczą, mój Werterze! Spamiętaj sobie: duże ryby zjadają małe ryby...

— Profesor Brandt powiada, że...

— Tylko błagam cię — przerwał mu Paps — zaoszczędź mi cytowania mądrości pana Brandta. On was, chłopcy, rozbraja. Jesteście jeszcze za młodzi, żeby zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa...

— Z jakiego niebezpieczeństwa?

— Pamiętaj, że szczurołap gra na fujarce, a wy, jak te biedne obałamucone dzieci z Hameln, wchodzicie za nim do wody. Niemcy, wbrew opinii panów Brandtów, muszą być silne!

Taka to i dyskusja z Papsem... ,,Muszą'' i — już!

Raz na tydzień, zazwyczaj w piątek, świetlica szkolna zmienia się w narożnik londyńskiego Hyde Parku: ,,wolna trybuna'' ma głos! Aparat telewizyjny idzie w kąt, *juke-box* ginie pod teczkami, na stole bilardowym rośnie góra płaszczy i kurtek, a na parapetach okiennych, jak w loży, zasiada z podkurczonymi nogami kwiat dyskutantów.

— Panie profesorze, czy mam przerwać obrady? — zapytał przerażony Arturek, widząc że rozjuszony Herbert czai się w tylnej ławce do skoku na hrabicza von Wickenberga. — Przecież oni się pozabijają!

— Ależ kłóćcie się, panowie, wyrywajcie sobie włosy! Bijcie pięścią w stół! Uczcie się niezgody i buntu! — śmiał się ,,dziadek do orzechów''. — Pamiętajcie, że zgoda rujnuje, a jednomyślność najczęściej kończy się katastrofą! Młodość ma swoje prawa. Turysta przybywający do Paryża przypuszcza, że krzesełka kawiarni ulicznych na Champs Elysées służą tylko do siedzenia. Nie tylko, proszę panów! Na szczęście służą one także do rzucania w policję!

Klub dyskusyjny *Heisse Köpfe,* któremu Brandt umyślnie podrzucał łatwopalne tematy, przypomina walkę kogutów. Na przykład przy omawianiu protestu studentów monachijskich, którzy nie chcą na frontonie swej uczelni oglądać napisu *Dulce et decorum...,* gdyż uważają mądrość Horacego za ,,niezgodną z duchem czasu'', Xaver, nazwany przez Pfirsicha ,,ścierwem

armatnim", zabłysnął słynnym na całe Bochum ,,lewym sierpowym", za co go trzeba było zawiesić w prawach członka.

Herbert, rywal do prezesury Klubu, popisał się przy tej okazji angielszczyzną, deklamując wiersz poległego poety, Wilfreda Owena:

,,my friend, you would not tell with such high zest
to children ardent for some desperate glory
the old lie: dulce et decorum est pro patria mori...

— Anglicy apostołami pacyfizmu, obym nie dostał przepukliny ze śmiechu! — przerwał mu von Wickenberg. — Panowie, nie bądźcie dziećmi! Zobaczcie, co ci humanitaryści wyprawiali w Kenii, co wyprawiają na Cyprze! Już Theodor Fontane powiedział o nich prawdę: *Sie sagen Christus und meinen Kattun!...*

— Kolego Wickenberg! — upomina go Arturek. — Statut naszego Klubu zabrania nienawiści między narodami.

— Wickenberg ma rację! — krzyknął Xaver, przysłowiony Filip z konopi. — Inni wołają: *Rule Britannia, Britannia rule the waves,* inni wołają, że *Grande Nation* i *Gloire* i *God bless America!,* a niech tylko ktoś z nas zaśpiewa *Deutschland über alles* od razu podnosi się krzyk na całym świecie!

— No, jak myślisz, Xaver, dlaczego? Zastanów się! — powiedział na to Pfirsich. — Czy w ciągu ostatnich 50 lat nic się takiego nie stało, co by usprawiedliwiało nieufność innych narodów?

Xaver zastanawiał się bardzo długo, wreszcie ze spuszczoną głową usiadł bez słowa. Musiał mu jednak ktoś coś podpowiedzieć do ucha bo nagle wyrzucił ze siebie:

— Tak, tak, *alles stimmt,* ale podczas alianckiego nalotu na Drezno zginęło 250 tysięcy ludzi!

— Dyskutujemy o maksymie Horacego! — przypomniał Arturek.

Jeszcze więcej namiętności wzbudziła wśród ,,Gorących Głów" dyskusja o służbie wojskowej. Podstawę do wymiany zdań stanowiła notatka w prasie, mówiąca że trzej młodzieńcy w Hamburgu odmówili pójścia do wojska, powołując się na artykuł pierwszy Konstytucji (wzmianka o ,,godności człowieka"). Młodzi Hamburczycy, według tej notatki, mieli oświadczyć, że sumienie nie pozwala im szkolić się w sztuce okaleczania i zabijania bliźnich...

— Świadkowie Jehowy! — roześmiał się ktoś pogardliwie.

— ,,Komisja orzekająca" — czytał Arturek — ,,odrzuciła jednak ich protest, wychodząc z założenia, że nie są jeszcze na tyle dojrzali, aby przeżywać konflikty sumienia..."

— ...ale są na tyle dojrzali, by zabijać innych! — krzyknął rozdygotanym głosem Pfirsich. — Hańba!

— ,,...sąd krajowy w Hamburgu — ciągnął Arturek na krześle przewodniczącego Klubu — stanął po stronie opornych, przyznał im prawo uchylenia się od służby z bronią w ręku.

Gerichtsrat Schümann na zakończenie sprawy powiedział: ,,Przygotujcie się teraz na bardzo ciężkie lata. Dzisiaj potrzeba nie byle jakiej odwagi, by *nie* pójść do wojska, o ile łatwiej jest zostać żołnierzem! Żaden człowiek szlachetny nie nazwie was tchórzami''... Kto chce być sobie wierny, na stromą wchodzi drogę, ale tylko taka wiedzie w górę... — tych słów nie było w gazecie, Arturek dopowiedział je w zamyśleniu. — Otwieram dyskusję. Co koledzy sądzą o tej sprawie?

Pierwszy do głosu zapisał się filmowo piękny von Wickenberg w zamszowej marynarce. (Gizela nazywa go *Mister Bochum*). Przypomniał sławne powiedzenie jednego z mężów stanu (nie mógł sobie na razie przypomnieć którego), że ,,historia nas poucza, iż narody które nie chcą nosić własnych karabinów, z czasem muszą nosić broń najeźdźców''. Otóż to! Gdyby tak wszyscy młodzi Niemcy nad Renem chcieli pójść śladem trzech Hamburczyków, przestalibyśmy istnieć jako wolne państwo. Nie zapominajmy kto namawia młodzież do tego typu demonstracji i w czyim one leżą interesie. (Wymownym gestem wskazał na wschód). Co jest ważniejsze: pokój czy wolność? — zapytał na zakończenie. — Pacyfiści z reguły nie myślą kategoriami politycznymi, oni tylko szlachetnie czują. Fałszywy humanitaryzm staje się bezwiednym sojusznikiem przemocy. On, von Wickenberg, chociaż brzydzi się wojną na równi z innymi, nie ma jednak pod tym względem najmniejszych wątpliwości moralnych, nie przeżywa wewnętrznej rozterki, sumienie każe mu się opowiedzieć za wolnością...

— *Dixi et animam meam salvavi!* — zawołał na zakończenie.

Skłonił się grzecznie i usiadł. Oklaski, gwizdy, tupot nóg.

— *Herr Graf, der Freiheitskämpfer!* — zapiał ktoś szyderczo. — Ministrant! Łaciną się popisuje!

Z kolei przemawia Hubert, przysięgły wróg hrabicza. Okulary pokryły mu się parą, znak że jest podniecony do granic eksplozji; najczupurniejszy kogutek w całej klasie.

— Im dłużej żyję na świecie, tym większy ogarnia mnie przestrach — pokazuje ręką na swego przedmówcę. — Kolega Wickenberg przeraża mnie swoim rozumowaniem. To nie jest rozumowanie, to jest dreptanie w kółko i powtarzanie starych, tylekroć razy skompromitowanych formułek. Powiada nam, że nie ma wyjścia z sytuacji, że musimy się zarzynać w imię ideałów. A najsmutniejsze jest to, że o kilkaset kilometrów stąd, w podobnym klubie młodzieży, wstaje jakiś drugi Wickenberg (ale bez ,,von'') i pokazując ręką na zachód powiada, że i jemu sumienie każe ,,opowiedzieć się'' za ,,wolnością'', za ,,pokojem'', za ,,zdobyczami świata pracy'', za tą lub inną granicą, i — dlatego będzie strzelał! Ja już dawno odkryłem przyczynę wszystkich nieszczęść na świecie — woła dziewiętnastoletni pesymista. — Dopóki ludzie w coś wierzą, wypuszczają sobie flaki z brzucha. Koledzy, błagam was: nie wierzmy w nic! Precz z ideałami!

Wrzawa, gwizdy, omal nie dochodzi do bijatyki. Arturek na próżno prosi o spokój i grozi zamknięciem zebrania...

— Ale w jedno chyba pozwolisz mi wierzyć — huczy von Wickenberg — że jesteś skończonym osłem!

— Zachowujecie się jak sztubacy! — woła Arturek.

Gdy z jeszcze nie ostygłymi uszami, z błyskiem w oku opowiadał o tym zebraniu Papsowi przy kolacji, posłyszał — ku swemu przerażeniu — słowa, które jeszcze dzisiaj, po kilku dniach, bolą go w piersiach jak nie wyjęte odłamki kul.

Paps odsunął talerz i mrużąc nieduże, jasnymi rzęsami rozmrugane oczy, powiedział:

— Mam nadzieję, że nie zrobisz podobnego głupstwa. Ci z Hamburga na pewno byli inspirowani. Trzeba znać życie, mój Turciu!

Chłopiec zapatrzył się w obrus.

— I jeszcze jedno — posłyszał przesadnie wesoły głos Papsa — Nie zapominaj, że nasza firma wykonuje półmilionowe zamówienie dla wojska. Nie podcina się gałęzi, na której się siedzi!

Szczęśliwy, kto nie musi mieszkać w Bochum!

Jadowity dym pnie się na niebo, niebo jest brudne, sadze kładą się na liściach kasztanów, na końcu języka czujesz kwaśny pył. Już po obiedzie robi się za oknami rdzawo i sino, samochody zapalają światło we mgle. Powietrze przesycone węglem, chemikaliami i lepką wilgocią.

Ale Arturek, jak każdy zakochany, nie dostrzegał brzydoty tego świata. Trzymając Gizelę za rękę, rozdeptywał w parku kałuże, mijał zgniłe i czarne zielsko, smutny i uśmiechnięty zarazem. Cóż za dziwne uczucie! Doświadczał go po raz pierwszy. Czuł kwitnącą gałązkę bzu pośrodku czupryny i gwóźdź w sercu. Jeszcze się przechodnie zaczną za nim oglądać: stąpa teraz po rozwirowanej planecie nagi i śmieszny, a przy tym bliski płaczu. Byli po pierwszym pocałunku, onieśmieleni sobą, pełni radości i lęku.

Przejechały autobusy z łoskotem. Zadzwoniły tramwaje za zakrętem. Nowa zmiana jedzie do roboty. Coś błysnęło w gałęziach. Pewnie neon lub latarnia, bo skąd by się nagle księżyc wziął nad nieromantycznym miastem? Mokry wiatr sypnął ulotkami żółtych liści. A on myśli zebrać nie może, wszystkie słowa pogubił w ciemności, i tylko futerał od skrzypiec ściska kurczowo pod pachą.

— Co ma robić zakochany, gdy nie umie śpiewać ani pisać wierszy?

— Westchnąć, głęboko westchnąć — odpowiedziała z westchnieniem.

Sięgała mu do ramion. Do pocałunku musiała się wspiąć na palce. Była drobna i nieśmiała, oczy połyskiwały jej czarnym szkliwem. Jakże inna od swoich rówieśniczek, od tych krzykliwych, wysportowanych dziewcząt w ,,blue-jeansach''

i zamszowych kurtkach, do których należał cały świat. Chłopcy z ,,oberprimy'' — cóż za niesprawiedliwość — nazywali ją ,,Mysim Pyszczkiem''...

— Napiszę do ciebie długi list!

Rozpadało się czarnymi kroplami. Po nagich pniach ścieka brudna woda. Idzie jesień, smutna i długa. Pobiegli na przystanek.

— Gizelo! Gizelo! — wołał przed siebie. — Spójrz, słońce świeci, ptaki śpiewają, wiosna na świecie! Dzięki tobie nawet Bochum ładniejsze od Capri!

Ach, już nadjeżdża przeklęte pudło, już trąbi za rogiem!

— Kiedy cię znowu zobaczę? — wyrzucił ze siebie w popłochu na widok nadjeżdżającego autobusu. — Może jutro?

Twarz jej zmalała pod ceratowym kapturem.

— Dopiero za tydzień — zawołała — a może za dwa...

— Dlaczego? — poczuł ból pod sweterkiem.

— Bo widzisz... w związku z tymi przykrościami, jakie spotykają ojca — mówiła z wysiłkiem — wyjeżdżamy z mamą do Szwajcarii...

Autobus już hamował. Kilku niecierpliwych rzuciło się ku drzwiczkom.

— ...więc ojciec też mówi, żeby wyjechać na jakiś czas, tak będzie lepiej. Na pewno czytałeś w gazecie... ale mój ojciec jest niewinny!

— Nic nie wiem! — skłamał. — To jest...

Wiedział. Całe miasto wiedziało. Nie było dnia, żeby nie mówiono i nie pisano o ,,sprawie Scharffa''.

Biedna Gizela! Przytulił ją do siebie i pocałował w mokrą od deszczu grzywkę.

— Wszystko będzie dobrze! — zakrzyknął na pożegnanie. — Ja jestem po twojej stronie!

Wracając do domu, wystawił twarz na deszcz. Zimny, mokry okład studził gorące czoło, koił smutek rozłąki. I zaczął się po chwili zastanawiać, czy powiedział prawdę. Oczywiście, jest po jej stronie, ale... Ale czy po stronie jej ojca? Jeśli prawdą jest co o Scharffie powiedział kiedyś profesor Brandt, a Brandt na pewno nie należy do kłamców... Przypomniał sobie szczegół, który ostrą drzazgą zaszedł mu za skórę. Rok temu podarował Gizeli na urodziny wzruszającą opowieść o rodzeństwie Scholl pod tytułem: *Die weisse Rose,* wspomnienie bezimiennego bohaterstwa kilkorga studentów, zbuntowanych przeciw potędze wielomilionowej masy. Następnego dnia książka wróciła przez pocztę z karteczką: ,,Proszę nie przysyłać mojej Córce takich podarków — Walther Scharff''. Słowo ,,takich'' było podkreślone dwa razy...

,,Rodziców nikt z nas sobie, niestety, nie wybiera — powiedział kiedyś pastor Pfirsich. — Rodziców dostaje się w podarku od Pana Boga''...

Arturek rozwiązał apaszkę pod szyją i znowu westchnął.

Kiedy stary Praxmeyer znowu przysłał z Wiednia komplet znaczków pocztowych, tym razem na *poste restante,* Arturek przypuścił szturm do ojca :

— Sam już widzisz, drogi Papsie — zagaił przy kolacji — że jestem dorosłym mężczyzną, wąsy mi się sypią, w bociany już nie wierzę, wolno mi chodzić na filmy niedozwolone dla młodzieży, za parę miesięcy kończę szkołę...

— Brawo, brawo ! — posłyszał śmiech ojca.

— Uszanuj więc moją dojrzałość i powiedz mi wreszcie, co jest, *zum Kuckuck,* z bojkotem dziadka Valentina ? Tajemnica rodu Rodriganda ?

Ale ojcu z miejsca popsuł się dobry humor.

— Nic ważnego, młody detektywie, nie ma żadnej tajemnicy ! — nasrożył się jak indor. — Niesympatyczne dziadzisko, to wszystko. Intrygował między mną a mamą. Trzeba ci wiedzieć, że Praxmeyerowie przy wszystkich swoich zaletach to prości ludzie, z wiedeńskiego gminu. *Viel Gemuetlichkeit, aber wenig Bildung...*

— O jej, a my co za jedni ? zezłościł się Arturek. — Arystokracja z czasów Barbarossy ? Kawalerowie maltańscy czy co?

— Ostermannowie byli niegdyś majstrami u Kruppa, to fakt — odpowiedział Paps, wyraźnie urażony — ale nigdy nie kelnerowali.. A już mój ojciec był inżynierem !

— I dlatego mamy unikać starego Valentina ?

— Powtarzam ci : to ciasny, parafiański łeb. Jeszcze dzisiaj nie może odżałować, że nie wydał córki za jakiegoś wiedeńskiego ,,Kommerzialrata'' czy c.k. urzędnika. Tymczasem jego jedynaczka, o zgrozo, wyszła za Westfalaka, w dodatku za ewangelika... Ale wolałbym już o tym nie mówić — ziewnął — jestem zmęczony ! Jutro z samego rana jadę pod Darmstadt !...

Arturek wyszedł z pokoju, nie mogąc się oprzeć podejrzeniu, że Paps nie powiedział mu całej prawdy ! Będzie to trzeba kiedyś sprawdzić... A może by tak po kryjomu wyskoczyć do Wiednia ?...

Przeszedł długi, niekończący się tydzień. Jesienne dni kładły się na miasto dymem i sadzą, spływały lepkim deszczem.

Spóźniał się ostatnio do szkoły, wyczekując listonosza na rogu ulicy. O, męko czekania na list, znana tylko zatrutym tęsknotą ! Przedwczoraj — nic, i wczoraj — nic, aż wreszcie dojrzał błękitną kopertę ze szwajcarskim znaczkiem, przygniecioną plikami ciężkich gazet. Wyjął ją z torby ostrożnie jak ranną przepiórkę z tarniny, wygładził zmarszczki i pomięcia. Serce zabiło w nim silniej, z zakłopotania uścisnął rękę listonoszowi.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — wymamrotał, zaczerwieniony.

List od Gizeli! Stempelek: St. Moritz. Drżącymi palcami wypruł chrząszczącą podszewkę koperty. Owiał go zapach perfum. Arturek patrzył na kulaski, niegodne osiemnastoletniej, a więc już dorosłej kobiety, i z początku nie widział nic: koślawe literki pływały w powietrzu, każda z osobna wzbijała się ponad brzeg listu, trącała go lekko w palce, pięła się na parkan sąsiedniego ogrodu, znikała w zrudziałej zieleni...

Gizela! Przerażona twarzyczka pod ceratowym kapturem, czarne szkliwo, przytrzepotane rzęsami... Wbiegł do najbliższej bramy i przez sypiącą się z czoła czuprynę zaczął czytać...

„*Kochany Turciu* — mówiła z daleka, słyszał jej cichy, nieśmiały głos — *nawet nie wiesz, jak mi tutaj smutno bez Ciebie. Mieszkamy w pensjonacie o dziwnej nazwie* „Bonjour". *Z mojego okna widać śnieg i wspaniałe góry, ale stale myślę o naszym pięknym parku i o ostatniej przechadzce z Tobą...*

— Ja też! — szepnął ku nieforemnym literkom.

„...*Mama nie wstaje z łóżka i stale popłakuje. Podobno profesor Brandt namawia was, abyście całą klasą wybrali się do Teisendorfu na rozprawę. To do niego podobne. Jeśli mnie choć trochę lubisz, nie rób tego. Nawet jeśli myślisz, jak inni, że mój papa jest winny. Ludzie go nie lubią, jest surowy i wymagający, ale my w domu znamy go chyba najlepiej. Ach, sama już nie wiem i staram się o tym wszystkim nie myśleć. Winny czy niewinny, jest przecież moim ojcem. Nigdzie tutaj nie wychodzimy. Mamie wciąż się zdaje, że ludzie pokazują na nas palcami. Siedzę na werandzie i wkuwam ohydną łacinę, żeby przez te sądy i rozprawy nie zostać na drugi rok. Może mi się uda wyciągnąć mamę na wieczór na* „Love in the afternoon". *Wiesz, kto gra? Nasza ulubiona Audrey Hepburn, cośmy ją razem widzieli w* „Roman Holiday"... *A właściwie, to może jednak... jedź do tego Teisendorfu? To przecież tak jakbym ja tam była. Sama już nie wiem. Napisz mi, proszę, długi i wesoły list... Pozwalą Ci się pocałować* (*w policzek*) Twoja — Gizela".

Arturek znowu westchnął, chyba po raz setny w tym tygodniu, i schował list do kieszeni. O! Gdyby tak teraz wpadł na starego Scharffa, powiedziałby mu prosto w oczy: „Widzisz, człowieku, coś narobił!"...

Kwadrans po ósmej! Znów się spóźni! Studienrat Jacobi otworzy mu drzwi do klasy przesadnie grzecznym ruchem i znów wypowie ten sam kretyński dowcip: „Punktualność jest grzecznością królów. Od razu poznać, że Ostermann jest republikaninem!"...

Puścił się w stronę szkoły aż ołówki, cyrkle i linijki zaklekotały w głębi teczki. Dopiero w pobliżu parku, na widok znajomej alei, zwolnił kroku. Tak, to było tutaj, pod wysokim kasztanem... Miejsce łatwo rozpoznać, choćby po zmąconym oddechu. Jak liść mokry do czoła przylgnął mu do serca werset gdzieś zasłyszany, bodaj strzęp dawnej piosenki z różowego saloniku:

„Denk im Traum, dass wir uns lieben
und dass wir uns nie verlieren...”.

Za tydzień proces Scharffa! Dopiero za tydzień!...

Najsmutniejsze są niedziele. Smutne i zakłamane od samego rana. Emma pędzi do swojej parafii, gdzie zdartym altem śpiewa na chórze, a Paps nakłada melonik i jedzie do zboru.

— Nie trawię Pfirsicha — stęka po drodze. — Już za samo wysłuchiwanie jego dyletanckich bredni o wodorze i kobalcie należy mi się jakaś premia na tamtym świecie, ale trzeba się pokazać...

Arturek jest zgorszony.

— „Pokazać?” — pyta.

— Jestem pracodawcą. Zatrudniam setki ludzi. Nie mogę nie iść do kościoła. To należy do moich obowiązków...

— ... handlowych! — wtrąca młodzieniec z piekącą ironią. — Powinieneś więc w jedną niedzielę zaglądać do zboru ewangelickiego, a w drugą odwiedzać kościół katolicki. Klientela jak wszędzie...

— Żebyś wiedział! — mówi Paps na serio. — W dwudziestą rocznicę „Kristallnacht”, „Sanitas” otrzymał listę składek z Bonn, oczywiście dobrowolnych. Nie mogłem nie posłać tysiąca marek na odbudowę spalonej synagogi w Hamburgu...

Arturek poczuł się tą rozmową zawstydzony. Żałosny jest los dyrektora Zakładów Chemicznych — pomyślał ze smutkiem. — W stałej gonitwie za kompromisem. Z władzami dobrze, z kościołem dobrze, z wojskiem dobrze, z wszystkim dobrze...

Weszli do środka. W pierwszej ławce siedziała pastorowa, kubek w kubek podobna do swego męża. Taki sam Pfirsich, tylko w spódnicy. Arturek od razu przypomniał sobie iście starokawalerską szpileczkę Brandta: „Kochające żony po wielu latach pożycia małżeńskiego robią się podobne do swoich mężów. Nic dziwnego: także i dozorcy więzienni po długoletniej służbie upodobniają się fizycznie do pilnowanych przez siebie przestępców”...

Pastor Pfirsich, nieduży, ascetyczny człowieczek, z reguły prawiący kazania podenerwowanym, zbyt wysokim głosem, tym razem nie mówił o wodorze ani o kobalcie, ale opowiedział wiernym o jakimś młodym człowieku, który niegdyś był działaczem „Hitlerjugend”, a po wojnie gdy się dowiedział, jakim bogom służył, pojechał do Izraela i tam jako zwykły robotnik buduje drogi za pokutę...

— Bajeczka dla grzecznych dzieci — dobiegł ich szept z sąsiedniej ławki. — Pfirsich się postarzał...

— Skarżymy się często — wołał zasuszony, do puszczyka podobny pastor — że wyrządzono nam wielką krzywdę, pozabijano nam najbliższych, rozdarto nam ojczyznę, ale czy pamiętamy przy tym o krzywdach wyrządzonych innym? I myśmy

zabijali ludzi, rozrywali obce kraje na ćwierci, deptali prawa ludzkie i boskie! Ile zbrodni, ile spalonych miast i wiosek, ile krwi i łez ciąży na naszym sumieniu! Gdyby na gigantycznym stosie ułożyć na sobie ciała pomordowanych Żydów, urosłaby góra wielekroć wyższa od najwyższego szczytu świata!...

— Niesmaczne! — skrzywił się Paps.

— Czy pomyślał kto z nas, że trzeba to wszystko naprawić? — ciągnął pastor — Każdy z nas *osobiście* odpowiada za grzechy braci swoich...

— Nonsens! — szeptał malkontent z sąsiedniej ławki — Każdy odpowiada tylko za siebie!

Jedna z gazet oskarżyła pastora ostatnio o ,,obrazę munduru''. I tej sprawie poświęcił kilka rozgniewanych uwag:

— Gdybym był napadł na straż ogniową — irytował się na ambonie — która, jak wiemy, nie wznieca pożarów, ale je gasi, uważałbym zarzut za słuszny. Ale wojsko, najkoszmarniejsza instytucja, jaką znają dzieje ludzkości, instytucja służąca do obcinania rąk i nóg, wypruwania jelit, oślepiania, zatruwania gazem, palenia fosforem, tratowania gąsienicami! Martwiłbym się, gdyby mnie ktoś oskarżył o obrazę munduru kolejowego lub poczciarskiego, bo to szlachetne, użyteczne zawody, ale wojskowego?...

— Pacyfista! — rozległ się syk w sąsiedniej ławce. — Nie brak wojen w słusznej sprawie.

Po sumiennym odśpiewaniu wszystkich na tablicy numerkami zapowiedzianych psalmów (Paps, o dziwo, śpiewał z pamięci, ani razu nie zajrzał do kancjonału), wyszli na ulicę. Na progu świątyni Paps uścisnął dłoń kilkudziesięciu znajomym, wypytał ich o zdrowie, pogratulował pastorowi znakomitego kazania, a gdy wsiedli do samochodu, powiedział:

— Chwała Bogu, skończyło się! Poziom intelektualny Pfirsicha kwalifikuje go na misjonarza w głębi Afryki. Ten człowiek ma nas za niedorozwiniętych umysłowo Murzynków. Jestem gotów podarować dwa tysiące marek na założenie takiej placówki w Kongo czy w innym Kamerunie, byle tylko pastora przenieśli tam jak najszybciej! A ludożercy, który się złakomi na ten żylasty kąsek, gotów jestem posłać środek na przeczyszczenie...

Chłopiec się nie roześmiał. Ten typ humoru był mu zbyt westfalski. Natomiast Paps, szczerze zadowolony z własnego dowcipu, wybuchnął głośnym śmiechem. Arturek od razu przypomniał sobie podobny śmiech. Przed paru dniami w kinie, w kronice aktualności, pokazywano tłumy chińskiej biedoty ewakuowanej z ruin zbombardowanej wysepki: załadowane betami riksze, bosa dzieciarnia, staruszki zgięte pod ciężarem olbrzymich tobołów, ranni kuśtykający o kulach. Przypadek chciał, że ślizgający się po tłumie obiektyw na jednym z wózków pośród rupieci i garnków uchwycił na sekundę nocnik. Spostrzegawcza tłuszcza ryknęła potężnym śmiechem. Przez parę minut całe kino

szalało z radości. ,,— *Ha-ha-ha! Ein Nachtgeschirr! Ein Nachttopf! Zum totlachen!...* Oto i całe Bochum!

— Pastor Pfirsich, jak każdy porządny człowiek — odciął się ojcu — nie ma zbyt wielu przyjaciół...

Za trzy dni proces Scharffa!

Uczepił się tej daty kurczowo, jakby miała oznaczać punkt zwrotny w jego życiu i jakby od niej Bóg wie co zależało na świecie, a to tylko rosnąca niecierpliwość serca, a to zwykła tęsknota... Mija nowy tydzień odkąd Gizela wyjechała do Szwajcarii, a wydaje się że minęło kilka długich i ciężkich lat. Jeszcze trzy dni do tego nieszczęsnego procesu, który zasmuca im życie. Przeklęte Bochum! Uciec stąd na drugi koniec świata, zostawić za sobą czerwone mury i czarne sztachety! Snuł się po bezludnym parku, przygarbiony samotnością i tęsknotą. Dopiero teraz, za dnia, dostrzegał brzydotę rozdeptanych liści w kałużach. Bolał go widok odrapanych ławek z wyciętymi sercami na poręczach. Wyskubana łączka, którą biegli ostatnio ze śmiechem, przypominała torfowisko. Wszystko umierało w powietrzu. Nawet wróble na nagich gałęziach wydawały mu się zachlapane błotem i odarte z pierza...

A może należało pobiec wraz z tysiącami barbarzyńców do hali gimnastycznej na koncert zamorskiego mistrza Rock'n' Rolla, Billa Haley'a? Już pięć wozów policyjnych i dwie motopompy magistrackie popędziły w tamtą stronę! Znowu będzie ryk, tupot, łamanie krzeseł, dziki taniec na ulicy i bijatyka z policją...

— Dziwne z ciebie stworzenie, Turciu, — powiedziała kiedyś Gizela. — Ty lubisz się smucić. I nigdy nie wiem o czym ty naprawdę myślisz...

Paps znowu wyjechał. ,,Sanitas'' pochłania go całkowicie. Tym razem jakaś ważna konferencja we Frankfurcie, a potem krótki wypad pod Darmstadt: otwarcie nowego laboratorium...

— W ciągu dwóch ostatnich lat potroiliśmy obroty! — oznajmił przed wyjazdem. — Nasze wytwory znane są na światowym rynku. Marka ,,Sanitas'' *made in Germany* nie jest już pustym pojęciem ani w Kapstadt ani w Manili, ani w Reykjavik ani w Damaszku!

— Gratuluję! Starasz mi się, chłopcze! — mówi Arturek, dumny z ojca. — W nagrodę za pilność dostaniesz ode mnie rower na Gwiazdkę!

I jednocześnie żałuje, że nie pociąga go chemia ani zarysowujące się w dalszej perspektywie objęcie ,,Sanitasu'' po ojcu.

— Nie da rady! — śmieje się Paps — siodełko pęknie pod moim ciężarem. — Serwus! Zadzwonię do ciebie z drogi!

Całuje go w czoło i przeskakując stopnie zbiega do samochodu, niewolnik zegara i rosnących z każdym rokiem obrotów.

— Dlaczego ty tyle harujesz? — zapytał kiedyś ojca ze

współczuciem, widząc że Paps leży na tapczanie blady, z workami pod oczami.

— Żebyś miał kiedyś lepiej niż ja miałem — odpowiedział.

— Było ci dawniej źle?

— I źle i dobrze, rozmaicie — odwrócił się twarzą do tapety. — Dobra noc, Turciu! Jutro jadę pod Oldenburg!

Taka to i z nim rozmowa. Biedny *Untertan* ,,cudu gospodarczego!'' Nie ma czasu na rozmowę z własnym synem...

Na szczęście jest jeszcze na tym świecie zacny profesor Brandt. Dobry dziadzio przyjmuje swoich uczniów — sam tak niedawno zapowiedział — ,,o każdej porze dnia i nocy''. I tym razem wyjął zza biurka butelczynę ,,Pfälzera'' i tym razem przez kilka minut nie mógł znaleźć schowanej pod papierami drugiej szklaneczki, na której zresztą bieliły się ślady pasty do zębów. Ciasna klatka na ostatnim piętrze czynszowej kamienicy, wypełniona była po brzegi lepkim zapachem starych książek i zleżałych gazet. Papier, klej, farba drukarska w jednej, zbitej galarecie. Powietrze tak gęste, że można je nożem ciąć. A na pokrytej zielonym liszajem tapecie wisi, wycięta z pożółkłej gazety, główka jakiegoś jegomościa ze szlifami.

— Któż to taki?

— Herr Oberstleutnant Richard Hentsch!

— A dlaczego tutaj wisi?

— Powiesiłem go z wdzięczności — śmieje się ,,Krzywonosek'' — To współtwórca ,,Cudu nad Marną'' mimo woli... Wysłany przez von Moltkego, w sierpniu 1914-go, do pierwszej linii dla rozpoznania sytuacji na miejscu, szczęściem od Boga stracił nerwy i nakazał odwrót. Człowiek, który uratował Paryż przed naszymi wojskami...

— I dlatego pan profesor powiesił go nad łóżkiem?

— A tak, panie kolego, bo ja kocham to miasto. Milszy mi Paryż w rękach Joffre'a i generała Galliéni (tego co sześćset taksówek rzucił na front), niż zwycięskich wojsk Wilhelma Drugiego...

Ojciec Gizeli zadrżałby na te słowa, a mój Paps z Grafem von Wickenbergiem chwyciliby się za głowę — pomyślał Arturek. — Typowa ,,wyprzedaż najcenniejszych wartości''...

— Jeśli ma pan czas i ochotę, Arturku — Brandt podniósł szklaneczkę na wysokość nigdy nie przyczesanej, niesfornie piórkami nasrożonej skroni — podskoczymy razem do hotelu ,,Westfalen'', do mojego *socius doloris* z obozu w Dachau, do mistrza Joachima Mauritiusa?

Arturka ogarnęły aż dwie fale zdumienia na raz. Pierwsza: że mają iść do sławnego pisarza Mauritiusa, autora tłumaczonego na obce języki i bodaj nagrodzonego w Paryżu ,,Drutu''. A drugie: że Brandt był w obozie! Nigdy im o tym w szkole nie mówił...

— A tak, tak — mruknął niechętnie. — Próbowałem się kiedyś przekraść do Szwajcarii. Nie udało się. Przewodnik był

na usługach policji. To wszystko. Ale śpieszmy się, na Boga, bo wielcy ludzie nie lubią czekać...

W drodze do hotelu Brandt wyjaśnił Arturkowi, że ,,Związek Byłych Ofiar'', do którego należy, powierzył mu wydanie albumu wspomnień w piętnastą rocznicę otwarcia bram i że koniecznie musi wciągnąć do współpracy Mauritiusa. Jakie szczęście, że sławny pisarz przyjechał na wieczór autorski do Bochum i jutro czyta w teatrze...

— Byli kacetowcy, to nie pierwsi chrześcijanie ! — szepnął młodzieńcowi na progu ,,Westfalen''. — Mauritius niewiele ma w sobie słodyczy, to dosyć cierpkie zjawisko. Przygotujmy się, panie kolego, na najgorsze !...

— Ale po co ja tam idę ? — przeraził się Arturek. — Przecież ja nie mam z tym nic wspólnego...

— Takie wizyty są bardzo pouczające — powiedział ,,dziadek do orzechów'' w windzie. — Ze wszystkich nauk na świecie tylko jedna jest naprawdę pasjonująca : wiedza o człowieku.

Rzeczywiście, Mauritius wstał od biurka z nieukrywaną niechęcią. W obcisłej marynarce z za krótkimi rękawami bardziej przypominał handlarza nierogacizny, niż człowieka pióra. Przesadnie powolnym, chyba pół minuty trwającym wydobywaniem tułowia z fotela podkreślił że mu przeszkodzono w twórczej pracy, a palce wcisnął przybyłym w dłoń od niechcenia, jak jałmużnę.

Dobrze wiem dlaczego nie lubię literatów — pomyślał Arturek — są to ludzie z reguły chorobliwie zarozumiali, głęboko przekonani o swojej urojonej przewadze nad technikami, kupcami czy też urzędnikami w służbie państwowej.

— Cieszę się — zaczął Mauritius, przecierając okulary w koniec krawata — chociaż jestem bardzo zajęty. ,,Związek Byłych Ofiar ?'' ,,Album Wspomnień ?'' Niech Bóg zachowa ! Inna, ważniejsza robota stygnie mi na biurku.

— Czy naprawdę nic już ciebie nie łączy z naszą organizacją ? — Brandt nie taił swego rozgoryczenia.

— Nic. Absolutnie nic.

— Wobec tego... — podniósł się profesor.

— Chwileczkę — położył mu Mauritius dłoń na ramieniu, i nie zważając na ,,stygnącą robotę'' obdarował gości dłuższą rozmową. — Spotykamy się dość rzadko...

— Właśnie... dlaczego ? — zmartwił się szczerze Brandt.

— Po pierwsze : na ckliwie pielgrzymki do dawnych miejsc kaźni już nie jeżdżę. Drażni mnie księżowski dyszkant mówców, gdy rękami odświętnie splecionymi na brzuchu pieją ponad kolczasty drut : ,,My o was, zamęczeni bracia, nigdy nie zapomnimy !'' Przesada. Zapomnimy. Jużeśmy zapomnieli. My c h c e m y zapomnieć. Tylko jakoś nikt nie ma odwagi przyznać się do tego. Tymczasem jeden rzut oka na waszą uroczystość wyjaśnia wszystko : tu zakopcone drzwiczki pieca, jama, popiół, nosze jeszcze krwią przepocone — odcisk śmierci jak na turyń-

skim całunie, a tam lśniące drzwiczki limuzyny, którą po złożeniu wieńca można uciec do kina...

— Demagogia, niegodna Joachima Mauritiusa! — przerwał mu Brandt, niezbyt uprzejmie.

— Po drugie — ciągnął autor ,,Drutu'' tym samym nieprzyjemnym tonem — o odszkodowanie też się nie ubiegam, czując niestosowność tego kroku: czy można się domagać pieniędzy za t a m t o? Jak byś wystawił rachunek za pobyt w czyśćcu czy w piekle. Chociaż ten spryciarz Max Vogel za wyprocesowaną od rządu sumę już wybudował sobie nocny lokal w Brukseli z akwarium, neonem i włoską orkiestrą. Tamta męka już mu się z nawiązką ,,opłaciła'': za jedną noc ze ,,strip-teasem'' zgarnia tysiące franków do kieszeni... Po trzecie — szydził dalej — zjazdów koleżeńskich w rocznicę Uwięzienia, Pierwszego Wyłamania Ręki ze Stawu, Wielkiej Dezynterii, i oczywiście, Oswobodzenia, unikam jak ognia. Zawsze to samo: wspominki, łza się kręci, podświadomy podziw dla oprawców, niezdrowa radość z wzięcia w skórę: ,,A czy pamiętacie jeszcze tego grubasa z blizną pod okiem, no — jak on się tylko nazywał? Bykowiec ze stalową skuwką nosił pod pachą! Potrafił zapalić papierosa, nie przerywając bicia! Artysta! Wirtuoz! Jak człowiekowi przypieprzył (mlaśnięcie językiem na znak uznania), to aż kurz szedł po majdanie!''

Brandt spuścił głowę, wyraźnie stropiony.

Po co tutaj przyszedłem? Cóż mnie to wszystko obchodzi? — pomyślał z niechęcią Arturek. — Mało mam swoich kłopotów? Matura za kilka miesięcy, biedna Gizela zamartwia się w Szwajcarii, za trzy dni proces jej ojca...

— ,,Związek Byłych Ofiar''! — rozgadał się autor ,,Drutu'' na dobre. — Posyłam wam obłudny list, w którym przy całej sympatii dla idei i szacunku dla jej krzewicieli wymawiam się obłożną chorobą. Bogiem a prawdą, niewiele mnie z tymi ludźmi łączy. Nawet t a m niewiele mnie łączyło. A co dopiero dzisiaj, gdy każdy z nas poszedł swoją drogą. Ciekawiej by było (tylko mnie, proszę, nie zakrzycz!) spotkać się po latach z dawnymi strażnikami! Kto wie — może i na nich ciężar wczorajszych przeżyć odcisnął swój ślad fizyczny i psychiczny? Wystrzegajmy się prawa wyłączności, krewni po Hiobie! Inni też cierpieli! Litujmy się nad strażnikami!...

— Nieźle, nieźle! — roześmiał się niepewnie historyk. — Słynna, tylekroć przez recenzentów oklaskiwana, iście Mauritiusowska przekora, ,,odwaga nie-konformisty'', spacer kota samotnika własnymi drogami pod hasłem ,,wbrew''! Sam go zalecam moim uczniom... Cóż jednak wymaga dzisiaj większej odwagi i przekory: podważanie normalnie przyjętych zasad myślenia i postępowania czy też... ich obrona? O! Bynajmniej nie to pierwsze, ale dopiero to drugie naraża nas na niepopularność...

— Być może. W każdym razie przynależność do ,,wspólnoty obitych'' jakoś mnie nie pociąga — odparł spokojnie Mauri-

tius. — Tytuł niedobitka wcale mnie nie zaszczyca. Wręcz przeciwnie: w cierniowej koronie czuję się upokorzony, jak bym wszedł między wystrojony tłum bez spodni. Na palmę męczeństwa spoglądam szyderczo niczym chłop na parasol. Tamci, na przykład, z wyjątkiem jednego Maxa Vogla, są święcie przekonani że wyczołgali się z tej gnojówki o całe piekło lepsi, oczyszczeni, bielsi nad śnieg, pałką beatyfikowani. A gdy ja, na równi z innymi batogiem wybierzmowany, mówię im że to była zwykła kloaka, zazdrośni o każdy dzień zniewagi, o każdy ząb wypluty na ,,Wachstube'', skaczą mi do oczu : ,,Wara ! Nie kalaj ! To było Colosseum !''...

— I słusznie : to było Colosseum ! — próbował mu przerwać profesor Brandt.. — Ale ty wolisz bluźnić ! Wiem nawet dlaczego bluźnisz, zakapturzony moralisto. Z miłości ! Tak jest : z miłości do lepszego świata, z miłości do tamtych męczenników.

Mauritius roześmiał się niechętnie. Wstał od biurka i wszedł w krąg światła. Dopiero teraz Arturek mógł mu się przypatrzeć z bliska. Jakże trzeba się wystrzegać zbyt pochopnych porównań ! Nie, to nie była twarz handlarza bydła. W głębi dużych oczodołów paliły się niespokojne oczy, twarz miał napiętą, czoło zmarszczone od nieustającej pracy myśli.

— Czy pamiętasz Papirnika, współsardynkę z tego samego pudełka ? — podszedł do Brandta. — Dwa lata przeleżałem z nim na tej samej pryczy ! Jakże mu mogę paść dzisiaj w objęcia i uścisnąć go jak brata ? Przecież to świadek oskarżenia ! Naoczny świadek każdej mojej klęski, każdego upadku i pohańbienia ! On mnie jeszcze dziś widzi jak wyżeram zgniłe łupiny z wiadra, kopiąc słabszych od siebie. Ja zaś widzę go zawsze w kałuży. W dużej, cuchnącej kałuży. Po sinej, siwą szczeciną porosłej łydce spływa mocz z przeziębionego pęcherza. ,,Tylu młodych, wspaniałych ludzi ginie każdego dnia — dławiłem się wtedy nienawiścią— a ten stary, śmierdzący trup Papirnik co rana wypełza żywy ze swego kojca !''...

— Nie rokuję trwałego powodzenia twojej literaturze. Można się natrząsać z potężnego kata i z jego pomocników — powiedział Brandt — ale nie z jego bezbronnych ofiar. Chyba że człowiek wychodzi z Wielkiej Próby zarażony nienawiścią do swoich towarzyszy niedoli. Czyż nie oznacza to jednak pozagrobowego zwycięstwa oprawców ?

— Być może — zgodził się Mauritius — być może...

I znowu mówił o sobie, ale Arturek już go nie słuchał. Czy też wszyscy nieprzeciętni ludzie mówią zawsze o sobie ? — zamyślił się w kącie. — A może to zwykła poza ludzi pióra, którzy rzekomo przeżywają świat głębiej, i chcą nam w ten sposób objawić coś nowego ? Paps, na przykład, chemik z wykształcenia, też jest na swój sposób człowiekiem nieprzeciętnym ! Jego nazwisko figuruje w ,,Encyklopedii Gospodarczej''. Pod literą ,,O'' stoi jak byk : *Ostermann Erich, dr chemii, ur.* 6. 7. 1899 *w Düsseldorfie*... Paps, wybitny chemik ! Tylko raz go widział w laboratorium, olbrzyma z kroplomierzem w ręku, na

tle delikatnych probówek, kolb, retort, menzurek, słonia w składzie porcelany. (Pastor Pfirsich powiedział kiedyś żartem: ,,Nie przeceniajmy postępu w nauce. Najczęściej sprowadza się on do tego, że zamiast ,,chleba naszego, powszedniego'', możemy westchnąć: ,,trójchlorku azotu, benzolhexachloridu, kaliumbromatu, amoniumpersulfatu, daj nam dziś, Panie''). Znają Papsa i cenią w kraju i za granicą. A jednak nigdy nie mówi o sobie; przeciwnie: unika zwierzeń jak ognia... Przesadna skromność!

A szkoda! — potarł czupryne w zadumie. — W czym jego życie gorsze lub zasługi mniejsze w porównaniu z innymi? Na pewno jest szlachetniejszym człowiekiem od wielu ,,kapitanów gospodarki związkowej!'' Co też Paps Ostermann mógł robić w tym czasie, gdy cierpki Mauritius z zacnym Brandtem siedzieli w obozie? Encyklopedia tego okresu nie uwzględnia. Bił się za ojczyznę? Na froncie, jak Scharff? Nie lubi wspomnień wojennych. Nie należy do żadnego ,,Kameradschaft''. Nie przechowuje medali w gablotce. A może przycupnął w jakimś laboratorium? Wrócił jednak z niewoli! Do której kategorii Niemców należał? Czy był szowinistą, jak Studienrat Jacobi? Czy tańczył z mamą po pokoju, gdy poprzedzane fanfarami komunikaty radiowe donosiły co dzień o nowym zwycięstwie? (,,Ledwie nasze wojska weszły do Paryża, — powiedziała kiedyś Gizela, — tatuś przysłał mamie z radości drogocenne futro w podarku!'') Czy wierzył ślepo, jak ojciec Gizeli? Czy wiedział, że bito przeciwników politycznych batem ze stalową skuwką? A może i on się buntował? Powinien się był buntować! Trzeba będzie go kiedyś o to wszystko zapytać. Już dawno należało go zapytać! — jął się obwiniać — ale widać i ja, prezes Klubu ,,Gorących Głów'', żyję pod słońcem ,,cudu gospodarczego'' bezmyślnie niczym pierwszy lepszy miłośnik piłkarza Szymaniaka czy piosenkarza Haley'a. Przez tyle lat nie uważałem za stosowne zainteresować się życiem własnego ojca! Niewybaczalne! Arturze Ostermann, udzielam ci nagany!...

— Dzisiaj — doszedł go na nowo głos Mauritiusa — widzę, rozumiem i pamiętam niejedno lepiej, a także piszę inaczej niż zaraz po wojnie, kiedy to z organizmu wyrzucałem truciznę przeżyć w gorączkowym pośpiechu. Dzisiaj już wiem, że taka ,,fizjologia'' mści się na pisaniu, ale wtedy, egoista, myślałem tylko o sobie, czytelnik dla mnie nie istniał, bałem się po prostu, by jad pamięci nie rozlał się po moim mózgu i sercu na zawsze.

— Miejmy nadzieję, że się nie rozlał — westchnął Brandt.

— Nie jestem tego pewien — odrzekł Mauritius.

Nastała cisza. Brandt już nie wracał do swego niefortunnego albumu w piętnastą rocznicę otwarcia bram. Czas było się zbierać do wyjścia. Dwunasta w nocy! Zasiedzieli się, nic nie załatwiając.

Dopiero teraz sławny pisarz dostrzegł Arturka.

— Oto najmłodsze, o ile od nas szczęśliwsze pokolenie! — zapalił życzliwe światełko w oczodołach. — *Sursum corda!*

— Któż to może wiedzieć? — zawahał się profesor. — Czas dopiero pokaże...

— Oni już są na innym brzegu! — upierał się Mauritius. — Nie zarażeni śmiercią. Nie zatruci nienawiścią. Bez garbu wspomnień. Na pewno słuchają naszych ponurych opowieści jak bajki o żelaznym wilku...

— To byłoby straszne — powiedział Brandt.

— Masz rację! To byłoby straszne — zgodził się Mauritius, wrócił się od drzwi, otworzył walizkę. Spod sterty koszul wydobył egzemplarz swojego ,,Drutu''. Na szarej okładce pokazał się kolczasty wzorek. Długo strząsał atrament z pióra, jeszcze dłużej marszczył czoło w namyśle, wreszcie wpisał dedykację, jak na smak Arturka, za bardzo napuszoną:

Tylko jeden człowiek może naprawić zło, a jesteś nim zawsze: Ty! — Uczniowi mego Przyjaciela — Joachim Mauritius.

Mądrość ze ściennego kalendarza! Studienrat Jacobi kłania się panu Mauritiusowi...

Także i Brandt nie był zadowolony z odwiedzenia pisarza, bo na ulicy mruknął:

— Powstał w naszych czasach nowy typ literata: ,,poeta kaceticus'', artystyczny rzeczoznawca ludzkich okrucieństw...

A jednak jeszcze tej samej nocy Arturek zabrał się do czytania podarowanej książki. Już po kilku stronach nie mógł się od niej oderwać. Pół przytomny, z gorączką w oczach chłonął ją jednym tchem przez całą noc — aż do rana. Bił z niej ogień miłości człowieka. Ciche męstwo nieznanych ludzi przezwyciężało rozpacz i strach. Była to opowieść okrutna i przejmująca, ale nie beznadziejna. Aż dziwne, że mogła wyjść spod pióra rozgoryczonego Mauritiusa. A może bełkotolog Jacobi ma rację, mówiąc że pisarze stają się nieraz ,,sekretarzami nieznanej siły''?

W jednym z ostatnich rozdziałów natrafił na scenę nieprzeczuwaną. Dniało już za oknem, pierwszy autobus przetoczył się za ścianą, gdy zaczerwienionymi oczami wpadł na nową stronę...

,,Dzisiaj niedziela. Od Alp wieje ciepły wiatr.

,,Knecht Ruprecht'', solidny, tępy Bawar, wychowany w duchu prawdomówności i obowiązku, przywiązany do życia rodzinnego (fotografie żony i dzieci nosi przy sobie), zapowiedział w przystępie dobrego humoru, że kto obchodzi dzisiaj urodziny, dostanie podwójną porcję chleba, ale biada temu kto go okłamie...

,,Zgłasza się dwóch solenizantów: Kowalski i Albrecht.

,,Knecht Ruprecht'' każe im wystąpić z szeregu. Najpierw udaje się do kancelarii a potem do kuchni. Po kwadransie wraca z podwójną porcją chleba.

,,— Sprawdziłem w papierach — mówi rozgoryczonym głosem. — Okłamano mnie! Tylko jeden z was ma dzisiaj urodziny, a jest nim...

,,— Ich! — woła Kowalski.

„— Ich! — woła Albrecht.

„— Jest nim... — zawiesza głos strażnik — jest nim... *Patrzy na jakiś papierek, przygląda się jakiejś kartce.*

„— Jest nim... Albrecht! Życzę ci wszystkiego dobrego! — podaje mu rękę. — Tutaj jest twój chleb! A Kowalski mnie okłamał, dieses Schwein! *I dlatego poniesie zasłużoną karę...*

„Wyjmuje rewolwer. Nawet nie mierzy. Dwa strzały w brzuch. Zabija kłamcę na miejscu.

„W tej samej chwili podbiega na spuchniętych nogach Brandt.

„— Zabij mnie też! — krzyczy.

„— Tyś nie skłamał!

„— Ale j a c h c i a ł e m skłamać. W ostatniej chwili zabrakło mi odwagi — upiera się profesor. — Mój strach okazał się silniejszy od głodu! Strzelaj!

„Knecht Ruprecht" nie wie co zrobić. Podnosi rewolwer. Opuszcza rewolwer. Wreszcie z okrzykiem: So ein Idiot! *uderza Brandta pięścią w twarz i odchodzi. Profesor pada ze złamanym nosem w glinę. A kiedy po jakimś czasie wraca do siebie, Albrecht wciska mu chleb w ręce.*

„— Nie chcę! Nie chcę tego podarku! — mówi z wykrzywioną twarzą. — Ten tępy Bawar się omylił! To jest porcja Kowalskiego! To ja skłamałem, ja, a nie Kowalski! O, Gott, o Gott!..."

O Gott, o Gott — ukrył Arturek twarz w dłoniach. — Nasz Brandt dostał pięścią w twarz i upadł ze złamanym nosem w glinę...

Pojutrze rozpoczyna się proces ojca Gizeli.

Scharff, jak piszą gazety, jest dobrej myśli. „Wierzę w sprawiedliwość" — oświadczył dziennikarzom.

Czy wybrać się na rozprawę czy lepiej zostać w domu?...

— Nad czym znowu medytujesz, młody melancholiku? — słyszy głos Papsa. — *Weltschmerz,* katarek psychiczny?

— Zastanawiam się właśnie, czy istnieje sprawiedliwość na świecie.

— Nie masz innych zmartwień? — mówi Paps z politowaniem; co gorsza: w głosie jego dźwięczy ironia. — Owszem, istnieje, ale nie dla wszystkich... Ale skąd ci takie myśli przychodzą do głowy?

— Bo ja wiem?... — zamyka się w sobie Arturek. — Mnie różne myśli przychodzą do głowy...

Za omszonym murem, na drodze biegnącej wzdłuż torów, rozrywają asfalt pneumatycznym świdrem aż ziemia drży pod stopami i bluszcz dygoce na wielkiej, murowanej bramie z gotyckim napisem. Poobiednia mgiełka zaraz zbrązowieje, zbije się w gęstą maź, przybierze barwę i zapach zgniłych liści. Nawet stąd widać miasto. Nie ma ucieczki od jego brzydoty i zgieł-

ku. Między topolami sterczą dymiące kominy, nad pękniętym skrzydłem anioła co jakiś czas pokazuje się bukiet pary, tryskającej z przejeżdżających lokomotyw. Gdy cichnie na chwilę świder, słychać trajkot przetaczanych wagonów. Na niebie żółty dym, na ziemi żółta mgła, pod ziemią ryją noc i dzień, i jeszcze ten anioł złowrogi, bohomaz z marmuru...

— Nie chciałbym tutaj leżeć — wzdryga się Arturek — za wiele Bochum!

W rocznicę śmierci mamy (już dziesięć lat) przyjechali tu z Papsem i z Emmą. Po złożeniu wieńca Paps usiadł na kamiennej ławce ze spuszczoną głową i zapatrzył się w żwir na ścieżce. Z twarzy zwisają mu fałdy żółtej skóry; bardzo się ostatnio postarzał. Emma modli się z grubej czarnej książki, klęcząc po chłopsku z twarzą przy kamiennej płycie. Biedny Paps! Arturek przygląda się górze mięsa, opiętej w czarne palto, z litością. Melonik w ręku, sztuczkowe spodnie, skórzane rękawiczki... Ojciec! — myśli. — Cóż za dziwna instytucja! Na pół biologiczna, na pół mistyczna, opromieniona aureolą biblijnych patriarchów, uznana od wieków za fundament społeczny. Człowiek po którym dziedziczę pewne cechy, który żyje we mnie nadal i żyć będzie nawet wtedy, gdy złożą go w ziemi, pień z którego odrastam gałęzią... Okrutne odkrycie: uświadomić sobie naraz, że każdy z nas jest żywym cmentarzem, nosi w sobie dziesiątki zmarłych! „Zawdzięczam mu'' życie (już w tym słowie tkwi nakaz wdzięczności), ale i całym swoim życiem ponoszę za niego odpowiedzialność... Człowiek, który czuwa nad moim dzieciństwem i młodością, póki z rozpostartymi skrzydłami nie poderwę się do lotu; powinienem go darzyć miłością... I znowu wyłania się koszmar biblijny z dzieciństwa: chłopiec spętany na ołtarzu z polnych kamieni i naciętego drzewa, z głową kędzierzawą w tył odchyloną, a nad nim prorok zawzięty z nożem wzniesionym do ciosu...

Paps ściera rękawiczką krople z czarnej płyty, zwala swe potężne ciało na kolana, ze spuszczoną na piersi głową zastyga w modlitwie. W tej samej pozie na japońskim filmie jeden ze skazańców oczekiwał na stracenie. Arturek z coraz większym wysiłkiem odpycha od oczu i od myśli nacierającą na niego ze wszystkich stron tyralierkę krzyży, obelisków i aniołów; radby rozerwać zaciskającą się wokół szyi cementową obręcz grobów...

Umyślnie odwraca myśl w stronę ostatniego zebrania „Gorących Głów''. Profesor Brandt w dyskusji o literaturze współczesnej powiedział: — „Niektórzy krytycy twierdzą, iż panująca w przedwojennej twórczości „pogarda dla ojca'' wzięła się z pretensji pokolenia, doświadczonego kryzysem gospodarczym. Młodzi nie mogli przebaczyć rodzicom, że narzucili im na ramiona ciężar „świata bez stabilizacji''. Mój Boże! Jeśli to ma być prawda, to aż strach pomyśleć o tej fali już nie pretensji, już nie pogardy, ale nagiej nienawiści, jaką musi wybuchnąć pokolenie wychowane na pobojowisku najstraszniejszej z wojen

Zobaczycie : doczekamy się aktu oskarżenia, sędziami będą dzieci morderców...''

Próżne wybiegi pamięci ! Otacza ich cmentarz ! Zasłonił uszy przed świdrem, wdzierającym się w głąb czaszki, powiódł oczami po alei zgniłych liści, po wąwozie marmurowej brzydoty, i nagle zdjął go lęk. To ma być wszystko, co po nas zostaje ? Kupa sfermentowanych liści, kawał marmuru, seryjnie wykuty anioł ?

,,*Jedyna ważna sprawa w naszym życiu, o której warto myśleć, mówić i pisać, to nasza śmierć* — przypomniał sobie zdanie z książki Mauritiusa — *reszta jest złudzeniem. Z wielu słów, które nic nie znaczą, ale zaćmiewają nasz umysł, jedno dokucza mi najbardziej : pusty, nieszczery zwrot ,,die Todesverachtung'' (pogarda śmierci)''*... Czy nie ma spraw dla których warto poświęcić życie ? — ogarnia go niepokój. — Przecież w książce tego samego Mauritiusa ludzie poświęcają się niemal na każdym kroku... W imię czego ?... ,,Biorąc sobie za busolę dialogi młodego Seneki, najmądrzejszego ze stoików — powiedział wczoraj nieznośny dydaktyk, Studienrat Jacobi — wielki Waszyngton, będąc w waszym wieku, wypisał sobie na ścianie pokoju piękne hasło : ,,Pogarda śmierci rozjaśnia smutek życia''... A pastor Pfirsich mówi : ,,Nigdy nie zdobędziesz się na wielkość, jeśli się lękasz, że ofiarę twoją wyszydzi czas ; musisz sobie powiedzieć, że od początku świata nic nie poszło na marne i wszystko miało swój głęboki, tobie nieznany, sens''... ,,Jesteś, Turciu, za miękki ; nie zapominaj, że ciągle jeszcze żyjemy w dzikiej puszczy ! — radzi z kolei praktyczny Paps, siłacz i zręczny Tarzan, umiejętnie przemykający z gałęzi na gałąź, jednym uchwytem liany wymykający się spod tygrysiej łapy, wytrawny znawca dżungli. — W życiu trzeba wygrywać, zawsze wygrywać !'' Ale czy to jest najważniejsze ? Na pewno nie ! Jak więc żyć ? Ku czemu iść ? Jaką obrać drogę ?

Zapragnął nagle wysokiego lotu. Ach, zrobić ze swego życia piękną i wielką rzecz ! Niechaj będzie piękne urodą serca, a wielkie wielkością ducha. Z gliny młodych lat ulepić coś nieprzemijającego i naprawdę wspaniałego, trwalszego ponad radość przelotnego sukcesu i szczęście sławy, piękniejszego ponad bohaterstwo na polu bitwy... To tylko nastrój — posmutniał znowu. — Jesienna egzaltacja. Niczym młody kleryk łaknę rzeczy nieosiągalnych. Marzę o wewnętrznej doskonałości, tęsknię do świętości...

,,*Dopiero na samym dnie upadku* — napisał Mauritius w ostatnich słowach swej książki — *poznałem znaczenie dwóch słów, które dawniej wydawały mi się pustym dźwiękiem : ,,sumienie'' i ,,odpowiedzialność''. I dlatego z głębi mej zagnojonej pryczy przekazuję wam dobrą nowinę : człowiek nie tylko jest bydlęciem, człowiek jest także wielki i nieśmiertelny !''*...

I znów zatęsknił do czegoś nieznanego, bodaj już w dzieciństwie przeczuwanego, gdy razem z mamą i nieprzejrzanym

tłumem piął się na słoneczną górę w oparach śpiewu, muzyki i kadzideł...

— Nie smuć się, synku — westchnął ojciec, i ręką zatoczywszy koło po krzyżach, topolach i obeliskach, powiedział:

— Oni już w innym, lepszym świecie!...

Zdanie-zgrzyt! Zabrzmiało tak fałszywie, że Arturek zajrzał mu w oczy:

— Wierzysz w to naprawdę?

— Ja? — ojciec wcisnął się w róg kamiennej ławki. — Czy ja wierzę? Oczywiście, trzeba wierzyć. Coś tam chyba jest jeszcze po śmierci. Przynajmniej powinno być. Wiara jest potrzebna każdemu człowiekowi, pomaga mu żyć i umierać...

— Dobrze już, dobrze — pogładził ojca po ręce. Złapał go żal straszliwy, że siedzą tutaj razem, ojciec i syn, niby za dnia, ale w głębi najczarniejszej nocy, nadzy, zgubieni i zmarznięci, nie przykryci płaszczem wiary... I nagle poczuł się zewsząd otoczony padliną, słodkawy zapach zatyka mu gardło, to na pewno trupi jad spod ziemi, śmierć, rozpacz i noc dokoła!

— Chodźmy stąd czym prędzej! — powiedział. — Nie śmiej się ze mnie, ale ja się boję...

— Czego się boisz, dorosły mężczyzno? — zdziwił się ojciec.

— Nie wiem...

Czy ma mu powiedzieć, że od wielu miesięcy nosi w sobie przeczucie nieszczęścia, jak kobieta nieżywe dziecko? Ach, cóż za wyszukane, literackie porównanie! Paps wybuchnąłby na nie głośnym śmiechem.

W drodze powrotnej zapytał ojca:

— Czyś ty czytał kiedy ,,Drut'' Mauritiusa?

— Nie! — zaprzeczył Paps gwałtownie. — Z zasady nie czytuję ani ,,Drutów'' ani ,,Krat'' ani ,,Bunkrów'' ani innych okropności. Czas o tym zapomnieć, nie wolno do tego wracać, trzeba wreszcie zacząć żyć normalnie — bez strachów i upiorów, bez nieustannego grzebania się w tych samych potwornościach! To do niczego nie prowadzi...

— A sumienie?...

— Ach, ,,sumienie!'' — powiedział. — Bardzo piękne słowo!...

Chłopiec spuścił głowę.

Nadszedł dzień sądu.

Po powrocie z rozprawy do hotelu Arturek złapał się za głowę. Miał wrażenie, że mu nasadzono na kark trzaskający iskrami kondensator kulisty, podobny do tej bani, jaką profesor Radtke bawi się na lekcjach fizyki.

Ile nieznajomych twarzy! Ile starych i nowych słów! Strzępy zdań, ułamki gestów, odpryski dzwonka, dziesiątki migawek sfotografowanych oczami. Słowem: za wiele wrażeń, żeby można zasnąć.

Brat Herberta zabrał ich służbowym Mercedesem. Aby zobaczyli na własne oczy i usłyszeli na własne uszy.

— Naród nie może uciec od swojej przeszłości — powiedział sentencjonalnie, i od razu Arturkowi przyszło do głowy, że niektórzy ludzie (z profesorem Jacobim na czele) lubią wypowiadać wzniosłe myśli w jednym zdaniu. Gdyby brat Herberta był sławnym człowiekiem, jego powiedzenie wydrukowano by jutro w gazecie, a pojutrze obiegłoby cały świat. Wielcy ludzie zawsze coś takiego mówią, a w Ameryce podobno bezrobotni myśliciele pisują im nawet za niedużą opłatą ,,ostatnie słowa'' (do wypowiedzenia na łożu śmierci), coś w rodzaju : *Mehr Licht !,* chociaż ten właśnie okrzyk brzmi dzisiaj jak reklama żarówek elektrycznych. Brat Herberta nie jest jednak wielkim człowiekiem. Jest zaledwie bratem Herberta. Póki mama żyła, w całym mieszkaniu wisiały podobne mądrości, powyszywane na płótnie kolorowymi nitkami : *Morgenstund' hat Gold im Mund...*

— Jeśli go nasza niepokalana, demokratyczna Temida nie pośle za kraty — dorzucił brat Huberta — stary Scharff wejdzie w skład nowej armii ! Jako ,,żywy pomost'' między starymi a młodymi laty...

Młodzieniec czuł że nie zmruży oka. Za duszno w tym hotelowym kojcu, udającym (taka teraz moda) chłopską izbę. Wprawdzie Paps, większość czasu spędzający na rozjazdach, twierdzi że lepiej się śpi w wynajętym łóżku niż we własnych piernatach, ale to przesada. W gospodzie ,,Zum Hecht'' nie można przytknąć dłoni do stylowych kafli, taki żar bije z pieca. Połowa października, a już palą. Co się stało z królową cnót starogermańskich, z oszczędnością ?

— Dziwisz się, Turciu ? — odezwał się Herbert, który przed snem niczym lekarstwo wlewał w siebie co wieczorną porcję morderstw, katastrof, plotek o Sorayi, zawartą w zeszycie ilustrowanego magazynu. — Dusimy się od nadmiaru węgla. Piętnaście milionów ton ,,gnije'' na hałdzie. I od przybytku nieraz głowa boli.

— Węgiel nie może ,,gnić''...

— Tępyś ! — huknął ze swego tapczana Herbert. — Nie znasz się na poetyckich przenośniach !

Oczywiście ! On, prymus, redaktor szkolnej gazetki, chluba gimnazjum im. Goethego, zna się na wszystkim ! *Ein Tausendkünstler !* Już zdążył sobie wzrok zepsuć od pożerania ilustrowanych magazynów. Wytrzeszcza teraz małe ślepka przez grube szkła okularów, podobny do ryby w akwarium. A odkąd mu zasuszona mumia, głowa gimnazjum, Oberstudiendirektor Malz skonfiskował w gazetce artykulik wyszydzający umieszczenie kwadrygi na Bramie Brandenburskiej, chodzi w aureoli lokalnej sławy. Podobno Oberstudiendirektora najbardziej zabolał cytat z Kästnera : *Kennst du das Land, wo die Kasernen blühn?* — ,,Nikt koszar nie lubi — wypowiedział przy tym światłą uwagę — ale mimo to żartować z nich nie należy !...''

Arturek, któremu się przez moment wydawało, że widzi

na suficie kolorową spódniczkę-spadochron Gizeli, a było to zwykłe odbicie abażuru, odwalił grobowy głaz pierzyny — nic. Rozchylił drewnianą okiennicę z wyciętym serduszkiem — też nie pomogło. Nie, nie zaśnie. Stanowczo za wiele emocji jak na jeden dzień. Po raz pierwszy w życiu był w sądzie...

— Przyjrzyjcie się widowisku ostrym okiem — powiedział im Brandt na drogę — okiem mściwego Honoré Daumiera, przyczajonego ze szkicownikiem w kącie *Palais de Justice*...

A więc przyjechał do tej zacisznej bawarskiej pół wioski, pół mieściny z Herbertem, którego starszy brat przysłuchiwał się procesowi służbowo, z ramienia nowej armii. Jest w niej majorem. Mówią, że mu kancelaria adwokacka nie dawała ,,pełni życia'', więc wskoczył do wojska jak spocony letnik do wody. I chociaż te nowe mundury, a zwłaszcza czapki, według opinii Papsa, bardziej przypominają liberię służby hotelowej niż prawdziwe wojsko (,,trzeba ci było widzieć nasze dawne, ho-ho!''), braciszek Herberta prezentuje się nie najgorzej. Z początku Arturek nie miał ochoty na wycieczkę do Teisendorfu : zniechęcały go długie godziny monotonnej jazdy na tyle razy oglądanej autostradzie, pamiętał o liście Gizeli, a poza tym Paps zaczął się krzywić na pomysł wyjazdu :

— Po co masz sobie umysł zaśmiecać sensacjami? — ściągnął zmarszczki w wachlarzyk. — Niepotrzebne wywoływanie duchów. Ale to nie wasza wina, chłopcy! Pedagogów macie niefortunnych, to oni wam zachwalają ten nowy typ ,,przygody duchowej''. Jakieś pielgrzymki do Belsen, kluby Anny Frank, nowelki pastora Goetza, zbiorowe oglądanie filmu z procesu w Norymberdze. Dziwne metody wychowawcze : prowadzić szczeniaków na podobny, że się tak wyrażę, ,,seans spirytystyczny!'' Czy nie za wiele polityki? (,,Kto się nie chce zająć polityką, tym polityka już się zajmie : butem mu gardło przydepnie!'' — powiedział kiedyś Brandt). Zostałbyś lepiej w domu lub poszedł z kolegami do kina na nową komedię z Fernandelem!

I wreszcie ostatni argument, najcelniejszy :

— Przecież to ojciec tej małej Gizeli...

Ach, już by nie pojechał na tę ,,Scharffiadę'', ale trzeba znać upór Herberta.

— Powiedz wielce szanownemu ojcu — huczał w telefonie z oburzeniem w którym ujawniał się cały despotyzm jego przyjaźni — że Fernandel, to płocha rozrywka. Tak mu powiedz! A *Herr General,* to poważna sprawa. Wypowiedz choć raz w życiu posłuszeństwo swemu zacnemu staruszkowi. Nie rozpieszczaj go, papinsynku, uległością! Polityka ustępstw, jak uczy historia, prowadzi do katastrof. *Deutschland, erwache!* Stań, kucyku, dęba!

Więc ,,stanął dęba''.

— ,,Wywoływanie duchów'' — powiedział ojcu ze sztuczną stanowczością — bardzo mnie interesuje. Jadę! Jadę! i basta!

— Szczęśliwej podróży, Arturze Kolumbie! — posłyszał w odpowiedzi. — Nie jesteś już dzieckiem. Każdy musi odkryć świat na własną rękę...

Głos ojca brzmiał obco, niesympatycznie. I wtedy padło jeszcze jedno zdanie niegodne Papsa:

— Szczurołap Brandt posuwa się za daleko. Czas go przykrócić... To duchowy cudzoziemiec!

— Nie zamienię stu Jacobich na jednego Brandta! — odparł urażony. — Jest lepszym Niemcem od nas wszystkich! Mam na to dowody!

— Ach, ty głuptasku! — posłyszał pół śmiech, pół kaszel, i na czas wydobył czupryne spod ojcowskiej ręki. Niech go już nie głaszczą!

Po raz pierwszy w życiu nie posłuchał Papsa. Na złość. Na złość! W pewnym sensie „ze względów wychowawczych". Wiecznie szydzący Herbert tym razem ma rację. Nie należy rozpuszczać rodziców zbyt gorliwym spełnianiem ich zachcianek. Nic tak nie demoralizuje starszego pokolenia jak ślepe posłuszeństwo. Zresztą, na korytarzu szkolnym wisi świetny napis: *Sage niemals Jawohl!* Profesor Brandt, najmądrzejszy ze wszystkich belfrów w menażerii (żaden „szczurołap!") też powiada na lekcjach historii: „My, Niemcy, musimy się wreszcie nauczyć nieposłuszeństwa!"...

Ach, właściwie sam już nie wie dlaczego pojechał z Herbertem i jego bratem. Może z nudów? Życie jest przecież coraz nudniejsze, a już nie ma nic nudniejszego nad rozrywki i sensacje. Któż to tylko powiedział? Pewnie jakiś ascetyczny klecha? Pastor Pfirsich? A może ten dostojny szympans, Jacobi?

— *Alles Scheisse!*

To Herbert, ozór niewyparzony. Herbert ze szczególnym zamiłowaniem posługuje się rubasznymi powiedzeniami. Daje mu to poczucie męskiej dojrzałości — marzenie jeszcze nie spełnione, skoro w dziewiętnastej wiośnie życia ma zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, a spod groźnie skołtunionego czuba spogląda na świat twarzyczka rozkapryszonego brzdąca; nawet okulary nie przydają mu upragnionej dorosłości. Odłożył na chwilę opis nowej katastrofy lotniczej nad Pacyfikiem i wydął wargi:

— Hałastra w togach! Karawaniarze!

— Kto taki?

— No, ten sąd ostateczny! Ale Scharff nie dał się pierdzistołkom zjeść z kopytami. Wypiął się na nudziarzy. Bravissimo! Twarda sztuka, nie ma co! Guliwer i karty. *Der tolle Scharff,* postrach Trzeciej Armii, i kupa stetryczałych mięczaków. Próchno. Dmuchnij na nich, a się rozsypią!

— Hej, hej — zdziwił się Arturek. — Od kiedy, drogi Berciu, uwielbiasz siłę? Sam mi niedawno tłumaczyłeś, że pogarda dla ludzi nieśmiałych, niedołężnych, ułomnych, tak typowa dla naszego społeczeństwa, świadczy o przyczajonym w każdym z nas małpoludzie z maczugą nabijaną gwoździami...

— Bo ja różne rzeczy mówię — roześmiał się młodzieniec pogardliwie. — I ty kiedyś dojdziesz do tego. „Wyższy stopień wtajemniczenia”, *verstanden?* Człowiek myślący ma prawo raz mówić tak, a raz — siak, w zależności od swego widzimisię. Tym bardziej że każdy pogląd jest jednakowo dobry lub niedobry, a każdą tezę da się udowodnić. Weźmy na przykład...

Arturek przykrył uszy poduszką. Paps niejednokrotnie ostrzegał go przed młodym cynikiem: „Dałbyś sobie wreszcie spokój z tym antypatycznym, przemądrzałym Herbertem. On wywiera fatalny wpływ na ciebie! Dlaczego się nie zaprzyjaźnisz z von Wickenbergiem?

Rzeczywiście — przypomniał sobie Arturek — generał Scharff, postrach Trzeciej Armii z lat wojny, nie dał się zjeść z kopytami, nawet na sekundę nie przestawał być generałem, górował nad innymi wzrostem, postawą, dźwięcznością głosu. Gdy wszedł na salę...

Co tam „wszedł!” On wmaszerował jak do zdobytego miasta. Pierś na przód, brzuch wciągnięty. I z miejsca rozejrzał się po ławie przysięgłych jak po swoich zbuntowanych podkomendnych. Na sali zrobiło się tak cicho iż słychać było rzężenie podeszew u nowych butów generała. Skłonił się przewodniczącemu i prokuratorowi krótkim przyłożeniem starannie wygolonej brody do białego krawata. Obrońcy dłoń uścisnął, oczami weń strzelił: „Liczę na pana!” Zanim usiadł na podsuniętym przez woźnego fotelu i nieznacznym ruchem podciągnął zaprasowane spodnie na kolanach, z nieukrywaną niechęcią spojrzał na setki publiczności. Zmarszczył się na widok dziennikarzy i fotografów. Energicznym wyrzutem dłoni przekreślił powietrze przed sobą. Nie, nie chce i nie pozwala, by go fotografowano. Protestuje również przeciwko umieszczeniu mikrofonu przy jego fotelu.

Arturek jeszcze w hotelowym łóżku, w kilka godzin po rozprawie, słyszał jego ostre, świszczące słowa, przypominające cięcia szpicrutą:

— *Meine Herren!* Jestem żołnierzem. W mojej rodzinie od sześciu pokoleń wszyscy synowie służą ojczyźnie z bronią w ręku. W moich żyłach płynie żołnierska krew. Od siedemnastego roku życia wierny jestem przysiędze i głosowi sumienia. Nie wstydzę się zawodu, który jest powołaniem, wymaga ofiar, poświęceń i odwagi...

W tym momencie generał obciągnął na sobie granatową marynarkę i pyszną, siwym puchem przyozdobioną głowę uniósł w stronę niewiszącego już na ścianie portretu. Na sali ucichło. Ponad głowami przeszedł ziąb przeszłości. Jakby ktoś nagle uchylił drzwi od grobowej krypty...

— Powinni staremu lampartowi dać spokój! — zawołał Herbert z sąsiedniego tapczana. — Każdy naród potrzebuje ludożerców!

Kłopot z Herbertem stale ten sam: nigdy nie wiadomo kiedy mówi poważnie, a kiedy stroi żarty. Także i teraz rozchichotał się na całą izbę:

— Co za mydłki, jakie szlafmyce! Organizacja byłych żołnierzy przysłała półmetrowy telegram. Protestują przeciw znęcaniu się nad Scharffem. Nie powinni protestować na papierze. Protest jest bronią słabeuszów. Powinni go, *Donnerwetter*, odbić siłą, porwać jak Skorzeny Mussoliniego albo wywieźć awionetką do Egiptu i tam przemalować na Araba. Więcej polotu, panowie z brzuszkami! Ach, jesteśmy narodem ze sztucznymi zębami! Już się nie odżywiamy surowym mięsem! Zjadamy ananasy z puszek! Sąd, oczywiście, telegramu nie odczytał, ale tekst mdły jak rycyna wydrukowali w gazecie...

Zaczął czytać przesadnie uroczystym głosem, naśladując Jacobiego. W przedrzeźnianiu zawsze był mistrzem:

— ,,Niemcy prześladują Niemców. Bezsensowny odwet sądowy na generale Scharffie w trzynaście lat po wojnie, w dwa lata po jego powrocie z syberyjskiej katorgi musi budzić niesmak w każdym cywilizowanym społeczeństwie. Znowu godzi się w dobre imię tych, którzy, nie szczędząc...''

Arturek przypomniał sobie że o zasługach wojennych ojca Gizeli mówiono na procesie długo i z nabożeństwem. Sam oskarżony zachował powściągliwość, godną uznania. Zeznawał krótkimi zdaniami, jakby nie chciał by go posądzono o chęć autoreklamy. Skromność zawsze cechowała prawdziwych bohaterów. Nie jest żołnierzem-samochwałem. Spełnił swój obowiązek. Nie na tyłach, ale na froncie, zawsze w pierwszej linii. To wszystko. Ale jeśli was to naprawdę interesuje, proszę bardzo: znalazłoby się coś niecoś w wojennym dorobku.

— Oto kilka z moich ważniejszych odznaczeń — mówił od niechcenia. — Za przerwanie linii Maginota: *Ritterkreuz*. Za Kaukaz: wawrzyn dębowy. Za drugą bitwę o Charków: brylanty i miecze...

— A rany, panie generale? — podsunął usłużnie obrońca.

— Szesnaście razy, z czego pięć poważnie.

W tym momencie obrońca, owinięty w togę jak w szlafrok, podniósł się zgrabnie z rzeźbionej ławki i wręczył przewodniczącemu książeczkę wojskową generała z prośbą o dołączenie jej do akt sprawy. Przewodniczący miał twarz nijaką, trudną do spamiętania. Arturkowi utkwiły w pamięci trzy podbródki z których ostatni spoczywał na stercie papierów.

— Książeczka ocalała cudem... — przymilał się obrońca do przysięgłych, garstki ludzi przerażonych, siedzących na ławie ze spuszczonymi oczami, bardziej podobnych do oskarżonych niż do sędziów. — Generał Scharff przez całą wojnę nosił ją na piersiach wraz z fotografią żony i małych dzieci. O, tutaj, widoczny jest nawet ślad kuli na tekturce...

Zachwalał oskarżonego umiejętnie, lepiej niż domokrążca swój towar. I co także ważne: mówił tym samym dialektem, co sędziowie, po bawarsku.

Oczy przysięgłych jak na komendę spoczęły na śladzie kuli. Jakaś paniusia w niemodnym kapeluszu z ciężkim westchnieniem skinęła głową. Rzeczywiście, zgadza się: na tekturce z czarnym orłem widnieje ślad kuli.

Gdy mówił o wielkiej odwadze generała, brat Huberta syknął:

— Najnowsze badania wykazują, że odwaga jest funkcją ciśnienia krwi. Większość chorych na serce z góry skazana jest na tchórzostwo.

Gdy jął się rozwodzić nad zaletami umysłu generała, brat Huberta szepnął:

— Niezły krętacz. Przez bity kwadrans zachwyca się inteligencją swego klienta. Gdy to nie „chwyci", ma w zapasie inną sztuczkę: paragraf 51, artykuł drugi!

— Cóż to takiego? — zdziwili się młodzieńcy.

— Zmniejszona poczytalność oskarżonego. Postrzał w głowę pod Smoleńskiem.

Książeczka wojskowa wędrowała z rąk do rąk. Dorośli, posadzeni w ławce, cieszyli się nią jak dziecko zabawką. Niektórzy mężczyźni też mieli kiedyś taką książeczkę. Spoglądali więc na nią z uśmiechem zadumy. Nie było w tym uśmiechu tęsknoty do wojny i koszar, ale zwykłe ludzkie wspomnienie młodości. Adwokat był nieduży, rumiany, pulchny od piwa i białych kiełbasek, bardzo serdecznie uśmiechnięty, a mówił tonem tak łagodnym jakby spór toczył się o kradzież kilograma jabłek.

Szło jednak o więcej. I znowu brat Herberta, ten major w mundurze podobnym do hotelowej liberii, wyjaśnił chłopcom że sprawa ciągnie się od wielu miesięcy, od Annasza do Kajfasza, ale teraz na polecenie najwyższej instancji wraca na miejsce zbrodni, a więc do tego miasteczka w którym generał Scharff...

O słowo „zbrodnia" omal nie doszło w samochodzie do kłótni między braćmi.

— „Miejscem zbrodni"? — zdziwił się Herbert.

— Zbrodni! — powtórzył major.

— Nie ulegajmy gazetom. Wiemy co za jedni w nich pisują. Generał spełnił swój żołnierski obowiązek...

— Generał dopuścił się przestępstwa!

— Ależ wtedy była wojna. Gdzie rąbią, tam drwa lecą. O jednego człowieka mniej, o jednego więcej, gdy całe miasta rozsypywały się w gruzy...

— Mylisz się. O jednego człowieka idzie zawsze. A gdybyś ty był tym „jednym człowiekiem"? Co wtedy?

— *Ganz einfach!* — zaperzył się Herbert. — Generał Scharff kazałby mnie dla przykładu rozstrzelać. Jak tamtego kmiotka tchórzem podszytego, ale zapewniam cię, że ja bym...

— Łatwo ci teraz mówić. Znasz tamte czasy z kina i opowiadań różnych herosów przy piwie, ale ja to wszystko prze-

żyłem. Gdybyś wiedział, ile różnych komórek zajmuje się u nas odgrzewaniem legend wojennych!

— Właściwie powinieneś był zostać księdzem, braciszku — roześmiał się Herbert kąśliwie — a nie fachowcem od zabijania.

— Nikogo nie zabijam.

— Ale zabijesz. Prędzej lub później. Kto się uczy tańczyć, ten któregoś wieczora wybierze się na tańcówkę...

— O co ci, Berciu, chodzi? — zirytował się major. — Bronisz starego zabijaki, typowego przedstawiciela tamtych czasów, a napadasz na pokój miłującego oficera nowego wojska.

— „Pokój miłujący oficer!" — zachichotał młokos. — Czy to nie sprzeczność sama w sobie?

— Litości! Moralista się znalazł, jeszcze jeden! Jak by ich kiedy za mało było w naszym kraju! Od pokoleń grasują tysiącami, i pewnie dlatego brak nam moralności. Lubię pracę na świeżym powietrzu, przy biurku tyję, to wszystko.

— Nie tłumacz się — przymrużył Herbert oko za wypukłością szkła. — I ja się ćwiczę w sztuce życia świadomego: co innego mówię, co innego myślę. Chcesz? Zaraz ci odwrócę kota ogonem, i to com z takim przekonaniem wypowiedział, legnie pod ciosem innego „punktu widzenia", *unsere Firma kann alles!*

Major pociągnął go żartobliwie za odstające, czerwone ucho i tak się skończyła braterska wymiana czułości, lecz zgorszony Arturek pomyślał z niesmakiem: — Niepoważny szczeniak, powinienem go skreślić z listy przyjaciół!

O tego jednego „kmiotka tchórzem podszytego" upominał się na sali oskarżyciel w binoklach, urzędnik któremu natura poskąpiła daru wymowy, co szczególnie raziło przy jego stanowisku. Zasuszony, zmęczony życiem, bliski emerytury i ataku astmy, mówił monotonnie, patrząc w okno za którym już parskały motory nowej armii. Arturek podejrzewał go, że w czasie przemówienia myśli o czym innym. Może o koszulach oddanych do pralni? O niezapłaconym rachunku za telefon? O wczorajszej kolacji? O potrzebie kupna ciepłych kalesonów na zimę? Przecież to już jesień! O nadchodzących wyborach do Landtagu? O amerykańskiej rakiecie na księżyc? *Ignoramus et ignorabimus...*

— Ależ tak trzeba, głuptasiński — szepnął mu do ucha Herbert, jak zawsze przemądrzały — nie bądź śmiesznym, sentymentalnym idealistą. Prokurator nie powinien się angażować emocjonalnie, nie powinien się popisywać swoim „oburzeniem moralnym", i tak wszystkim wiadomo, że łamanie paragrafów nie sprawia mu najmniejszej przykrości; przeciwnie — potwierdza celowość istnienia jego urzędu; on z tego, bracie, żyje! To jest, człowiecze, zawód jak każdy inny. Podziękujmy Bogu, że jest maszyną do oskarżania, a nie czuje się natchnionym naprawiaczem świata, to dopiero byłoby nie

do zniesienia. Nie wymagajmy od grabarzy, żeby płakali przy każdym pogrzebie...

Gdy zamyślony astmatyk w birecie skończył stękać, włożył do ust cukierek eukaliptusowy i przetarł binokle zamszową szmateczką. Ciekawe, co ten flegmatyczny dziadzio robił w czasie wojny? Kogo oskarżał monotonnym głosem, patrząc w okno za którym parskały motory tamtej, starej armii? On zapewne też tylko zawsze „spełniał swój obowiązek".

— Panie Boże — westchnął chłopiec — spraw, abym nigdy w życiu nie był niewolnikiem obowiązku, żebym mógł robić to co naprawdę chcę, a nie to co muszę... O ile to w ogóle możliwe — dodał z rezygnacją, przypominając sobie na czas że są pewne modlitwy, które się nigdy nie spełniają.

Najgoręcej przy swoim upierał się brat rozstrzelanego, stary młynarz, koronny świadek oskarżenia, którego zeznania częściowo rozproszył urok cudem z pożogi ocalonej książeczki wojskowej. W kapocie po kolana, wsparty na lasce, z lewą ręką na nerkach, groźnie srożąc krzaczaste brwi domagał się sprawiedliwości. Właściwie wyręczał sąd i prokuratora. Twarzą najchętniej odwracał się do publiczności. Arturkowi wydawało się, że patrzy na niego i na Herberta.

— Mój brat leży u wjazdu do miasteczka, niedaleko szosy. Tam gdzie go ten człowiek bez sumienia — wskazał palcem na oskarżonego — kazał rozstrzelać bez prawa i bez sądu. Czy jadąc na rozprawę, zatrzymał pan generał swój samochód przed jego grobem? Nic mi o tym nie wiadomo. Trzeba było złożyć wieniec, pomodlić się za duszę swej ofiary, paść na kolana i zapłakać przed krzyżem niewinnego...

— Protestuję! — krzyknęli razem generał i jego obrońca.

— Niesmaczne! — syknął ktoś w kącie. — Demagogia!

Przewodniczący uniósł trzeci podbródek znad papierów.

— Proszę odpowiadać tylko na zadane pytania, bez niepotrzebnych komentarzy — upomniał młynarza. — Ocena wypadków, które się wtedy rozegrały, jak i całokształtu sprawy należy do sądu, a nie do świadków. Nikt z nas nie jest upoważniony do wydawania wyroku przed zakończeniem rozprawy. Upominam świadka!

— Co tam sąd! — zirytował się stary Bawar. — Już go tam Pan Bóg osądzi! On jeden generałów się nie boi! Bo wy mu, panowie, krzywdy nie zrobicie!

— Bezczelność! — zawołał przewodniczący.

— Sam już nie wiem, kto tu dzisiaj siedzi na ławie oskarżonych — stukał laską w podłogę młynarz. — Czy mój świętej pamięci brat za tchórzostwo? Czy ja za obrazę wysokiego sądu? Czy pan generał Scharff za morderstwo?

Po tym wybuchu nagromadzonej w sercu świadka goryczy wiele było zgiełku, podnoszenia głosu, wstawania i siadania, potrząsania dzwonkiem, grożenia palcem, ale w końcu pozwolono staremu mówić dalej. Zaimponował im swoją odwagą.

— Mój brat Anton był burmistrzem. Ja zaś na przedmieściu dzierżawiłem młyn, bardzo kiepski, stary, zadłużony młyn. Mąkę musieliśmy wtedy oddawać co do kilograma...

— Mąka nie jest ważna — przerwano mu w połowie zdania.

Spod krzaczastych brwi łysnęło przekrwione białko.

— Dla młynarza bardzo ważna ! Ale — jak chcecie... Więc o piątej rano — było to trzeciego maja 45 roku — wpadli na rynek na motocyklach i dalej krzyczeć : ,,Kto tu jest burmistrzem ?'' Wtedy mój brat Anton wyszedł przed dom i powiada im : ,,Ja jestem burmistrzem !'' — ,,Jazda do generała !'' Wsadzili Antona do przyczepki i podwieźli kilkaset metrów, może i kilometr, w stronę autostrady. Ja też tam pojechałem — w drugiej przyczepce. Z gospody ,,Na rozdrożu'' wyskoczył generał w rozpiętym palcie z czarnej skóry, zły i nieogolony, w zabłoconych butach, ale order z brylantem dyndał mu u szyi. Rozwścieczony...

— Brylanty do krzyży rycerskich były żydowskie — szepnął ktoś z tyłu — pochodziły z kradzieży. Zabierano je uwięzionym Żydom holenderskim...

— ...złapał mojego brata za połę marynarki, zaczął nim trząść z całej siły i kląć : ,,*Ihr feigen Hunde ! Ihr Verräter !* Gdzie są barykady ? Gdzie jest wasz *Volkssturm ?* Gdzie są rowy przeciw czołgom ? Dlaczego się nie bronicie ? ,,Wtedy mój brat odpowiedział spokojnie, że jeśli cała uzbrojona dywizja cofa się przed Amerykanami, to garstka bezbronnych cywilów na pewno ich nie zatrzyma, a poza tym w miasteczku nie ma mężczyzn zdolnych do noszenia broni, są tylko kobiety, dzieci i kilkunastu starców...

— Chwileczkę. A ile to świadek miał wtedy lat ? Czy też był niezdolny do noszenia broni ? — wystrzelił obrońca.

Na próżno przewodniczący odpędzał pytanie ręką.

— Sześćdziesiąt trzy — odpowiedział spokojnie młynarz. — Łatwo sprawdzić. Stoi w aktach.

— A do *Volkssturmu* należał ?

— W rzeczy samej — zaczął mamrotać wyrwany z zadumy prokurator — pytania obrońcy, nie służąc odtworzeniu stanu faktycznego, zmierzają do dyskryminacji świadka i jako takie...

— Dobrze już, dobrze... — wycofał się grzecznie obrońca, rzucając wymowne spojrzenie w stronę przysięgłych.

— Pytań obrony nie dopuszczam. Idźmy dalej ! — przewodniczący znowu złożył podbródek na stercie papieru. — Co się wydarzyło w czasie tej sprzeczki przed gospodą ?

— ,,Sprzeczki'' ! — zawołał brat zabitego. — Ładna mi to była sprzeczka, niech nas Pan Bóg ma w opiece ! Ledwie Anton wspomniał generałowi, że w sąsiedniej wiosce są aż dwa lazarety, wypełnione rannymi po sufit, że ranni leżą nawet po prywatnych domach, i dlatego czas najwyższy wywiesić na ratuszu chorągiew Czerwonego Krzyża...

— Białą chorągiew! — rzucił generał ze swego fotela. — Białą, kapitulacyjną chorągiew! Toście przecież mieli na myśli, a nie co innego!

Widać było, że jeszcze dziś, po tylu latach, nie może o ówczesnych objawach słabości i załamania się w obliczu nadciągającej klęski mówić spokojnie. Nie, to nie była farsa. Arturek nie miał wątpliwości, że cudze tchórzostwo boli generała fizycznie. Pozostał sobie wierny. Mimo klęsk i niewoli. Zwrócił mi. *„Die weisse Rose"!* — pomyślał z niechęcią.

— Nieprawda! — upierał się młynarz. — Białą chorągiew z Czerwonym Krzyżem! Mieliśmy przeszło tysiąc rannych w okolicy! Byliśmy jednym, wielkim szpitalem!

— Idźmy dalej — przerwał przewodniczący. — Jak zareagował oskarżony Scharff na propozycję burmistrza?

Moment ciszy. Młynarz zasapał się, szeroko otworzył usta i łyknął chmurę papierosowego dymu, zanim odpowiedział zmienionym głosem:

— Wtedy... wtedy... generał rzucił się na mojego brata, kopnął go w brzuch i uderzył w twarz...

— Tak jest, zgadza się! — rozległ się dźwięczny głos Scharffa. — Uderzyłem go w twarz. I myślę, że każdy inny patriota niemiecki zrobiłby na moim miejscu to samo. Nieprawdą jest jednak jakobym go miał kopnąć w brzuch.

Biedny „Mysi Pyszczek"! — wzdrygnął się chłopiec.

— W pierwszym protokóle nie ma słowa o kopnięciu w brzuch — zaprotestował obrońca.

Po krótkiej przerwie, wypełnionej szelestem bibułek, odbitek maszynowych, żółtych, zielonych i białych kartek we wszystkich zeszytach i na wszystkich stolikach, brat zabitego zeznawał dalej:

— To i tak dzisiaj już bez znaczenia czy go kopnął w brzuch czy nie kopnął, skoro Anton nie żyje, ale com widział, tom widział... i pod przysięgą zeznaję. Generał powiedział nam jeszcze, że będzie bronił miasteczka do ostatka, tutaj właśnie przyjmie bitwę i zatrzyma nieprzyjaciela, choćby tysiąc czołgów amerykańskich otoczyło go ze wszystkich stron, a tysiąc bombowców zrównało wszystkie domy z ziemią. „Pod broń! — rozkazał. — Wszyscy bez wyjątku! Kobiety, dzieci, starcy, nawet ranni!"...

— O ciężko rannych nie mówiłem! — oburzył się oskarżony. — Tysiąc czołgów i bombowców też sobie świadek wyssał z palca!

Znowu wrzawa, dzwonek, kaszel oskarżyciela i rozdygotany głos starego Bawara w długiej kapocie:

— Com na własne uszy słyszał, tom słyszał... i pod przysięgą zeznaję! W godzinę później mój brat, chcąc ocalić miasteczko przed katastrofą, przekradł się ogrodami na skrzyżowanie dróg i próbował tam wbić w ziemię tablicę z Czerwonym Krzyżem. Zanim doszedł na miejsce, otoczył go patrol żandarmerii polowej. Wykręcono mu ręce...

— A co się wydarzyło w gospodzie ,,Na rozdrożu''? Czy świadek był obecny przy przesłuchaniu burmistrza? — przewodniczący spojrzał na zegarek. Robiło się już późno. Zmrok zapadał za oknami.

— Nie było żadnego przesłuchania! Gdy przybiegłem pod gospodę... Wszystko odbyło się w ciągu dwóch-trzech minut. Scharff pokazał się w otwartym oknie na pierwszym piętrze i krzyknął: ,,Zastrzelić go jak psa! *Eins, zwei, drei!*'' Potem wychylił się z okna i — pamiętam to dokładnie — z ustami pełnymi jadła, bo właśnie był przy śniadaniu...

— Nieprawda. Nic wtedy nie jadłem — zaprotestował oskarżony.

— ...z ustami pełnymi jadła — powtórzył świadek — zawołał do żołnierzy: ,,Wiadomość o zabiciu zdrajcy natychmiast rozplakatować na rynku!'' W chwilę potem...

Młynarz spuścił głowę, walczył ze wzruszeniem.

— ...rozległa się salwa, Toni upadł na kolana, a jakiś oficer jeszcze przyłożył mu rewolwer do głowy i... Chciałem podbiec do tego płotu... Odepchnęli mnie siłą...

Zrobił pół kroku w stronę fotela, aby ostatnie zdanie rzucić generałowi prosto w twarz. Przyczaił się przy tym jak zamachowiec strzelający do swej ofiary z bliska:

— A w niespełna godzinę później, gdy pierwszy czołg amerykański pokazał się na autostradzie, wskoczył pan do swego samochodu i uciekł w popłochu aż się kurzyło! Bohater!

Scharff zerwał się na równe nogi:

— Nie uciekłem! — wołał. — Nie uciekłem! Dostałem rozkaz wycofania się na inny odcinek! Jestem żołnierzem. Żołnierz robi, co mu każą. Kazali rozstrzeliwać kapitulantów, proszę bardzo: rozstrzeliwałem! Ale nie osobiście! Kazali bronić stanowiska, proszę bardzo: okopałem się! Kazali się wycofać, proszę bardzo: wycofałem się, to wszystko! Stwierdzam raz jeszcze: sumienie mam czyste! Jestem niewinny!

Wyprostował się. Głowę w tył odrzucił. Ponad głową świadka spojrzał sędziom w oczy.

Młynarz machnął pogardliwie ręką.

— Tak, tak, tak! — pokiwał głową na odchodnym. — Nie mówiłem? To Anton jest wszystkiemu winien! A pan generał pójdzie do domu!...

Biedna Gizela! — młodzieniec w zdenerwowaniu zaczesał czuprynę palcami. — Dobrze że jej tutaj nie ma! Wycierpiałaby za nie swoje!...

Duszno jak w parowej łaźni. Paps powiedziałby: ,,Niewinny!'' Profesor Brandt z Mauritiusem: ,,Winny!''... Gizela, oczywiście, ,,niewinny''... A on, Arturek Ostermann, syn Papsa, uczeń Brandta, zakochany w Gizeli...

Przewodniczący poszeptał z sąsiadami. Trzy podbródki podrywają się w górę. Chwila ciszy i wreszcie zapowiedź:

— Ciąg dalszy — jutro rano!

Zaszeleściły papiery w pośpiechu zgarniane ze stołów. Gorączkowe odsuwanie krzeseł i zatrzaskiwanie zamków u skórzanych teczek. Oskarżyciel schował torebeczkę z cukierkami do szuflady (widocznie ataki kaszlu łapią go tylko w czasie rozprawy). Zgrabnie, jednym ruchem ciała wydobywano się z sądowych szat liturgicznych. Stary woźny uchodził z karafką wody. Publiczność także opuszczała widowisko raźnym krokiem. Dlaczego wszyscy się tak śpieszą? Czyżby zgłodnieli w ciągu tych kilku godzin? A może pędzą na pociąg?

— Muszą jeszcze coś nie coś przetrącić przed pójściem do kina — wyjaśnił brat Herberta. — Za godzinę miasteczko wybiera się na premierę filmu wojennego o bohaterskim komendancie łodzi podwodnej: ,,U 47 — Kapitänleutnant Prien''...

— *Das ist ja allerhand, Herr Major!* — wtrącił się do rozmowy jakiś wymizerowany człowieczek w bluzie i w cyklistówce. — Gdyby mi ktoś dwanaście lat temu, gdy wychodziłem z lazaretu, powiedział że w kraju który stracił przeszło sześć milionów poległych i ma dwa miliony inwalidów, będą kiedyś stały ogonki przed filmami o wojnie, nazwałbym takiego proroka szaleńcem! Tu coś się nie zgadza!

Pokręcił głową i zniknął w tłumie.

— Głos ludu, głos Boga! — przypieczętował Herbert. — Ten człowiek ma rację, przechodnie na ulicy zawsze mają rację, tylko nikt się z nimi nie liczy. Jeszcze raz *danse macabre* od początku! Trudno o lepszą pointę do sprawy Ritterkreuzträgera Scharffa. Nie chcę nic złego powiedzieć na Priena. Podobno był to nawet wilk morski bez skazy i zmazy, a poza tym zabijanie ludzi na morzu i w powietrzu, takeśmy się już umówili, jest, *Krucifix*, ,,romantyczniejsze'' od zarzynania na lądzie...

— Żałosny kameleonie — pogładził go starszy brat po policzku. — Z kolei udajesz pacyfistę! O, ty mój biedny, nad wiek rozwinięty braciszku! Zająłbyś się lepiej czymś praktycznym: fizyką, motorami spalinowymi czy architekturą. Pomrukiwaniem w kącie do niczego w życiu nie dojdziesz! Najwyżej skończysz jako dziennikarzyna w prowincjonalnej gazetce!...

Wrócili do hotelu w milczeniu. Tylko Herbert pojękiwał od czasu do czasu:

— Żebyś wiedział: czuję się starym, spróchniałym dziadygą, pradziadkiem naszego Brandta. Zazdroszczę twojemu pokoleniu radości, czystego sumienia, dobrego apetytu i zdrowego snu!

— Jak myślisz, Berciu? — zapytał Arturek przyjaciela przed zaśnięciem. — Skażą generała czy go zwolnią?

— Bo ja wiem? Procesy tego typu są zawsze wielką niewiadomą w naszym *Rechtstaat*. Wiele zależy od rzeczoznawców, a tej dostojnej ferajny nigdy u nas nie brak. Jutro zeznają biegli z Instytutu Najnowszej Historii, pojutrze znawcy jurysdykcji wojennej. Jeśli orzekną, że generała obowiązywał tajny rozkaz Himmlera czy instrukcja Sztabu Generalnego, łamana przez cyfrę taką i taką... Grunt, żeby był jakiś papierek z pie-

czątką. Obrońca Scharffa przedstawił już ekspertyzę jednego z byłych marszałków...

— A co orzekł ten marszałek?

— Kruk krukowi... Przysłał tylko jedno zdanie: *In Ordnung gegangen!* Wszystko O.K.! Mój stary od czasu do czasu też mi wystawia takie świstki: „Syn mój nie mógł przyjść do szkoły z powodu bólu zębów"...

Zegar na kościółku wybił drugą w nocy. Czas gasić światło i zapomnieć o wszystkim.

— A ty po czyjej stronie jesteś, Berciu? Po stronie generała czy tego młynarza?

Długa cisza.

— Gdybym wierzył w sprawiedliwość — wysilił się Herbert — może łamałbym sobie nad tym głowę, ale ja nie wierzę. Widocznie nie jestem jeszcze dość zepsuty i zakłamany, ale i na to przyjdzie kiedyś czas. A po czyjej stronie jesteś ty, młody idealisto? — zajrzał mu w oczy. — Przyznaj się, nie wstydź się... Tyś przecie zawsze taki szlachetny...

— Nie wiem — zaczerwienił się Arturek.

Miał ochotę powiedzieć, że nienawidzi nadętego mordercy w generalskim mundurze z całej duszy, ale zabrakło mu odwagi. Przecież to ojciec Gizeli!

— Nic już nie wiem — powtórzył. — Boli mnie głowa, odchoruję to wszystko. Dobra noc, kopalnio mądrości!

— Dobra noc, niepokalana dzieweczko...

Arturek szybko wcisnął głowę w pękatą, chłopską poduchę, by nie słyszeć szyderczego chichotu Herberta.

Stary młynarz miał rację. Generał Scharff nie poszedł do więzienia. Sąd go wprawdzie nie uniewinnił, ale okazało się że sprawa jest już przedawniona.

Na przyjęcie, które odbyło się w niespełna tydzień później w willi państwa Scharffów z okazji zwolnienia generała, Arturek nie poszedł. Wymówił się chorobą.

Gizela dzwoniła dwa razy.

— Takie święto — mówiła pół przytomna z radości — będzie u nas przeszło sto osób na *party*, a dla młodzieży zamówiliśmy z papą zespół jazzowy *Mississippi Boys*. Specjalnie przyjeżdżają z Düsseldorfu. Musiałeś ich kiedy słyszeć przez radio. Mam nową sukieenkę, błękitny „trapez" z Zurychu! Zaniemówisz, Turciu, z zachwytu! Musisz przyjść, słyszysz m u s i s z! To nasze święto!

Cóż za brak smaku! — pomyślał. — Stary grzesznik powinien wrócić do domu na palcach, tylną furtką, pod osłoną ciemności. *Mississippi Boys* mają mu zagrać na powitanie! Nie! Nie pójdę na tę szopkę! Nie pójdę, choć by...

— Jestem chory — jęknął w słuchawkę.

— Ale jeszcze dzisiaj w południe byłeś zdrów. Mama cię widziała w mieście!

— Zachorowałem po południu.

— Tak nagle?

— Tak nagle...

Długa cisza w słuchawce.

— Szkoda — powiedziała zawiedzionym głosem — ale gdybyś równie nagle i niespodziewanie ozdrowiał, czekamy...

Za pół godziny nowy telefon.

— Ty coś przede mną ukrywasz. Wróciłeś z Teisendorfu zmieniony nie do poznania. Dawniej taki nie byłeś. Po coś tam w ogóle jeździł?

— Sam nie wiem — westchnął.

Głos jej zaszedł łzami.

— A może ty byś wolał, żeby mój papa poszedł do więzienia?

— Gizelo...

— A może Herr Brandt zakazał ci przyjść do nas? Wstrętny komunista! Buntuje młodzież!

— Brandt nie jest komunistą!

— Papa mówi, że jest! Von Wickenberg też go uważa za szkodnika.

— Von Wickenberg jest osłem!

— Zawiodłam się na tobie...

— Gizelo...

— Nie wierzę w twoją chorobę!

— Jestem chory! — powtórzył.

Tchórzu! Tchórzu! — biło mu serce. — Dlaczego jej nie wykrzyczysz całej prawdy w słuchawkę? Powiedz jej: nie idę, bo mi sumienie nie pozwala, bo się we mnie wszystko buntuje przeciwko triumfalnemu powrotowi „męczennika", bo jestem po stronie zabitego Antona, starego młynarza w kapocie, Brandta leżącego w glinie ze złamanym nosem i tych trzech młodzieńców z Hamburga, którzy mieli odwagę powiedzieć „nie!"...

— Posłuchaj... — zaczął z wysiłkiem — ja ci to wszystko jutro wytłumaczę, miej do mnie choć trochę zaufania...

— Ach, „jutro"! — wykrzyknęła zdławionym głosem.

— Posłuchaj...

Odłożyła słuchawkę.

Pomóż mi! — chciał krzyknąć z rozpaczy — Zrozum mnie, wczuj się w moje położenie! Przecież to wszystko nie ma nic wspólnego z tobą i naszym uczuciem, to sprawa między mną a twoim ojcem...

Paps także zrobił obrażoną minę.

— A cóż to za demonstracja? Do Gizeli nie idziesz? W takim dniu! Myślałem, że pójdziemy razem...

— Źle się czuję, głowa mi pęka.

— Pokłóciliście się? Przyznaj się, Turciu? Jak to tylko powiada Heine o dwojgu zakochanych głuptasów? *Sie sahen sich an so feindlich und wollten vor Liebe vergehen...*

— Przeziębiłem się w Teisendorfie!

— Swoją drogą — mówił Paps, zawiązując muszkę przed lustrem — Madame Scharff zawiodła na całej linii. Zostawić męża w nieszczęściu samego i wyjechać z córką za granicę! Nasza mama nigdy by tego nie zrobiła. Gdybym tak ja stanął przed sądem...

— A dlaczego miałbyś stanąć przed sądem? — zdziwił się Arturek. — Przecież tyś nie kazał zabijać niewinnych...

Paps szarpnął za muszkę, aż spinka trysnęła na środek dywanu.

— Ja przed sądem? — roześmiał się. — Ja tylko tak mówię, dla przykładu... *Herrgott,* już dziewiąta!

Pocałował syna w czoło i zbiegł do samochodu .

— Baw się dobrze! — zawołał za nim Arturek. — Będziesz mógł sobie potańczyć przy dźwiękach orkiestry *Mississippi Boys!*

Z żalu wbił twarz w poduszkę.

Skulony w ojcowskim fotelu, nie otwierając oczu, przeżywał męki zranionej wyobraźni. Widział Gizelę w tańcu z tym lalusiem von Wickenbergiem. Cóż za wspaniałe tło dla „błękitnego trapezu z Zurychu"! — dręczył się coraz bardziej. — Na pewno hrabicz zjawił się w smokingu. Olśniewa całe towarzystwo, zwłaszcza starsze panie, wytwornością manier, śnieżną bielą równiutkich, zawsze wyszczerzonych ząbków i nienagannym przedziałkiem nad czółkiem kretyna. „Mister Bochum", żywa reklama pasty do zębów i olejku na włosy! Dzięki sylwetce fordansera i idealnej przeciętności umysłu na pewno zrobi z czasem karierę w dyplomacji. Takich z „von" przyjmują tam z pocałowaniem ręki... Ach, to jeszcze nie wszystko! Mój Paps ściska teraz generałowi rękę, tę samą muskularną, owłosioną łapę która... A towarzysze broni z Trzeciej Armii, przebrani w cywila, stanęli kołem. Pewnie i okrągły prałacik przydreptał z błogosławieństwem! („*Ach, ci wasi teologowie!* — przypomniał sobie okrzyk z książki Bernanosa — *to oni z uśmiechniętą miną pozwalają wam zabijać, wszystko jedno gdzie i jak, zabijać na rozkaz, jak zawodowym katom!*") Chwała Generałowi! Kogo tam dzisiaj nie ma! Ani chybi pofatygował się na szklaneczkę soku z pomarańczy (alkoholu z zasady nie pije) sam właściciel naszego cyrku, mumia egipska, Oberstudiendirektor Malz,aby wycelebrować orację nadziewaną łaciną! Pewnie i brat Herberta, ten żałosny Hamlet w randze majora, co z lęku przed otyłością zamienił kancelarię adwokacką na podwórko koszar, przydyszał z gratulacjami. Jest, oczywiście, i von Wickenberg senior, prezes Ligi Monarchistów i klubu łowieckiego, nie mogący przeboleć utraconych rewirów myśliwskich na wschodzie, i Studienrat Jacobi, a jakże, wszak to impreza w sam raz dla niego! Biały krawat! Racice w lakierkach! Dyga na wszystkie strony, wspomnienia kulinarne sprzed lat przeplata cytatami z Schillera: befsztyczek zjedzony w Paryżu i „Wilhelm Tell", szczupaczek po żydowsku, zmieciony w dalekim Tarnopolu, i „Maria Stuart"... W rogu pokoju

świeci, oślepia wszystkich łysa pała fabrykanta rurek neonowych. Herr Jelonke ze swoim bezsensownym: „Kto z państwa jeździł kiedy na słoniu, ten wie...” Jakieś wydelkotowane, girlandami podbródków obwieszone monstra brzydoty: żony fabrykantów, dyrektorów naczelnych, regierungsratów, z naftaliny wyciągnięte komtessy i baronessy, brylantami roziskrzone, z kokardami na opiętych biodrach. Drugi bohater wieczoru: rumiany adwokat z Monachium! Wiruje na obcasie jak ballerina. Kieliszek w ręku, policzki wypchane pasztetem. Już nie potrzebuje czarować widowni książeczką wojskową. Powinni byli i staruszka prokuratora zaprosić na *party*, aby sobie po cichu cukierki eukaliptusowe połykał w kąciku. I wszystkich przysięgłych zwieźć samochodami na wesołe pląsy. Jak zabawa, to zabawa, *Mississippi Boys!* A najstarszy rangą i zasługą oberupiór przeszłości, pewnie jakiś ekshumowany marszałek, wznosi teraz zdrowie gospodarza: *Lieber Walther! Willkommen zu Hause!...* Orkiestra, tusz! *Hoch soll er leben!...* „Cieszymy się, gratulujemy — rozlega się dokoła — sprawiedliwości stało się zadość!”... Generałostwo nie uznają nowoczesnego, barbarzyńskiego ucztowania na stojąco — z kanapką w ręku. Po toaście młodzi znowu puszczą się w ogniste, zamorskie tany (Gizela z Wickenbergiem!), damy z kokardami na biodrach zajmą fotele i kanapy na towarzyski świergot, a panowie wycofają się do gabinetu generała. I dopiero tutaj, *Kameraden,* wśród ścian przybranych starą bronią i gablotek z orderami (brylant jest z Holandii!), buchnie swojszczyzną. Jak niegdyś w kasynie! „Spocznij, wolno palić!” Chóralny rechot po każdym kawale, służąca wchodząca z tacą zaraz może oberwać głośnego klapsa poniżej pleców, panowie są między sobą, głośne wybuchy radości w rodzaju *Himmel, Arsch und Wolkenbruch!* Może się zacznie od starohanowerańskiej piosenki kirasjerów, a może od marsza *Wir sind alte Kameraden,* a potem coraz głośniej, coraz swobodniej, z biciem się po udach, z tupaniem w dywan, bo bez zdarcia sobie gardła nie ma dobrej, żołnierskiej zabawy! A zatem razem, *alte Kameraden,* razem i ze wszystkich sił! Na całe Bochum i na cały świat: *...wenn einst die Fan-fa-ren, die Fan-fa-ren wie-der klin-gen, hoi! Wie-der klin-gen, hoi!...*

— Dobrze, że mnie tam nie ma! — zawołał z ulgą.

Lecz już w chwilę później, poderwany tęsknotą, wybiegł z domu. Z nastawionym kołnierzem, z rozrzuconą czupryną przeleciał sąsiednie uliczki. Bez tchu przypadł do znajomej furty, by nasycić oczy nowym cierpieniem. Brzydka, secesyjna willa. Wieżyczki z zielonymi pikelhaubami, a na samym szczycie blaszana chorągiewka. Cały dom stał w ogniu muzyki i radości. W oknach i na tarasie płonęły tandetne, karnawałowe lampiony z różowej bibułki. Na tle firanek wirowały cienie roztańczonych par. Muzyka grała walca... Gdzie jest jej cień? Na ulicy lśniły sznury limuzyn. Pod żywopłotem stała groma-

da gapiów. Dwóch fagasów w białych rękawiczkach nie pozwalało wyrostkom podchodzić za blisko. Gdy orkiestra ucichła i cienie zniknęły z okien, nastawił ucha.

— Nowy Chrysler dyrektora banku Haasa! — zachwycał się jakiś znawca samochodów. — Śliczna linia, co? A tam, spójrzcie, co za cacko: „Thunderbird" dr. Ernsta ze „Stahlbau A.G."! A jednak wszystkich bije Rolls-Royce „Silver Wraith" hurtownika Berga z „Süd-Importu"! Czy wiecie, ile taki wóz kosztuje? Sto tysięcy marek!

Jakaś kobiecina w konduktorskiej kurtce nie mogła wyjść z podziwu:

— Widzieliście, ludzie, te futra? Nurki, sobole, brajtszwance! I te brylantowe tiary we włosach? Skąd oni mają tyle pieniędzy?

— Nakradli się w czasie wojny — zadudnił czyjś bas. — A potem Amerykanie ich złotem obsypali!

— Ci na górze zawsze będą mieli, a dla nas — pylica!

— Bez taniej demagogii! — zaprotestował kto inny. — Mogli przecież odziedziczyć po przodkach albo sami zapracować...

— Zapracować? — oburzył się bas. — Haruję od dziecka i jakoś sobie na nic nie zapracowałem, tyle że nie głoduję i portki mam całe...

— ...i aparacik telewizyjny i Volkswagen i lodówkę i trochę oszczędności w banku — dorzucił jakiś sceptyk. — Znamy takich!

— Tak, tak, teraz jest nam lepiej! — przywtórzyło kilku innych gapiów.

— Jest wielki postęp! — zapiszczał jakiś chudzielec.

— Dawniej nas doili ręcznie — upierał się bas — teraz nas doją elektrycznie — taki to i postęp! Albośmy to przestali być krowami?

— Kiejś ty byk, a nie krowa! — zachichotała jakaś baba.

— No to chodź, krowo, do byka! — zarechotał bas. — Już ja ci...

Żołądek się wywraca na te ordynarne żarty. Ciemna, potulna, zawsze zdyscyplinowana hołota, na wszystko od pokoleń mówiąca: „tak". Każdy z nią może zrobić co zechce. Lokajska mierzwa, służyć będzie każdemu za odpadek z pańskiego stołu, za napiwek, za patriotyczne słówko. Zamiast złapać za kamienie i powybijać wszystkie szyby w tej willi, zamiast wtargnąć do zbójeckiej nory i potłuc wszystko w drobne kawałki, w skrytości ducha cieszy się z nie swoich futer, pereł i Rolls-Royce'ów. Stara bzdura: Jak tym, na górze, będzie dobrze, to i nam będzie dobrze!"

Zapomniał w rozpędzie, że sam mieszka w willi, jest synem zamożnego „dyrektora naczelnego", a tam, w środku, bawi się jego ojciec...

— A co się tu właściwie dzieje? — dopytuje się podska-

kująca z ciekawości staruszka. — Powiedzcie, państwo, bo ja nietutejsza. Córuchnę wydają za mąż? A za kogo?

Arturek czuje skurcz nienawiści w gardle.

— Nie wiecie, babciu? — roześmiał się ktoś w tłumie. — ,,*Der tolle Schraff ist wieder da!* Bohater wrócił do domu!

— Bohater?... — spytał ktoś z powątpiewaniem. — Jaki tam on bohater?

— Morderca! — wyrzuca ze siebie Arturek. — Zwykły morderca!

Odwraca się od roztańczonej willi i idzie do domu. Czuje ulgę. Od dawna dojrzewający wrzód pęka w tym okrzyku.

W kilka dni później dojrzał ją na rogu ulicy. Jaka elegancka! Jakby wyrosła po powrocie z zagranicy! W błękitnym *duffle-coacie* z drewnianymi klamerkami. W modnym berecie z włochatego *mohairu*. Jedwabna apaszka wzdęta na wietrze jak żagiel. Nowa, wspaniała torba, już innym niesiona sposobem. Zmieniła fryzurę, czesze się do góry... Dorosła kobieta!

Pokiwał czapką. Nie przystanęła, poszła dalej. Przyśpieszyła kroku, przeszła na drugą stronę...

— Gizelo!

— Bardzo się śpieszę! — rzuciła niechętnie, nie odwracając głowy.

— Gizelo! — zawołał, zrozpaczony.

— Wyzdrowiałeś? — zapytała szyderczo.

Już nie pamięta, co jej mówił, na pewno coś niemądrego i bardzo chaotycznego, w zdenerwowaniu nie znajdował właściwych słów i argumentów, ale jeszcze widzi jej zwężone, niechętne spojrzenie i słyszy każde jej słowo.

— Czego oczekujesz po mnie? Żebym pojechała do Teisendorfu i złożyła wieniec na grobie tego burmistrza?

— Nie byłby to zły pomysł — powiedział.

— Czego ty właściwie chcesz ode mnie? — wybuchnęła. — Cóż mnie to wszystko obchodzi? Przecież ja miałam wtedy cztery lata! Przecież to nie moja wina! Ale tyś zwariował, Brandt ciebie zatruł, Brandt nie kto inny! Von Wickenberg ma rację: ty nas nienawidzisz!

— Gizelo!... — próbował ją chwycić za rękę.

Odsunęła się ze złym błyskiem w oku.

— Zostaw! Nie chcę cię widzieć więcej!

Oparł się o ścianę, bliski płaczu. Włosy spadły mu na czoło. Zamknął oczy. Posłyszał oddalające się kroki na chodniku...

W szkole przesiedział wszystkie godziny martwy, ze spuszczoną głową, widząc tylko sęk w ławce. Dopiero po jakimś czasie, na korytarzu, wyrwał go z otępienia silny uścisk dłoni. W okiennej niszy zobaczył smutnie uśmiechniętą twarz Brandta i posłyszał jego słowa:

— Przyjacielu, syneczku... Ja jeden wiem, co się w tobie dzieje. Turciu, trzymaj się!

A wieczorem zadzwonił Herbert.

— Podobno Scharff zamierza kandydować przy najbliższych wyborach. Nie ma w tym sensacji, skoro w Bawarii jakiś były strażnik obozu koncentracyjnego też się pcha do parlamentu...

Dość długo skradał się do tematu, aż wreszcie brudnymi paluchami dostał się do otwartej rany:

— Chociaż w starożytności obcinano głowę zwiastunom hiobowych wieści, może będzie lepiej, żebym ja, twój przyjaciel, powiedział ci o tym, niż byś miał się dowiadywać prawdy od innych...

— Co się stało? — zapytał Arturek.

— Bądź mężczyzną, drogi Turciu! Wczoraj wieczorem widziano Gizelę, jak wychodziła z parku pod rękę z von Wickenbergiem...

— Co robić: kismet! — zdobył się jeszcze na chwilę spokoju. — Bóg zapłać, Bertek, za dobrą nowinę!

Lecz zaraz potem, jak mały chłopiec, z pięściami przy oczach, rzucił się na łóżko.

Uciec stąd! Wyjechać dokąd oczy poniosą! Wyrwać się choć na kilka dni! Nie widzieć tych strasznych ludzi! I tego wstrętnego miasta! Nie oddychać zatrutym powietrzem! Przeklęte Bochum!

◆

Arturek, wychylony w oknie pędzącego pociągu, podążał nie na zachód, ale na południowy wschód. Wystawił twarz na pęd powietrza. Owiał go zapach trawy. Zmrużył oczy i wchłaniał w siebie nowy krajobraz. O, teraz droga wysadzana lipami, drynda z budą, miasteczko z żółtymi skrzynkami pocztowymi, dwóch brodatych emerytów w myśliwskich kapeluszach gestykuluje porcelanowymi fajeczkami na samym środku rynku, kilka roztrzepotanych gęsi w bajorze, jacyś młodzieńcy z rozpiętymi na piersiach bluzami podpierają drewniany parkan, żona dróżnika kurczowo przytrzymuje kieckę podbitą pędem od ziemi, koza wbita krzywymi nogami w zieleń nasypu... Austria! Ziemia mojej matki!

Już na pierwszej stacyjce po drugiej stronie granicy powiało innym życiem. Wsiedli z hałasem nowi pasażerowie i od razu zabulgotało w powietrzu od beztroskiego śmiechu. Ubrani byli barwniej i jakby z rozmyślną niedbałością. Bez dopięcia na ostatni guzik, bez wcięcia w pasie (Paps by powiedział: *Oesterreichische Schlamperei!*). I nie mieli natężonego wzroku ani napiętych mięśni twarzy, co się tak często widuje w naszych stronach. Przy chrupaniu precli i piciu wina prosto z butelek poruszali zabawnie wąsiskami w kształcie rowerowej kierownicy, coś co podziwiać można tylko na historycznych portre-

tach lub w komediach muzycznych. W powietrzu unosił się śpiewny akcent zupełnie innej niemczyzny. Spółgłoski i samogłoski goniły się po drabinie dźwięków w coraz szybszym rytmie. Nie każdy to lubi, są nawet tacy których drażni ten lekkomyślny zaśpiew, ale do Arturkowych uszu wpadał on przyjemnie jak ciepły, słoneczny promień, załamujący się właśnie na podskakujących za szybą drutach telegrafu. Jacy oni inni! O ile swobodniejsi!... Austria! Ziemia mojej matki!

A gdy figlarnym dyszkantem zapiał ktoś po wiedeńsku na cały przedział: *Machen S'doch keine G'schichten!,* od razu cały świat poweselał. Artorkowi aż się w głowie zakręciło z uciechy! Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów roześmiał się na całe gardło. Wydawało mu się, że lokomotywa z radosnym parskaniem wspina się na tylne koła jak wytresowany koń w cyrku. A tu jeszcze przy samym torze, co za frajda, wiruje pijana karuzela! Pisk dziewcząt goniących własne włosy w pędzie, łopot haleczek, turkot spalinowego pyrkadła i cudowny bełkot katarynki wpadający prosto do przedziału. Jak tutaj inaczej! O ile piękniej niż w ponurym, wiecznie zadymionym Bochum!... Austria! Ziemia mojej matki!

A do tych wrażeń dochodzi jeszcze dygot wewnętrznego niepokoju. Któż to tylko powiedział: „Raz się wyrwawszy z ojcowskiej uździenicy, żadnego nie zniesiesz arkana''? Tak, ten pierwszy samodzielny „skok'' do Austrii kryje w sobie urok zakazanego owocu. Arturek wymknął się z domu zgrabnie niczym zawodowy złodziejaszek z aresztu. Zmylił czujność ojca z przebiegłością, jakiej by mu pozazdrościł niejeden układacz sensacyjnych opowieści. A więc wcale nie pojechał na wystawę do Brukseli, o czym głośno zapowiadał w domu. Do Belgii pojechał kto inny: Karolek Pfirsich. I stamtąd właśnie uczynny Karolek,na którym zawsze można polegać w podobnych sytuacjach, wysyłać będzie co dzień widokówkę z pawilonem. Trudno o lepsze „alibi''...

Poczciwy Paps! Odłożył nawet jakąś ważną konferencję i, niczego się nie domyślając, odwiózł go swym Mercedesem na dworzec, a jakże — wycałował w policzki, potargał mu na pożegnanie czuprynę, kieszenie powypychał cytrynowymi dropsami...

Arturek zmarszczył czoło i przez chwilę nie dostrzegał pędzących za oknem zagajników. Oczywiście, nie powinno się oszukiwać własnego ojca, to grzech. Pfirsich nieraz powiada: „Mój stary jest zasuszonym, gorzkim jak wiadro piołunu pastorzydłem, twój, Turciu, to zupełnie inna klasa!'' A jednak... Na pewno obyłoby się bez podstępu — zagłuszał w sobie wyrzuty sumienia — bez skradania się z pociągu na pociąg, bez kolorowych pocztówek z Brukseli (niełatwo je było zdobyć w Bochum), gdyby kochany Paps przy wszystkich swoich zaletach... Ach, po co znów o tym myśleć, przypominać sobie wszystkie zmartwienia na nowo!

Gdybym nie był synem naczelnego dyrektora — pomyślał z goryczą — jechałbym teraz do Valentina (,,człowieka z gminu'', jak mówi Paps) legalnie. ,,Nie martw się, obłudniku! — szydzi nieraz Herbert. — Bogactwo nie hańbi. Moja rodzina jest biedna i też diabła warta''. W czym to jednak austriaccy Praxmeyerowie są gorsi od westfalskich Ostermannów? Dlaczego sympatyczny, nieszkodliwy, Bogu ducha winny wąsal Valentin (*Herr Ober,* ,,knajpiarz'' — jak go Paps nazywa z niechęcią; wiadomo: ,,Ostermannowie nigdy nie kelnerowali''), od dziesiątków lat prowadzący staroświecki *Caféhaus Talisman* nad Dunajem, miałby zasługiwać na mniej szacunku niż ci wszyscy nadęci, nowobogaccy brzuchacze z Zagłębia Ruhry, koleżkowie Papsa, zamerykanizowani w najpłytszym tego słowa znaczeniu, co to plotą w kółko tylko o swoich interesach, o telewizji i o samochodach. ,,Ostermannowie byli niegdyś majstrami u Kruppa, to fakt, ale nie usługiwali nikomu w szynku!''... A ja nie wiem, drogi Papsie, co jest bardziej nobliwe: Krupp, fabryka narzędzi śmierci w Essen czy *Caféhaus Talisman* we Wiedniu? Taki rubaszny prostak, Jelonke, na przykład, fabrykant rurek neonowych (,,Kto z państwa jeździł kiedy na słoniu, ten wie...''), ma prawo bywać w naszym domu o każdej porze dnia i nocy, ale stary Praxmeyer, chociaż ojciec mamy, okazuje się nagle niegodnym dostąpienia tego zaszczytu ,,ciasnym, parafiańskim łbem''... A gdyby *Herr Generalleutnant a. D.* Walther Scharff (poczuł siarkę w przełyku) czy Herr Graf von Wickenberg (nowa porcja siarki) przyszli złożyć swoje uszanowanie, Paps, człowiek bądź co bądź nieprzeciętny, figurujący w ,,Encyklopedii Gospodarczej'', wybiegłby w lansadach przed dom,aż do furtki... Nie dorobił się nieborak Valentin, nie opalił się w słońcu ,,cudu gospodarczego'', bo się niefortunnie ulokował geograficznie, nad Dunajem zamiast nad Renem, to wszystko. ,,Nie każdy miał szczęście przegrać wojnę'' — powiedział kiedyś Brandt. Austria w zasadzie też przegrała, ale nie spadł na nią powojenny deszcz złota.

I żeby mi nawet nie było wolno jawnie korespondować ze starym Valentinem, czy to nie przesada, drogi Papsie? ,,Jeśli będę miał kiedyś dzieci — zapowiada czasem pastorski synalek, Pfirsich — pozwalać im będę absolutnie na wszystko. Spójrzcie na mnie! Nigdy by mi do głowy nie przyszło zrywać się ze smyczy, gdyby mój świętobliwy ojczulek nie trzymał mnie zbyt krótko. Bronię się jak mogę: po każdym jego kazaniu o zgubnym wpływie alkoholu na organizm młodego człowieka, chociaż wódki nie lubię, skok na motocykl i do karczmy; po każdym jego kazaniu o grzechu nieczystości, chociaż kobietami się nie interesuję, chlust wodą kolońską i na dziewczynki!'' Przechwałki pryszczatego nieśmiałka, ale coś tam jest na rzeczy: na gwizdek policjanta i porządny człowiek rzuca się do ucieczki. ,,Dlaczegoście uciekali? — pytają się później. — Bo nas gonili!''...

W ostatnim liście, przysłanym, jak zwykle, na poste restante, stary dziwak z Wiednia napisał: ,,Już ja dobrze wiem, dlaczego twój ojciec chciałby mnie wykreślić z pamięci. Lepiej nie próbuj się dowiadywać''... List-zagadka! Zaprawdę, ,,Tajemnica rodu Rodriganda'' — skrzywił się, zdegustowany. — Kicz unosi się w powietrzu. Karl May *redivivus*...

Zaraz dojeżdżamy!

Jest inny, stokroć ważniejszy powód, dla którego wykradł się z Bochum... Nie! Lepiej o tym nie myśleć! Właśnie przed chwilą w brukowej gazecie, kupionej w dworcowym kiosku, wyczytał przypadkowo w głupawym, chyba dla kucharek przeznaczonym ,,Poradniku Psychologa'' receptę dla jakiejś ,,Strapionej Gretl z Tyrolu'':

,,*Szczęście czy nieszczęście, droga Gretl, jest li tylko* (!) *kwestią uświadomienia sobie tego czy innego procesu psychicznego w mózgu, obiektywnie rzecz rozpatrując — w ogóle nie istnieje. Jeśli nie dopuści Pani do tego, by dane wyobrażenie, a więc twór Pani mózgu, umiejscowiło się na dłużej w zwojach mózgowych* (*tak, to trudne, ale proszę tylko spróbować!*) *od razu poczuje Pani kolosalną ulgę...*''

Psycholog od siedmiu boleści! Pasem go przeciągnąć za taką ,,terapię''!

Na dworcu w Salzburgu, na widok gromady roześmianych dziewcząt w ,,duffle-coatach'', złapał go kurcz tęsknoty. Wyskoczył z wagonu na peron, kupił kartkę z widokiem gór. W Bochum gór nie ma, niech zobaczy jak tutaj pięknie. Już wypisał znany na pamięć adres, przy imieniu i nazwisku ręka mu drżała jak w chorobie, ale po namyśle pocztówkę podarł i wyrzucił z pędzącego pociągu...

— Młody człowieku! — doszły go wesołe okrzyki towarzyszy podróży. — Wiesz, jak wiedeńczyk nazywa swój brzuch? *Backhendlfriedhof*. Siedem tysięcy ton pieczonych kurcząt zjadamy co roku! Zaraz po wyjściu z dworca, na kurczaka — biegiem marsz!

Jeszcze kilka podrygów na rozwidleniu szyn i jesteśmy u celu podróży! Szczupły młodzieniec, odziany w kraciastą wiatrówkę i welwetowe spodnie z trudem panował nad podnieceniem. Najpierw sprawdził czy nie zgubił biletu (przyjeżdżał z kraju w którym gubienie legitymacji, biletów i innych zaświadczeń jest bardzo źle widziane), potem zdjął z górnej siatki torbę podróżną typu ,,Sherlock Holmes'' (Paps ją kiedyś przywiózł z Genewy), przez chwilę wciskał nerwowo pod pachę książki i gazety, wreszcie z wielkim rozmachem wyrzucił jasno blond czuprynę przez okno wagonu.

— Czy to już? — ze zdenerwowania zapytał zbyt wysokim, niemal dziewczęcym głosem.

— Tak jest? — gruchnęło w przedziale. — *Hauptbahnhof Wien!*

Zegar na peronie wskazywał jedenastą. Pociąg pośpieszny z Monachium wjechał na stację punktualnie co do minuty.

Arturek roześmiał się. Dobry omen!

Przepchnął się przez tłum do postoju taksówek i zawołał donośnie jak dowódca przed frontem kompanii:

— Favoritenstrasse 10! *Caféhaus Talisman!*

Dziadek Valentin rozrzewnił się przy powitaniu („tyle lat, tyle lat!"), nos kilka razy w kraciastą chustkę wytarł, ale zaraz na wstępie powiedział:

— O jedno cię proszę, robaczku: na temat twego ojca lepiej nie rozmawiajmy. Jest to sprawa dla mnie za bardzo bolesna. Lepiej, żebyś o tym wszystkim nie wiedział...

Nie rozmawiajmy, to nie rozmawiajmy. Spróbujemy go zagadnąć przy innej okazji. Nie dziś, to jutro. Wytrwałym szczęście sprzyja, i tak przed upływem tygodnia nie ma się stąd co ruszać.

Valentin, mimo podeszłego wieku (chyba ma już osiemdziesiątkę?), nie wstydząc się fartucha wychodzącego spod kamizelki i ściereczki pod pachą, uwija się po swojej kawiarni...

...jak wiewiórka — pomyślał Arturek.

Rzeczywiście, oczka ma lśniące, całkiem wiewiórcze, brwi ciemno-kasztanowe i tejże barwy bokobrody, o dziwo, bez śladu siwizny. Czyżby próżny dziadzio farbował swój zarost? Właściwie wygląda aż za „typowo", jakby go ucharakteryzowano do filmu z epoki tego monarchy, który zasępiony, z pochyloną głową stoi na cokole w cesarskim ogrodzie wśród krętych alejek i wspaniale rozgałęzionych buków i platanów. Dziadek z faworytami! Nie każdy może się poszczycić takim muzealnym wykopaliskiem! W całym Bochum nie znajdziesz podobnego. Można by go, tak jak stoi, w tych spodniach z lampasem, bardzo wąskich u dołu, wypchnąć na scenę operetki lub pod baterię jupiterów, by swoją chytreńką ale przy tym tak dobrotliwą twarzą radował oczy miłośników „Barona cygańskiego" czy „Zemsty nietoperza".

Natomiast *Caféhaus Talisman*, nazwany tak chyba na cześć sztuki Nestroy'a, wzbudza w przybyszu z Westfalii znacznie mniej zachwytu. Arturek ma ochotę pootwierać wszystkie drzwi i okna na przestrzał. Ciemna, chyba od lat niewietrzona salka, chociaż tuż nad podłogą unosi się mydlany zapaszek świeżo wyszorowanych desek, przesiąkła zbutwiałą starzyzną. Żyrandol-inwalida z wyskubanymi paciorkami, lustro w pękniętej ramie, tak zmętniałe iż od lat nie odbija obrazu, czas najwyższy wyrzucić do rupieciarni. Zrujnowane kanapki. Plusz, aż czarny od wysiedzenia, pachnie naftaliną. Nogi stolików i krzesełek,odrapane z polityry aż do białości surowego drzewa, proszą się o stolarza. A z ciężkich, ciemno purpurowych portier bije skondensowany zapach tabaki. Za szybą, dla utrzymania jedności stylu i atmosfery, co jakiś czas przejeżdża konna dorożka,już z nowoczesnymi oponami z gumy, ale siwy fiakier po dawnemu pozdrawia znajomych wyblakłym ze starości melonikiem. Także i na sąsiedniej kamieniczce, na murze

apteki widnieje szyldzik-osobliwość starowiedeńska: „Nacht-Telegraf"; tak się nazywa dzwonek do wyrzucania aptekarza z łóżka.

A klientela też się tutaj schodzi bardzo osobliwa, dosłownie ze starego żurnalu wycięta. Któż na co dzień nosi sztywne kołnierzyki w Bochum? Może pastor Pfirsich, może ta mumia Oberstudiendirektor Malz, i na tym koniec. A tutaj zjawiają się goście ze sztywnymi obrożami wokół szyi i niejedno podgardle nosi czerwony odcisk twardego krochmalu. Któż nosi dzisiaj getry albo kalosze w naszych stronach? Nikt! A tutaj przy drucianym koszu na parasole stoi umyślna brytfanna na kalosze. Muzeum osobliwości! Ledwie Boga pochwalą i buty z kaloszy oswobodzą, biegną do gazet. Na długiej listwie wiszą dziesiątki papierowych proporców na drzewcu: kolekcja krajowych i zagranicznych dzienników, chluba „Talizmanu". Niektórzy, nienasyceni, łapią po kilka gazet na raz. Zabawnie wygląda taki chomik w rogu: jedną płachtę trzyma przed sobą, drugą kurczowo przyciska łokciem do stołu, a resztę dzienników, jak poduszkę, przygważdża swoim ciałem. Choćby się rzuciła na niego cała kawiarnia z laskami, nie odda zagarniętego skarbu spod siedzenia...

Groteskowa figura, pożeracz gazet, a jednak Arturek nie wybucha śmiechem: w tej chwili przypomina mu się pewien fragment z książki Mauritiusa. Zaprawdę, zatruty podarek! Naciera na człowieka w najmniej oczekiwanym momencie:

„...*od pewnego czasu przekrada się na nasz barak student z Warszawy, niejaki Nowakowski. Za porcję chleba kupuje „na czarnym rynku" gazetę. — „Wolę nie jeść" — mówi — „a wiedzieć co się dzieje na świecie"... Ale już nie przychodzi. Wczoraj wieczorem pobili go kijami własni rodacy, krzycząc: „Nie dość, cholera, że Niemcy Warszawę spalili, to ty jeszcze niemieckie gazety czytasz!" ... Ile nienawiści dźwiga każdy z nas na swym grzbiecie! I jak to wszystko kiedyś naprawić?"*...

Valentin ma do pomocy dwóch „leniwych smarkaczy" (jak ich nazywa). Każdy z nich dawno przekroczył pięćdziesiątkę. Goście wołają na nich per „panie Franciszku"...

— Dlaczego?

— A bo u nas, we Wiedniu — wyjaśnia Valentin — taki już zwyczaj: nie mówi się *Herr Ober*, ale *Herr Franz*. Obcego, robaczku, od razu poznasz po tym *Herr Ober* i po barbarzyńskim okrzyku *Eine Tasse Kaffee!* U nas każdy wie, j a k i e j chce kawy...

Arturek nadstawia ucha. Rzeczywiście, goście wołają: *Herr Franz, kleinen Mokka!* Albo: *einer Kapuziner!* Albo: *einen Einspänner gespritzt... Einen Braunen!... Eine Schale Gold!...* Więcej *Schlagobers!... Kleinen Schwarzen!...*

Jakiś inny, tajemniczy, z kawowych aromatów wyczarowany świat...

Dziwne rzeczy dzieją się w tym niezwykłym „Talizmanie". Na przykład godzinę temu zjawił się w kantorku jakiś młody

człowiek w rogowych okularach z grubą teczką pod pachą. Kłaniał się grzecznie, uśmiechał, chciał coś wyjąć z teki, a stary Valentin bez słowa, ze ściągniętymi brwiami, wskazał mu drzwi.

— Co się stało? — zaniepokoił się Arturek.

— Nic ważnego — burknął dziadek.

A teraz, rozpływając się w uśmiechu, zjawia się nieznajomy po raz drugi i już od proga powiewa kolorowym prospektem.

— Czy pan się dobrze namyślił, Herr Praxmeyer? — pyta słodko.

— *Rrraus!* — warczy stary, odsłaniając żółte zęby.

Jeszcze chwila, a ściereczka, którą zawsze trzyma w pogotowiu dla przegonienia niewidzialnej muchy znad stołu, przyklei się do twarzy przybysza.

— Co się stało? — zapytuje Arturek po wyjściu tajemniczego osobnika.

— Nie! Nie! Nie! — piekli się Valentin. — Nigdy w życiu! Co za natręt! Wiesz, robaczku, czego on ode mnie chce? Żebym się poddał, żebym się ugiął i wywiesił białą chorągiew. Na dwanaście rat mi to świństwo chce rozłożyć...

— Jakie świństwo?

— Takie nowoczesne, chromem połyskujące świństwo do parzenia espresso, maszynę z Mediolanu! Po moim trupie!

— Dlaczego? — śmieje się Arturek. — A cóż w tym złego?

Stary Praxmeyer poczuł się wyraźnie urażony. I jak nie wybuchnie:

— I ty, syn mojej córki, pytasz się „dlaczego"? Spójrz tylko, co się dzieje! Setkami ohydnych, barbarzyńskich barów espresso zaśmiecono cały Wiedeń! Bandyckie dziuple, w których ludzie wypijają filiżankę trucizny w pośpiechu, na stojąco. Nawet niektóre zwierzęta siadają do posiłku,oni zaś stoją! A tutaj — powiódł ręką po swojej ruderze — panuje spokój, promieniuje ciepło, jest drugi dom. W moim „Talizmanie" poeci pisywali swe najlepsze wiersze na kawiarnianych serwetkach, kompozytorzy układali najpiękniejsze walce. Kto tutaj nie bywał! Piotr Altenberg, Artur Schnitzler, Hermann Bahr, wielki Karol Kraus, Józef Roth z butelczyną w kieszeni płaszcza...

— Znam! Znam! — wykrzyknął Arturek. — Wspaniały pisarz! Czytałem jego „Marsz Radetzky'ego". Profesor Brandt, który znał go osobiście, nazywa tę książkę „bukietem kwiatów...

...na grobie starej Austrii" — chciał powiedzieć, ale ugryzł się w język, by nie urazić dzadka Valentina, który wskazując właśnie na najciemniejszy kąt rudery lamentował dalej:

— W rogu bilardowej sali studenci przygotowywali się do egzaminów. Nieraz taki głodomor zamówił *kleinen Schwarzen* za dwa szylingi i przesiedział nad nią całe popołudnie, a myśmy, robaczku, uważali, żeby mu nikt nie przeszkadzał w nauce, bo z takiego chudzielca z czasem sławny doktór lub profesor

będzie... Póki ja żyję, nie będzie tu ani telewizji, ani automatu muzycznego ani neonu ani tego paskudztwa z Mediolanu! Póki żyję, robaczku... — głos mu się nagle załamał, pociągnął nosem. — Bo przecież już niedługo sprawdzi się ten stary wiedeński wierszyk w którym grzeczna i cierpliwa śmierć powiada: *Lieber Valentin, mach keine Umständ', geh...*

Jak miękko, jak śpiewnie mówi Valentin to *geh!...*

Wieczorem *Caféhaus Talisman* pozostał na łasce dwóch „leniwych smarkaczy", Franzów. Arturek zaprosił dziadka do opery. Wsiedli do dorożki i pojechali na „Wesele Figara". W dorożce dziadzio zaczął sobie podśpiewywać.

— Znasz tę piosenkę, robaczku? *Lampenputzer ist mein Vater?* To berlińska piosenka, ale stosuje się do mojej rodziny. Mój ojciec, Nepomuk, czyścił kiedyś lampy w Burgtheater (jeszcze w tym starym), a matka prała koszule studentom i kadetom. A jednak, gdy mogli się przenieść na lepszą dolę do Berlina, moja matka zadarła nosa jak hrabina: „Nie pojedziesz chyba, Nepomuk, do jakiegoś tam p l e b e j s k i e g o Berlina!" Takich słów używała!..."

Przy oddawaniu płaszczy w garderobie Arturek spostrzegł jak popularną postacią w mieście jest dziadek Valentin.

— *Jessas,* sam Herr Praxmeyer! — ściskano mu ręce. — Nasz kochany pan Valentin!

Zmęczony całodzienną pracą Valentin co najmniej jeden akt przespał snem sprawiedliwego, nawet najgłośniejsze kaskady muzyki nie zdołały go wyrwać z objęć Morfeusza. „To już nie to, co kiedyś — mruczał tylko — nie te głosy, robaczku!"... Arturek zaś, przechylony przez poręcz balkonu niemal do pasa, chłonął w siebie kolorowe szczęście wszystkimi porami ciała, urzeczony, przeniesiony w inny świat...

A w nocy, rozwibrowany muzyką i bogactwem nowych wrażeń, długo nie mógł zasnąć. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak dziwnie. Miał wrażenie że się odmienił wewnętrznie i skrzydła wyrastają mu u ramion. Gdy zasnął, miał sen, bardzo niezwykły sen. Nic z Mozarta, nic z Wiednia. Raczej jakaś dziesiąta woda po widzianym niegdyś filmie o Lindbergu.

...jechali wspaniałym otwartym wozem przez Piątą Ulicę w Nowym Jorku. Paps w białym fraku, z wieńcem laurowym na czole, i on, rozdygotany ze szczęścia Arturek. Eskorta honorowa na motocyklach. Sami znajomi. Przebrani jak w karnawale. Pastor Pfirsich w przeciwatomowym kombinezonie, młynarz z Teisendorfu w bawarskim kapeluszu z tablicą Czerwonego Krzyża. A tam — Brandt z Mauritiusem w kacetowych drelichach w aureoli z drutu! Jest i Gizela w błękitnym „trapezie" z Zurychu, roześmiana w pędzie, cała w zamieci włosów! Za nią jakiś Hindus, bodaj joga, pewnie ten Bangaku Hakushi. I *Mississippi Boys* na lambrettach! Jadą na samym dnie niebotycznego wąwozu! Po obu stronach strome skały, wspaniałe nowojorskie drapacze chmur! Hosanna! Ze wszystkich okien lecą kwiaty i białe papierki. Krzyki tłumu, oklaski

łoskot orkiestry. Paps kłania się wieńcem jak cylindrem. Potężny głos woła w megafonie : ,,Niech żyje laureat nagrody Nobla, dobroczyńca ludzkości, największy chemik wszystkich czasów, dr Erich Ostermann,ojciec Arturka !'' ... Biją dzwony kościelne. Huczą syreny okrętowe w porcie. Samoloty wypisują na niebie : *God bless Ostermann!* A tam, nad domami, wielki nadmuchany balon, kukła z nicejskiego pochodu, to fabrykant Jelonke ! Nie ! To jego słoń unosi się w powietrzu ! (,,Kto z państwa jeździł kiedy na słoniu, ten wie...'') Coraz więcej kwiatów i muzyki, Niagara śpiewu ! ,,Niech żyje Erich Ostermann ! — woła potężny głos w megafonie, głos z samego nieba. — Pierwszy człowiek na ziemi, który zwyciężył śmierć, twórca pastylki ,,Vita aeterna'' ! Wielki dobroczyńca ludzkości, honorowy obywatel świata'' ! A teraz, jak okiem sięgnąć, tysiące, tysiące obnażonych głów. Tłum ukląkł przed nimi. Bucha wonne kadzidło z góry dzieciństwa, ze słonecznej, matczynej pielgrzymki do Neviges, lilie lecą z nieba... Arturek nie może wydobyć głosu. Łzy spłynęły mu do gardła. Obejmuje ojca za szyję, ściera mu kwiatami zmarszczki z czoła, i czuje potężny łoskot w piersi : ,,Mój Paps ! Mój Paps !'' — Jestem bardzo, bardzo dumny z ciebie'' !...

Nadszedł trzeci dzień wagarów, trzeci dzień Wiednia.

Słoneczny, niemal wiosenny poranek. Arturek zasiadł do chrupkich kajzerek i smacznej kawy z kożuszkiem, jeszcze uśmiechnięty do swego snu. Przeglądając gazety, spostrzegł że więcej w nim artykułów o wystawie Kokoschki,o nowym dyrektorze Burgtheater, o przyjeździe orkiestry symfonicznej z Filadelfii, niż o polityce. Jeden z recenzentów, oceniając premierę ,,Henryka IV'' Pirandella w teatrze *in der Josefstadt* pisze właśnie : ,,Z rozpoczęciem sezonu teatralnego wiedeńczyk pogłębia swoje życie urojone, odwraca się od spraw codziennych, żyje snem. Szczęśliwe plemię ! Ze wszystkich fanatyzmów uznaje tylko jeden : fanatyzm sztuki''. A tutaj, w kronice kulturalnej, donoszą że do Wiednia przyjechał Joachim Mauritius. Zatrzymał się na kilka dni w hotelu ,,Pod Orłem''. Jutro odbędzie się jego wieczór autorski w ,,Akademietheater''...

— Znam go osobiście — pochwalił się dziadkowi. — Podarował mi swoją książkę z własnoręczną dedykacją. Gdybym chciał, mógłbym mu nawet złożyć uszanowanie...

Ale Valentin o tej porze dnia nie ma czasu na rozmowę. Już od szóstej na nogach, uwija się po swoim królestwie, roznosi pierwszym gościom kawę, podsuwa im świeże dzienniki, ,,leniwych smarkaczy'' posyła do lodówki po *Wiener-Hochquellenwasser,* odgaduje myśli swojej klienteli.

— A teraz, robaczku — rzuca w zaaferowanym biegu z tacą — na spacer ! Poczmychaj sobie trochę po Ringu ! Pogoda jak w czerwcu...

No to sobie poczmychał ! Dobrze, że tu przyjechał ! Chodzi sobie teraz przez cały dzień po Wiedniu, zaczarowany turysta.

Po wesołej Kärntnerstrasse, po ruchliwym Placu Karola, po rzęsiście oświetlonym Placu Europy. Oby tylko Karolek Pfirsich wysyłał regularnie pocztówki do domu, a wszystko będzie dobrze ! Był już u sławnego Demla. Na pozłacanej kozetce wciął porcję *crème du jour,* poprawił ją *crème Grenoble.* Zajrzał do ,,hiszpańskiej szkoły jazdy''. Jeszcze słyszy trzepot fanfar w białej sali, czuje zapach trocin i końskiego potu, widzi jak sławne ,,Lippizanery'' tańczą na środku ujeżdżalni w takt Straussa, a gdy na zakończenie spektaklu jeździec we fraczku i pierogu zastyga w ciszy na ogierze (tylko siodło skrzypi i para bucha z nadętych chrapów) przypomina się Prinz Eugen na wspiętym rumaku, uwieczniony w kamieniu przed Burgiem, na oblężonym przez tysiące wróbli Placu Bohaterów. Tyle tutaj do zobaczenia ! Jeszcze nie był w krypcie kapucynów, nie widział ,,Madonny od bólu zęba'' w katedrze, nie był w Praterze, nie pił wina na Grinzingu, nie wyskoczył do wiedeńskiego lasku... W tłumie widzi życzliwe, nareszcie ludzkie twarze. Ile ciepła bije od nieznajomych ludzi ! Aż ochota bierze przywitać się z przechodniami. Czasem jakaś kobieca twarzyczka, dostrzeżona w przelocie, z oczu, włosów i uśmiechu przypomina mu mamę w młodym wieku, taką jaka spogląda w domu ze staroświeckiego medalionu. Dobrze, że mama była Austriaczką — roześmiał się. — Wszyscy ludzie na świecie powinni być Austriakami, życie od razu byłoby lżejsze. A takie miasta jak Bochum powinny być policyjnie zabronione... Z winiarni i gospód wydobywają się kojąco banalne dźwięki walczyków. Ograne, a nie męczące, cudownie kiczowate, pełne fałszywej poezji, ale jakie przyjemne ! A w zaułku pod Katedrą zachrypnięta babinka w kaszkiecie śpiewa przy katarynce ,,Balladę o żonobójcy spod Dürnstein'' :

,,... i utopił ją w Dunaju,
gdzie Dürnsteinu błyszczy brzeg,
ale ona mu wybaczy,
bo to najpiękniejsza z rzek''...

Słusznie : lepiej zginąć w błękitnym Dunaju niż w brudnej Ruhrze ! I powietrze tutaj inne : bez dymu i czarnego deszczu. Nareszcie można odetchnąć pełną piersią... I lokomotywy nie szlochają po nocach, a łóżko w alkowie jest zabawnie staroświeckie (pewnie jeszcze babka w nim sypiała) ; łóżko-forteca : drewniane kule na poręczach, rzeźbione nogi, na piramidzie puchowych poduszek leży kapa z wyhaftowanym napisem : *Erwache und lache !...*

Gdybyś był teraz w domu, młody Werterze — wzdrygnął się — stałbyś pewnie udręczony, własną wyobraźnią ubiczowany, przed znajomą willą i wypatrywał wiotkiego cienia na firance, albo rozdeptywał kałuże ponurego parku, bojąc się, że w blasku latarni ujrzysz ich wychodzących zza drzew we dwoje, rączka w rączkę, głowa przy głowie... O, niezapomniana pio-

senko z różowego saloniku: *Denk im Traum, dass wir uns lieben und dass wis uns nie verlieren*... Co radził konował-psycholog „Strapionej Gretl z Tyrolu"? „Nie dopuścić, by dane wyobrażenie umiejscowiło się w zwojach mózgowych"... Jak nie dopuścić,to nie dopuścić! A tam, w ogródku, jedna z tych „bandyckich dziupli", znienawidzonych przez Valentina: „Bar Atom" z neonową kokardą na dachu, z frywolnym napisem nad wejściem: „Napij się, napij, choć jeden raz, gdy pęknie bomba, nie będzie nas"...

Wrócił późnym wieczorem, odurzony miastem jak młodym winem.

— Ósmy cud świata!

— Nie przesadzajmy! — burczy Valentin, zrzęda i narzekajło. — Ot, taka sobie dziura, wioseczka z tramwajem i wysokimi podatkami. Trzeba było widzieć nasze miasto przed tamtą wojną. To był Wiedeń, to były czasy! — gładzi się po faworytach. — A jakie kawiarnie, robaczku! W Café Griensteidl na Kohlmarkt zbierali się poeci w pelerynach, w Café Corso panowie oficerowie, w Café de l'Europe na Stephansplatz aktorzy i muzycy. Ach, jeszcze między wojnami: taki „Fenstergucker" na Kärnterstrasse... Było, minęło, nie wróci! To już nie ten sam Wiedeń...

— Piękne, wspaniałe miasto! — upiera się Arturek. — Gdyby tak dziadzio przyjechał do nas, do Bochum...

— ...nie zanosi się na to! — wtrącił Valentin.

— ...od razu by dostrzegł różnicę.

— Kiedy tu bieda, robaczku. My biedni, wy bogaci...

— My za wiele pracujemy. Pastor Pfirsich napisał nawet na ten temat broszurkę pod strasznie długim tytułem: „Pan Bóg wcale nie chce, żeby mieszkańcy miasta Bochum zapracowali się na śmierć".

— To prawda — przyznaje Valentin, sam pracowity jak mrówka. — Stara, nieuleczalna choroba wszystkich Niemców. Odpoczywają dopiero po śmierci.

— Paps haruje od świtu do nocy, należy do najpracowitszych ludzi w Zagłębiu Ruhry — mówi Arturek z dumą. — „Sanitas" potroił swoje obroty!

— Nieźle, nieźle — stary odsłania żółte zęby. — Pogratulować...

— A zaczynał po wojnie dosłownie od zera, bez grosza przy duszy...

— Ho,ho, robaczku — śmieje się Praxmeyer.

Arturkowi wydawało się, że dosłyszał w tym śmiechu niedowierzanie.

— Naprawdę! — wykrzyknął. — Bez grosza, bez niczyjej pomocy!

— Miał dosyć pieniędzy w Szwajcarii — mruknął Valentin.

— W Szwajcarii?... Pierwsze o tym słyszę!

— A tak , co w czasie wojny zarobił, ulokował za granicą. Był przecież dyrektorem firmy ,,Tesch & Stabenow'' ! Kokosowy interes, *pfui Teufel !*

— Co za firma ? — skurczył się Arturek. — Co oni produkowali ?

— Nic dobrego, robaczku ! Wolałbym o tym nie mówić... *Herr Franz !* — zawołał czegoś rozgniewany. — *Zwei Kapuziner !*

— To niemożliwe... — przeraził się chłopiec. — Mój ojciec...

— Jeszcze nigdy nikogo nie okłamałem ! — nasrożył się stary. — Wiem, co mówię !

— Co to za firma, dziadziu ? Dlaczego powiedziałeś *pfui, Teufel ?*

Valentin już nie słucha. Wita gości schodzących się na partyjkę do bilardowej salki. Każdego pozdrawia tym samym radosnym zdumieniem :

— *Jessas,* kogo ja widzę ! *Herr Baron ! Herr von* Weber *Nein, der Herr Ministerialrat* we własnej osobie ! *Wer kommt da ? Herr Assessor* Cibulka ! *Küss die Hand, meine Herren...*

Arturka chwyta lęk, serce bije na alarm, nadciąga od dawna przeczuwane nieszczęście...

— Cóż to znaczy ,,nic dobrego'' ? — nachyla się nad Praxmeyerem. — Broń dla wojska ?

Ale Valentin już się przeraził własnych słów. Zamilkł jak grób, nadąsał się, wszystkie pytania przecina niechętnym ruchem wychudłej, żółtymi cętkami zabrudzonej dłoni.

— Broń dla wojska ? — naciera na dziadka.

— Nie męcz mnie, robaczku — jęczy Valentin. — Stary już jestem, od szóstej rano na nogach. Każdy człowiek krzyż swój dźwiga, *Gottigkeit,* dźwiga — rozżala się nad sobą. — Podatki coraz większe, klientela mi wymiera, zdrowia i sił ubywa ; nawet czasu nie mam, żeby położyć się do łóżka i umrzeć jak się należy...

I lekko, bez śladu zmęczenia, oddala się do kantoru rozliczyć się z kelnerami.

Arturek wybiega na dwór. Nie wie co ze sobą zrobić. Przeciska się przez szumiący tłum, ale już nie dostrzega urody tego miasta. ,,Tesch & Stabenow'' ! — pulsuje mu w skroniach — ,,Tesch & Stabenow'' ! Firma o której ojciec nigdy nie wspominał. Luka w życiorysie. Lata przemilczane w ,,Encyklopedii Gospodarczej''. A jednak to nazwa dziwnie znajoma ! Musiał o niej gdzieś słyszeć, coś o niej czytać... W gazecie ? W książce ? Tak, w książce ! Ale w jakiej ?...

I nagle strach zjeża mu włosy. Czuje lepkie gorąco na czole. Potrącając przechodniów, biegnie z powrotem do ,,Talizmanu''. Przebiega kawiarnię. Przepycha się przez ciasny kantor. Przeskakując stopnie schodów, wpada do alkowy. Zapala światło. Zdejmuje ze szafy torbę podróżną. Zanurza w niej rozdygotaną rękę i — wyjmuje książkę Mauritiusa. Prze

kartkował w pośpiechu kilkadziesiąt stronic. Tu ! Nie ! Nie tu ! Dalej ! Jeszcze dalej ! Wreszcie znajduje ! O, to było tutaj ! Na stronie sto drugiej...

,,...gdy byłem dzieckiem, bawiłem się z kolegami w ,,kotka i myszkę''. Śpiewaliśmy przy tym proroczą, jak się okazuje, piosenkę: ,,Każdy, każdy ma kłopoty i my, myszki, i wy — koty''. Dzisiaj 20 kwietnia: urodziny wodza, największe święto w roku, dzień awansów. Wśród naszych kotów panuje wielkie podniecenie, które i nam, myszom, zaczyna się udzielać...

Nie, nie tu ! Nieco dalej !

,,...koło obiadu ma przyjechać z Monachium wysoki dostojnik z listą odznaczeń i awansów. Pracowity, gorliwy Fritsch (przydomek: ,,Zabijaka'') od samego rana chodzi nieprzytomny. Już od dwóch lat czeka na awans, w tym roku powinien dostać upragnionego ,,Hauptsturmführera''. Na uroczystą odprawę biegnie na nogach z gumy, blady jak trup. Wyglądamy przez szparę w drzwiach, by sprawdzić z jaką też miną wyjdzie z komendy...

Jeszcze dalej ! Kilka wierszy niżej !

,,...w pół godziny później wraca ze spuszczoną głową, i zamiast do oficerskiego kasyna, wchodzi na nasz barak. Siada na pryczy, jak równy z równymi. Bliski płaczu powiada: ,,Znowu mnie pominięto przy awansie! Po raz trzeci! A tak się starałem! Kto pierwszy zaprojektował hodowlę warzyw w obozie? Ja Fritsch! ,,Rhabarberkönig''-Fritsch! Komu nie uciekł ani jeden ,,Häftling''? Mnie, Fritschowi! Kto kazał obsiać trawniki przed komendą? Ja, Fritsch! Kto wpadł na pomysł, aby LUDZI ,,TESCHA & STABENOWA'' ZASTĄPIĆ WŁASNYMI SIŁAMI? Ja, Fritsch! A mimo to awansu nie dostałem!...''

Tak ! To tutaj ! ,,Ludzie ,,Tescha & Stabenowa'' ! Z rozpędu czyta dalej :

,,...biedny, skrzywdzony Obersturmführer! Wychodzi z baraku o parę lat starszy, przygarbiony swym nieszczęściem. A na progu powiada: ,,Ja wiem: wam jest ciężko, ale wierzcie mi: i mnie nie jest lekko w tym parszywym obozie!...'' ,,Każdy, każdy ma kłopoty, i my, myszy, i wy — koty''...

Arturek szuka dalszej wzmianki o ,,Teschu & Stabenowie''. Choćby kilku słów wyjaśnienia, co to byli za ludzie, co robili w obozie? Przeszukuje następne stronice. Nie ma ! Raz jeszcze sprawdza... Ani słowa ! Z trudem panując nad nerwami, już druk mu skacze przed oczami, przeszukuje całą książkę, strona

po stronie... Nie ma. Jedno zdanie. Jeden, jedyny ślad. Jeden, jedyny odcisk palca...

Nie! Nie jedyny! Jest jeszcze coś...

Fotografia! — I naraz widzi nad sobą oczy zmrużone ze złości, grubą rękę pokrytą jasnymi włoskami, czuje piekący ból w palcach. „Nie wolno myszkować po szufladach! Masz po łapie! Masz!..." Fotografia wydarta z dziecięcej ręki. Ludzie w mundurach i w cywilu, a Paps w kitlu po środku. Czarny napis na białej tablicy. Nie „Sanitas", tylko... „Tesch & Stabenow!" Przypomina sobie tę nieznaną jeszcze wówczas, tajemniczą literkę „&" między dwoma słowami. Valentin mówi prawdę. „Kokosowy interes", ukrywany przed synem, musi zasługiwać na pełne pogardy *pfui, Teufel!* Ślad prowadzi w stronę drutów i śmierci, Fritschów i innych oprawców...

Arturek wciska kark między ramiona. Chwyta się instynktownie za policzek. Ma wrażenie, że dostał w twarz. Ten moment musiał nadejść, już od dawna się zbliżał, i oto nadszedł! Właściwie wie już wszystko! I od tej chwili ogarnia go niepokój rosnący z każdą minutą. A jednocześnie spada na niego świadomość czegoś na co właściwie czekał, czego się bał od wielu miesięcy. Oczekiwał ciosu, o którym wiedział, że go nie ominie. Czuje, że pękła w nim zbutwiała zapora, oddzielająca przez tyle czasu wszystkie obawy, złe sny i domysły od świata rzeczywistego. Przywiązany do krzesła, siedzi pod trzeszczącymi belkami, które zaraz runą. Mimo przerażenia olśniewa go odkrycie, że już wie, co go przywiodło na to miejsce: od dawna nadciągające, z mroków dzieciństwa wyłaniające się przeczucie nieszczęścia; on m u s i a ł tutaj przyjechać, tak jak musiał zostać uczniem „szczurołapa" Brandta, przeczytać książkę Mauritiusa, wybrać się na rozprawę do Teisendorfu... Został wpisany w koło z którego nie ma ucieczki. Wszystko co dotychczas zobaczył, posłyszał, przeczytał i przeżył, sprzysięga się teraz przeciw niemu. Ludzie, którzy go ostatnio obstąpili, byli jakby umyślnie przez kogoś dobrani i podsunięci, odegrali rolę narzędzi w rękach nieznanej siły... Nie, to nie jest histeria ani początek manii prześladowczej, to zwykły przebłysk rozeznania. Jam jest ten chłopiec z oleodruku, spętany na ołtarzu z polnych kamieni i naciętego drwa, z głową kędzierzawą w tył odchyloną, to nade mną wznosi się ręka zawzięta, uzbrojona w biblijny nóż...

Co dalej? — bije mu serce — co dalej?

Nie tracić tropu z oczu. I nie tracić czasu. Kuć żelazo, póki gorące. Wskoczyć do taksówki i pojechać do hotelu „Pod Orłem". Upewnić się wreszcie, że to tylko majaki zmęczonej wyobraźni. Niechaj Mauritius wyjaśni z uśmiechem, że zaszło nieporozumienie: „Młody człowieku, masz słabe nerwy, składasz się z samego lęku. To była firma malarska, odnawiająca budynki". Albo: „Fritsch miał na myśli hydraulików, zakładających kanalizację"...

Nie bij głową o ścianę! Nie próbuj się wyrywać z zamkniętego koła! — powraca fala strachu. — Przecież wiesz od dawna, jak się potoczą wypadki... Jutro dowiesz się całej prawdy. Nawet nie próbuj się łudzić. Już jutro spadnie na ciebie ręka, od lat wzniesiona do ciosu...

Całą noc nie może zmrużyć oka. Leży, nierozebrany, na łóżku i niewidzącymi oczami wpatruje się w sufit.

Nad ranem sprzątaczka mówi:

— Mamy nowego papieża!

Potem zjawia się dziadek i woła:

— Niedziela, robaczku! Jedziemy do św. Stefana! Dożyliśmy wielkiego dnia...

Podniecony Valentin opowiada coś długo i głośno, na pewno próbuje przekrzyczeć stukot końskich kopyt na asfalcie. Starczy dyszkant dochodzi go jednak z daleka, z drugiego końca świata.

— ...urodziłem się w dniu śmierci Piusa IX, coś takiego! Młodość przeżyłem za Leona XIII, ożeniłem się za Piusa X, za Benedykta XV byłem na włoskim froncie...

Dzisiaj — wzdryga się z lęku — rozstrzygnie się wszystko!

— ...za Piusa XI kazałem odnowić lokal i kupiłem nowe meble, za Piusa XII umarła mi żona i córka, a za Jana XXIII umrę ja...

Firma „Tesch & Stabenow", tajemnica rodu Ostermannów!

— ...pomyśl tylko: sześciu papieży w ciągu jednego życia! Nie każdy może się tym poszczycić...

Także i dźwięki dzwonów dochodzą go przez grubą szybę.

Stephansdom. W lunatycznym odrętwieniu przedziera się przez odświętny tłum, radosne pienia chórów, gorącą ulewę organów. Wspaniała i wystawna msza, mająca w sobie coś z opery i baletu. A gdy nastaje kojąca cisza i tylko jeden nieśmiały dzwonek rozlega się w oddali, znowu wraca do swego piekła: jestem chorobliwie przewrażliwiony; sam sobie stworzyłem urojony świat cierpień, jakich nie zaznałoby wielu innych ludzi na moim miejscu; powinienem się bronić przed własnym sumieniem, póki nie jest za późno; powinienem powstrzymać piętrzącą się falę w biegu; ale czy człowiek w ogóle może zapobiec jakiemukolwiek nieszczęściu? Chociaż wiem, że Mauritius dokona na mnie wymiaru sprawiedliwości za t a m t o, modlę się o niespełnienie tej chwili. Spraw, Boże, by złowrogi oleodruk z lat dziecinnych pozostał tylko przywidzeniem; zatrzymaj rękę zawziętą, wzniesioną do ciosu nad spętanym; niech się okaże, że dobrobyt naszego domu i bezpieczeństwo mojej młodości nie wyrastają ani z grzechu ani ze zbrodni; ocal mnie przed hańbą...

Po południu obiegł wszystkie sąsiednie uliczki. Pogrążony w myślach, zmieniał ławki w parku i do nowego zrywał się

biegu. Aż wreszcie wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił „pod Orła”.

— W bardzo ważnej sprawie! — powiedział.

W godzinę później, w dużym, mrocznym pokoju usłyszał wyrok z ust Mauritiusa. Siedział skulony w fotelu, z głową spuszczoną na piersi, z przymkniętymi oczami, ale rozumiał każde słowo.

— Nie bardzo wiem — zaczął Mauritius — do czego potrzebna panu ta wyprawa w głąb tamtego czasu. Podejrzewam jednak, że przywiodło pana tutaj coś więcej niż zwykła młodzieńcza ciekawość. I dlatego, panie...

— Praxmeyer, Artur Praxmeyer — po raz pierwszy w życiu zaparł się swego nazwiska.

— ...panie Praxmeyer, ach! my się przecież skądciś... poznaję po kędzierzawej czuprynie — przypomniał sobie dopiero teraz, po wielu minutach. — Był pan kiedyś u mnie z profesorem Brandtem, dałem panu książkę... Gdzie to tylko było?

— W Bochum, w hotelu „Westfalen”.

— Słusznie. Powiem panu szczerze, panie Arturze (chyba wolno mi tak powiedzieć, mógłbym być pańskim ojcem), że cieszę się z tych odwiedzin. Upatruję w nich symbol pewnej zmiany, jaka, mimo wszystko, dokonała się w naszym społeczeństwie, zmiany na lepsze. Wy, młodzi, jednak jesteście od nas lepsi... Ale do rzeczy! — spojrzał na zegarek. — Za pół godziny przyjadą po mnie z tutejszego radia, mam wziąć udział w dyskusji przed mikrofonem...

— Strażnik Fritsch i „Tesch & Stabenow” — przypomniał.

— Słusznie. Chciałem napisać całe studium o Fritschu-„Zabijace” doskonałym. Zebrałem sporo materiału. Znam więc sprawę dokładnie, aż za dokładnie, i może dlatego nigdy jej nie opisałem. Pisarz nie może znać pewnych spraw za dokładnie: odbija się to na jego wyobraźni twórczej. Unikam dawnych towarzyszy niedoli także i dlatego, że ile razy mnie dopadną, zawsze mają do mnie dziesiątki najrozmaitszych pretensji, jakbym był zaprzysiężonym protokólantem tamtych wydarzeń. Ustalaniem faktów może się zająć każdy posterunkowy zapisujący swoje kulaski niezgrabnymi paluchami do notesu, natomiast...

Na co czeka? — zadygotał z zimna. — Dlaczego zwleka? Niech uderza jak najszybciej!

— „Knecht Ruprecht”, mówią mi z oburzeniem, nigdy nie był zastępcą komendanta obozu, zaledwie (!) miał krematorium pod sobą; stary Kalita nie mógł pracować w kartoflarni, skoro chodził z nami na „kommando”. To znowu wypominają mi czego n i e napisałem: „O takim zerze Seifercie rozpisałeś się na dwie strony, a o świętobliwym prałacie Opitzu nie wspomniałeś ani jednym słowem”... Jeszcze inni odgrywają rolę suflerów, ci są najgorsi. „Powinieneś opisać tego adwokata z Gdańska, specjalistę od spraw spadkowych, który na widok nowego transportu z Warszawy, wychylił się z okienka na

ósmym bloku i powiedział: „Nie lubię Polaków. Miałem z nimi masę kłopotu jeszcze przed wojną. Należą do najnieporządniej umierających ludzi w Europie. Nigdy nie można było odnaleźć kluczyków od szuflad, spisów inwentarza, metryk i dokumentów, a niemal z reguły nie zostawiali po sobie testamentów; *polnische Wirtschaft*". Albo: „Napisz o tej makabrycznej paniusi z lepszych sfer, Frau Drobnitz, która pytana w rok po wyjściu z piekła jak było w obozie, zawołała: *„Furchtbar!* Cały pobyt miałam zepsuty: ci straszni ludzie zamknęli mnie w jednym baraku z Żydówkami!" Albo...

Nie przyszedł tutaj, by wysłuchiwać ponurych anegdot.

— Strażnik Fritsch i „Tesch & Stabenow" — przypomniał niecierpliwie — jeśli pan taki dobry...

Słusznie — spojrzał na zegarek. — Ale o czym to tylko mówiliśmy? Aha! Broniąc świętego prawa pisarza do pisania „nieprawdy", mogę jednak pana zapewnić, że to, co teraz powiem, jest aż nadto prawdziwe, oparte na wiarygodnych zeznaniach, dokumentach i tak dalej... Ale do rzeczy! Otóż Fritsch.

Gorliwiec Fritsch, zwany również „królem rabarbaru" (gdyż jego d r u g ą namiętnością było ogrodnictwo), przyjechał do nas dość późno, zimą 43-go. Przeniesiono go ze wschodu, spod Lublina, w nagrodę za usprawnienie metod „likwidacji" w Polsce. Tak się wtedy mówiło. Ludzi nikt nie zabijał. Ludzi się „likwidowało". Tylko laik wyobraża sobie, że masowe zgładzanie więźniów jest rzeczą łatwą. Potrzeba do tego dużych umiejętności, doświadczenia, nie waham się powiedzieć: talentu! Fritsch od dawna ubolewał nad niedoskonałością dotychczasowych sposobów. Pełniąc służbę w niejednym obozie, mógł się wykazać nie byle jaką wiedzą „z pierwszej ręki". Mówił nam, że w obozie pod Lublinem używał z początku zwykłego gazu z silników samochodowych, który wpuszczał rurami do komór wielkości izdebki. W Oświęcimiu musiał się z razu posługiwać tlenkiem węgla, wpuszczanym do łaźni za pomocą pryszniców. Mówiąc jego językiem: „przepustowość stanów liczebnych" była niedostateczna, najwyżej po 300 ludzi dziennie...

Arturek czuje, że ręka wzniesiona do ciosu zaraz spadnie. Kurczowo wciska się w fotel...

— Zaczął się więc zastanawiać: jaki też środek był by najlepszy do wytrucia polskich, żydowskich czy cygańskich insektów? I wtedy przypomniał sobie, że firma „Tesch & Stabenow" fabrykuje gaz do tępienia robactwa, tak zwany „Cyklon B"...

Mój Boże! Fabryka trucizny!

— ...preparat kwasu pruskiego. Żądny awansu „król rabarbaru" rozpoczął eksperymenty na własną rękę. Zaczął skromnie, od niedużego transportu jeńców rosyjskich. Dawniej zabijano ich po partacku („metodą chałupniczą" — jak mówił z pogardą), wystrzałami z pistoletów w żwirowni lub na dziedzińcu bloku 11. Dopiero Fritsch pierwszy, o czym mówił nam z nieukrywaną dumą, sięgnął po nowoczesne metody: pozamykał

jeńców w celach, położonych w piwnicach, i przy użyciu maski gazowej napuścił ,,Cyklonu B''...

Mój ojciec — huczy mu w głowie — mój Paps, fabrykant ,,Cyklonu B''...

— Jakie to dziwne — roześmiał się Mauritius — starzy Grecy opiewali miecze, zbroje i tarcze, a my nie opiewamy broni człowieka współczesnego : puszki ,,Cyklonu''... Posypały się gratulacje przełożonych, ale Fritsch nie miał zamiaru odpoczywać na laurach. Każdy początek jest trudny, mówił, gaz był za słaby, agonia więźniów w piwnicy przeciągnęła się do dwudziestu minut, a nie powinna była przekroczyć pięciu. Co robi ambitny Fritsch? Bierze urlop i natchniony swoją nową, życiową misją jedzie na zachód, do dyrekcji ,,Tesch & Stabenow''...

Arturek czuje łzy pod powiekami. Właściwie może już odejść, ale nie ma siły podnieść się z fotela.

— Dzięki jego staraniom, popartym, oczywiście, przez właściwe czynniki, firma organizuje masową dostawę nowego, silniejszego ,,Cyklonu'' w skrystalizowanej formie, już gotowego do wrzucenia przez małe otwory do wnętrza komór śmierci. Fritsch spostrzegł w Oświęcimiu...

— ... też w Polsce ?

— ...tak, też w Polsce. Otóż Fritsch spostrzegł tam, że czas dławienia się ofiar gazem w dużym stopniu zależy od warunków klimatycznych. Wobec tego firma udoskonala swój preparat. Powstaje niezawodny w działaniu *,,wetterfestes Zyclon B 1''*....

Wszystko się zgadza : ,,Niech żyje wielki dobroczyńca ludzkości, dr Erich Ostermann, ojciec Arturka ! Pierwszy człowiek, który pokonał śmierć ! Niech żyje !''...

— Mając na uwadze niebezpieczeństwo, zagrażające niefachowej obsłudze, firma wysyła do obozów ekipy wyszkolonych chemików-trucicieli pod kierownictwem niejakiego Jelonke...

— Niejakiego Jelonke ! — powtarza machinalnie.

— No, i potem poszło już jak z płatka : ,,przepustowość'' zwiększyła się wielokrotnie, setki tysięcy ludzi zagazowano nową, ulepszoną metodą. Nie darmo świat sławi nasz niemiecki *Erfindungsgeist*. Z czasem Fritsch wyszkolił więźniów na ,,dezynfektorów'' i fachowcy z firmy ,,Tesch & Stabenow'', zastąpieni własnymi siłami, wrócili do domu. To wszystko, czym mogę panu służyć !

,,To wszystko''. Podrywa się do jeszcze jednej, ostaniej próby ratunku :

— Czy myśli pan, że ci... chemicy — z trudem łapie powietrze — mogli *nie wiedzieć* do czego służył ten preparat ?

Zły śmiech Mauritiusa :

— Wiedzieli. Musieli wiedzieć. Ostatecznie nieźle zarabiali na tych dostawach. Fritsch powiedział kiedyś w przystępie dobrego humoru, że ,,likwidowani sami opłacają koszta swej likwidacji'' w... złotych zębach.

— Czy po wojnie żaden sąd nie ścigał tych... chemików ?

— Obawiam się, że wszystko rozeszło się po kościach. Nie takie sprawy poszły w zapomnienie. Jeden z pierwszych filmów po wojnie nosił trafny tytuł : ,,Mordercy są między nami''. Podając dzisiaj rękę nieznajomemu, uśmiechniętemu panu w dystyngowanym ubraniu, nigdy nie wiemy...

I naraz Arturek widzi swego uśmiechniętego, dystyngowanego ojca w białym kitlu, w czarnej czapce z trupią główką. W jednej ręce Paps trzyma puszkę, a w drugiej zegarek. Podchodzi do zaryglowanych drzwi osmolonego bunkra, wspina się na palce, zagląda przez grubą szybkę do wnętrza. Dokoła niego czyhają na świeże ścierwo dziesiątki Fritschów i innych, mniejszych hien ściskających w pogotowiu obcęgi do wyrywania złotych zębów... Paps okiem naukowca ocenia sytuację. A tam w krzyku, w kaszlu, w płaczu ludzie biją pięściami w drzwi i sufit, drapią beton paznokciami, wykrzywiają sine twarze, oczy wychodzą im z orbit, dławią się z pianą na ustach; kobiety zasłaniają sobą dzieci, owijają im główki ramionami; skowyt rośnie z każdą sekundą; kłębowisko nagich rąk, nóg i czaszek jeszcze pręży się, miota, nie chce zastygnąć w bezruchu; chociaż tu i tam widać szczurzy grymas umierania... ,,Dopiero trzecia minuta — mówi Paps do dezynfektorów — Więcej ,,Cyklonu'' ! Uwaga na moją komendę : *Zwanzig Büchsen mehr !''*

Dosyć ! — zasłania sobie Arturek oczy. — Dosyć !

Nie może dłużej milczeć. Zaraz się udławi własnym milczeniem. Musi wykrzyczeć ze siebie całą prawdę...

Podchodzi do Mauritiusa.

— Ja też jestem synem mordercy ! — mówi ze spuszczoną głową.

Mauritius wstaje, by go otoczyć ramieniem, ale młodzieniec wyrywa mu się z rąk i wybiega z pokoju.

W przedziale jest pusto i przeraźliwie zimno. Ogrzewanie musiało się zepsuć. Wagon skrzypi i jęczy. Na korzytarzu coś stuka monotonnie o ścianę, pewnie składane krzesełko konduktora obluźniło się na zawiasach. Arturek marznie. Nastawia kołnierz wiatrówki, zabija kilka razy rękami po żebrach, nie pomaga. Jedyne ciepło, jakie czuje w sobie, bucha spod czupryny i jest lepkie, można je zgarniać z czoła kroplami. Przykłada twarz do szyby, by ostudzić gorączkę, kłującą go w oczach, i nowe zimno łapie go za plecy. Z trudem zbiera myśli...

Co się stało ? Dokąd jedzie ?... Uciekł ! — przypomina sobie. Uciekł z łóżka na wiadomość, że ojciec przylatuje do Wiednia.. Ubrał się w pośpiechu, kilka drobiazgów wrzucił do torby, wsunął portfel do kieszeni, ale już zegarka zapomniał na nocnym stoliku. Wykradł się tylnym wyjściem, nad samym ranem. Jeszcze latarnie płonęły na ulicach. Co tchu pobiegł do postoju taksówek. Pojechał na dworzec. — ,,Dokąd ? — zapytał się kasjer z niedowierzaniem. — Czy to nie pomyłka ?'' — Nie ! Nie pomyłka ! — Pewnym głosem powtórzył trudną do wymówienia nazwę ; powtarzał ją sobie od wielu godzin ; nauczył się jej

na pamięć jak hasła do przekroczenia linii frontu. Położył garść banknotów na wytłuszczonej desce. — ,,Za dużo ! — usłyszał głos w okienku. — *Mensch, Sie sind ja krank !* Czy nie lepiej zostać w domu ?'' — Ja m u s z ę tam jechać ! — powiedział z mocą. Przypomina sobie jeszcze, że na peronie poczuł się znacznie lepiej. Pewnym krokiem przeszedł wzdłuż torów i zaczął sobie przykazywać : ,,Muszę wyzdrowieć ! Muszę nabrać sił ! Sił ducha i ciała. Sił do nowego życia ! Nie jestem młodzieńcem, który z gromnicą w ręku i psalmem na ustach udaje się do pieca gorejącego. Nie jadę do jaskini lwa na pożarcie. Jadę spełnić swój obowiązek. To wszystko ! Kto chce być wierny sobie — powtórzył własne słowa sprzed miesiąca — na stromą wchodzi drogę, ale tylko taka wiedzie w górę. Ja sam nakazuję sobie tę podróż, ja sam !''... Na widok nadjeżdżającego pociągu zawahał się jednak na moment, instynktownie chciał rzucić się do ucieczki...''. Innego wyjścia nie ma — przemógł się w ostatniej chwili — każde inne jest próbą obejścia własnego sumienia !'' Poprzez kłęby pary przypadł do stóp wagonu, jak opadający z sił pływak do ratunkowej łodzi. Gdy pociąg ruszył, spostrzegł że nazwa dworca rozpływa mu się w oczach. ,,Żegnaj, ziemio mojej matki !'' — westchnął ze smutkiem, i popadł w odrętwienie...

Przez jakiś czas po drugiej stronie siedziała starsza kobieta w wytartym futerku z królików i żuła coś głośno. Bodaj skórkę od chleba. Walizki nie położyła na siatkę, trzymała ją na kolanach. Oczy miała czerwone, lśniące, zupełnie kurze. — Dokąd jedzie ? — pytała. — ,,Jak mógł się wybrać w podróż bez swetra ? Może chce aspiryny ?'' — szukała jej w torbie i w walizce, ale nie znalazła. — A może mu ktoś bliski umarł ? — napierała. — Tak, umarł.... — skinął głową. Wtedy przestała żuć, zaplotła ręce nad walizką. *Armer Junge....* — powiedziała. Przez szczelinę w niedomkniętym oknie wdarła się para. Najpierw nieduża smuga, potem rozrastający się bukiet, wreszcie cały obłok. I nagle twarz kobiety zmieniła się nie do poznania, zniknęła nabrzmiała krągłość, zajaśniał delikatny owal, czarne szkliwo wypełniło jej oczy... Gizela ! — wyciągnął ręce. — *Denk im Traum, dass wir uns lieben...* Jadę z mamą do Neviges, do zaczarowanego Neviges na pielgrzymkę. Pojedź z nami !...

— Neviges ? — zdziwiła się kobieta w futerku z królików — to w zupełnie innym kierunku !

Potem zasnął. Obudził go krzyk parowozu na jakiejś stacji i spostrzegł, że jest sam, kobieta wysiadła, a za szybą jeszcze nie dnieje. Przeraził się samotności, skurczył się w wiatrówce i próbował się modlić, jak wtedy, przed czarną płytą i marmurowym aniołem : daj mi, Boże, zrobić ze swego życia wielką i piękną rzecz, dodaj mi sił... Ale przerwał, gdyż złapał go za gardło żal tak silny że poczuł łzy w oczach : Anioł nie zawołał w ostatniej chwili z nieba i nie powstrzymał ręki wzniesionej do ciosu...

Wyjął z torby małą, zniszczoną książeczkę, pamiątkę z wędrówki na słoneczną górę. Otworzył na zaznaczonej stronie. W słabym świetle kolejowej żarówki wpatrywał się w żółtą kartkę...

...lusterko mego losu ! — pomyślał.

Małe literki kłębiły się na papierze rojem czarnych muszek. Z wysiłkiem poustawiał je w rządek :

,,...*tam zbudował ołtarz i ułożył na nim drwa, a związawszy Izaaka, syna swego, włożył go na ołtarz, na stos drew. I wyciągnął miecz, aby ofiarować syna swego. A oto Anioł Pański z nieba zawołał :*

...więcej Cyklonu !

Głowę nakrył rękami, lecz im bardziej ją ściskał, tym bardziej wypełniała się żarem. Czuł jak wraz ze strugami gorąca przepływają mu przez palce strzępy słów i twarzy...

Niech wypłyną — pomyślał — to czarna, zatruta woda... Na tamtym brzegu muszę się obmyć z mułu, wszystko zacząć od nowa, jeszcze raz przyjść na świat, ten sam, ale już kto inny...

Ale zanim spali mosty za sobą, raz jeszcze wraca myślą pod zadymione niebo, do czerwonego budynku z czarnymi sztachetami... Co też powie profesor Brandt, gdy za kilka dni dowie się, że jego najlepszy uczeń i pupilek... On jeden go zrozumie ! A Gizela ? Czy domyśli się dlaczego tak postąpił, dlaczego musiał tak postąpić ? Pewnie nie... A klub ,,Gorących Głów ?'' Czy warto się łudzić ? Każdy żyje sobą... Hubert na pewno zabłyśnie przy tej okazji nowym, dowcipnym powiedzeniem. Może nawet napisze artykulik do szkolnej gazetki, jeśli mu Oberstudiendirektor Malz pozwoli. Von Wickenberg oświadczy, że ,,sprawa Artura Ostermanna nie jest dla niego niespodzianką, od dawna ją przewidywał, decyzje tego typu są konsekwencją pewnej określonej postawy (w tym miejscu spojrzy na Brandta), co więcej : powinny być dla nas ostrzeżeniem na przyszłość''...

Nie myśleć ! Turkot pociągu pcha się do gardła.

A co pomyśli sobie pewien niestrudzony budowniczy nowego życia na starych ruinach, wskrzesiciel wielu warsztatów pracy, fundator ,,Domów Dziecka'' i stypendiów dla biednych studentów; co pomyśli sobie najbliższy mu człowiek, gdy którejś nocy chodzić będzie po pustej willi na Gartenstrasse ? Kogo zacznie obwiniać ? Brandta ? Mauritiusa ? Pfirsicha ? Valentina ? A może... siebie ?

Nie myśleć ? Zepsute krzesełko na korytarzu obija się o skronie.

Pastor Pfirsich powiedział kiedyś, że ,,w naszym, wolnym świecie dzieci nie denuncjują rodziców na policji; więź rodzinna jest silniejsza od ustanowionych przez ludzi przepisów, bo jest święta; i w tym właśnie, między innymi, wyraża się wyższość naszej humanistycznej i chrześcijańskiej moralności...''.

W imię tej ,,świętej więzi'' — krzywi się gorzko — możesz spać spokojnie, mój biedny, ukochany Papsie. I ty, i wszyscy inni fabrykanci ,,Cyklonu B''. Jest nawet taka kołysanka :

„Zaśnij, wilku zębaty, oczka do snu zmruż,
i nad tobą, zbrodniarzu, czuwa Anioł Stróż!"

Nie myśleć! Para z lokomotywu skrapla się na czole.

Próbuje wyjść z przedziału na korytarz, aby napić się wody, gdy nagle przykuwa go do ławki ostry dzwonek.. .

Słyszy telefon, świder pneumatyczny w tyle czaszki, i starczy dyszkant łamiący się ze strachu :

— „Robaczku! Już dzwoniłem do twego ojca w Bochum! Bierze samolot... już leci... zaraz tu będzie"...

— Nie chcę! — woła przerażony. — Ani Scharffa ani Fritscha ani Papsa w laurowym wieńcu!

— „*Jessas, Jessas!* — lamentuje stary. — Kto ci o tym wszystkim opowiedział? To miała być tajemnica. Ja ci tego nie chciałem opowiedzieć, robaczku. Przyrzekłem twojej mamie, że nigdy...".

— Nieprawda! — krzyczy. — Mama o niczym nie wiedziała!...

Już nowa twarz odbija się w oknie wagonu. Grymas szyderstwa. I zły śmiech:

— „Masz rację! To wszystko nieprawda! Bronię świętego prawa pisarza do pisania nieprawdy! Twój Paps jest niewinny! Firma „Tesch & Stabenow" przesyłała nam ciastka z Wiednia! *Crème du jour* i *crème Grenoble!*

Ale już wjeżdżają z łoskotem na jakąś większą stację. Reflektor ślizga się po dworcowym parkanie. Oślepiające światło odsłania nerw oczny. Krótki, ostry ból w głębi oczodołów. Z każdego plakatu wyborczego spogląda w okno wagonu znajoma twarz z obłokiem słów w powietrzu, jak na odcinkach powieści rysunkowej. Pastor Pfirsich: *To trzeba wszystko naprawić! OSOBIŚCIE naprawić!"...*

— Nie mam siły! — woła — jestem chory!

Mauritius: „*Tylko jeden człowiek może naprawić zło, a jesteś nim zawsze — Ty!"...*

— Ja tego nie potrafię — powtarza. — Jestem za słaby. Jestem sam!

I trzeci plakat, największy ze wszystkich, krwią zadrukowany! Erich Ostermann: „*Cała moją wiarę, nadzieję i miłość składam w ręce niemieckich dzieci.* Głosujcie na Cyklon!"...

Próbuje zedrzeć plakat z powiek, nie może — papier wrasta mu w skórę, farba wgryza mu się w oczy...

— Mój ojciec jest niewinny! — zrywa się z miejsca.

— „Nawet gdyby był niewinny — nachyla się nad nim Brandt, — pamiętaj, że inni są winni i ktoś musi tę zbrodnię wziąć na siebie"...

— Dlaczego właśnie ja? Ja miałem wtedy pięć lat...

— „Ale ty tęsknisz do świętości"...

— Anioł mi nie pomógł — skarży się — miecza nie zatrzymał w powietrzu. Cóż ja jeden zrobić mogę, bez niczyjej pomocy?...

Urywa, cofa się z krzykiem, bo oto drzwi rozsuwają się z trzaskiem i do środka wchodzi generał Scharff w rozpiętym palcie z czarnej skóry, z brylantem pod szyją. Świeci mu latarką prosto w ranę oczu...

— „*Da ist er ja, der Verräter!*" — podnosi skórzaną rękawicę w górę...

Nie może zasłonić twarzy, ręce ma związane na plecach.

— „Za wywieszenie białej flagi — masz!"

— Jestem niewinny! — słyszy swój głos. — Nikogo nie zdradziłem!

— „Za przejście na stronę wroga — masz! Gdzie jest Jelonke z obcęgami? — „Tutaj!" — melduje się Jelonke w czarnej czapce. Rdzę ma na kitlu.

— Zanim go rozstrzelamy... — mówi generał — wyrwać mu złote zęby!"

Ręka z obcęgami przysuwa się coraz bliżej, zaraz go skaleczy...

— Ja nie mam złotych zębów! — krzyczy. — Ratunku!...

— Ja wcale nie chcę od pana zębów — śmieje się nowy głos. — Poproszę o bilety!

Ociera pot z czoła. To konduktor z latarką, a nie Jelonke. A ten błyszczący przyrząd służy do dziurkowania biletów...

— Czy daleko jeszcze? — pyta.

— *Jeszcze kawałek. Gute Reise, junger Mann!*

Od pewnego czasu nikt już nie wsiada i nie wysiada. Chyba już niedługo... Za szybą z wolna się przerzedza. Słupy telegraficzne wyłaniają się z sinego mroku. Widać mgiełkę nad łąkami. Pociąg trajkoce coraz wolniej. Na jeden stukot kół przypadają dwa uderzenia serca. Najwyraźniej pniemy się na wyżynę...

Znowu praży pod włosami. Wziął torbę i poszedł się umyć. Zapach ubikacji przyprawił go o mdłości. W lustrze nie mógł poznać swej twarzy. Spoglądał nań obcy, zmęczony człowiek z rozmierzwioną czupryną, z poparzonymi przez gorączkę oczami. Przykładał okłady do czoła, próbował ugasić ogień pod powiekami. Znowu złapały go dreszcze.

— *Alles in Ordnung!* — dobiegł go przyćmiony krzyk z korytarza. — Cały wagon pusty! *Weiter... weiter... weiter...*

Nie miał sił wrócić do przedziału. Oparł się rękami o brudną porcelanę umywalni. Po środku czoła poczuł zimny ucisk śliskiego od mydła kranu. Tak trwał. Może minutę, może kwadrans, może dłużej...

Widocznie już dojeżdżają, a tu z głębi oczodołów żar przenosi się na skronie, owija mu głowę płomieniem, dostaje się do gardła. Szarpnął za kurek: ani jednej kropli więcej. Starł czołem wilgoć z matowej szyby, chciał otworzyć okno, napić się powietrza i całkiem opadł z sił... Obsunął się na zaśmieconą

podłogę i czekał na ratunek. Pociąg tymczasem przystanął, ruszył, znowu zwolnił i wreszcie rozdygotał się rytmicznie. Znowu składane krzesełko na korytarzu obija się o ścianę, turkot pryska twardo i równomiernie... Byle dalej, jak najdalej — przyciskał czoło do wilgotnego kolana zlewu — zostawić przeszłość za sobą, wszystkie złe przywidzenia i majaki; dalej, wciąż dalej... Już za następnym zakrętem, za mostem, za lasem wyłoni się nowe, lepsze życie...

— W ustępie się jeden schował ! — *Raus, raus !*

Wokoło jasno, już dzień. Podnoszą go za ramiona. Wyprowadzają na korytarz. Owiewa go zapach świeżo wygarbowanej skóry i wilgotnego sukna. Uderza w niego dźwięk obcej mowy.

— Papiery ! — nachyla się nad nim człowiek w długim wojskowym płaszczu.

I jeszcze trzech wyłania się z głębi korytarza. Czapki z podpinkami. Daszki do połowy twarzy.

— Nie schowałem się — uśmiecha się do żołnierzy. — Jestem chory.

— Paszport nie wystarcza — mówi wojskowy.

— Zaraz wszystko wyjaśnię... — z trudem łapie powietrze; nie wie, jak zacząć, a przecież jeszcze wczoraj w nocy układał sobie te zdania w głowie.

Dają mu się napić jakiegoś gorącego płynu z manierki. Od razu mu lepiej. Przypomina sobie pierwsze zdanie.

— Chciałbym choć w części naprawić zło, jakie wyrządzono wam w tej wojnie, te straszne zbrodnie, których dopuścili się moi rodacy... I dlatego...

— Papiery nie w porządku ! — powtarza wojskowy.

— ...chcę jechać do Oświęcimia i tam pracować, ciężko pracować...

Wojskowy w długim palcie kartkuje i kartkuje.

— Wizy nie macie ! — uderza ołówkiem w okładkę.

— ...uważam za swój obowiązek — mówi bliski płaczu — za obowiązek sumienia... Pozwólcie mi, żebym mógł w waszym kraju...

Trzej z podpinkami pod brodą podchodzą bliżej. Jeden wzrusza ramionami. Drugi robi kółko na czole. A trzeci patrzy z niechęcią.

— Jakiś złodziejaszek albo dezerter — mruczy pierwszy. — A może nasłany ?

— Może wariat ? — powiada drugi.

— Diabeł go wie. Podejrzana historia — mówi trzeci.

Naradzają się między sobą. Szepcą coś w swoim języku.

— Wysiadać ! — biorą go pod ramiona. — Na posterunek! Do sprawdzenia !

Po chwili prowadzą go do samochodu. Arturek zatacza się jak pijany. Dwaj barczyści żołnierze podtrzymują go za łokcie. Trzeci niesie torbę. Biorą go między siebie na tylne siedzenie. Szczęk motoru, skok na nierównej drodze i — już jadą ! Minę

zasieki z drutu i wartowniczą wieżę. Zimny pęd powietrza w otwartym wozie przynosi mu ulgę. Na zakręcie ma ochotę odwrócić głowę i raz jeszcze spojrzeć na siny pasek lasu na widnokręgu, na świat który zostawił za sobą, ale nie ogląda się, tylko zmrużonymi oczami patrzy wprost przed siebie — na pustą i wyboistą drogę. Między okrągłymi czapkami konwojentów widzi brzozy bez liści, łąki bez zieleni, niebo z ołowiu, smutek późnej jesieni...

— *Du...* Niemiec — klepią go po łopatkach — *nicht weinen! Willst du* papierosa?

Tadeusz NOWAKOWSKI

Góralu czy ci...

Lipy szesnaście razy koronowane według praw barci stały w tym samym miejscu i dla nikogo Przysiadłem na domu wbitym w ziemię i coraz bardziej poziomym I mijało mię wszystko czyjaś łza doczekana Franciszkanie panieńscy i po gawroniemu wysztafirowani I przyjaciele w dużych kartoflanych pierogach na bakier

Rzuciłem pięć lat zapachniało spalenizną Rzuciłem znowu pięć lat I poszedł ogień Poszedł dym przyziemny A naści Ostatnich lat pięć i to z hakiem.

Aa jak zawierzgała nieobecność moja napełniająca się mną nagłym Niemowlęta płci żeńskiej stanęły na Rynku próbując sypać piwonię skubaną drobniuteńko

Ale naraz urosły
piwonia słono zapachniała
a one raptownie mazać zaczęły wargi na nieprawdziwie
A pod bluzkami borowiki
borowiki borowe
prawaki prawdziki
prawdziwki prawiczki wyborne

A chłopcy twardzi już w kroku a proce w ręku a dalejże pruć w słońce jajkami sójek Naraz mosiężnym ogonkiem zamyrdała sygnaturka I zaskrzypiały stawy dewotek

A u stóp wieży
ja
genialny Manio z Sanoka
namoczyłem bieliznę
wszystkie ulice plus horyzont
domy po Żydach minus złoto
i trzy cmentarze na dodatek
i pierwszą miłość drugą miłość
i pół do trzeciej
i bociana z drucianą protezą
i grubą Anielkę w której

i Kozak konia poił
w której i Austriak konia poił
w której i Polak niepodległy
i gestapowiec i wybawca
wszyscy koniki poli

Lecz kiedy przyszło wyżymanie była tam balia nic tylko balia w której kisł patetycznie ogromny ciuch dzieciństwa

I wtenczas ja genialny Manio przeżegnałem się I natychmiast odżegnałem się Ale czy całkowicie Bo coś we mnie chciało jeszcze chlapać litanię do baranków na niebie

I już po krowiemu na ślinie ciekącej mi z gęby wypływało
Siwa kawka i czkawka
truskawka i chrustawka
gałązka podwiązka
wilgotna i wąska
ach nigdy nigdy ty

Ale wtenczas choć i bez lustra ujrzałem nieswojość ust Trach po nich Brzytwą I flakiem przed siebie aż dziatki idące mi naprzeciw z kwiatkami z naszych pól i lasów podskoczyły i w nogi

Aż cofnęły się panie z przedwojennej inteligencji niosące mi album Grottgera bo zobaczyły dziąsła Mania krwi świńskiej pełne po oderżnięciu ust powszechnych

I jamą zębatą ryjem nareszcie plebejskim odrapanym do krwi z łaciny wielki Manio zaśpiewał

A śpiewał tak wysoko że noc szła mu w pysk i w bebech spadała i pozwalała się trawić o ileż prawdziwsza potem

A śpiewał tak nisko że jeże bez trudu wchodziły mu w śpiew I płyty kirkutu wślizgiwały się weń gardłując judejskim szyfrem

A u kresu śpiewania
Wielki Manio zaczatował
na chrobaczka świętojańskiego
i gdy wpadł w paję
plunął nim
w stronę bibliotek złoconych

W której jestem osobie?

Rzekę przestąpiłem lichą
i nie zadrżały mi nogi pałąkowate
Namułu masnego czerpnąłem
Znak na gardle namazałem
na cembrowinie
na cembrowinie
Nachyl się
Żaba siarkowa ku tobie
w światło plująca mrok

Taje taje
i jak ta lala stajała piana dwudziestu zim na jasnym Krakowie Wieże w jednej chwili wypite i wywrócone osypują się cienką kukurydzianką
— A dla Pana?
Poczet królów karp w fenolu
Wanda woda trupiana
Lud cepeliowski wszedł do śródmieścia
i bije się
bije o cytryny
Dziś pod Wawelem gruba Wisła leży Ostatnie dżdżownice cofają fotoleektryczne ryjki A już w tym miejscu szachy emerytalne
Zielona partia i w rzecze partia i partia w niebie
Chodzę rozchadzam się
dochodzę mijam
bo gruba rzeka sama sobie
a ja myślałem
Przystaję ale za późno bo
gruba rzeka sama sobie
i już i już i tak dalej
No to niech mi Pani przynajmniej sprzeda ten kilimek z naszym orłem a dla córki
Emeryci szachują
królowa ucieka
tonie krzyczy drewniana
Wanda woda trupiana
Sama sobie a wzdęta wzdęta
Pociągi z krwawą rudą
na mostach na dworcach
matki z blaszanymi niemowlętami
z buforu na bufor
i mleko rozbite
na drzazgi

Najlepszy cukiernik mówię Panu takiego i przed wojną nie było Wyjdzie na most nachyli się i kremówkę rzuci i szarlotkę rzuci i mówię Panu dopłyną na pewno dopłyną do Gdańska
Idealny lingwista Wiesz on tak po prostu nosi te dwa przysłówki ale jak on dba o nie Gdyby tak wszyscy Ale cóż nasi ludzie wolą kraść i dltaego
Powódź na karku
Woda Wanda trupiana
a kremówka obronna
a szarlotka nadziei
no a filecik u Wierzynka
dorożka gołębie i wieszcz

A ja gołębia pod słońce rozdziawiłbym
O tak za dwie lotki

I trochę naprężyłbym
A potem słuchałbym jak
Kosteczki klateczki
słuchałbym
tak pierwszokomunijnie
broń Boże plama
Boże broń pisk
Moje piękne oczy mrużyłbym
A tymczasem białe szamotanie
w moją krew
I pomieszanie farb
Wołałbym
Uroda roda rzeczy mąconych
bym bym
ku inności

Od konfesjonału Sukiennic odszedłem nie skruszony Niemniej wzruszenie zajęło we mnie kilka płaszczyzn zwróconych do południa

Na bruku rosły głowy przyjaciół o ustach pełnych wody sodowej z sokiem Niski wiatr wysiewał z nich łupież mannę a czasem pęcak Pogłaskałem je schylony Na dwu spośród nich posadziłem winniczka o moich barwach

A tu
Szwed Kantor
już wrył się pod Krzysztofory
i
kret Kantor
kat Kantor
wytarzany
w tropikalnym
wrzasku papug
nurtuje Kraków nikiforowy
aż
aż
aż dnia jednego nasermater
i leży kościół Mariacki

I wtedy zlecą się motyle w reformach do kolan Uklękną i lizać będą polichromie utarte w donicy na malwach i przeworskim cukrze

Na razie wąsate świece
pokłon oddają zmrużony
a sznur wakacyjnych krakowianek
papierówek wypatruje piersiami
chodzą i słoną poziomką
rysują lipcowe powietrze

Znowu wśród Głową w żniwie O żniwo kosy i cepy tępe Brak jezior u dłoni Za to czczenie strzeżoga i chrzciny Brak

dolin z widokiem na maszt brak parasolki pomarańczy toczącej się aż na arkusz tu

Tak żeby litery uniosły się i oddaliły

śródziemnomorskie

Tyko

sieczkarnia drwa

rdza na sztorc na krzyż

pszenica

szedziwy barszcz

i wrzask aże skry

polszczyzna

Patrzyłem przez siedem dni Twarde stulecia strzelały spod ziemi oszałamiającą tekturą z pieczątką w prawym rogu

I szły wycieczki pochylone do przodu z panią nauczycielką odchyloną do tyłu

A

na środku Rynku

Czołowa Dziesiątka Poetów

wspólnym językiem lizała

i przylizywała

łuski rybiego totemu

Nos położyłem tam i chrapy rozpuściłem włochate I nic Ni fiołka ni gówna Tylko gips Gips urodzajny

A nad ich głowami jaskółki nosiły w dzióbkach błotko błękitne One też lepiły swój Stary Domek

I zanim na Mariensztacie gołąbek Heniek nie ucałował ciz gołębicy w samą dziubuchnę poeci wypili kawkę po czym podali rączkę jaskółkom a jaskółki bozi A strasznie mżyło liściem bobkowym

I była jakaś lustrzaność perlista i zwierciadlana źródlaność w tym wszystkim ta co ja mówię promienność apolińska

Alpakowe liście kapusty rosły i tu i tu gęściej niż wszędzie Chemicznym ołówkiem pisałem chrzęszczące wyzwiska

Stali

mieczowi masztowi laurowi

I żaden z nich nie kucnął żeby pogłaskać mego sarniuka com go ze skóry wyłupił na Podobieństwo Bezprzykładne

sierpień, 1958

Marian PANKOWSKI

Archiwum polityczne

Przyszłość gospodarcza Azji

Jednym z wielkich problemów współczesnego świata jest rosnąca rozpiętość w poziomie bogactwa i dochodu narodowego pomiędzy różnymi krajami naszego globu. Powstaje więc pytanie co do metod polityki gospodarczej, poprzez które kraje o niskim poziomie bogactwa i produkcji mogłyby przełamać tendencje do stagnacji i wywołać procesy rozwojowe.

Kraje świata możemy pod względem gospodarczym podzielić na trzy zasadnicze grupy: 1) bogate kraje kapitalistyczne 2) kraje opóźnione w rozwoju gospodarczym, przeważnie w Azji i Afryce, lecz również częściowo w Ameryce Południowej 3) kraje bloku komunistycznego.

Kraje kapitalistyczne. Są to kraje przeważnej części Europy Zachodniej, Ameryki Północnej oraz Australazji; w Azji do tej grupy należy zaliczyć Japonię. W okresie powojennym widzimy tam przewagę żywiołowych procesów rozwojowych. Stały wzrost dochodu i kapitału narodowego oraz stopy życiowej. Dochód narodowy Stanów Zjednoczonych wzrósł z $ 240 billionów w 1950 do około $ 342 billionów w 1956. W ostatnich latach przyrost dochodu w krajach europejskich waha się od 2% (Dania pomiędzy 1953 a 1954) do 11% (Niemcy Zachodnie pomiędzy 1954 a 1955). Charakterystyczną cechą tego wzrostu jest, że jest on przede wszystkim wynikiem wzrostu produkcji przemysłowej. W Wielkiej Brytanii pomiędzy 1954 a 1955 dochód narodowy wzrósł o 3% wówczas gdy wartość produkcji przemysłowej o 6%. Te same cyfry dla Niemiec Zachodnich wynoszą 11% oraz 16%, dla Austrii 10% oraz 14%, dla Francji 5% oraz 8% itd. (1). W Japonii wskaźnik produktu narodowego

---

Wykład wygłoszony na dorocznej inauguracji Społeczności Akademickiej U.S.B. w Londynie w dniu 31 października 1958.

(1) Economic Survey of Europe in 1955, UN, Geneva, 1956, str. 3.

wynosił 157 przy przyjęciu przeciętnego produktu w latach 1934-36 za 100, zaś wskaźnik produkcji przemysłowej 232 (2).

Ważnym wskaźnikiem rozwoju jest stopa kapitalizacji. W okresie 1950-1954 Zachodnie Niemcy inwestowały w trwałych dobrach przeciętnie około 21% ich dochodu narodowego, Norwegia około 30%, Holandia — 20%, Francja — 19%, Wielka Brytania — 14% (3), Japonia około 25%. W okresie 1954-1957 w Wielkiej Brytanii stopa inwestycyjna w dobrach trwałych wzrosła do 17%.

W Wielkiej Brytanii głównym źródłem kapitalizacji są spółki przemysłowe i handlowe. Za czasów rządów socjalistycznych na drugim miejscu stało publiczne tworzenie kapitałów a dopiero na trzecim prywatne oszczędności. Po dojściu konserwatystów do władzy prywatne oszczędności wysunęły się na drugie miejsce a rola kapitalizacji publicznej spadła niemal do zera. W innych krajach europejskich prywatne oszczędności są głównym źródłem kapitalizacji. We wszystkich tych krajach jest również stały wzrost z roku na rok w poziomie realnych płac oraz we wskaźnikach konsumpcji prywatnej.

Kraje komunistyczne. Jest faktem niezaprzeczalnym, że we wszystkich krajach bloku komunistycznego odbywają się i dość gwałtownie procesy rozwojowe zwłaszcza rozbudowa przemysłowa. Rozbudowa przemysłu wymaga wysokiej stopy oszczędzania. We wszystkich krajach bloku Sowieckiego, oprócz Niemiec Wschodnich, stopa inwestycyj brutto utrzymuje się na poziomie obejmującym przeciętnie około jednej czwartej ich dochodu narodowego, a w niektórych wypadkach nawet więcej. Jest trudno powiedzieć ile pochłaniać musi amortyzacja; można jednak przytoczyć dużo argumentów za tym, że potrącenia z tego powodu nie muszą być wyższe niż w zaawansowanych krajach kapitalistycznych. Oznacza to, że w krajach komunistycznych wzrost bogactwa narodowego odbywa się w bardzo szybkim tempie, co oczywiście nie koniecznie musi iść w parze z poprawą stopy życiowej.

Kraje komunistyczne utrzymują swoją stopę kapitalizacji na poziomie najbardziej szybko w obecnym okresie bogacących się krajów kapitalistycznych: Niemiec Zachodnich, Japonii i krajów Skandynawskich. Ponieważ stopa oszczędzania z gruba odpowiada stopie kapitalizacji, oznacza to, że co najmniej czwarta część dochodu narodowego jest przekazywana na cele inwestycyjne. Jeżeli dodamy do tego ogromne wydatki zbrojeniowe oraz wysoki koszt utrzymania aparatu przymusu policyjnego, musimy dojść do wniosku że ludność krajów komunistycznych konsumuje mniejszą część dochodu narodowego niż ludność krajów kapitalistycznych.

---

(2) Economic Survey of Asia and the Far East 1957. UN. 1958.
(3) Economic Survey of Europe in 1955.

Oszczędzanie może przychodzić łatwo bogaczowi lecz jest to trudne zadanie dla nędzarza. Ten ostatni może osiągnąć większe oszczędności tylko pod naciskiem nieodpartego przymusu. I to właśnie w dużym stopniu tłumaczy dlaczego kraje komunistyczne są krajami totalistycznymi i dlaczego poważna część rosyjskich i chińskich osiągnięć inwestycyjnych jest oparta na pracy niewolniczej.

Kraje azjatyckie. Analiza zmian w realnym dochodzie narodowym krajów azjatyckich jest znacznie utrudniona przez procesy inflacyjne istniejące po wojnie niemal we wszystkich krajach Azji południowej i wschodniej. Łatwiej natomiast jest uchwycić stosunek inwestycyj do dochodu narodowego. Indie w rezultacie wielkich wysiłków pierwszej pięciolatki osiągnęły w 1956 roku poziom inwestycyj około 10% brutto oraz 7% netto w stosunku do ich dochodu narodowego, Filipiny około 8% brutto, Ceylon pomiędzy 10 a 13 brutto (4). W Indonezji stopa inwestycyj brutto jest oceniana pomiędzy 5 a 9% dochodu narodowego, a netto pomiędzy zerem a 5%. Żaden z krajów południowej i południowo wschodniej Azji, oprócz Burmy, nie osiągnął 12% inwestycyj netto, co niektórzy ekonomiści uważają za warunek wyjścia na szlak spontanicznego rozwoju.

Z analizy tych cyfr wynika wniosek, że rozpiętość pomiędzy bogactwem, a co za tym idzie i potencjalną stopą życiową krajów przodujących gospodarczo a krajów zacofanych w rozwoju nie zmniejsza się, lecz odwrotnie ciągle wzrasta. Dla przykładu przypuśćmy, że W. Brytania ma tę samą stopę czystych inwestycyj w stosunku do dochodu narodowego co Indie, tzn. około 7%. Przy angielskim dochodzie narodowym około £ 18.000 milionów oraz ludności nieco poniżej 50 milionów wyniesie to nieco powyżej £ 25 na głowę ludności. Oznaczałoby to, że statystyczny Anglik co roku staje się mniej więcej o £ 25 bogatszy niż był w roku poprzednim. W Indiach, przy dochodzie który był nieco poniżej Rs. 100.000 mil. i ludności sięgającej prawie 400 mil. statystyczny Hindus stał się bogatszy o £ 15.

Faktyczna różnica jest jeszcze większa, niż na naszym hipotetycznym przykładzie. W Anglii faktyczna stopa inwestycyj netto (tzn. po odliczeniu amortyzacji istniejących kapitałów stałych), jest nie 7%, a prawdopodobnie około 15%. Oznacza to, że bogactwo Wielkiej Brytanii na głowę ludności wzrasta nie o £ 25, a prawdopodobnie mniej więcej o £ 50 rocznie. Dlatego aby ta rozpiętość zaczęła się zmniejszać kraje opóźnione muszą mieć znacznie wyższą stopę inwestycji, niż kraje bogate i przodujące. Oznacza to, że muszą one oszczędzać, lecz własnie — jak już o tym była mowa — nędzarzowi oszczędzanie przychodzi bardzo trudno, i może on osiągnąć większe oszczędności tylko pod naciskiem nieodpartego przymusu.

(4) Economic Survey of Asia and the Far East, 1955, p. 10.

Saiyid Askhar Abbas, Hindus z Punjabu (5), w tezie doktorskiej złożonej w Holandii, obliczył że dlatego aby w krajach Azji Południowej i Południowo Wschodniej utrzymać obecną stopę życiową przy istniejącym przyroście naturalnym (13% rocznie) poziom inwestycji musi być około 5 1/3% dochodu narodowego. Dlatego aby zwiększyć dochód narodowy o $ 1 na głowę rocznie przez dwadzieścia lat trzeba zacząć ze stopą inwestycyj 20% dochodu narodowego, która będzie stopniowo obniżana do 14% w ostatnim roku dwudziestolecia. Dałoby to po dwudziestu latach wzrost dochodu narodowego z $ 50 do $ 70 na głowę wówczas gdy obecny dochód St. Zjedn. jest ponad $ 2500 na głowę ludności oraz Anglii około $ 1200 na głowę ludności.

Dlatego zaś, aby w ciągu 20 lat wchłaniać cały roczny przyrost siły roboczej oraz przenosić rocznie 2 mil. robotników z rolnictwa do przemysłu, trzeba rozpocząć ze stopą inwestycyj 43% dochodu narodowego, która w ostatnim roku może spaść do 21%. Przy tego rodzaju planie osiągnąć będzie można takie przesunięcie w strukturze społecznej, że większość ludności będzie zatrudniona poza rolnictwem. Obecnie przybliżony stosunek ludności nierolniczej do rolniczej w Indiach jest jak 30:70, po dwudziestu latach byłby on jak 60:40. Plan na tych zasadach zbudowany mógłby również przynieść podwojenie dochodu narodowego na głowę ludności w ciągu 20 lat.

Deprymującym faktem sytuacji azjatyckiej jest również spadek produkcji środków żywności na głowę ludności w większości krajów azjatyckich. Według obliczeń Ekonomicznej Komisji dla Azji i Dalekiego Wschodu w Bangkoku przeciętna produkcja środków żywności na głowę ludności w okresie 1953-57 na całym terenie Azji południowej i wschodniej (włączając również komunistyczne Chiny) utrzymywała się na poziomie około 86% przeciętnej z okresu 1934-38. Wyjątek stanowią Thailand (Syjam) i Filipiny, oraz Japonia od 1955 r., a również częściowo Ceylon. W tym samym okresie przeciętna produkcja na głowę ludności na całym świecie, z wykluczeniem krajów komunistycznych, była na poziomie około 105% przeciętnej z okresu 1934-38 (6).

To pogorszenie się sytuacji aprowizacyjnej jest w dużym stopniu skutkiem szybkiego tempa przyrostu ludności. W absolutnych cyfrach produkcja żywności wzrosła we wszystkich krajach azjatyckich, oprócz Burmy, lecz tylko w wyjątkowych krajach ten wzrost wyprzedza przyrost ludności. Jednocześnie wzrost zatrudnienia w przemyśle jest niedostateczny aby wchłonąć przyrost siły roboczej. W Indiach pomiędzy 1953 a 1957 zatrudnienie wzrosło o 4 miliony, wówczas gdy przyrost ludności wyniósł 20 milionów, a przyrost siły roboczej około 9 mil.

---

(5) Saiyid Asghar Abbas. *Capital Requirements for the Development of South and S.-E. Asia*, ed. J. R. Groningen-Djakarta, 1955.

(6) Ec. Survey of Asia and the Far East, 1957, U. N. Bangkok 1958, p. 199.

W tych warunkach podjęcie akcji rozbudowy gospodarczej jest dla krajów azjatyckich koniecznością społeczną i psychologiczną. Powstaje pytanie co rządy tych krajów muszą robić, aby taką akcję skutecznie rozwinąć. Do tego samego celu może prowadzić szereg dróg, oraz różne metody polityki gospodarczej mogą dać podobne rezultaty w zakresie wysokości produktu i kapitału narodowego. Jest to więc problem wyboru odpowiedniego modelu gospodarczego. Zadaniem tego odczytu jest rozważenie kilku takich modeli, które można skonstruować na zasadzie doświadczenia nowoczesnej historii gospodarczej.

Przy charakterystyce każdego modelu rozwojowego cztery podstawowe cechy muszą być sobie uświadomione:

1) kto reprezentuje czynnik inicjatywy oraz kto ponosi ryzyko przedsięwzięć gospodarczych;

2) jak dokonują się procesy tworzenia się kapitałów; kto organizuje oszczędzanie a kto ponosi jego ciężar;

3) jak się procesy kapitalizacyjne odbijają na podziale dochodu społecznego i stopie życiowej większości społeczeństwa;

4) jaki system polityczny najlepiej odpowiada danemu modelowi gospodarczemu.

Na wstępie też chciałbym zaznaczyć że wykluczam z zakresu obecnych rozważań modele tworzenia się rozwiniętego kapitalizmu w Europie i Ameryce. Nie wydaje się mi, aby miały one jakieś większe praktyczne znaczenie jako wzory dla krajów azjatyckich. Trudno sobie wyobrazić aby warunki, które stworzyły rewolucję przemysłową w Anglii w końcu XVIII stulecia mogły się obecnie powtórzyć w Azji. Wzór według którego uprzemysłowiały się w zeszłym stuleciu Stany Zjednoczone, Kanada, Australia i Afryka Południowa — jest również niezastosowalny, bowiem warunki które istniały w tamtych krajach — ogromne bogactwa naturalne przy rzadkim zaludnieniu, rynki zagraniczne chłonne na produkta rolnicze, żywiołowy przypływ kapitałów i najbardziej przedsiębiorczych elementów z Europy — dziś nie istnieją w Azji.

Nowoczesna historia gospodarcza dostarcza dwu modeli o praktycznym znaczeniu dla Azji. Jeden to jest uprzemysłowienie Japonii za czasów cesarza Meiji; drugi to uprzemysłowienie Rosji za czasów Stalina. Jest poza tym trzeci model, który dopiero wyklarowuje się i nie wiadomo czy wytrzyma próbę życia. Jest to model hinduski. Te właśnie trzy modele chciałbym tutaj poddać krótkiej analizie.

MODEL JAPOŃSKI

Kluczowy okres, w którym Japonia stworzyła swoją potęgę przemysłową i przeistoczyła swoją patriarchalną gospodarkę w nowoczesny system przemysłowy przypada na panowanie cesarza Meiji (1868-1912). Na początku tego okresu młody, bo nie mający nawet dwudziestu lat, cesarz wydał dekret obalający szo-

gunat (tj. dziedziczny urząd najwyższego administratora skupiającego w swoich rękach całą realną władzę); wyszedł ze swego honorowego odosobnienia w Kioto, przeniósł stolicę do Ledo, które przemianował na Tokio, odbudował absolutyzm władzy Mikado, oraz użył swojej pozycji absolutnego władcy, by usunąć szereg feudalnych przeżytków i stworzyć konstytucyjne państwo na wzór europejski. Było to w tym samym okresie gdy carat rosyjski robił rozpaczliwe wysiłki przeciwstawiając się żądaniu oświeconej części społeczeństwa, aby kontynuować proces przetwarzania Rosji w państwo demokratyczne, rozpoczęty reformami Aleksandra II.

Zasadniczym dążeniem japońskiej polityki gospodarczej było stworzenie przemysłowego systemu kapitalistycznego, a więc wychowanie prywatnego przedsiębiorcy, który by pod względem inicjatywy, pomysłowości i talentów administracyjnych dorównywał ludziom trzymającym w swoich rękach ośrodki dyspozycyj gospodarczych w świecie kapitalistycznym. Ponieważ jednak w początkowych stadiach trudno było całkowicie liczyć na prywatną inicjatywę w tworzeniu nowych przedsiębiorstw, państwo często tworzyło zakłady przemysłowe, a potem sprzedawało je w ręce prywatne.

Warstwą, która ponosiła główny ciężar akumulacji kapitału, byli chłopi. W 1908 r. drobni rolnicy oddawali 28% swego realnego dochodu na podatki, wówczas gdy kupcy i przemysłowcy tylko 14%. Oprócz tego drobni dzierżawcy pól ryżowych musieli oddawać pomiędzy 45% a 60% swoich plonów właścicielom ziemskim (7). Akumulacja oszczędności przez właścicieli ziemskich była jednym z głównych źródeł inwestycji przemysłowych. W okresie wielkiej depresji w latach trzydziestych ciężar długów, podatków i rent pochłaniał około 2/3 czystego dochodu rolników. Z drugiej strony ceny na produkty rolne nie były regulowane, lecz były chronione przed współzawodnictwem importowanych środków żywności (oprócz importu z Formozy i Korei). Nie było również przymusowych dostaw, które charakteryzują system sowiecki.

W Japonii jednak zastosowanie tego nacisku na dochody rolników nie odbiło się ujemnie na produkcji środków żywności tak jak to było w Związku Sowieckim. Rząd japoński rozwinął szeroko zakrojoną akcję zmierzającą do rozpowszechnienia bardziej wydajnych metod uprawy ziemi, stosowania różnego rodzaju nawozów naturalnych i sztucznych, selekcyjnych nasion, dwóch okresów zbiorów itp., a również wykazał dużą troskę o podniesienie stanu hodowli. Akcja ta dała ogromny wzrost produkcji rolnej. Pomiędzy 1895 a 1930 indeks tej produkcji podniósł się z 69 do 149 (przyjmując okres 1910-1914 jako 100), zaś specjalnie w zakresie hodowli z 50 do 304 (8). W Rosji,

(7) W. W. Lockwood, *The Ec. Development of Japan*, 1955, p. 26.
(8) Lockwood, p. 87.

jak wiadomo, uprzemysłowienie stalinowskie spowodowało katastrofalny spadek produkcji hodowlanej; i to jest jedna z zasadniczych różnic pomiędzy modelem sowieckim oraz modelem japońskim. Pomiędzy 1885 a 1915 w Japonii produkcja żywności na głowę ludności wzrosła o 20%, pomimo znacznego przyrostu naturalnego (9).

Inną charakterystyczną cechą uprzemysłowienia Japonii było, że wzrost wydajności pracy stale bardzo poważnie wyprzedzał podnoszenie się realnych płac, co stwarzało pomyślne warunki dla procesów akumulacyjnych. Pomiędzy 1897 a 1939 siła nabywcza płac roboczych niemal podwoiła się, lecz standard życiowy robotnika japońskiego pozostawał stale poniżej realnych płac w przemysłach europejskich, co znowu podnosiło konkurencyjną zdolność towarów japońskich na rynkach zagranicznych.

Dzisiaj zastosowanie modelu japońskiego w innych krajach Azji jest trudne ze względów psychologicznych, społecznych i ideologicznych. Społecznie rewolucja przemysłowa w Japonii była oparta na warstwie samurajów, którzy pod wielu względami przypominali naszą szlachtę, lecz różnili się od niej poczuciem dyscypliny i poszanowaniem autorytetów. Dla dobra Ojczyzny wyrzekli się oni wielu rzeczy w swoim dawnym sposobie życia feodalnych wojowników, i przeistoczyli się w kupców, przemysłowców i bankowców. Japonia była przesiąknięta poczuciem hierarchii patriarchalnej, chociaż z rozkazu Cesarza wprowadzono instytucje wzorowane na kapitalistycznym Zachodzie. Na nowych przedsiębiorców patrzano tak, jak niegdyś na panów feudalnych i nie kwestionowano ich wysokiego udziału w podziale dochodu społecznego.

W dzisiejszej Azji — mam tu na myśli tę część Azji, która pozostaje poza systemem komunistycznym — przeważa inna postawa psychologiczna. Wszędzie istnieją związki zawodowe i przeróżne organizacje broniące interesów poszczególnych warstw w podziale produktu społecznego, co obniża możliwości akumulacji prywatnej. Dlatego też uprzemysłowienie na większą skalę jest trudne do pomyślenia bez przymusowego oszczędzania organizowanego przez państwo.

Należy również mieć na uwadze że japoński przykład elity rycerskiej, która w ciągu jednej generacji przetworzyła się w elitę przemysłową, jest jedyny w swoim rodzaju; trudno sobie wyobrazić, aby mógł on być powtórzony w naszych czasach w innych krajach azjatyckich. W tych krajach warstwy akumulujące — właściciele ziemscy, lichwiarze, kupcy, lekarze i adwokaci — nie zawsze są skłonni do inwestowania swoich oszczędności w przemyśle. W niektórych krajach, np. w Indonezji, często starają się oni znaleźć sposób przetransferowania swoich kapitałów do banków zagranicznych. Zwyczaj trzymania oszczędności w kufrach i piwnicach w postaci złota i drogich kamieni

(9) B. J. Johnston, *Agricultural productivity in Japan*, the „Journal of Political Economy", 1951.

jest wciąż jeszcze bardzo rozpowszechniony na Wschodzie. Uprzemysłowienie Azji musi być w ogromnym stopniu oparte o inicjatywę publiczną. Trudno jest przewidzieć czy w przyszłości wytworzą się warunki dla przekazania nowo zakładanych przedsiębiorstw w ręce prywatne, czy też będzie rzeczą bardziej racjonalną utrzymać je jako przedsiębiorstwa znacjonalizowane.

Szczególną cechą modelu japońskiego było umiejętne połączenie procesów kapitalizacyjnych poprzez nacisk na dochody rolników z efektywną zachętą do podniesienia produkcji rolniczej. Jest to właśnie sztuka, której nie potrafiła dokonać Rosja komunistyczna — i jest to punkt, który zasługuje na bardziej szczegółową analizę, niż ta, która może być dokonana w ramach tego wykładu.

MODEL SOWIECKI

Mówiąc o modelu sowieckim mam przede wszystkim na myśli stalinowską politykę uprzemysłowienia w okresie od początku pierwszego planu pięcioletniego do wybuchu wojny z Niemcami, tzn. w okresie 1928-1941.

W Związku Sowieckim, tak samo jak w Japonii, tworzenie kapitału przemysłowego było finansowane przez nacisk na dochody drobnych rolników, lecz metody tego nacisku były różne. Japoński nacisk na chłopa polegał na transferowaniu części jego dochodu w postaci podatków do dyspozycji rządu oraz innej części poprzez renty dzierżawne do dyspozycji przemysłu. Poza tym jednak, po poniesieniu tych ciężarów, chłop był wolny w dysponowaniu tym, co udało się mu uzyskać w rezultacie jego własnej pomysłowości i pracy jako producenta czy też sprzedawcy. Sowiecki system transferowania dochodu rolników do dyspozycji państwa polegał przede wszystkim na dostawach przymusowych, za które płacone były ceny stanowiące tylko ułamek tego co państwo pobierało od konsumenta gdy potem występowało w roli sprzedawcy. W cenie sprzedażnej środków spożywczych podatek obrotowy sięgał w niektórych wypadkach do 88%, pozostawiając tylko 12% do pokrycia tego co płaciło się producentowi. W Sowietach zarówno kołchoz, jak i producent indywidualny, nie mieli nigdy pewności że będą mogli poważnie podnieść swoje dochody w wyniku własnej pracy i pomysłowości, chociaż w pewnych momentach państwo starało się ich zachęcić przez stworzenie tzw. targów kołchozowych, gdzie transakcje nie podlegały podatkowi obrotowemu.

Państwo potrzebowało produktów rolnika aby wyżywić armię, ogromny aparat policyjny, dostarczyć pewnego minimum tanich środków żywności robotnikom przemysłowym, a również przez eksport opłacić koszta importu maszyn i urządzeń przemysłowych. Dla tych celów produkty rolne były zabierane od producenta w naturze, poprzez system dostaw przymusowych oraz

system wypłat maszynotraktorowym stacjom. Kołchoz to była przede wszystkim pompa, transmitująca produkty rolne do dyspozycji państwa, a dopiero potem jednostka produkcyjna. Przez przyjęcie odziedziczonej po Tatarach koncepcji wspólnoty wiejskiej jako jednostki podatkowej, komuniści sowieccy skompromitowali słuszną w zasadzie ideę skooperowania części procesów produkcyjnych w rolnictwie. Ta pompa pracowała tak dokładnie, że kiedy w 1932 w wioskach ukraińskich dziesiątki tysięcy mieszkańców umierało z głodu, elewatory państwowe były przepełnione.

Rola wsi w sowieckiej metodzie uprzemysłowienia polegała również na dostarczeniu taniej siły roboczej dla wielkich przedsięwzięć budowlanych. Na początku rewolucji wieś rosyjska była bardzo poważnie przeludniona i istniało tam ogromne ukryte bezrobocie. W końcu lat dwudziestych jednak, chłopski syn, jeżeli nawet nie miał nic do roboty w domu, niechętnie szedł do miasta z powodu istniejących tam niepomyślnych warunków aprowizacyjnych. Władza stanęły wobec problemu przerzucenia nadmiaru siły roboczej ze wsi do przemysłu i wielkich przedsięwzięć inwestycyjnych. Problem ten został rozwiązany w rezultacie akcji likwidacji kułaków. Akcja ta spowodowała, że setki tysięcy chłopów w panice zaczęło uciekać do miast, zwiększając w ten sposób podaż siły roboczej do przemysłu oraz przedsięwzięć budowlanych. Głód 1932 r. ogromnie wzmógł ten proces migracyjny. W ten sposób znaczna część nadmiaru siły roboczej na wsi została przetransferowana do zajęć nierolniczych.

Wyniki sowieckiej metody uprzemysłowienia są ogólnie znane. Związek Sowiecki dokonał ogromnych inwestycyj w przemyśle, komunikacji i opanowaniu dziewiczych terenów Dalekiej Północy, oraz Rosja stała się jedną z największych potęg przemysłowych świata. Jeżeli chodzi o rolnictwo wyniki były znacznie mniej pomyślne. Średnia roczna produkcji zboża w okresie 1928-1932 była niższa niż w okresie 1925-1928 (10). W końcu jednak lat trzydziestych osiągnięto wzrost produkcji zboża, przeważnie jako skutek powiększenia przestrzeni uprawnej.

Natomiast w zakresie hodowli skutki były wręcz katastrofalne. Pomiędzy 1928 a 1933 według oficjalnej statystyki opublikowanej w 1936 r. ilość bydła rogatego zmniejszyła się z 70.5 mil. do 50.4 mil., owiec i kóz z 146 mil. do 50.2 mil., a ilość nierogacizny z 26 mil. do 12 mil (11). Ten stan rzeczy oczywiście odbił się na wyżywieniu ludności. W przede dniu II wojny światowej przeciętny Rosjanin prawdopodobnie jadł więcej chleba niż w okresie przedrewolucyjnym, lecz mniej mięsa, tłuszczów i produktów mlecznych. Według obliczeń Nauma Jasnego, w jego fundamentalnym dziele o socjalizacji rolnictwa w Związku

---

(10) Maurice Dobf, *Soviet Ec. Dev. since* 1917, London 1948 p. 246-247.

(11) *Sotsialistitcheskoe Stroitelstwo,* Rocznik Statystyczny, Moskwa, 1936.

Sowieckim, konsumpcja mięsa przedstawiała się jak następuje (w kilogramach na głowę ludności) (12):

Rok	*Cała ludność*	*ludność rolnicza*	*ludność miejska*
1927 — 28	24 — 27.5	18.7 — 22.6	46.3 — 49.1
1932	13.5	10.3	21.8
1937	14.0	8.5	25.5

Nawet obecnie sowiecka gospodarka odczuwa wciąż skutki załamania się rozwoju hodowli spowodowanego przez likwidację kułaków. Hodowla wciąż pozostaje tzw. ,,wąskim miejscem'' w tej gospodarce. W początku 1953 r. ilość krów dojnych była wciąż nie tylko mniejsza niż w 1928 roku, w którym rozpoczęła się wielka kampania uprzemysłowienia, lecz mniejsza nawet niż w przede dniu rewolucji, tzn. w trzecim roku pierwszej wojny światowej (13).

1916 —	28,8	milionów
1928 —	33.3	,,
1941 —	27.8	,,
1953 —	24.3	,,

Aby ocenić jak to musi się odbijać na wyżywieniu ludności trzeba wziąć pod uwagę, że dzisiejszy Związek Sowiecki zamieszkuje przypuszczalnie około 212 milionów ludzi, wówczas gdy w przede dniu pierwszej wojny światowej było około 140 milionów.

Powstaje teraz pytanie w jakim stopniu model sowiecki jest zastosowalny w Azji. Pytanie to zawiera dwa elementy: jeden dotyczy polityczno-społecznego charakteru sowieckiego modelu, drugi jego gospodarczej efektywności. Gdy chodzi o pierwsze pytanie wydaje się, że w naszych czasach w Azji jest bardziej sprzyjające podłoże dla zastosowania sowieckiego, niż japońskiego, systemu polityki uprzemysłowienia.

W obydwóch wypadkach — japońskim i sowieckim — akcja uprzemysłowienia była kierowana przez elitę, która narzucała swoją wolę większości narodu. W Japonii była to część dawnej elity feudalnej, której autorytet opierał się na tradycji i na mistyce związanej z osobą cesarza. W Związku Sowieckim była to grupa elitarna, wyselekcjonowana przez aparat partyjny, którą nazywano awangardą klasy robotniczej. Elita ta, operująca hasłem interesu warstw pracujących, tworzyła aparat bezwzględnego terroru, który zmuszał ludzi do jak najbardziej wydajnej pracy przy ciągłym ograniczaniu konsumpcji.

Warunkiem uprzemysłowienia jest stworzenie realnego kapitału narodowego w postaci gmachów i instalacji fabrycznych, elektrowni, urządzeń transportowych i komunikacyjnych itp.

(12) N. Jasny: *The Sozialized Agriculture of the USSR*, Stanford University Press, 1949, str. 777.
(13) *European Agriculture* UN, FAO, Geneva, 1954 t. 28, p. 65.

Inwestycje te wymagają odpowiednich oszczędności, szczególnie jeżeli brak jest wydatnej pomocy zagranicznej. Ludzie muszą pracować bardziej wydajnie a konsumować mniej. Otóż w naszych czasach jest łatwiej zmusić ludzi do ponoszenia tych ofiar operując mitem rewolucji socjalnej, niż używając autorytetu tradycji. Dlatego też atmosfera psychologiczna jest bardziej sprzyjająca dla sowieckiego niż japońskiego modelu uprzemysłowienia.

Teraz przechodzę do drugiego pytania dotyczącego gospodarczej efektywności modelu sowieckiego w warunkach azjatyckich. Ekonomiści zachodni badający system sowiecki są na ogół zgodni, że w Azji przymusowe oszczędzanie musi dać stosunkowo mniejsze możliwości zwiększenia realnego kapitału narodowego, niż to miało miejsce w Rosji; a to z tego prostego powodu, że średni dochód chłopa rosyjskiego na początku rewolucji był wyższy, niż obecny średni dochód Chińczyka czy też Hindusa. Sowiety miały z czego wyciskać, podczas gdy czysto fizyczne możliwości wyciśnięcia ze wsi chińskiej czy hinduskiej są o wiele mniejsze. Według obliczeń Colin Clark'a dochód na głowę męskiej ludności zatrudnionej w rolnictwie w Związku Sowieckim w roku 1928 był o 40% wyższy niż w Indiach, oraz 100% wyższy, niż w Chinach w połowie lat czterdziestych (14) bieżącego stulecia.

Wynika z tego, że gwałtowne tworzenie kapitału narodowego wymagać musi w Azji jeszcze większego napięcia, niż to było w Rosji, i że osiągnięcie tam dzisiejszego poziomu rosyjskiego musi wymagać znacznie dłuższego czasu. Stalinowska metoda finansowania inwestycyj doprowadziła do odbudowania niewolnictwa w postaci obozów pracy przymusowej. Dziś, warunki, które stanowiły ekonomiczne uzasadnienie łagrów, w dużym stopniu już zniknęły, i — o ile można sądzić — Związek Sowiecki powoli likwiduje łagry. Wydaje się, że Rosja jest na drodze do zreformowania tej struktury społecznej, częściowo opartej na niewolnictwie, która wytworzyła się w latach trzydziestych.

Jeżeli jednak sowiecka metoda uprzemysłowienia zastosowana zostanie w Azji i wielkie kraje azjatyckie zechcą osiągnąć rosyjskie tempo tworzenia inwestycyj — zakres zastosowania pracy niewolniczej będzie musiał tam być znacznie szerszy, niż to miało miejsce w Związku Sowieckim; oraz znacznie dłuższy okres będzie potrzebny do wytworzenia warunków ekonomicznych sprzyjających likwidacji niewolnictwa.

I dlatego też dla przyszłości cywilizacji zastosowanie w Azji sowieckiej metody uprzemysłowienia stanowi większe niebezpieczeństwo, niż to, którym groził światu stalinizm. Toteż stworzenie warunków, które by zwalniały kraje azjatyckie od ko-

(14) Colin Clark, *The Conditions of Economic Progress*, 1951, tablice na str. 201 i 208.

nieczności stosowania sowieckiego modelu, jest dzisiaj jednym z najważniejszych problemów, które kraje przodujące w rozwoju gospodarczym mają do rozstrzygnięcia.

MODEL HINDUSKI

Indie usiłują znaleźć metodę polityki gospodarczej, która spowodowałaby przyspieszenie procesów rozwojowych, a jednocześnie była wolna od ujemnych właściwości modelu sowieckiego. Hinduska gospodarka nadaje się również lepiej do analizy naukowej, niż gospodarka jakiegoś innego kraju azjatyckiego, bowiem plany gospodarcze są tam zwykle bardzo starannie przygotowane przez zespoły kompetentnych ekonomistów i statystyków, oraz wykonywane przez bardziej sprężystą i uczciwą administrację, niż w którymś innym kraju Azji Południowej i Południowo-Wschodniej (oprócz Federacji Malajskiej).

Cechą zasadniczą hinduskiej polityki gospodarczej jest unikanie metod, które by ograniczały wolność jednostki. W Indiach istnieje pełna swoboda słowa i zrzeszeń politycznych, oraz państwo robi wysiłki, aby ustalić pełną swobodę wyboru zawodu. Demokracja parlamentarna nie jest tam ograniczona ani przez tendencje totalitarne, ani też dyktaturę wojskową.

Drugą cechą systemu hinduskiego jest nadanie wysokiego miejsca w hierarchii celów gospodarczych kwestii podniesienia stopy życiowej bieżącej generacji. Kwestia ta zawsze figuruje również w planach sowieckich, lecz w praktyce epoki stalinowskiej produkcja dóbr konsumpcyjnych była zawsze sprawą ostatniego rzędu oraz dystrybucja czynników produkcji była tego rodzaju, że o jakimś poważniejszym podniesieniu stopy życiowej nie mogło być mowy. Na pierwszym miejscu były zwykle zbrojenia, potem budowa przemysłu ciężkiego, elektryfikacja, rozbudowa sieci komunikacji wodnych itp.

Trzecią cechą programu hinduskiego jest stworzenie zatrudnienia, tzn. popytu na siłę roboczą. W Indiach istnieje ogromne przeludnienie agrarne: w rolnictwie jest znacznie więcej ludzi, niż potrzeba dla uzyskania bieżącej produkcji przy istniejących metodach uprawy. Minimalnym celem w tym zakresie jest nie tyle zmniejszenie istniejącego ukrytego bezrobocia w rolnictwie, ile zatrzymanie procesu jego wzrostu. Roczny przyrost ludności wynosi około 4,5 — 5 mil., a roczny przyrost rąk roboczych około 1,8 mil. Tempo tworzenia nowych oraz rozszerzania starych warsztatów pracy musi być dostatecznie szybkie, aby ten przybytek siły roboczej wchłonąć.

Tworzenie nowych warsztatów wymaga inwestycyj w budynki fabryczne, maszyny i urządzenia; wymaga również elektryfikacji, a także usprawnienia sieci komunikacyjnej. Jeżeli tym celom daje się pierwszeństwo wymaga to zwiększenia importu z zagranicy żelaza, stali, cementu oraz innych brakujących materiałów budowlanych, a również urządzeń technicznych. A wów-

czas pozostaje mniej środków na import nawozów sztucznych, narzędzi i innych rzeczy niezbędnych dla podniesienia produkcji rolnej.

Jeżeli żelazo i stal jest pochłaniana przez rozszerzony program budownictwa fabryk, urządzeń elektryfikacyjnych i kolei żelaznych, mniej jego może być przeznaczone na budownictwo mieszkaniowe lub wytwarzanie narzędzi domowych. W ten sposób w pewnym momencie pomiędzy dążeniem do podniesienia stopy życiowej obecnej generacji, co wymaga przede wszystkim podniesienia produkcji rolnej, a dążeniem do podniesienia zatrudnienia może powstać sprzeczność.

Polityka gospodarcza Indyj waha się pomiędzy tymi sprzecznościami. Pierwszy plan pięcioletni (1951-1956) kładł główny nacisk na podniesienie produkcji rolniczej i dał konkretny wynik w zakresie pewnego podniesienia konsumpcji na głowę ludności. Stopa inwestycyj w ostatnim roku pierwszej pięciolatki była około 10% brutto oraz 7% netto. Było to dostatecznie aby wywołać zatrudnienie około 4,5 mil. ludzi, wówczas gdy ilość ludności zdolnej do pracy wzrosła w tym okresie o 9 mil. Drugi plan pięcioletni (1956-1961) kładzie większy nacisk na inwestycje przemysłowe. Próba osiągnięcia 9% czystych inwestycyj natrafiła na duże trudności; Indie przed kilku miesiącami znalazły się w niezmiernie trudnej pozycji finansowej i zostały zmuszone do obniżenia poziomu inwestycyj oraz tempa rozbudowy gospodarczej.

Na ogół w kraju przeludnionym jest łatwiej zabezpieczyć każdemu miskę ryżu lub kawałek chleba niż dostarczyć każdemu pracy. Tłum ludzi, którzy nie mają poczucia swej użyteczności społecznej, staje się czynnikiem fermentu, jeżeli nawet ci ludzie nie są głodni. Z drugiej strony ten sam tłum ujęty w karby żelaznej dyscypliny może przyczynić się do tworzenia kapitału narodowego w postaci dróg, gmachów fabrycznych, kanałów, melioracyj itp., nawet jeżeli ci ludzie są głodni. W tym ostatnim wypadku ci półgłodni niewolnicy tworzą podstawy materialne, które mogą ułatwić podniesienie stopy życiowej przyszłych pokoleń. Pierwsza ewentualność — tzn. podniesienie przede wszystkim produkcji rolnej, a raczej odepchnięcie na dalszy plan kwestii pełnego zatrudnienia — to jest właśnie to co wielu ekspertów zachodnich sugeruje Azji; druga ewentualność wynika z modelu sowieckiego. Są to dwie skrajne ewentualności pomiędzy którymi balansuje myśl tych, co tworzą długofalowe programy gospodarcze dla Azji. Są przywódcy azjatyccy, którzy usiłują znaleźć wyjście pośrednie. Powstaje pytanie czy nie ma drogi, na której można by było utrzymać sowieckie tempo tworzenia kapitałów, a jednocześnie zachować wolność człowieka i poszanowanie praw jednostki.

PROBLEM MIĘDZYNARODOWEJ REDYSTRYBUCJI OSZCZĘDNOŚCI

Z rozważań powyższych wynika, że kraje, które są w sytuacji podobnej do Indii, mogą dotrzymać kroku Blokowi Sowieckiemu w tempie tworzenia kapitału narodowego, a jednocześnie zachować ustrój demokratyczny, jedynie pod warunkiem, że otrzymają odpowiednią pomoc zagraniczną. Stawia to nas wobec problemu *międzynarodowej redystrybucji oszczędności.*

W 1951 roku komisja ekspertów wyznaczona przez Sekretarza Generalnego Narodów Zjednoczonych wysunęła koncepcje, żeby kraje zaawansowane przekazywały regularnie pewną część swego dochodu narodowego na inwestycje w krajach gospodarczo opóźnionych. Na początek proponowano przekazanie jednego procentu dochodu narodowego, chociaż z analizy sytuacji wynikło, że co najmniej 2.5% muszą być przekazane, żeby kraje opóźnione mogły otrzymać wzrost dochodu narodowego o 2% rocznie (15). Proponowano również żeby Organizacja Narodów Zjednoczonych utworzyła specjalną instytucję, która by rozdzielała otrzymane w ten sposób środki. Pomoc faktycznie udzielana jest jednak znacznie poniżej tych dezyderatów. W 1957 r. wydatki Stanów Zjednoczonych na zagraniczną pomoc gospodarczą, wliczając w to finansowanie inwestycyj o znaczeniu obronnym (lecz nie wliczając dostaw zaopatrzenia wojskowego dla sojuszników w Azji) wyniosły około $ 1,6 miliardów czyli około 0,5% dochodu narodowego Stanów Zj. W 1957 całość pomocy gospodarczej krajom opóźnionym ze strony przodujących krajów kapitalistycznych nie przekroczyła $ 2,5 miliardów. Gdyby te kraje zdecydowały się przekazywać 2% ich dochodu narodowego musiałoby to wynieść około $ 10 miliardów.

Poza tym dystrybucja tej pomocy jest dokonywana nie z punktu widzenia gospodarczych potrzeb lecz ze względów politycznych. Według Rocznika Statystycznego Narodów Zjednoczonych z roku 1957 pomoc poszczególnym krajom gospodarczo opóźnionym w przeliczeniu na głowę ludności wyglądała jak następuje:

Jordania (włączając pomoc wojskową)	$ 80.9
Libia	$ 54.8
Południowa Korea	$ 31.4
Iran	$ 9.5
Pakistan	$ 3.8
India	$ 0.6

(15) *Measures for the Economic Development of Under-Developed Countries,* Report by the Group of Exports appointed by the Secretary General of the United Nations, U. N., 1951.

Syria	\$ 0.6
Indonezja	\$ 0.5

Na początku 1956 w finansowaniu rozbudowy gospodarczej krajów azjatyckich wystąpił nowy czynnik: pomoc sowiecka. W okresie 1954-1957 Związek Sowiecki udzielił krajom gospodarczo opóźnionym (poza blokiem Sow.) \$ 1,5 miliardów kredytów na dogodnych warunkach, a europejskie kraje satelickie na \$ 600 mil., w 1957 r. wysokość kredytów udzielona Indiom przez Rosję prawie że równała się kredytom amerykańskim (16).

Rosja dzisiaj ofiarowuje krajom azjatyckim nie tylko swój model industrializacji, lecz również swoją pomoc gospodarczą, swoje maszyny i swoich specjalistów, aby zmniejszyć ciężary związane z realizacją swego modelu.

Czy są widoki na to, że przodujące kraje świata wolnego potrafią zdobyć się na politykę, która by mu pozwoliła utrzymać przewodnictwo w rekonstrukcji gospodarki światowej?

Sprawa zorganizowania międzynarodowej redystrybucji oszczędności jest problemem dość trudnym, bo ciężar oszczędności które te projekty implikują musiałby spaść na barki podatników, w krajach gospodarczo zaawansowanych, gdzie ciężar podatków dzisiaj jest o wiele większy niż był dawniej. W W. Brytanii państwo zabiera około 30% dochodu narodowego, w Stanach Zj. około 25%. W Stanach Zjednoczonych jest obecnie poważna opozycja przeciwko udzielaniu pomocy krajom gospodarczo opóźnionym nawet w tej ograniczonej postaci, w jakiej jest ona obecnie udzielana. Przekonać się o tym może każdy, kto regularnie czytuje ,,News Week''. ,,Yale Review'' ostatnio zamieściło dwa większe artykuły, usiłujące uzasadnić szkodliwość akcji pomocy krajom opóźnionym. Niedawno ogłoszona książka Andrew Shonfelda, czołowego gospodarczego publicysty Londyńskiego ,,Observer'a'', implikuje również ujemną postawę w stosunku do tej akcji.

Sprawa rosnących dysproporcji pomiędzy krajami przodującymi gospodarczo a krajami opóźnionymi nie może być rozstrzygnięta jedynie w płaszczyźnie rozumowań ekonomistów. Wymaga ona odpowiedniej postawy moralnej i ideowej. Pierwsza wojna skończyła się wybuchem idealizmu, który znalazł swój wyraz w deklaracjach prezydenta Wilsona i w utworzeniu Ligi Narodów. Druga wojna dobiegła swego końca w atmosferze cynizmu, którego jaskrawym wyrazem były polityka i strategia prowadzące nieuchronnie do włączenia Polski i Centralnej Europy do systemu rosyjskiego. Sprawa stosunku krajów gospodarczo

(16) W okresie kwiecień 1956 — listopad 1957 wysokość przyznanych kredytów i darów amerykańskich wynosiła Rp. 1,746 milionów, kredytów sowieckich Rp. 1,238 mil., oraz kredytów Międzynarodowego Banku Rekonstrukcji Rp. 1,110 mil., kredytów brytyjskich Rp. 350 mil. (Econ. Survey of Asia and the Far East, 1957, p. 83).

zaawansowanych do gospodarczo opóźnionych wymaga idei po-
zytywnych i nie może być jedynie funkcją strachu przed Związ-
kiem Sowieckim.

Idea międzynarodowej redystrybucji oszczędności na wielką skalę jest taką ideą, lecz ma szanse realizacji jeżeli będzie ona oparta o pewną postawę religijną. Jeżeli Ojciec Św., Kościoły Protestanckie i wielkie organizacje chrześcijańskie podjęłyby te koncepcje, jako program realizacji w stosunkach międzynarodowych chrześcijańskich ideałów braterstwa i wzajemnej pomocy rządy podejmujące ten program miałyby mocną sytuację moralną, nieunikniony opór podatnika mógłby być przełamany i międzynarodowy aparat do przeprowadzenia tej redystrybucji został by stworzony.

Byłaby to jednocześnie idea oddająca Zachodowi inicjatywę w stosunkach ze Wschodem.

Stanisław SWIANIEWICZ

Dwadzieścia lat później

Jeżeli zaczniemy przesuwać palcem po globusie, z zachod na wschód, wymawiając słowo ,,demokracja'' — to termin te co sekundę będzie zmieniać swoją treść. Co innego oznacz słowo ,,demokracja'' w Anglii, co innego w Polsce co inneg w Finlandii a jeszcze co innego w Chinach. To samo można po wiedzieć o wielu innych podstawowych terminach jak np.: So cjalizm, Niepodległość, Suwerenność, Neutralizm itp.

Niepodległość jest słowem, które nie schodzi z ust Polaków O niepodległości mówi Gomułka, Cyrankiewicz, Gen. Ander Zdzisław Stahl i Londyńczyk z ,,Kultury''. Byłoby jednak naiw nością przypuszczać, że wszyscy wyżej wymienieni pod słow ,,niepodległość'' podkładają identyczną treść.

Mimo wszystkich rewolucji i przemian jesteśmy narodor który przygniata garb historii. Za każdym terminem z polskieg słownictwa politycznego wlecze się łańcuch emocjonalnych sk jarzeń i korowód widm.

Z jednej strony, olbrzymią rolę w polskim świecie odgryw tradycja — z drugiej zaś, brak ciągłości państwowego trwan kopie przepaść między pokoleniami. Polaków żyjących współcze nie w Kraju i poza jego granicami — można podzielić na luc

,,drugiej Rzplitej'' i na ludzi ,,trzeciej Rzplitej''. Podkreślam ludzi, a nie obywateli — ponieważ wielu Polaków w Kraju, będąc formalnie obywatelami III RP, swoją mentalnością ,tradycją i poglądami politycznymi jest de facto ludźmi II RP. W ramach tego właśnie podziału spotykamy największe polskie kontrasty. Na jednym krańcu mamy Polaków, którzy uznają p. A. Zaleskiego za legalnego prezydenta II RP. Dla tego odłamu polskiej społeczności III RP jest formacją zaborczą, podobnie jak Generalna Gubernia kreowana przez Hitlera. Dla młodego pokolenia wychowanego i ukształtowanego w Kraju po roku 1939 — III RP stanowi ,,established order'' — podczas gdy II RP jest dosłownie epoką nieznaną. Nieznaną zarówno w sensie historycznym jak i literackim, kulturalnym czy jakimkolwiek innym.

Podział na Polaków drugiej i trzeciej Rzeczypospolitej posiada doniosłe znaczenie. Chodzi mianowicie o system porozumienia. W polskim świecie, w dziedzinie ,,komunikacji duchowej'', panuje chaos bez precedensu. Ów chaos niejednokrotnie uniemożliwia wszelkie próby porozumienia między emigracją a Krajem. Problem ,,duchowej komunikacji'' nie istnieje tylko dla tych, którzy z wszelkiej komunikacji zrezygnowali.

Ludzie II RP — bez względu na różnice poglądów są spadkobiercami jednej epoki historycznej i odziedziczyli system podstawowych pojęć politycznych. Terminy : państwo — niepodległość — suwerenność — oznaczają identycznie to samo dla p. A. Zaleskiego — gen. Andersa czy prez. Ciołkosza. Tzw. ,,rozłam'' na emigracji który wyraża się w istnieniu dwóch konkurencyjnych ośrodków politycznych, jest z wszystkich emigracyjnych fikcji niewątpliwie największą fikcją. W gruncie rzeczy nie ma absolutnie żadnej różnicy pomiędzy ,,zamkiem'' p. Zaleskiego a Radą Trzech czy Radą Jedności Narodowej.

Ów polski ,,chaos komunikacyjny'' pogłębia również fakt że — w czasach w których żyć nam wypadło — polityka ewoluuje szybciej niż jej słownictwo. Czas historyczny biegnie dziś prędzej niż czas biologiczny. II RP — jako formacja polityczno-ustrojowa — jest niewspółmiernie starsza od nas — jej synów. I choć nogami dotykamy jeszcze rzeczywistego gruntu — głową tkwimy już od dawna w przeszłości.

Nasze pojęcia i terminologia polityczna nie podlegają ewolucyjnym przemianom, ponieważ na emigracji nie prowadzimy żadnej polityki. W tej materii klasycznego przykładu dostarczyły pisma emigracyjne w artykułach poświęconych czterdziestoleciu narodzin II RP. Wymowę tej historycznej publicystyki — często wysokiej klasy — można stwierdzić w jednym zdaniu : ,,tak było wczoraj — tak będzie jutro''. II RP nie ma ani programu ani polityki — ma tylko historię i epigonów. Tradycja historyczna jest czymś bezcennym ale pod warunkiem, że stanowi pień-fundament dla pędów nowego życia. Jeżeli brak żywych pędów pnących się w górę — nawet z najdostojniejszego pnia niewielki pożytek.

◆

Istnieją dwie przeciwstawne koncepcje polityki polskiej w chwili obecnej. Przeciwstawność tych polityk pokrywa się z konfliktowym stanowiskiem Rosji i Stanów Zjednoczonych.

Zwolennikami pro-rosyjskiej orientacji są nie tylko komuniści lecz wszystkie oficjalnie działające ugrupowania polityczne w Kraju. Obiektywnie należy stwierdzić, że — tak w Kraju jak i zagranicą — wielu Polaków, choć wrogo nastrojonych do Rosji, uważa sojusz ze Zw. Sowieckim za niezbędną gwarancję naszego obecnego stanu posiadania. Może najpełniejszy wyraz tego typu przekonania dał Stefan Kisielewski stwierdzając w liście do redaktora „Kultury" (Nr 11/133) co następuje:

„Racjonalne sojusze polityczne w historii nie bywają wynikiem gustów, sympatii i antypatii, lecz układu elementów geopolitycznych, gospodarczych, strategicznych i innych. Sojusz z Rosją i z całym blokiem narodów biednych i zacofanych, to w dzisiejszym układzie świata jedyna nasza postawa polityczna gwarantująca życie. W przeciwnym wypadku narodowi Polskiemu grozi śmierć polityczna i zgoła biologiczna".

Wydaje mi się, że dla orientacji pro-rosyjskiej jest to wypowiedź w pełni reprezentatywna.

Wypowiedzi przedstawicieli pro-zachodniej orientacji są znacznie znacznie bardziej mgliste. Podstawę stanowi w tej sprawie przekonanie, że w konflikcie Wschód-Zachód zwycięży Zachód.

W obu orientacjach kluczową rolę odgrywają Niemcy. W ramach orientacji pro-rosyjskiej — Związek Sowiecki występuje jak główny gwarant naszej granicy na Odrze i Nysie.

W orientacji : pro-zachodniej Niemcy stanowią najboleśniejszy problem. Z jednej strony zachodnie Niemcy rozbudowuje się w najpotężniejszego na kontynencie sojusznika Ameryki — z drugiej zaś ani Waszyngton ani Bonn nie uznają granicy na Odrze i Nysie. Zwolennicy pro-zachodniej orientacji wiążą więc swoje wszystkie nadzieje z Ameryką jako głównym przeciwnikiem Rosji; Stany Zjednoczone natomiast nie wiążą swych nadziei z nami tylko z Niemcami. Zwolennicy pro-zachodniej orientacji są świadomi tych trudności, reprezentują jednak pogląd, że z punktu widzenia hierarchii zagadnień pierwszeństwo należy przyznać polityce zmierzającej do maksymalnej rozbudowy sił sojuszu atlantyckiego.

Orientacja pro-rosyjska jest antyniemiecka — orientacja zachodnia jest antyrosyjska. Wadą obu powyższych orientacji jest ich jednostronność. O ile nie możemy nigdy prowadzić wojny na dwa fronty — o tyle każda polityka polska musi obejmować swą koncepcją zarówno Rosję jak i Niemcy.

Błędne jest mniemanie, że stosunki rosyjsko-niemieckie są funkcjonalnie zależne od stosunków polsko-rosyjskich. Faktem jest natomiast, że stosunek Rosji do Niemiec determinuje politykę rosyjską w stosunku do Polski.

W numerze majowym ,,Kultury'' z ub. roku ogłosiłem artykuł pt. ,,Dla kogo zbroimy Niemcy''. W artykule tym przytoczyłem następujące słowa Chruszczowa, wypowiedziane do jednego z polityków angielskich: ,,Z atomowymi Niemcami Rosja będzie musiała szukać porozumienia nawet kosztem wielkich ofiar''. Artykuł wywołał burzę protestów. ,,Trybuna Ludu'' oskarżyła mnie o sfałszowanie oświadczenia. Osobiście informacji dotyczącej ówczesnej wypowiedzi Chruszczowa nie uważałem za argument dowodowy mojej tezy lecz za jej ilustrację. Dowód prawdziwości tezy leży w logice faktów i byłem pewien, że wcześniej czy później historia ilustracji dostarczy.

W dniu 10 listopada ubiegłego roku ukazał się równocześnie w ,,New York Herald Tribune'' i ,,The Manchester Guardian'' — artykuł Waltera Lippmanna — relacjonujący jego wielogodzinny wywiad z Chruszczowem. Tym razem źródło informacji jest bezsporne i każdy może je sprawdzić. Dodam jeszcze, że w prasie sowieckiej nie ukazało się nigdzie ani zaprzeczenie ani sprostowanie wypowiedzi Chruszczowa, cytowanych przez Lippmanna.

Cóż powiedział Chruszczow amerykańskiemu dziennikarzowi? Oświadczył bez osłonek, że pakt rosyjsko-niemiecki jest dziś ,,co najmniej w tym samym stopniu prawdopodobny'', jak w roku 1939. W ostatnim zdaniu dodał, że jeżeli wziąć pod uwagę, iż atak niemiecki przeciw Rosji oznaczałby dla Niemiec samobójstwo — realne możliwości paktu rosyjsko-niemieckiego są dziś ,,more probable'' niż w roku 1939.

W swym wnioskowaniu Chruszczow oparł się na dwóch przesłankach. Po pierwsze, oświadczył Lippmannowi, że całe terytorium Niemiec znajduje się w zasięgu średnio-dystansowych sowieckich pocisków nuklearnych. Innymi słowy nim zachodnie Niemcy wykonałyby pierwszy krok wojenny — zostałyby obrócone w cmentarzysko. Mając przed sobą takie perspektywy — Niemcy, w opinii Chruszczowa, przyjęłyby w odpowiednim momencie ofertę sowiecką odwrócenia polityki o 180 stopni. Druga przesłanka Chruszczowa jest może bardziej charakterystyczna. W rozmowie z Lippmannem wypowiedział opinię, że pakt rosyjsko-niemiecki położyłby całą zachodnią Europę ponieważ ,,Niemcy są znacznie silniejsze niż Anglia, Francja i Hiszpania razem wzięte''.

W Europie, jak widzimy nie tylko Amerykanie najwięcej obiecują sobie po Niemcach. W świetle cytowanego wywiadu tytuł artykułu ,,Kultury'' ,,Dla kogo zbroimy Niemcy?'' nabrał dodatkowej barwy i aktualności.

Polacy zagraniczni są antykomunistami i dlatego każdą akcję o charakterze antykomunistycznym skłonni są identyfikować z polityką niepodległościową. Polityka amerykańska jest

niewątpliwie polityką antykomunistyczną, nie oznacza to jednak, że cele tej polityki pokrywają się z celami polskiej polityki niepodległościowej.

Stawianie znaku równania między antykomunizmem amerykańskim a polską polityką niepodległościową jest dla wielu naszych działaczy wygodne i pokrzepiające, ale nie zawsze odpowiada faktom.

Większość polityków emigracyjnych uprawia politykę akomodacji w ramach systemu amerykańskiego. Tego typu polityka często (choć nie zawsze — memento Berg! bywa pożyteczna, jest jednak nieporozumieniem określać tę działalność mianem polityki niepodległościowej. Jest niewątpliwie korzystnie — powiedzmy dla przykładu — że radiostacja w Monachium obsadzona jest nie przez „Volksdeuschów”, lecz przez dobrych Polaków. Nie oznacza to jednak, że Polacy ci prowadzą polską niezależną politykę. Radiostacja w Monachium uprawia politykę antykomunistyczną w ramach systemu amerykańskiego na odcinku wschodnio-europejskim i na tym koniec.

W sumie należy stwierdzić, że zwolennicy zarówno orientacji pro-rosyjskiej jak i zwolennicy orientacji pro-zachodniej prowadzą politykę akomodacji czyli przystosowania. Wielu emigracyjnych mężów stanu oburzy powyższe zestawienie. Obiektywnie należy jednak stwierdzić, że tak w jednym jak i w drugim obozie na szczęście nie brak rzetelnych Polaków. Żadna z powyższych dwóch orientacji nie ma monopolu ani na polskość ani na antykomunizm. Istnieje w Polsce tysiące wartościowych ludzi, którzy będąc przeciwnikami komunizmu są przekonanymi zwolennikami sojuszu z Rosją.

Pewni emigracyjni działacze usiłują wprowadzić prostacki podział, w myśl którego zwolennicy orientacji pro-rosyjskiej są wszyscy w czambuł agentami, komunistami, fellow-travellersami. Natomiast zwolennicy orientacji pro-amerykańskiej to sami bez skazy niepodległościowcy. Tego rodzaju podział na białych i czerwonych jest wygodny dla białych, ponieważ umożliwia im identyfikowanie antykomunistycznej polityki amerykańskiej z polityką niepodległościową. Istnieją niewątpliwie w świecie polskim linie podziałów ideologicznych i politycznych ale jest nonsensem dzielić współcześnie żyjących Polaków na komunistów i antykomunistów. Komuniści stanowią tak znikomą mniejszość, że statystycznie przyjąć można, iż naród polski w całości jest antykomunistyczny. W Polsce jest niepomiernie więcej ludzi, którzy wbrew sercu, są jednak zwolennikami sojuszu z Rosją niż przekonanych komunistów. I punkt drugi. Nie każda akcja czy polityka antykomunistyczna idzie po linii interesów polskiej polityki niepodległościowej. Zbrojenie Niemców jest fragmentem antykomunistycznej polityki Zachodu, jednak w naszym przekonaniu nie idzie po linii interesów polskich. Można sobie doskonale wyobrazić świat idealnie antykomunistyczny z pokonaną Rosją i zwycięskimi atomowymi Niemcami — świat w którym mogłoby

braknąć miejsca dla niepodległej Polski. Antykomunizm i niepodległość — to nie są synonimy.

Ugrupowania, które na emigracji określa się mianem obozu niepodległościowego, niemal w całości rekrutują się z ludzi drugiej Rzeczypospolitej. Amerykańska doktryna „liberation", choć nigdy nie wyszła poza stan mglistych sformułowań, nadawała polityce niepodległościowej w wydaniu II Rzeczypospolitej pewne pozory realizmu. Lecz z jednej strony Ameryka wycofała się całkowicie z polityki „liberation" — z drugiej zaś strony struktura społeczno-gospodarcza II Rzeczypospolitej — uległa dezintegracji. Nie można przywrócić niepodległości II R.P., bo drugiej RP nie ma. Możemy walczyć o niepodległość i naprawę tylko III RP — to jest tej, która współcześnie istnieje.

Program obozu niepodległościowego pokolenia polityków II RP — zawisł w próżni. Nie jest bowiem związany ani z polityką amerykańską ani z sytuacją w Kraju. Jedynym jego powiązaniem z polityką amerykańską jest antykomunizm. Ale nie wszyscy antykomuniści pragną odbudowy polskiej niepodległości. Antykomuniści niemieccy zgłaszają postulaty mające nie wiele wspólnego z polską niepodległością. W naszym przekonaniu „krucjata antykomunistyczna" nie może stanowić fundamentu polskiej polityki niepodległościowej z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że na tę krucjatę nie zanosi się, a po drugie dlatego, że gdyby do tej krucjaty miało dojść głównymi krzyżowcami musieliby być Niemcy. Mówienie dziś o krucjacie czy o „liberation" jest niemal absurdem. Ale w ramach owego „niemal" należy stwierdzić, że marsz ku wschodowi mógłby zostać podjęty tylko siłami niemieckimi. Lojalność Niemiec musiałaby być zapewniona konkretnymi obietnicami i z całą pewnością nie amerykańskie lecz niemieckie czołgi „wyswobadzałyby" Wrocław.

Osobiście nie mam wątpliwości, że gdyby w danej sytuacji uznaniem roszczeń niemieckich Amerykanie mieli szanse storpedowania paktu sowiecko-niemieckiego — nie cofnęliby się przed tym krokiem. Amerykanie bowiem, w przeciwieństwie do wielu z nas, pojmują antykomunizm w ramach interesów swojej polityki. Są najpierw Amerykanami a dopiero później antykomunistami. Z punktu widzenia polityki amerykańskiej nie mogłoby być zbyt wysokiej ceny za storpedowanie ewentualnego porozumienia sowiecko-niemieckiego.

Faktem jest, że Niemcy dwukrotnie na przestrzeni życia jednego pokolenia odrodziły się z popiołów. Odrodziły się po Wersalu i odrodziły się po Poczdamie. Po zakończeniu tegorocznych zimowych manewrów, gen. Heusinger zaapelował do żołnierzy Bundeswehry, by czcili wielkie tradycje oręża niemieckiego i pamięć von Moltkego i von Schlieffena. Równocześnie NATO anulowało całą serię ograniczeń zbrojeniowych, nałożonych na Niemcy układem poczdamskim i umową z 1955 roku. Chruszczow ma rację. „Kwestia niemiecka" jest w tej chwili równie aktualna jak w okresie, który poprzedził wybuch drugiej wojny światowej.

W naszym przekonaniu jedynym rozwiązaniem ,,kwestii niemieckiej'' jest zdemilitaryzowany pas neutralny. Ani zjednoczenie Niemiec ani ostateczne uznanie granicy na Odrze i Nysie nie jest możliwe bez takiej neutralizacji.

Polityka niepodległościowa — jeżeli ma mieć jakiś realny sens — musi definitywnie zerwać z historycznymi analogiami z 1918 roku, z koncepcją zbrojnego wyzwolenia, z ideą antykomunistycznej krucjaty, itp. Gdybyśmy nawet dla przykładu przyjęli absurdalną tezę — że w razie wybuchu wojny obie strony ograniczą się do semi-konwencjonalnych broni — to i wówczas wojna kryje dla nas ponure perspektywy. Niemcy byłyby w takiej sytuacji sojusznikiem numer jeden, a nasza pozycja w obozie sojuszniczym byłaby więcej niż fałszywa. Armia polska PRL — mając Niemców naprzeciw siebie — walczyłaby do upadłego. Trudno sobie wyobrazić w takiej sytuacji symboliczny polski korpus w ramach sił NATO pod dowództwem gen. Speidła. Tak w bloku wschodnim, jak i w zachodnim mamy wrogów. Logiczną antytezą orientacji prorosyjskiej byłaby orientacja nie pro-amerykańska lecz pro-niemiecka. Koncepcja Studnickiego — która była mi zawsze obca — dziś miałaby za sobą więcej logicznych racji niż w 1939 roku. Ale osobiście nie wierzę w możliwość przyjaźni polsko-niemieckiej dopóki nie wymrze pokolenie świadków wielkiej zbrodni. Wyrównanie i przebaczenie byłoby możliwe, ale w innej atmosferze niż ta, która panuje na Zachodzie. Antykomunizm nie jest żadnym spoidłem, żadną platformą porozumienia. Jeżeli antykomunizm nazwalibyśmy ruchem, to trzeba powiedzieć, że równie jałowego ruchu Zachód nigdy dotąd nie wydał. Rzuca się dziesiątki milionów dolarów na finansowania tego ruchu, lecz równocześnie żadne chyba pokolenie zachodnich Europejczyków i Amerykanów nie było świadkiem takiej degradacji ideału wolności. Antykomunizm nie jest antytezą komunizmu. Antytezą komunizmu jest tylko wolność. Za tę lekcję Imre Nagy zapłacił życiem.



Jesteśmy antykomunistami ponieważ jesteśmy zwolennikami ustroju demokratycznego. Nie oznacza to jednak, byśmy uważali, że aktualne interesy Kraju należy podporządkowywać bez reszty i w każdym wypadku wymogom polityki antykomunistycznej. Byłoby to usprawiedliwione tylko wówczas, gdyby światowy ruch antykomunistyczny identyfikował się ze sprawą przywrócenia niepodległości narodom wschodnio-europejskim. Tak nie jest. Jak wiemy antykomunizm zachodni mieści się bez reszty w ramach biernej polityki amerykańskiej.

Powracam powtórnie do tej sprawy, bo w moim przekonaniu polityka niepodległościowa staje się coraz wyraźniej polityką akomodacji w ramach systemu amerykańskiego — polityką klientów i kandydatów na klientów.

Chciałbym uniknąć ewentualnych nieporozumień i zarzutów, że jesteśmy anty-amerykańscy. Wystarczy rzucić okiem na spis wydawnictw ,,Kultury'', by się przekonać, że dla mądrze pojętej propagandy Ameryki zrobiliśmy więcej niż wszystkie pisma i wydawnictwa emigracyjne razem wzięte. James Burnham, we wstępie do książki pt. ,,What Europe Thinks of America'' — zaliczył niżej podpisanego do ,,proved friends of the United States'' Sądzę, że ta zaszczytna wzmianka w pełni odpowiada prawdzie. Choć nie taję, że do obecnej polityki amerykańskiej odnoszę się bez entuzjazmu — w tym wypadku krytyka nie dotyczy Amerykanów tylko Polaków. Polityka amerykańska — nawet najlepsza — nie musi pokrywać się z polską polityką niepodległościową i z wszystkimi naszymi postulatami. Rozumiem w pełni jakimi motywami kierują się Amerykanie w kształtowaniu swej polityki w stosunku do Niemiec — nie rozumiem natomiast tych emigracyjnych polityków, którzy, zamiast próbować oddziaływać na politykę amerykańską, motywy amerykańskie usiłują przechrzcić na motywy polskie. To jest właśnie istotą ,,klientyzmu''.

Weźmy przykład konkretny. Wiadomo, że Amerykanie odnoszą się negatywnie do koncepcji zdemilitaryzowanego pasa neutralnego w Europie środkowo-wschodniej. Równocześnie nie ulega wątpliwości, że koncepcja ta w obecnej sytuacji byłaby dla Polski najlepszym z wszystkich możliwych rozwiązań. Jest to, poza wszystkim innym, jedyny realny plan zmierzający do położenia kresu szybko postępującej rozbudowie militarnego potencjału Niemiec. Jeżeli ktoś potrafi sobie wyobrazić niepodległą, czy tylko semi-niepodległą, Polskę pomiędzy atomowymi Niemcmai — pierwszym mocarstwem na kontynencie a imperialną Rosją — drugim mocarstwem świata, jeżeli ktoś potrafi sobie to wyimaginować — posiada fantazję, której mógłby mu pozazdrościć nieboszczyk Juliusz Verne. Mimo, że i mnie ochrzczono imieniem Juliusz — wyobrazić sobie tego nie potrafię.

Amerykanie zbroją Niemców, bo Niemcy stanowią główny element wału atlantyckiego. Ale celem systemu atlantyckiego jest tylko obrona *status quo* — nie jego zmiana. Nie jesteśmy przeciwnikami NATO, gdyż uważamy, że zachodniej Europy bronić należy do ostatka. Ale jesteśmy przeciwnikami polityki cementowania *status quo* — bo to co z tej strony jest wałem obronnym — z tamtej strony jest murem więziennym.

Polityka niezależna winna szukać sojuszników dla swojej koncepcji nie zaś adoptować każdą koncepcję swoich sojuszników. ,,National Review'', tygodnik amerykański, redagowany m.in. przez Jamesa Burnhama, w jednym z ostatnich numerów zamieścił wiadomość, że gen. de Gaulle złożył tajne memorandum, w którym proponuje reorganizację dowództwa NATO. W myśl tego projektu, dowództwo NATO spoczywałoby wyłącznie w rękach wojskowych przedstawicieli wielkiej trójki, tj. Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji. Cele polityczne tego memorandum jak i motywy są całkowicie jasne. Jest oczywiste, że z owej wielkiej trójki — mocarstwem najbardziej zaintereso-

wanym w niedopuszczeniu Niemiec do hegemonii na kontynencie europejskim — są nie Stany Zjednoczone, lecz Francja. Być może, że generała de Gaulle udałoby się pozyskać dla koncepcji pasa neutralnego — czy innej formy przyhamowania restauracji Niemiec jako potęgi atomowej.

Druga wersja planu Rapackiego w naszym zrozumieniu nadaje się do dyskusji. Rapacki jest przedstawicielem pro-rosyjskiej orientacji i wskutek tego jego plan zmierza do podwójnego celu: neutralizacji Niemiec i utrzymania *status quo* w Europie wschodniej. Nie godzimy się na punkt drugi — godzimy się na punkt pierwszy. Leżałoby w naszym interesie podtrzymywanie dyskusji nad tym planem — bo każda inicjatywa międzynarodowa, zmierzająca do ograniczenia zbrojeń niemieckich posiada dla nas jak najistotniejsze znaczenie.

Ale samo zestawienie Rapacki — Emigracja brzmi absurdalnie. Brzmi absurdalnie zarówno w Londynie, jak i w Warszawie. Te dwie strony nie mogłyby przyznać sobie nawzajem słuszności w najoczywistszych sprawach. I co tu mówić o polityce niepodległościowej! Polityka niepodległościowa zaczyna się tam, gdzie kończą się ideologie i orientacje i widnieje tylko twardy grunt bezspornej racji narodowej. Na tym gruncie spotykali się Dmowski i Piłsudski w czasach minionej epoki. Tego gruntu nie wyczuwają dziś nasi politycy.

Rapacki identyfikuje polską rację stanu z interesami międzynarodowego komunizmu w wykładni rosyjskiej, większość polityków emigracyjnych identyfikuje polską rację stanu z interesami międzynarodowego antykomunizmu w wykładni amerykańskiej.

W ramach obozu zachodniego jest miejsce na polską politykę niepodległościową, ale prowadzić ją mogą tylko niezależne ośrodki. Na emigracji rośnie z każdym dniem obóz ,,pozytywistów'', którzy znużeni jałowością dotychczasowej polskiej polityki, skłaniają się coraz bardziej do bezkompromisowej współpracy z Krajem. Stosunek do Kraju decyduje dziś o linii podziału na emigracji. Stosując pewne uproszczenie można powiedzieć, że aktywne siły na emigracji — albo coraz bardziej umacniają swoje pozycje w kraju osiedlenia i odchodzą od praktykowanej polskości — albo decydują się na emigracyjny ,,powrót'' to znaczy normalizują swój stosunek do PRL. Zjawisko to występuje ze specjalną ostrością wśród młodych.

Politykę niepodległościową można by odbudować na emigracji tylko w oparciu o masy pozytywnie ustosunkowane do Kraju. Dziś, po rząd dusz wśród tego odłamu sięgają często ludzie bliscy kolaborantctwa, którzy idee niepodległościową identyfikują z wstecznictwem i reakcją. Groźni są zarówno bezkrytyczni kolaboranci, jak i reakcyjni epigoni. Polityka niepodległościowa winna być jak najdalsza od wszelkiej reakcji, winna zerwać z mitem ,,trwania i czekania'' i podejmować konkretne inicjatywy w konkretnych sytuacjach. W tej chwili powinno się podjąć ofensywę w sprawie pasa neutralnego, ponieważ Berlin

aktualnił problem Niemiec na szereg najbliższych miesięcy. O pasie neutralnym wydali obszerne studium Anglicy, nie Polacy. Plan Rapackiego dyskutowany jest na łamach prasy brytyjskiej, nie na łamach prasy emigracyjnej. W tak bezspornej sprawie jak skarbów Wawelskich — dygnitarze monopolizujący tytuły niepodległościowe milczą i czekają.

Istnieją możliwości wielu konkretnych posunięć i inicjatyw, które gdyby zostały podjęte przyniosłyby nie tylko korzyść Krajowi ale skupiłyby również na sobie uwagę emigracji. W ten sposób zdrowe i naturalne tendencje współdziałania z Krajem zostałyby ujęte w współcześnie pojmowaną politykę niepodległościową.

Obecnie, zarówno w Kraju jak i na emigracji, tzw. obóz niepodległościowy uważany jest za reakcyjny, muzealny rezerwat II RP. Szanującemu się intelektualiście, który dba o polor postępowości, nie wypada mówić o polityce niepodległościowej, tym mniej o niej pisać — bo sam dźwięk tych słów budzi reakcyjne skojarzenia. W ten sposób polityka niepodległościowa stała się monopolem białego odłamu emigracji, co niezmiernie ułatwia robotę wszystkim jej przeciwnikom. Przełamanie tego monopolu i odreakcyjnienie polityki niepodległościowej jest pierwszym warunkiem jej odrodzenia. Obóz niepodległościowy utracił wszelką inicjatywę i nie ma żadnego wpływu na stosunek mas emigracyjnych do Kraju. Owe stosunki, które winny być ujęte w ramy nowoczesnej polityki niepodległościowej, znalazły się poza nią. Na to by mieć politykę niepodległościową trzeba mieć wpierw szczegółowo i konkretnie wypracowaną politykę na Kraj — to znaczy trzeba wiedzieć gdzie kończy się narzucona, a gdzie zaczyna autentyczna polska rewolucja.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

KOMICZNE POPISY PROFESORA SCHAFFA

Profesor Schaff — jeden z czołowych polskich marksistów, teoretyk, ideolog i publicysta w jednej osobie — wygłosił na XII Plenum (15 do 18 października ubiegłego roku) obszerny referat. Leży przede mną tekst tego przemówienia.

Studiowanie referatów wygłaszanych na plenum KC jest zajęciem na ogół dość ponurym. Chwalebnym wyjątkiem od tej reguły było wspom-

niane powyżej przemówienie prof. Schaffa, które zawiera fragmenty racze komiczne.

Posłuchajmy takiej oto perełki rodzimego humoru:

„Tow. Wiesław zacytował ustęp z artykułu angielskiego bur żuazyjnego publicysty, który wyraźnie mówi o roli rewizjonizm w tak zwanej zimnej wojnie. O tym mówi nie tylko ten publicyst angielski. To trąbi na cały głos nasze środowisko emigracyjne Wystarczy przeczytać „Kulturę" paryską mniej więcej od jesien 1957 roku, żeby zobaczyć jak zmieniła się taktyka polityczna określo nych środowisk. Eksponentem tego środowiska jest p. Mieroszewsk który jest znanym publicystą, ale jest jednocześnie znanym działa czem NiDu. Nie od rzeczy będzie powiedzieć, że to co zostało wyeksponowane w postaci artykułów publicystycznych na łamac „Kultury", jest tylko odzwierciedleniem uchwał organizacji „Nie podległość i Demokracja" uchwał, które z siłą i całą wyrazistości mówią o rzeczy następującej: stawka w Polsce winna być na rew zjonistów. Pan Mieroszewski jest wykładnikiem tego stanowisk nawołując głośno: szukajmy w Polsce Dżilasów! Mieroszewsk twierdzi, że mamy w Polsce lepszych Dżilasów aniżeli sam Dżil i na nich należy stawiać, że to jest jedyna siła, która może w Polsce doprowadzić do obalenia istniejącego reżimu. Możemy sobie powi dzieć: w pełni zgadzam się z oceną tego zjawiska przez tow. Wi sława, że ci burżuazyjni publicyści oczywiście przeliczają się swojej stawce na rewizjonizm w ogóle, a w szczególności na rew zjonizm u nas w kraju. Możemy powiedzieć, że to świadczy o gł bokiej nieznajomości, o niezrozumieniu sytuacji u nas w kraju i n tylko u nas w kraju. Możemy stwierdzić, że napawa otuchą fak że zwalczający nas działacze polityczni niemałej klasy widzą jedyn element na którym mogą się oprzeć dzisiaj w Polsce — w rew zjonistach".

Gdy przeczytałem ów fragment surrealistycznej prozy najpierw ogarn mnie śmiech pusty a potem litość i trwoga.

Na miłość boską — „Kultura" jest skromniutkim miesięcznikiem - ale jak ktoś kichnie w KC my wiemy to tego samego dnia. Prof. Scha jeszcze nie starł potu z czoła po swoim przemówieniu a „Kultura" mie już tekst jego referatu. A ci panowie w Warszawie nie wiedzą nic.

Jak można na Plenum KC, które jest poważnym zgromadzenie popisywać się taką ignorancją? Schaff twierdzi, że jestem „znanym dzi łaczem NiDu". Komu znanym? Na pewno nie władzom NiDu — poniew nie jestem i nigdy nie byłem członkiem NiDu. Ale nie chodzi tu o mo nic nie znaczącą osobę, tylko o „Kulturę". Na łamach naszego miesięczni ukazał się cały szereg krytycznych ocen polityki NiDu. Nigdy nie byliśm związani z tą organizacją i jest to rzecz powszechnie znana i wiadom Moje artykuły nie mają absolutnie nic wspólnego z uchwałami NiDu i o zwierciadlają wyłącznie i jedynie poglądy zespołu redakcyjnego „Kultury

To są wszystko powszechnie znane fakty, o których można się dow dzieć w każdej polskiej kawiarni, w Paryżu czy w Londynie.

Jednego dnia czytamy w „Polityce", że „Kultura" jest związa z Kongresem Wolności Kultury; drugiego dnia prof. Schaff występuje

Plenum KC z twierdzeniem, że jesteśmy organem NiDu. W sumie trudno oprzeć się refleksji, że czynniki partyjne o emigracji, jej instytucjach i organach prasowych nie wiedzą dosłownie nic.

Gdyby prof. Schaff zamiast autorytatywnym tonem wygłaszać głupstwa o „Kulturze" — zwrócił się do attaché prasowego ambasady PRL w Londynie — miałby na drugi dzień potrzebne mu informacje i nie mieszałby Mieroszewskiego z N.Dem — ku niezadowoleniu tak NiDu jak i niżej podpisanego.

Jeżeli w problemie polskich Dżilasów, które to zagadnienie tak gnębi prof. Schaffa, czynniki partyjne dysponują równie rzeczowymi informacjami i wykazują równie wiele bystrości — nasi Dżilasowie mogą spokojnie oczekiwać jaśniejszego dnia. I to jest jedyny korzystny moment w tej całej sprawie.

W ZADUMIE NAD „GRATAREM"

W Bukareszcie koło głównej poczty była w owych czasach robotnicza jadłodajnia. Nie było ani karty potraw, ani karty win i każdemu klientowi podawano jak rok długi identycznie to samo. Z chwilą gdy zajęło się miejsce na jednej z długich ław zjawiał się kelner i stawiał na stole półlitrową karafkę różowego vin Dragasani i ćwierć bochenka razowego chleba. Po chwili drugi kelner przynosił „gratar" rozmiarów sporej książki. „Gratar" to jest befsztyk pieczony na kracie stojącej nad paleniskiem. Befsztyk gruby na dwa palce — miękki, soczysty, aromatyczny. „Gratar" podawano nie na talerzach lecz na dębowych deseczkach. Czy można sobie wyobrazić bardziej idealny posiłek? Kawał mięsa upieczony na wolnym ogniu — pół litra szczerego wina i razowy chleb! I to wszystko kosztowało grosze — śmieszne grosze.

W jadłodajni, którą czule wspominam — codziennie w południe pełno było robotników, listonoszy, biedoty urzędniczej i polskich uchodźców.

Owe przepyszne, niespotykane i utracone „gratary" — przywiódł mi na pamięć Kisiel, który w „Tygodniku Powszechnym" ogłosił kilka korespondencji z dzisiejszej Rumunii. Kisiel-mędrzec uważa również, że.... mamy wiele do nauczenia się od Rumunów.

Oficjalna agencja chińska podała onegdaj światu do wiadomości, że 3.200.000 członków wspólnot komunistycznych w prowincji Kweiczau otrzymuje bezpłatnie trzy razy dziennie pożywienie w 1.806 stołówkach. Oczywiście owa „bezpłatność" dotyczy tylko tych, którzy pracują na ten wikt i opierunek cały tydzień. Jeżeli jednak przyjąć, że wielu spośród trzymilionowej rzeszy chłopów-robotników w prowincji Kweiczau cierpiało okresami głód — instytucję zapewniającą regularne posiłki uznać można za postęp. Ale przedwojenna Rumunia była krajem mlekiem, miodem i winem płynącym. Kisiel pisze, że po Bukareszcie błąka się kilka pogruchotanych taksówek, które winny zająć miejsce w muzeum komunikacyjnych osobliwości. Obok nich... riksze!

W 1939 roku na Calea Victorii w Bukareszcie w godzinach wieczornych trudno się było prześlizgnąć na drugą stronę ulicy poprzez powódź

najwytworniejszych, luksusowych samochodów. Bukareszt to był dosłownie mały Paryż.

Owego pierwszego wojennego roku pracowałem w attachacie wojskowym RP i jeździłem po całej Rumunii odwiedzając polskie obozy wojskowe. Wygłaszałem odczyty i pogadanki do żołnierzy, krzepiąc ducha w narodzie za jedne 15 tysięcy lei miesięcznie. Nie było to wiele, ale na „gratar" i podwójną porcję wina wystarczało znakomicie. Po dziesięciu miesiącach „gratarowej" diety moja postawa duchowa i fizyczna uległa tak wydatnej poprawie, że władze wojskowe uznały, iż zamiast innych namawiać do wojska — najwyższy czas, bym sam zasilił szeregi armii polskiej na Środkowym Wschodzie. I tak się też stało. Ale przez ów rok uchodźczego obijactwa poznałem Rumunię dość dokładnie. Widziałem pałace naftowych geszefciarzy w Ploesti i widziałem na rynku w Pitesti chłopa zarzynającego kozikiem szamocącego się psa (dla psiego sadła). Rumunia była krajem fenomenalnych kontrastów. W Bukareszcie mieszkałem przy Strada Wilson 15 — na jedenastym piętrze. Zachód — niemal Manhattan. Ale wystarczyło wsiąść o pierwszej po południu w pociąg pospieszny idący do Konstancy, by wieczorem wylądować na Wschodzie, wśród drzew migdałowych, meczetów i aksamitnej morki Czarnego Morza.

Wyzysk, korupcja, faszyzm, „żelazna gwardia" — wszystko to prawda, ale żywności było w bród. Trudno sobie wyobrazić Bukareszt bez luksusowych sklepów — bez słynnych magazynów syndykatów rolniczych gdzie półki uginały się pod tonami najlepszych w świecie wędlin, mięs, ryb, serów, konserw i pieczywa.

Anglicy powiadają, że „proof of the pudding is in the eating". Simone Weil powiada, że każdy ustrój jest zły. Chruszczow powiada, że obywatele Związku Sowieckiego korzystać będą z najwyższej na świecie stopy życiowej w roku 1965. Tymczasem dziś „w 41-szym roku po rewolucji, każdej soboty w wielkich uniwermagach moskiewskich spotyka się ludzi, którzy przyjechali na „shopping" z miejscowości odległych 400 do 500 kilometrów.

Stopa życiowa to nie tylko produkcja — stopa życiowa to przede wszystkim komfort. A komfort to jest sprawne rozprowadzenie towarów czyli dystrybucja. To jest problem, którego żadne państwo komunistyczne nie zdołało dotychczas pozytywnie rozwiązać.

Można upaństwowić całą produkcję. W Anglii również niemal 50 procent produkcji przemysłowej znacjonalizowano. To jest fakt, który wprowadza zawsze w zdumienie przeciętnego przybysza z Polski — ponieważ ludziom zza „żelaznej kurtyny" komfort i dobrobyt kojarzy się automatycznie z kapitalizmem i prywatną „free enterprise".

Osobiście nie wierzę by w organizowaniu rozprowadzenia towarów możliwe było zastąpienie inicjatywy prywatnej (obliczonej na zysk) biurokratycznym aparatem państwowym. Można zlikwidować kapitalistów — upaństwowić całą produkcję — ale jeżeli celem jest wysoka stopa życiowa i komfort — prywatny sklepik jest nieuchronny. Motyw zysku może być ujęty w karby przepisów i ograniczeń — niemniej bez prywatnego sklepikarza o komforcie nie ma co marzyć.

Pan Iks po tygodniu pracy jedzie całą noc do Moskwy, by zaopatrzyć się w konieczne towary. Sklepikarz podwiózłby mu te towary pod pró

domu. Sklepikarza zlikwidowano, bo komuniści reprezentują pogląd, że zysk płynący z handlu jest moralnie nieusprawiedliwiony. Sklepikarz niczego nie produkuje i jest symbolem burżuazji oraz wszystkiego co termin ten reprezentuje.

Pan Iks tłucze się w przepełnionym pociągu całą noc do Moskwy, bo ustrój sowiecki zakłada, że biurokrata z motywów społecznych i moralnych będzie działał dla dobra swego bliźniego równie sprężyście jak w pośledniejszych ustrojach sklepikarz powodowany impulsem zysku. Jak powszechnie i nieomylnie wiadomo, biurokraci nie dorośli do swego zadania. I dzięki temu jakże często trafia się, że w chłodniach „gratarów" nadmiar, a w sklepach rzeźniczych brak.

Czy kiedyś biurokraci dorosną do poziomu? Myślę, że nigdy. Wychodząc z analogicznych utopijnych założeń można by skasować policję, bo w ustroju socjalistycznym nikt nie powinien kraść. Ale w tej całej sprawie jest tylko jedno dziwne zagadnienie. Dlaczego ludzie ubodzy muszą latami i pokoleniami cierpieć tylko z tej racji, że biurokraci nie dorastają do ideologicznego i administracyjnego poziomu. Nieżyciowa doktryna w praktyce jest groźniejszym krzywdzicielem i wyzyskiwaczem ludzi biednych niż legion sklepikarzy. Doktrynerzy mieszkają w Moskwie, korzystają z licznych przywilejów i krzywda im się nie dzieje. To tylko biedni ludzie wędrują nocnymi pociągami, stoją w ogonkach przed „szklannymi domami" upaństwowionego handlu i tłoczą się w absurdalnie ciasnych mieszkaniach. Dla biednego człowieka jest obojętne czy jego poniewierka i niska stopa życiowa są konsekwencją motywu nieludzkiego zysku czy motywem nieludzkiej doktryny.

STUDIA NAD „ODERWANIEM SIĘ" OD ROSJI

Co trzeba było zrobić? Trzeba było sprzedać na pniu zbrojenie Niemiec wzamian za zjednoczenie i neutralizację w roku 1952. Skłonny jestem przypuszczać, że mocarstwa zachodnie popełniły wielki błąd — a kto wie czy nie przeoczyły nawet historycznej okazji.

Do tej pory obowiązywała doktryna Dullesa, która akceptuje kryzys jako trwałe prowizorium. Oferta Chruszczowa z sześciomiesięcznym terminem ważności — zmierza do zmiany „status quo". Chruszczowowi chodzi w tym momencie nie tyle o połączenie obu niemieckich republik ile o połączenie Berlina z Wschodnimi Niemcami. Otwarłoby to nowe perspektywy przed p. Ulbrichtem — niewątpliwie jednym z najmniej utalentowanych przywódców w obozie państw socjalistycznych. P. Ulbricht jest tylko największym w świecie... producentem emigrantów i uchodźców politycznych.

Ale analiza problemu berlińskiego przekracza zakres niniejszej notatki. Chciałbym natomiast powiedzieć kilka słów o interesującej pracy pt. „Disengagement in Europe", która ukazała się w serii Penguin'a. W książce tej Michael Howard, profesor „Studiów Wojennych" na King's College w Londynie, zdaje sprawę z badań podjętych przez grupę specja-

listów nad zagadnieniem ,,disengagement'' w Europie środkowo-wschodniej. W skład grupy specjalistów wchodzili między innymi generał, były minister wojny, marszałek lotnictwa oraz dwóch komentatorów wojskowych. Jednym z nich był polski komentator wojskowy p. Eugeniusz Hinterhof

Na marginesie tej książki warto może zanotować fakt stałego i konsekwentnego upolityczniania a tym samym i ucywilniania się wiedzy wojennej. Przepowiednie tych, którzy zapowiadali rosnącą władzę sztabów dysponujących broniami atomowymi nie znalazły potwierdzenia w faktach. Bronie nuklearne są (jak dotąd) instrumentem ,,odstraszania'' i wskutek tego pełnią główną rolę w arsenale środków dyplomatyczno-politycznych a nie wojskowych. Jeżeli już pierwsza wojna światowa była sprawą tak poważną, że nie było możliwe powierzyć jej generałom — to cóż powiedzieć o powadze ewentualnej trzeciej wojny światowej. Poza tym ryzykuję pogląd, że sztuka strategiczna w ścisłym tego słowa znaczeniu — od Hiroszimy dewaluuje się z każdym miesiącem. Kto wie czy druga wojna światowa nie była ostatnią wojną wielkich strategów i dowódców. Cóż pomoże osobisty talent, intuicja i wiedza tam, gdzie o wszystkim decyduje rozmiar potencjału atomowego. Jeden ze specjalistów wojskowych ,,The Observer'' porównał sytuację atomową Anglii vis-à-vis Rosji i Ameryki z sytuacją małego aptekarza, który chciałby konkurować z wielkim koncernem chemicznym.

Kapitalną wadą strategii ,,odstraszenia'' jest fakt, że w opinii rzeczoznawców strategia powyższa sprowadza się w praktyce do odpowiedzi na pytanie ,,kiedy należy popełnić samobójstwo?'' Zarówno laicy jak i uczeni w piśmie odpowiadają zgodnie i ochoczo: ,,nigdy''.

Grupa specjalistów, których opinie relacjonuje Howard wypowiedziała się przeciw wszelkim formom ,,disengagement'' czy neutralizacji w Europie środkowej z przyczyn następujących: Jeżeli Rosjanie podejmą ofensywę czysto konwencjonalnymi siłami — czytamy na stronie 59 — mając na oku cele ograniczone i lokalne w Europie środkowej — wówczas brak jakichkolwiek sił sojuszniczych na tym terenie mógłby spowodować tragiczne konsekwencje. Podjęcie w takiej sytuacji decyzji odwetu atomowego byłoby sprawą koszmarną i powolną... Nim powzięto by decyzję agresorzy sowieccy osiągnęliby swoje cele ogłaszając urbi et orbi, że nie mają żadnych dalszych ambicji terytorialnych. Wówczas Zachód musiałby ryzykować samobójstwo jeżeli chciałby wyrzucić Rosjan z zajętych pozycji.

Łatwo się nam domyśleć, że samobójstwa by nie popełniono, a Rosjanie myśleliby nie bez racji, że *beatus qui tenet.*

W tej całej sprawie trudno jest pojąć dlaczego ,,status quo'' ma zapewniać rzekomo większe bezpieczeństwo i stabilizację niż pas neutralny czy jakaś forma stopniowego *disengagement.* ,,Status quo'' nie zawsze jest najlepszym wyjściem z sytuacji. Jeżeli ktoś cierpi na ropne zapalenie ślepej kiszki i upiera się przy ,status quo'' odmawiając zgody na operację — zmierza świadomie ku katastrofie. Można przyjąć za pewnik, że pięćdziesięciu a może sześćdziesięciu procent wojen notowanych przez historię można było uniknąć, gdyby odnośne ,,status'y quo'' powiodło się było zmienić na drodze pokojowej.

Rzut oka na mapę Europy musi każdego upewnić, że na dłuższą metę podział Niemiec i podział Berlina jest nie do utrzymania. I jeżeli ma być zachowany pokój, obecny status musi ulec zmianie.

Na tle sytuacji berlińskiej specjalnego wyrazu nabiera wiadomość o chorobie min. Dullesa. Sędziwy amerykański mąż stanu ma ponad 70 lat. Życzymy mu jak najszybszego powrotu do zdrowia — niemniej trudno opędzić się refleksji, że problem Berlina i Europy środkowo-wschodniej przerasta siły zarówno min. Dullesa jak prezydenta Eisenhowera i kanclerza Adenauera. Nie ci panowie położą swe podpisy pod nowy status Niemiec i Europy środkowo-wschodniej.

Z DZIADA PRADZIADA....

Tak się składa, że pochodzę z szlacheckiej rodziny. Ani to moja zasługa ani wina. Nie ma się czym chwalić, ale i nie ma się czego zapierać. Miło mi w świeżo wydanych ,,Studiach i Materiałach Komitetu Historii i Nauki PAN'' czytać o Janie Krzysztofie Mieroszewskim, który był ,,żołnierzem, poetą, uczonym inżynierem, architektem, geometrą, matematykiem i sekretarzem aż czterech kolejnych królów polskich: Władysława IV, Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego''. J.K. Mieroszewski pozostawił po sobie bogatą bibliotekę a w niej szereg dzieł przez siebie napisanych o dużej wartości naukowej. Zbiór ten zapisał Bibliotece Jagiellońskiej. Część tydh materiałów uległa zniszczeniu w czasie pożaru w połowie ubiegłego stulecia — część jednak przetrwała do dziś i przechowywana jest w zbiorach biblioteki.

Jan Krzysztof był dziedzicem na Mysłowicach, Bogucicach — do których należały wówczas Katowice, Szopienicach, Brzęczkowicach i Rodzieńskiej Kuźnicy.

Mimo, że w Polsce ludzi szlacheckiego pochodzenia są dosłownie miliony — tego rodzaju ,,zaplecze'' jak moje jest oczywiście fatalne. W okresie Bierutowej ofensywy na emigrację Jan Szeląg wielokrotnie wypominał mi moich przodków obarczając mnie odpowiedzialnością za rzekomą sprzedaż Mysłowic Niemcom. Wydawałoby się, że odpowiedzialność zbiorowa, wynaleziona przez hitlerowców, jest dostatecznie absurdalna. Ale towarzysze z ówczesnej radiostacji ,,Kraj'' byli innego zdania i uważali, że odpowiedzialność osobistą rozciągnąć należy na czyny popełnione trzysta lat temu. (Nota bene wówczas kiedy w Mysłowicach rezydował J.K. Mieroszewski — Śląsk już od trzech wieków oddzielony był od Polski — ale takie detale historyczne nie interesowały moich polemistów).

Obecnie wszystko się odmieniło dokumentnie. Moi krajowi koledzy po piórze już mi nie wypominają przodków i mysłowickiej ordynacji. Na stare lata zostałem nuworiszem. Gdy wybuchła polemika w związku z artykułem o rewizjonistach — dosłownie każdy z moich krajowych adwersarzy protestował z dziką pasją: ,,jakto, — Mieroszewski socjalistą? Od kiedy to panie, od kiedy?'' Nawet Kisiel dołączył do tego chóru. Cóż to za socjalista bez indygenatu — bez członkowstwa KPP — bez ostróg z Armii Ludowej. To samozwaniec bez drzewa genealogicznego — prze-

milczany przez wszystkie czerwone herbarze — *homo novus,* przypisujący sobie klasowe legitymacje.

W ubiegłym roku, w jesieni, spotkałem w Londynie młodego partyjnego, dobrze usytuowanego dziennikarza. W piętnastominutowej rozmowie młodzian trzykrotnie zaznaczył, że pochodzi z klasy robotniczej i że jego ojciec był członkiem KPP. Mówił to takim tonem jak przedwojenny ziemiański bubas deklamował o swojej prababce z domu Puzyniance.

Kapitalny jest ten polski urzędniczy socjalizm z feudalnymi niemal snobizmami, z kastowością i podziałem na tych ,,lepszych" i na tych ,,gorszych". Gdy za Franciszka Józefa kupił ktoś tytuł barona ci ,,lepsi" podśmiechiwali się z tego, ale ci ,,gorsi" łączyli umiejętnie snobizm z korzyściami kariery. Wydaje się, że czerwonych baronów jest dziś w Polsce znacznie więcej niż ongiś baronów austriackich.

Jeżeli chodzi o ,,Kulturę", nieporozumienie polega na tym, że nikt z nas nigdy nie był i nie jest socjalistą. Podkreślałem to wielokrotnie. Większość z nas wyznaje bezinteresownie poglądy lewicowe, ale w końcu jakież inne poglądy mają mieć inteligentni ludzie.

LONDYŃCZYK

Kraj

Notatnik polityczny (2)

Gdyby obecną sytuację gospodarczą Polski ocenić na podstawie przekroju opinii mieszkańców, trzeba by dojść do smutnych wniosków. Mało jest ludzi, którzy by nie uważali, że przed wojną żyło się lepiej. Na tego typu impresjonistycznej ocenie stanu rzeczy opiera się pogląd, jaki wyrobili sobie o kraju nasi rodacy za granicą : bieda z nędzą.

Tymczasem statystyki, do których dziś już można mieć w Polsce jakie takie zaufanie, mówią o niedwuznacznej poprawie materialnych warunków życia. Weźmy pierwsze z brzegu liczby : w 1938 roku mieszkaniec Polski zużywał około 10 metrów tkanin bawełnianych, dziś — ponad 18 metrów. Tkanin wełnianych przypadało na tzw. ,,głowę ludności'' — 1 metr, dziś — blisko 3 metry. Wprawdzie wełna wełnie nie równa, ale zawsze jest się w co przyodziać. Podobny wzrost wykazuje też spożycie innych artykułów przemysłowych i rolnych. Mięsa np. zjada się teraz 40 kilogramów rocznie, tzn. dwa razy więcej niż przed wojną. A ile ludzie palą ! Ponad 1500 papierosów rocznie na mieszkańca wobec przedwojennych 700. Może ludziska tyle palą, bo są bardziej nerwowi niż dawniej, ale to już inna sprawa. Grunt, że jest co palić. O ile gorzej byłoby gdyby nie można było odurzyć się od czasu do czasu dymkiem ,,Giewonta'', albo gdyby nie było czym zalać robaka. Z tym ostatnim, jak wiadomo, wcale nie najgorzej w Ludowej Polsce : spożycie wódek (i to w przeliczeniu na czysty alkohol !) wzrosło z mizernych, przedwojennych 9-ciu ,,setek'' do imponującej liczby 2,4 litra. Wiadomo : jak jest więcej zagrychy, to się i częściej zapija. Znajomość obiektywnych praw rozwoju społeczno-gospodarczego prowadzi prostą drogą do tego wniosku.

Porzućmy jednak ten żartobliwy ton. O ważnych rzeczach trzeba mówić poważnie, a cóż może mieć większe znaczenie dla społeczeństwa, którego aspiracje polityczne skrępowano żelazną racją stanu, od spraw doczesnego bytowania ? Więc poważ-

nie zupełnie: Przeciętne wskaźniki charakteryzujące stopę życiową są w dzisiejszej Polsce znacznie wyższe, aniżeli przed wojną. Ludzie, którzy tego nie widzą, są ekonomicznymi ślepcami.

Skąd zatem płynie powszechne niezadowolenie z warunków życiowych? Jak wytłumaczyć to, że na wszelką wzmiankę o wzroście poziomu życiowego odpowiada się dziś w Polsce na ogół wymownym machnięciem ręki.

◆

Problem jest na miarę traktatu. Przy jego rozwiązaniu znalazłaby wielomiesięcznie zatrudnienie spora grupka ekonomistów, socjologów i psychologów społecznych. Może nawet ktoś kiedyś wstawi do budżetu PAN odpowiednią sumę na ten cel; rzecz przecież warta zachodu z każdego punktu widzenia. Pewne uogólnienia można jednak chyba zaryzykować nie czekając na wyniki prac dociekliwych ludzi nauki. Niektóre rzeczy są bowiem prawie oczywiste.

Po pierwsze, potrzeby rosną dziś znacznie szybciej niż środki ich zaspokojenia. Fakt ten znany jest dobrze specjalistom od tzw. krajów zacofanych, do których w pewnym sensie zalicza się jeszcze Polska. Mamy do czynienia z nową wersją prawa Malthusa: potrzeby rosną w stosunku geometrycznym, a środki ich zaspakajania w stosunku arytmetycznym. Wpływają na taki rozwój sytuacji przede wszystkim umasowienia kultury: kino, radio, gazety i książki. Człowiek, który zapoznał się w jakiś sposób z wygodami jakie daje łazienka, zaczyna odczuwać potrzebę jej posiadania, chociażby w celach przechowywania ryby na święta (jaka to wygoda, kiedy można kupić świątecznego szczupaka zanim zacznie się tłok w sklepach. Kto nie mieszkał w Polsce, nigdy tego nie zrozumie!). Mięso, jadane częściej aniżeli na Wielkanoc i Boże Narodzenie, staje się z czasem składnikiem normalnej diety. Nawet do papieru higienicznego można się przyzwyczaić i narzekać na chroniczny niedobór tego artykułu, a przecież niedawno jeszcze... Co tu dużo gadać, nie darmo ludowa mądrość orzekła, że czym człowiek bogatszy, tym bardziej chciwy.

W Polsce wyścig pomiędzy wzrostem potrzeb, a środkami ich zaspakajania odbywał się w warunkach szczególnie sprzyjających zaostrzaniu się poczucia niedosytu. Demagogiczne hasła i obietnice, którymi tak chętnie szermowali komuniści, mimo że traktowane z niedowierzaniem i brakiem zaufania, pozostawiły jakiś ślad w ludzkiej świadomości. Społeczeństwo zawsze podchwytuje te wątki, które są po jego myśli.

To byłby wpływ czynników psychologiczno-socjologicznych, ale jest jeszcze druga sprawa, którą należy wziąć pod uwagę analizując odbicie sytuacji gospodarczej kraju w świadomości jego obywateli. Chodzi o strukturę procesu wzrostu stopy życio-

wej, o to, w jaki sposób rosło spożycie, kto z tego wzrostu skorzystał i w jakich okolicznościach.

Na wzrost średni spożycia, o którym była mowa na początku, złożyły się głównie dwa czynniki : poprawa w położeniu materialnym chłopów oraz przesunięcie ludności z rolnictwa do zawodów miejskich. Jest faktem niezaprzeczalnym, że chłopi stanowią grupę społeczno-zawodową, której sytuacja materialna uległa poprawie w porównaniu z okresem przedwojennym. Ludność miejska, robotnicy i pracownicy umysłowi, żyją obecnie gorzej niż przed dwudziestu laty.

Chłop polski nie dzieli dzisiaj zapałek na czworo, bo i po co. Za jedno jajko może ich kupić 15 pudełek. Głodowa podaż produktów rolnych została już zresztą częściowo zredukowana w czasie wojny. W tym okresie popłynęły na wieś towary przemysłowe, zarówno z niemieckich magazynów, w postaci premii za dostawy, jak też z pustoszejących mieszkań ludności miejskiej. Jednocześnie korzystny układ cen i niepewność fizycznego przetrwania dodawały bodźca wzmożonej konsumpcji żywności na wsi. Tak więc, choć brzmi to paradoksalnie, awans konsumpcyjny chłopstwa rozpoczął się — przynajmniej na terenie tzw. G.G. — w czasie najgorszej klęski narodowej.

Po wojnie, stosunkowo wysoki poziom spożycia na wsi utrzymał się. Był on jednakże okupiony upadkiem gospodarczym wsi. Skoro nie można było, tak czy owak, kupić cementu, cegły ani drewna — warto było przynajmniej zjeść do syta i chodzić w jakich takich butach. Tak więc jedyna większa grupa ludności, która zyskała w porównaniu z okresem przedwojennym pod względem stopy życiowej, okupowała to powolną ruiną podstaw swej egzystencji. Nie było więc specjalnych powodów do radości : sponad talerza suto okraszonej zupy chłop spoglądał przez okno na walącą się stodołę.

Kolej na drugi składnik wzrostu średniej spożycia : napływ ludności rolniczej do przemysłu. Skalę tego zjawiska ocenia się na wieleset tysięcy osób, ale dokładnej liczby nikt nie jest w stanie podać, pomimo milionów sprawozdań i dziesiątków tysięcy urzędników, pracujących w działach sprawozdawczości i statystyki najrozmaitszych instytucji. W każdym razie ludzi, którzy wywędrowali ze wsi (w sensie ekonomicznym, bo jeśli chodzi o miejsce zamieszkania była to często ta sama chałupa : w mieście brakowało mieszkań), było w okresie powojennym bardzo wiele.

Przejście z rolnictwa do zawodów miejskich wiązało się w większości przypadków z podniesieniem poziomu spożycia, gdyż miasto żyje w Polsce ciągle jeszcze lepiej aniżeli wieś. Chłop z podkrakowskich okolic przystępując do pracy w Nowej Hucie podnosił automatycznie swoje spożycie do poziomu miejsko-przemysłowego, a przez to wpływał na wzrost średniej ogólnokrajowej. Ale już po krótkim okresie adaptacji do zmienionych warunków mierzył on rzeczy nową miarą, właściwą dla swej nowej pozycji społeczno-ekonomicznej : nie porównywał swych

zarobków w przemyśle z niedawnym życiem na wsi. Wzorcem stawał się dla niego poziom życiowy jego nowej grupy zawodowej. Tokarz Kraśnickiej Fabryki Łożysk Kulkowych widział swą płacę na tle wynagrodzenia przedwojennego tokarza, o którym wiele się nasłuchał od swych starszych kolegów, wspominających dobre, dawne czasy. Rzecz jasna, że takie porównania wypadały na niekorzyść teraźniejszości.

,,Panie, ile to można było przed wojną kupić za tygodniówkę, a dziś co'' — narzekał niedawno młody mechanik z elbląskiej Fabryki Maszyn. Ten sam chłopak przed kilkoma zaledwie laty wegetował na ojcowskich trzech hektarach, gdzieś w Suwalszczyźnie. Do miasta pociągnęła go przede wszystkim perspektywa przygody: kino, koledzy, dziewczęta. Zaaklimatyzował się dość szybko, ma dwoje dzieci i ledwo wiąże koniec z końcem. ,,A przecież w mieście trzeba żyć po miejsku'' — konkludował swe poglądy, zmuszony w dalszej rozmowie do obrony swego prawa do niezadowolenia — wyżej wspomniany obywatel miasta Elbląga. Jego postawa była prawdopodobnie dość typowa, a przy tym psychologicznie uzasadniona. Tłumaczy ona źródła niezadowolenia wśród nowego proletariatu. Nie trzeba chyba wyjaśniać przyczyn niezadowolenia starych, przedwojennych robotników.

Doszliśmy zatem do następującego, interesującego wniosku: przeciętny poziom materialny życia w Polsce wzrósł po wojnie, pomimo, że ludność miejska żyła gorzej niż przed wojną, a ludność wiejska okupowała swój dobrobyt konsumpcją kapitału produkcyjnego.



,,Dobrze, ale o co ci właściwie idzie? Czy chcesz dowieść, że jest dobrze? Jeżeli jest tak dobrze, jak mówisz, to dlaczego jest tak źle, jak jest? A może nawet wierzysz w owe słynne mincowskie 26% wzrostu płac realnych w okresie bierutowej sześciolatki?'' — lawina wykrzykników posypała się na piszącego te słowa kiedy przedstawił swe poglądy na sytuację gospodarczą Polski w gronie swych kawiarnianych znajomych. (Jest w Warszawie kilka uroczych zakątków, gdzie można dyskutować prawie o wszystkim, chwała za to ministrowi Radkiewiczowi, który dzielnie nas reprezentuje na Korei).

,,Człowieku, co ty wygadujesz, popatrz jak żyją ludzie. Przecież to już prawie 14 lat po wojnie! Porównaj z Niemcami Zachodnimi, które też były zniszczone: wszystko odbudowane, kwitnie, stopa życiowa wyższa niż kiedykolwiek w historii, a tu co? Beznadziejnie! I kto winien jeśli nie komuniści. Oni zmarnowali skarby inicjatywy gospodarczej. Przypomnij sobie jak wyglądały Ziemie Zachodnie przed zgnieceniem inicjatywy prywatnej, a jak dzisiaj: wszystko się wali. Na każdy zbudowany dom przypada pięć zrujnowanych przez niedbalstwo. A pomyś

o tym co się działo przez tyle lat na wsi. Dla abstrakcji terroryzowano miliony ciężko pracujących ludzi, a ileż wpakowano miliardów złotych w błoto kolektywizacji : wszystkie te POM'y i GOM'y na diabła się zdały. A dzisiaj, czy co innego się robi? Zastanów się ile pieniędzy pochłaniają te nieudolne PGR'y, które należałoby już dawno rozdać chłopom. O ile wzrosłaby produkcja rolna gdyby ktoś wreszcie zaopiekował się w uczciwy sposób tą zaniedbaną ziemią. Ale *ich* to nic nie obchodzi. W głowie im tylko to, co Lenin powiedział trzydzieści kilka lat temu o roli sowchozów w umacnianiu socjalizmu...".

Na litość Boską, przyjaciele, nie mówmy wszyscy na raz. Trzymajmy się jakiegoś porządku i nazywajmy rzeczy po imieniu. Jeśli pytanie brzmi : Czy sytuacja gospodarcza w kraju zmieniła się korzystnie w porównaniu z okresem przedwojennym — odpowiedź jest jedna : tak. Niezależnie od tego co sobie ludzie o tym myślą, zwiększona ilość metrów i kilogramów, przypadających na brata-Polaka jest jakąś obiektywną miarą wzrostu narodowego dobrobytu.

Inna sprawa czy obecny stan rzeczy w Polsce można uznać za zadawalający. Czy można udzielić partii absolutorium z dotychczasowych działalności gospodarczych, a przede wszystkim czy wolno na niej polegać na przyszłość. To zupełnie odrębne pytanie.



Przywódcy partyjni lubią żonglować wskaźnikami. Kiedy zestawia się ze sobą liczby ilustrujące wzrost, wniosek jest jasny : wszystko to osiągnięto dzięki partii marksistowsko-leninowskiej. W ten sposób partia przypisuje sobie zasługi z tytułu faktów, będących ubocznym produktem historii Europy.

Po wojnie przesunięto w Polsce granice. Nawet dzieci szkolne wiedzą, że potencjał gospodarczy Ziem Zachodnich, jakie Polska objęła w posiadanie na mocy umów międzysojuszniczych, był zawsze bez porównania wyższy aniżeli tereny zagarnięte przez Sowiety. Wprawdzie duża część przemysłu Dolnego Śląska i Pomorza uległa zniszczeniu na skutek działań wojennych, a ile tego co zostało zdemontowała i wywiozła do Rosji sojusznicza armia sowiecka, ale nawet resztki, objęte w posiadanie przez administrację polską, były dość pokaźne. Przy pewnych nakładach inwestycyjnych można było w krótkim czasie uruchomić na Ziemiach Zachodnich potężny potencjał przemysłowy.

To samo dotyczy rolnictwa : gospodarstwa na Opolszczyźnie i Pomorzu stały na niebotycznym poziomie agrotechniki w porównaniu z archaicznymi formami uprawy, stosowanymi na Polesiu. Średnie plony większości upraw na ziemiach poniemieckich, objętych przez Polskę w 1945 r., były w okresie przedwojennym co najmniej o 70% wyższe aniżeli na terenach wschodnich. Podobnie miasta. Te na Zachodzie, chociaż silnie zniszczone (nie

szczędziła ich sowiecka artyleria i lotnictwo chociaż losy wojny były już przesądzone i można było, przy dobrej woli, zachować sojuszniczy dobytek), były na ogół znacznie lepiej zagospodarowane niż te na Wschodzie.

W sumie złożyły się wspomniane czynniki na duży wzrost potencjału gospodarczego państwa z samego tylko tytułu przesunięcia granic. W takim np. górnictwie węglowym Polska zyskała na nowych ziemiach urządzenia o wydajności około 40 milionów ton rocznie. Również w niektórych innych gałęziach przemysłu ciężar gatunkowy tych wojennych aktywów był bardzo znaczny. Niewątpliwie wszystko to przyczyniło się do powojennej poprawy wskaźników spożycia. Dlaczego partia przypisuje sobie zasługi za to co jest końcowym produktem bolesnego procesu dziejowego? Więcej skromności, panowie, nie zapisujcie wojennych trofeów na rachunek Komisji Planowania.

Nie należałoby też dyskontować dla celów propagandowych masowej eksterminacji obywateli Rzeczypospolitej Polskiej przez wszystkich naszych okupantów. Wskaźniki na jednego mieszkańca wzrosły o tyle, o ile zmalała liczba mieszkańców. Czyżby także przyrost „na głowę", który jest wynikiem tego faktu stanowił dowód wyższości gospodarki socjalistycznej?



Miałem pisać o tym co ludzie myślą w kraju o obecnej polityce gospodarczej partii. Nie wyszło. Jest to, jak z tego widać raczej notatnik chaotyczny niż polityczny. Może uda mi się to zrobić następnym razem. Tło już jest.

OBSERWATOR

Stopa życiowa w Polsce

„Stopa życiowa", „standard życiowy", „poziom życia" są to pojęcia niemal metafizyczne. Z grubsza każdy orientuje się, o co chodzi: o poczucie dobrobytu, o sumę zadowolenia, o stan szczęśliwości. Ale gdy z terminów ogólnych zejdziemy na teren praktyczny i spróbujemy omawiane zjawisko ująć i przedstawić ilościowo, czujemy się zgubieni. Jaką jednostką mierzyć zadowolenie? Jak zbadać, które czynniki są bardziej a które mniej ważne w formowaniu uczucia jednostek? — Prze

cież, jak mówi popularny dowcip, jedni ludzie wolą rosół z kluskami, a inni wolą nosić spodnie na szelkach. Odpowiedź na pytanie które ,,wolenie'' jest większe (tzn. silniejsze) i jaki procent ludzi posiada określony typ ,,wolenia'', jest niemożliwa.

W zwykłych warunkach ekonomiści usuwają powyższe trudności w sposób brutalnie arbitralny. Mówią bowiem : zadowolenie jednostki jest wprost proporcjonalne do ilości dóbr i usług otrzymywanych przez tę jednostkę, zadowolenie społeczeństwa jest sumą zadowolenia jednostek, a więc wprost proporcjonalne do ilości dóbr i usług otrzymywanych przez to społeczeństwo. Trudność, wynikająca z faktu, że z rogu obfitości produkcji społecznej sypią się przedmioty najróżnorodniejsze i że wobec tego nie wiadomo, jak porównać stopień szczęśliwości człowieka obdarzonego pięcioma maszynkami do mięsa, ze stopniem zadowolenia człowieka, który dostał worek cukru, rozwiązywana jest równie arbitralnie : całość produkcji wyraża się w jednej wspólnej jednostce — pieniądzu. Teraz jesteśmy już na pewnym gruncie i możemy najbardziej zawiłe problemy przedstawić w sposób wymierny, nadający się do dalszych przeliczeń. A więc — stopa życiowa ? Proszę bardzo, jej wskaźnikiem jest wartość produkcji na głowę ludności. Rośnie czy maleje z upływem czasu ? Oto recepta na odpowiedź : weź wskaźniki dla wszystkich okresów porównywanych i wprowadź poprawkę na inflację czy deflację. Porównanie między dwoma krajami — jeszcze łatwiejsze : po prostu przelicz wskaźnik jednego kraju na walutę drugiego po oficjalnym kursie wymiany. W ten sposób łatwo możemy stwierdzić, że np. stopa życiowa w USA jest dwa razy wyższa niż w Anglii.

O ile jednak można uznać, że taka metoda nadaje się do porównań między Anglią a Ameryką, to z pewnością odrzucić ją trzeba, gdy w grę wchodzi kraj taki jak Polska. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że nie istnieje — w praktyce — żaden kurs złotego. Na zasadzie wielkiego palca ustala go się raz na 20 zł. za funta, raz na 60 zł. Gdyby używać go w celu porównywania stopy życiowej okazałoby się, że polska stopa życiowa obniżyła się w stosunku do krajów zachodnich trzykrotnie. Zauważyć też trzeba, że w Polsce istnieją co najmniej trzy różne ,,oficjalne'' kursy wymiany : 1) bankowy, kierunek zachód ; £ 1 kosztuje według niego 64 zł., 2) bankowy, kierunek wschód ; według tego kursu 1 zł. = 1 rubel, czyli cena funta wynosi 20 zł., 3) kurs PKO, około 250 zł. za funta. Istnieje też oczywiście kurs nieoficjalny, czyli ,,czarnorynkowy'', właściwie najbardziej zbliżony w swym charakterze do kursów wolnorynkowych istniejących na zachodzie. Wynosi on około 300 zł. za £ 1. Pierwszym krokiem zbliżającym nas do celu będzie znalezienie kursu wymiany, odpowiadającego sile nabywczej pieniądza. W tym celu wzięłam ,,koszyk towarów'' używany w obliczaniu angielskiego indeksu kosztów utrzymania i obliczyłam (z dużym zaokrągleniem) ilość pieniędzy potrzebnych na zakup w Polsce tej samej ilości towarów w każdej grupie, któ-

rą to ilość kupić można w Anglii za jednego funta. Oto lista grup i obliczonych przeze mnie złotówkowych ekwiwalentów jednego funta :

1) Żywność — 100 zł., 2) renta — 20 zł., 3) ubranie — 200 zł., 4) opał itp. — 50 zł., 5) alkohol, tytoń — 25 zł., 6) artykuły domowe — 80 zł., 7) usługi (telefon, poczta, autobusy) — 25 zł., 8) rozrywki — 60 zł., 9) różne — 150 zł.

,,Ważąc'' powyższe wielkości w zależności od roli danej grupy towarów w budżecie rodziny polskiej, otrzymujemy wygodną relację — 100 zł. za 1 funta. Wynik ten bardziej zbliżony jest do oficjalnego (nieżyciowego !) kursu złotego, niż do kursu czarnorynkowego, a więc wolnego. Wytłumaczenia tego zjawiska szukać należy w dwóch faktach. Po pierwsze, kurs wolny nigdy nie jest prostą funkcją siły nabywczej pieniądza na rynku wewnętrznym, lecz zależy także od zapotrzebowania na cele kapitałowe. Zapotrzebowanie to nie zawsze idzie po linii wzajemnego stosunku cen. Tak np. dolar kanadyjski jest w tej chwili o 6 centów droższy od dolara USA, mimo że ceny w Kanadzie są wyższe od cen w USA ; ale za to obywatele USA inwestują dużo w Kanadzie, natomiast Kanadyjczycy inwestują znacznie mniej w Stanach Zjednoczonych. Podobnie w Polsce — wygórowany kurs walut zachodnich wynika przede wszystkim z wyjątkowo dużego popytu na te waluty dla celów — nazwijmy to — kapitałowych. Po drugie, nielegalność operacji walutowych znacznie podwyższa koszt rzeczywisty tych operacji i koszt ten odbija się na cenie waluty. Pamiętamy, jak zniesienie racjonowania w Anglii obniżyło natychmiast ceny wolnorynkowe szeregu artykułów, w wielu wypadkach do poziomu poniżej dawnej ceny urzędowej. Przypuszczam, że analogiczna sytuacja istnieje w tej chwili w Polsce, tzn. że legalizacja transakcji walutowych wywołałaby spadek walut zachodnich na wolnym rynku do poziomu niższego niż obecnie płacony przez urzędowe PKO.

Wracając do listy grup towarów chciałabym dodać, jak udało mi się doświadczalnie sprawdzić obliczony na papierze kurs £ 1 = 100 zł., w odniesieniu do żywności. Otóż prowadząc gospodarstwo domowe w Londynie wydaję na utrzymanie (tylko jedzenie) rodziny, składającej się z dwóch osób dorosłych i jednego dziecka, £ 7 tygodniowo, podczas gdy w Warszawie na utrzymanie tak samo licznej rodziny wydawałam 3.000 zł. miesięcznie.

Znalazłszy kurs wymienny należy zastanowić się, co będziemy wymieniać. Nie sądzę, aby w tym wypadku dochód społeczny *per capita* był przekonywującym wskaźnikiem porównawczym między dwoma krajami. Tak długo jak Polska używać będzie tzw. ,,marksistowskiej'' definicji dochodu społecznego i jak długo poszczególne składniki tego dochodu nie będą wyceniane na podstawie rozsądnej kalkulacji kosztów, tak długo porównań takich nie będzie można robić. Dlatego znów trzeba będzie użyć drogi okrężnej. Drogą taką jest porównanie siły

nabywczej zarobków ludności. Polskie statystyki w tej dziedzinie nie wywołują zasadniczych sprzeciwów metodologicznych i są zresztą doświadczalnie sprawdzalne na każdym kroku. Oficjalne statystyki podają, że średnia płaca w sektorze uspołecznionym (a więc płaca przygniatającej większości ludności nie-chłopskiej) wynosi 1455 zł. miesięcznie. Statystyki wszystkich krajów wprowadzają rozróżnienie między nominalną płacą (*wage*) a rzeczywistym zarobkiem (*earnings*). ,,Zarobek'' zazwyczaj wyższy jest od ,,płacy'' o wynagrodzenie dodatkowe jak premie, nadgodziny itd. Poprawkę na tę różnicę trzeba wprowadzić i do statystyk polskich. Faktem jest, że w Polsce pracuje się dużo, a zwłaszcza długo. Pomijając nadgodziny (nie są rzadkością zmiany trwające 36 godzin!), dość pospolitym zjawiskiem jest branie dwóch, trzech, a nawet więcej posad. Wśród osób, między którymi obracałam się w Warszawie, do wyjątków należeli ci, co mieli mniej niż dwie posady (wyjątkiem w drugą stronę jest Oskar Lange, który ma pięć posad). Niezależnie od tego trzeba uwzględnić zarobki nielegalne (łapówki), stanowiące dodatkowe źródło dochodu wielu, bardzo wielu, rodzin w Polsce (chodzi tu już nie tylko o milicję i wszystkie szczeble szeroko rozbudowanej biurokracji, ale o zajęcia znacznie przyziemniejsze. Tak np. lokator upaństwowionego domu uprawniony jest do remontów na koszt państwa; ale gdy — powiedzmy — pęknie rura wodociągowa lokator woli dać 50 zł. łapówki hydraulikowi i mieć naprawę przeprowadzoną natychmiast, niż czekać aż ten sam hydraulik dokona naprawy w ,,trybie urzędowym'' za dwa tygodnie). Dalej, jest wysoce prawdopodobne, że zarobki chłopów, a więc połowy ludności, są wyższe od przeciętnej płacy, tak samo jak zarobki ,,prywatnej inicjatywy''. Po uwzględnieniu wszystkich tych poprawek otrzymamy dochód całkowity osoby czynnej zawodowo, wyrażający się cyfrą znacznie wyższą niż 1455 zł. miesięcznie. Osobiście przyjmuję — znów, niestety, głównie na zasadzie wielkiego palca — że dochód ten wynosi jakieś 2000 zł. miesięcznie.

Mając średni zarobek w Polsce i kurs na jego przeliczenie, przystąpię teraz do wyrażenia stopy życiowej w Polsce w terminach porównawczych z krajami Zachodu. Sprowadzę porównanie do Anglii, skąd już łatwo przenieść je będzie na każdy inny kraj Zachodu.

Zacznijmy od porównania zarobków. Jak ustaliliśmy powyżej, średni zarobek w Polsce wynosi 2000 zł. miesięcznie. Ze statystyk angielskich wynika, że taka sama jednostka pracy (jeden ,,człowieko-miesiąc'') kosztuje tutaj £ 50, (średni zarobek = £ 12. tygodniowo). A więc dla pracownika sprzedającego swą pracę 2000 zł. = £ 50, czyli 1 funt = 40 złotych. Gdy zestawimy to z siłą nabywczą obu walut, zgodnie z którą 1 funt wart jest 100 złotych, dojdziemy do wniosku, że za jednostkę swej pracy obywatel angielski może kupić dwa i pół razy więcej, niż obywatel polski. Z tych więc ściśle materialistycznych kryteriów wynika, że stopa życiowa w Polsce jest dwa i pół razy niż-

sza niż w Anglii. Spójrzmy, jak wynik ten przedstawia się w zestawieniu z cyframi oficjalnymi. Oto tablica za rok 1955, z *Rocznika Narodów Zjednoczonych:*

Anglia — dochód społeczny na głowę ludności — £ 300.

Polska — dochód społ. (netto) na głowę ludn. — 5900 zł. (a więc £ 59 licząc po 100 złotych za funta). Dodajmy kolumnę z polskiego *Małego Rocznika Statystycznego* za ten sam rok:

Polska — dochód społeczny na głowę ludności — 7200 zł. (a więc £ 72, licząc jak wyżej).

Wynika z tego, że używając ,,mojego'' kursu wymiany otrzymujemy bardzo zdeprecjonowane cyfry na wyrażenie polskiej stopy życiowej. Sądzę jednak, że winę za to ponosi metoda obliczania dochodu społecznego stosowana w dzisiejszej Polsce. Przyjmijmy więc, że moja magiczna liczba ,,Dwa i Pół'' jest prawdziwa. W pierwszym rzędzie należy nadać jej właściwą interpretację. Nie można bowiem mechanicznie zakładać, że przeciętny Polak ma wszystkiego dwa i pół raza mniej, niż przeciętny Anglik. Dla właściwego zrozumienia tej różnicy wyobraźmy sobie taką sytuację w Anglii, w której ceny są dokładnie takie same jak obecnie, natomiast zarobki nasze — dwa i pół razy mniejsze. Adaptując się do takiej sytuacji, zastosowalibyśmy przypuszczalnie następującą kolejność cięć ekonomicznych: 1) zredukowalibyśmy wydatki na rentę, a więc zagęścilibyśmy do maksimum nasze mieszkania; 2) zlikwidowalibyśmy ,,luksusy'' jak auta, telewizję, ,,gadgets''; 3) zmniejszylibyśmy poważnie wydatki na meble itp.; 4) nieco mniej na ubranie; 5) i jeszcze mniej na żywność. I przy tym wszystkim zniknęłyby również wszelkie możliwości oszczędzania. No i wtedy przypominalibyśmy już poziomem życia naszych rodaków w Kraju, którzy żyją stłoczeni w przepełnionych mieszkaniach, nawet marzyć nie mogą o samochodach i telewizjach, ubrani są już jednak tylko nieco gorzej niż my, a jedzą mniej więcej tak samo jak my. Oszczędności nie mają żadnych. Ten ostatni punkt chcę rozwinąć szerzej. Paręset razy słyszałam w Polsce zdanie o fizycznej niemożliwości robienia oszczędności. Posiadacze książeczek oszczędnościowych używają ich tylko jako portfelu na trzymanie bieżących pieniędzy. Wpłaca się pensję na początku miesiąca, wydaje ją stopniowo aż przy końcu miesiąca stan książeczki jest znów bliski zera. Wierzę, że jest to zjawisko absolutnie powszechne. Spójrzmy teraz na oficjalną statystykę oszczędności. Wynika z niej, że średni stan książeczki PKO wynosi blisko 1000 zł. Fakt ten jest dla mnie jeszcze jednym potwierdzeniem niewprost mego obliczenia średniego zarobku w Polsce. Jeśli bowiem zarobek ten w wysokości 2000 zł. wpłacony zostanie na początku miesiąca i potem stopniowo doszczętnie wybrany w ciągu miesiąca, to średni stan tego wkładu będzie właśnie 1000 złotych.

Piękno metody obliczania stopy życiowej poprzez dochód społeczny tkwi w tym, że jest to metoda integralna, ogarniająca całokształt działalności społeczeństwa. Natomiast zastosowa-

ny przeze mnie powyżej sposób porównywania zarobków rzeczywistych jednostek jest sposobem fragmentarycznym. W nowoczesnym społeczeństwie zarobek pieniężny jest tylko częścią całkowitego dochodu jednostki. Pozostała część tego dochodu została bowiem zatrzymana u źródła przez państwo (podatki) i potem zwrócona jednostce w takiej formie jaką państwo uważa za najbardziej właściwą. Przedstawię tu w formie tabeli tę właśnie pozostałą część dochodu, jaką obywatel otrzymuje w formie świadczeń społecznych w Anglii i w Polsce.

Opis	*Anglia*	*Polska*
Służba zdrowia	bezpłatna, minimalne opłaty za lekarstwa	30 % opłaty za lekarstwa
Wczasy,	nie istnieją,	2 tygodnie za minimalną opłatą
Pensje starcze,	małe,	nie istnieją
Emerytury,	nie istnieją,	na zadawalającym poziomie lecz w małym zasięgu
Zapomogi dla nieobjętych ubezpieczeniem,	na zadawalającym poziomie,	bardzo małe
Świadczenia dla dzieci,	zasiłek na każde dziecko poza pierwszym, zasiłek porodowy, pensja przed i po-porodowa dla matki, darmowe mleko, witaminy, tran,	dobrze zaprowadzone przedszkole z wyżywieniem dla dzieci
Oświata,	bezpłatna do uniwersytetu włącznie; zadawalające stypendia dla studentów,	bezpłatna, lecz ograniczona w zasięgu. Stypendia niezadawalające

Porównanie świadczeń znów wykazuje wyższość Anglii zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie zasięga zapomóg poza-ubezpieczeniowych. (*National Assistance*): obejmują one wszystkich obywateli, którzy bez względu na powód nie mają określonego (i to dość wysoko określonego) minimum środków utrzymania. Mimo to trudno oprzeć się wrażeniu, że w tej dziedzinie poziom

Polski jest wyższy, niż w dziedzinie zarobków rzeczywistych i że, wskutek tego, różnica prawdziwych poziomów życia jak gdyby uległa zmniejszeniu.

Nieco uwagi poświęcić należy porównaniu jakościowemu. Pod tym względem słabe strony życia w Polsce są powszechnie znane : ogonki, bałagan, nieuprzejmość, brak wyboru, brak niektórych najprymitywniejszych urządzeń (pralnie !). Nie chcę wyrokować, o ile razy Anglia jest w tej dziedzinie lepsza od Polski, pragnę jedynie zaznaczyć, że różnica tutaj jest dla przygodnego obserwatora bardziej wyraźna, niż różnice ilościowe w zaopatrzeniu jednostek. Na zakończenie spożytkuję moje dotychczasowe obliczenia dla zrobienia jeszcze jednego porównania, tym razem między Polską w dwóch okresach : przed wojną i dziś. Używając przedwojennych statystyk dochodu społecznego (Polska — ludność 34.3 milionów, dochód społeczny — 15.4 bilionów; Anglia — ludność 47.3 milionów, dochód £ 4616 milionów), zauważymy, że różnica była wtedy około 4 1/4 raza na korzyść Anglii. Jeśli moje obecne obliczenie zbliżone jest do prawdy, należałoby stwierdzić zmniejszenie różnicy i absolutną i relatywną poprawę bytu ludności w Polsce. Poprawa taka byłaby logicznym następstwem przesunięcia geograficznego na znacznie bardziej produktywny teren oraz zmniejszenie gęstości zaludnienia (zwłaszcza gęstości zaludnienia na jednostkę kapitału stałego).

Halina BRODZIŃSKA

Pamięci Romana Knolla

Wspomnienie niniejsze poświęcam pamięci niezapomnianego przyjaciela i Szefa Romana Knolla, pragnąc choć w części przyczynić się do wydobycia z zapomnienia ostatniego fragmentu jego życia i działalności z okresu wojny i okupacji i jego czynnego udziału w pracach konspiracyjnych podziemnej Polski....

Roman Knoll przez cały czas istnienia Polski niepodległej był jak najściślej związany z M.S.Z. — pracował w nim od początku jego istnienia aż do okresu rządów ministra Becka, kiedy opuścił Ministerstwo. Od samego początku, dzięki swym niepospolitym zdolnościom, wybił się na czoło grona młodych polityków i dyplomatów, którym rokowano świetną przyszłość. Tych nadziei nie zawiódł i szybko przeszedł wszystkie szczeble kariery dyplomatycznej, początkowo w Centrali, potem, po przewrocie majowym, kiedy przez krótki okres był kierownikiem M.S.Z., na placówkach zagranicznych jako Minister pełnomocny, następnie jako Ambasador, w Ankarze, Moskwie, Rzymie, Berlinie. W okresie tym parokrotnie przyjeżdżał na czas krótki do Centrali jako zastępca Ministra Spraw Zagranicznych, czy to podczas nieobecności, czy podczas choroby ministra Zaleskiego. Po opuszczeniu Ministerstwa, jako prawnik z wykształcenia zajął się adwokaturą i był przez kilka ostatnich lat radcą prawnym poważnych instytucji krajowych i zagranicznych, między innymi włoskich.

Osobiście, pracując również w M.S.Z. od początku, miałam okazję nieraz spotykać się z Romanem Knollem czy to w War-

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

szawie, czy zagranicą, jak np. na Międzynarodowej Konferencj Ekonomicznej w Genui w 1922 r. czy na posiedzeniach Rady i Zgromadzenia Ligi Narodów w Genewie.

Roman Knoll w r. 1939 nie wyjechał z Warszawy zagranicę, jak tylu innych, jakkolwiek mógł to zrobić zarówno w końcu 1939 r. jak i na początku 1940 stosunkowo bez trudności dzięki stosunkom swoim z Włochami. Ułatwił wyjazd wielu innym, sam jednak wyjechać wówczas nie chciał. Później było to już niemożliwe, jakkolwiek wiadomo mi, że wzywano go z Londynu. Wtedy jednak można to było uczynić albo przez zieloną granicę, przez Tatry, Słowację, Węgry, na co nie pozwoliłby mu stan zdrowia, albo drogą powietrzną.

Dom Romana Knolla stał się dla wszystkich przyjaciół jego i znajomych od chwili wybuchu wojny oazą i ostoją. W jego pięknym mieszkaniu, na ul. Prusa, w nowej dzielnicy, koło Placu 3 Krzyży, dwa razy w tygodniu gromadzili się ci wszyscy, którzy spragnieni byli wiadomości i otuchy. Przynoszono tu zawsze najświeższe wiadomości radiowe, toczyły się długie dyskusje przed mapami, a wszyscy wsłuchiwali się w komentarze gospodarza domu. Jego niski, matowy głos, czarujący uśmiech, jego poczucie humoru i błyskotliwy dowcip, jego świetna inteligencja, polot fantazji, zwykle dobrotliwa a czasem zjadliwa ironia, a nade wszystko pogodny, niezachwiany optymizm — wszystko to wprowadzało nas w specjalny nastrój, w którym zapominało się na jakąś chwilę o całej grozie rzeczywistości, w której się żyło. Nie umiem powiedzieć, czy optymizm jego był zupełnie szczery — czy też chciał w ten sposób podtrzymać ducha w swym otoczeniu. Sądzę, że jeśli na początku optymizm ten był prawdziwy, to pod koniec i jego zalewały już fale zwątpienia, goryczy i rozpaczy. Ale nigdy nie dawał tego odczuć — do końca dodawał nam otuchy i nadziei.

W r. 1941 Knoll przeżył wielką tragedię osobistą. Umarł wówczas nagle na serce szwagier jego, rzeźbiarz Wittig, mąż rodzonej siostry. W kilka miesięcy po jego śmierci, młody Wittig, jedyny syn ich, bardzo zdolny, inteligentny i rokujący wielkie nadzieje, utonął przypadkiem, kąpiąc się w stawie na wsi. Pani Wittigowa, nie mogąc przeżyć śmierci syna tak szybko po śmierci męża, w kilka dni potem odebrała sobie życie. Był to wielki cios dla Knolla.

Tak było przez pierwsze dwa lata wojny aż do wiosny roku 1941. Godny podziwu jest fakt, że Knoll mógł przetrwać tak długo nie ukrywając się, przyjmując stale szereg ludzi we własnym mieszkaniu, w domu, gdzie pełno już było Niemców. Wszystko jednak ma swój koniec. W tym okresie z Pawiaka uciekł kilku znanych działaczy — między innymi Tadeusz Szpotański — od niego podobno przyszło ostrzeżenie do Knolla, aby zniknął z powierzchni i ukrył się. Zaznaczyć należy, że nigdy Knoll nie zgodził się na zmianę nazwiska, na mieszkanie pod fałszywymi papierami, jak to czyniła większość działaczy z konspiracji. Twierdził zawsze, że jeśli ma wpaść w ręce Gestapo czy późni

w ramiona NKWD a raczej MWD — woli aby z góry wiedzieli, iż mają do czynienia z byłym Ambasadorem w Berlinie i w Moskwie. Uważał, iż wówczas inaczej będą z nim mówili.

Mieszkanie na pl. 3 Krzyży zostało zlikwidowane — Knoll „wsiąknął w teren" i ukrył się na wsi w pobliżu Warszawy. Później Gestapo poszukiwało go u krewnych tego samego nazwiska w Warszawie, następnie dano spokój.

Przelotnie wpadał czasem do Warszawy, utrzymując kontakty z ludźmi. Podczas jednej z takich wizyt — pracowałam już wówczas dla niego dorywczo, jak również dla pewnych kół wywiadu AK — przyszedł do mnie z nieżyjącym dziś już Mieczysławem Rettingerem i powiedział, że wkrótce będzie organizował placówkę, związaną bezpośrednio z naszym M.S.Z. w Londynie, i zapytał mnie czy chcę wziąć jak najbardziej czynny udział w tej robocie, poświęcając się jej całkowicie i wyłącznie, tj. pod warunkiem zwolnienia się ze wszelkich innych prac konspiracyjnych, do których mogłam być zaangażowana. Oczywiście odpowiedziałam, że w każdej chwili jestem gotowa.

Na wiosnę 1942 r. zgłosiło się do mnie dwóch bliskich ludzi p. Romana, obaj z M.S.Z.— jednym z nich był Czesław Andrycz, Minister pełnomocny, wkrótce potem rozstrzelany — i zakomunikowali mi, iż Knoll wzywa mnie do siebie na pierwsze posiedzenie naszej organizacji. W oznaczonym dniu miałam wyjechać z Warszawy i spotkać się z nimi. Już sam początek był dość dramatyczny, gdyż w nocy poprzedzającej dzień spotkania był wielki nalot sowiecki na Warszawę i wiele domów legło w gruzach, między innymi mieszkanie jednego z przyjaciół Knolla. W Falenicy, jak było umówione, spotkałam się z Andryczem i inną jeszcze osobą i razem udaliśmy się do „ustronia", w którym znalazł schronienie Roman Knoll z żoną, — o 6 km. od Falenicy. Szło się ciągle lasem, leśnymi ścieżkami, wśród gęstych zagajników. Willa, w której mieszkał Knoll, była tak ukryta wśród drzew i tak się zlewała z gęstwiną lasu, że dostrzec ją można było dopiero w chwili, gdy się podchodziło. Było to idealne ukrycie. Raz gdy szłam do niego sama, chociaż znałam dobrze drogę, zbładziłam i długo kołowałam lasem, mimo, iż dom był tuż obok. Dookoła była pustka, lasy, torfowiska, jezioro. Willa należała do przyjaciela p. Romana, znanego dziennikarza, będącego wówczas zagranicą. W czasie działań wojennych została ona spalona.

Wówczas to, na pierwszym posiedzeniu naszej organizacji, prócz Andrycza i mnie, obecne były jeszcze dwie inne osoby, obydwie blisko zaprzyjaźnione z Knollem. W ciągu tej konferencji Knoll zapoznał nas z organizacją i celami naszej „Komórki" oraz rozdzielił funkcje. Placówka ta, jak wspomniałam, powstała pod nazwą MOC jako odrębny departament w łonie Delegatury Rządu oraz jako ekspozytura londyńskiego M.S.Z. Powstała pod zwierzchnim kierunkiem Knolla, na osobiste życzenie i zlecenie Generała Sikorskiego,, w porozumieniu z Delegatem Rządu oraz generałem Grotem, którego łączyły bliskie osobiste

stosunki z Knollem. Celem jej było przygotowanie gotowych kad MSZ w Warszawie — tak aby wszystko było gotowe z chwilą gdy zjedzie prawowity Rząd i MSZ z Londynu. Że tak się sta nie, nikt z nas wówczas nie wątpił. Nikt — a najmniej p. Ro man, który wierzył Aliantom prawie do ostatka.

Knoll zapoznał nas wówczas ze składem personalnym MOC'y Skład ten ulegał zmianom z biegiem czasu — byli dokoopto wani nowi, niektórzy z naszego grona ubyli z przyczyn od nic niezależnych. Tak więc w dwa czy trzy tygodnie po rozpoczęci naszej działalności, został zaaresztowany Czesław Andrycz; za brali go w nocy wraz ze służącą. Dowiedzieliśmy się później iż pytano go tylko o Knolla, Niemcy wiedzieli bowiem o blis kich ich stosunkach. Andrycz nie zdradził nic. W kilka tygodn potem został rozstrzelany. Prawdopodobnie był to przypadek — dostał się na listę setek zakładników, których rozstrzeliwan przy różnych okazjach. W tym okresie również zaaresztowan został M. Rettinger, który później zginął w Oświęcimiu.

Na ręce Knolla złożyliśmy wówczas przysięgę — rozdziel on funkcje wśród obecnych oraz, jak wspomniałam, zapozn nas ze składem personalnym MOC'y. W sumie było nas wów czas około 25 osób. Ze zrozumiałych względów nie mogę poda nazwisk tych kolegów, gdyż ogromna większość przebywa kraju, z wyjątkiem 3 osób, którym udało się wydostać zagra nicę. Z tych ja jedna jestem w Anglii, oraz dwie osoby w St nach Zjednoczonych. Prócz Knolla i Andrycza 7 osób zmarło kraju lub w obozach w Niemczech, jeden aresztowany prz Bezpiekę zmarł w więzieniu Mokotowskim, jedna łącznicz zginęła w Powstaniu. Kilku — o ile mi wiadomo jest w więzi niach, skazani wyrokami na długoletnie kary. Reszta przebyw w Kraju.

Podział funkcji w MOC'y, był ściśle określony: tak wi był wydział państw romańskich, anglo-saski, niemiecki, sowie ki, czechosłowacki i węgierski, Bliskiego Wschodu i Dal kiego Wschodu; dział administracyjno-finansowy, kontaktu stronnictwami i Delegaturą, budżetowo-rachunkowy, Kontr li dla Najwyższej Izby Kontroli, dział łączności i skrzyne wreszcie mnie przypadła w udziale kancelaria, początkow archiwum, przydział poczty z Delegatury referentom, odbiór r feratów i częściowo przepisywanie na maszynie. W miarę ro rastanie się placówki archiwum wymagało już specjalnej arch wistki i lokalu. Jedna z pań naszych objęła ten dział, lokal z znaleźliśmy dzięki ofiarności proboszcza jednego z kościoło warszawskich. Archiwistka pracowała w kancelarii parafialn papiery zaś w miarę gromadzenia się były zamurowywane w gr bowcach katakumb. Nie jest wykluczone zatem, że archiwum ocalało i może istnieje.

Praca nasza, zorganizowana regularnie, bardzo szybko w szła na tory — powiedzmy — niemal normalne w warunkac gdzie wszystko było nienormalne, gdzie w każdej chwili gro „wpaduneк" ze wszystkimi konsekwencjami. O tym się po p

stu nie myślało — wszystko ułożyło się gładko i funkcjonowało bez przeszkód, mimo iż kilkakrotnie były „wsypy", które przechodziły blisko nas i mogły zahaczyć o MOC (aresztowanie Andrycza, aresztowanie chwilowe żony jednego z kolegów podejrzanej o żydowskie pochodzenie, inne aresztowania, które mogły nas pośrednio dotknąć, jak cała afera zbiegłych jeńców angielskich, z których kilku przez 6 tygodni przewijało się przez lokal w którym mieszkałam, aresztowanie na ul. ks. Skorupki z ogromnym materiałem Delegatury, aresztowanie prof. X. — sprawa szyfrów itd).

Tryb pracy naszej był bardzo regularny. Materiały z zagranicy, prasę podziemną, druki, wydawnictwa 2 razy na tydzień dostarczała łączniczka Delegatury do naszej skrzynki. W godzinę później odbierała je łączniczka MOC'y i odnosiła do mnie. Ja rozdzielałam papiery dla Knolla i poszczególnych referentów, łączniczka zabierała paczki dla referentów, archiwum i Delegatury, pocztę dla Knolla zabierała jedna z dwóch jego sekretarek-łączniczek — i tak do następnego razu.

Knoll przyjeżdżał do Warszawy rzadko, jedynie w wypadkach koniecznych spotkań politycznych; przeważnie wożono do niego ludzi, którzy musieli się z nim widzieć. Śmierć Generała Sikorskiego, aresztowanie gen. Grota przeżył Roman Knoll bardzo ciężko — był tymi wypadkami głęboko wstrząśnięty. Odbiło się to poniekąd na stanowisku jego w Delegaturze, gdyż z obydwoma łączyły go stosunki osobistej przyjaźni. Nie było harmonii natomiast pomiędzy Knollem a ówczesnym Delegatem Rządu Jankowskim, który nie był mu życzliwy, różnił się z nim w sposobie pojmowania niektórych zagadnień, w koncepcjach politycznych, w podejściu do pewnych spraw. Delegat pozbawiony był zupełnie „sense of humour"; świetny dowcip i czasem złośliwa ironia, które cechowały Knolla, były mu obce, drażniły go, prawdopodobnie dopatrywał się on nieraz złośliwej krytyki tam, gdzie nie było tej intencji. Knoll niewątpliwie martwił się i irytował tym stanem rzeczy. Nie znajdował należytego zrozumienia dla swych koncepcji był nieraz umyślnie odsuwany od różnych spraw i nie powiadamiany na czas o wiadomościach z polityki zagranicznej, w których on przede wszystkim powinien był mieć głos decydujący. Zamknięty na odludziu, pozbawiony możności działania, szarpał się w bezsilnej męce, widział błędy, które popełniano, a którym przeciwdziałać nie mógł.

Na wiosnę 1944, wobec sytuacji politycznej na frontach, Knoll liczył się już z możliwością załamania się gwałtownego Niemiec. Przedtem jeszcze, wiem, że były prowadzone tajne rozmowy z pewnymi czynnikami węgierskimi, mające spowodować dla nas czynną pomoc zbrojną Węgier, głównie zaś dostarczenie broni a także i ludzi w godzinie X. Sprawy te jednak bliżej mi nie są znane. Wiem tylko, że z ramienia MOC'y brano w nich udział. Knoll przywiązywał dużą wagę do tych porozumień. Uważał on wówczas, że godzina X się zbliża, że musimy być w każdej chwili gotowi do okupowania w odpowiedniej chwi-

li gmachu M.S.Z. w Warszawie w porozumieniu z AK. Dostałam dyspozycje, by zgromadzić na ten moment większe ilości materiałów piśmiennych, świec, lamp, nafty — nawet pewną ilość materiałów spożywczych. Wszystko to było zgromadzone i gotowe... w szafach instytucji, gdzie pracowałam oficjalnie jako sekretarka prezesa i gdzie nieraz miały miejsca różne spotkania. Szczęśliwe były to chwile wiary i nadziei, że tak się stanie. Wierzyliśmy w to wszyscy.

Latem 1944 sytuacja zaostrzyła się dla Knolla i wynikła obawa, że ukrycie jego może być zdekonspirowane. Jacyś ludzie obcy pojawiali się w pobliżu willi, nie było już poczucia względnego bezpieczeństwa. Front sowiecki już się zbliżał a Komitet lubelski podnosił głowę i działał. Knoll zdecydował się przenieść do małego mająteczku jednego ze swych przyjaciół, gdzieś w okolicy Małkini. Ideą Knolla było dać ogarnąć się przez front sowiecki i dostać się jako jeden z pierwszych z tamtej strony do Warszawy. Działania Komitetu lubelskiego niepokoiły go bardzo, uważał, że należy bezpośrednio przeciwdziałać im w terenie, łudził się przy tym, że od razu zjawią się po tamtej stronie przedstawiciele Rządu londyńskiego lub wreszcie jakieś władze alianckie. Te wiadomości zresztą doszły mnie już tylko przez trzecie osoby dość chaotycznie, nie widziałam Knolla przez parę ostatnich tygodni przed Powstaniem. Jako MOC funkcjonowaliśmy jednak aż do wybuchu Powstania, mimo jego nieobecności normalnie, pod kierunkiem jego zastępcy, choć wiadomości były coraz gorsze.

Plany i zamiary Knolla okazały się zupełnie błędne. Niemcy cofając się zagarnęli wszystkich, ewakuowali ów majątek i mieszkańców wprost wypędzili z domu w ciągu półgodziny. Zaczęła się wówczas dla Knolla gehenna ucieczki w okropnych warunkach, częściowo piechotą, niemal bez rzeczy, okólną drogą dookoła Polski. Po kilku tygodniach dostał się wreszcie z żoną w stanie zupełnego wyczerpania do Milanówka, gdzie jeden z naszych kolegów miał willę i mógł mu udzielić schronienia. Ta wędrówka oczywiście pogorszyła bardzo stan jego zdrowia — ataki serca były coraz częstsze — i niewątpliwie przyśpieszyła jego zgon. Tam też, w Milanówku, po Powstaniu, odnalazła się część rozproszonej MOC'y — w listopadzie zgrupowaliśmy się na nowo dookoła Knolla. Ale była to już garść jedynie — było nas tylko 10 osób. Rozpoczęliśmy znów po trochu „urzędować", tym bardziej, że cała Delegatura znajdowała się na linii EKD — w Leśnej Podkowie, Milanówku, Brwinowie. Byliśmy wszyscy zdemoralizowani, zgnębieni, otępieni, wszyscy prawie przeszli przez piekło Powstania i stracili wszystko. I znów Knoll był naszą podporą i otuchą, znów dodawał nam wiary i energii. Nie tylko zresztą moralnie ale i materialnie. Dla swoich ludzi był on pod tym względem niezrównanym szefem. Aż do ostatniej chwili, w ciężkim bardzo okresie popowstaniowym, a najcięższym po wejściu Sowietów, gdy przepadły wielkie ilości pieniędzy, zra-

-owane przez nowy reżym, gdy nierzadko stało przed nami widmo nędzy i głodu, Knoll nie szczędził starań, wysiłków i energii, aby zdobyć środki materialne i każdemu z nas zabezpieczyć jakoś istnienie.

Wierzył on wtedy jeszcze w możność jakiegoś poparcia Aliantów, jakichś targów, możność uratowania jeśli już nie Wilna, to przynajmniej Lwowa i zagłębia naftowego. Wiem, iż bolał nad tym, że nie może wziąć czynnego udziału w tej walce — nienawidził Sowietów i sądził że znając dobrze ich mentalność, potrafiłby z nimi mówić. Odbywały się wówczas ciągle narady wśród polityków podziemnych, często u Knolla. Odwiedzali go nieraz niektórzy z Delegatów.

Nieustannie trwały wówczas łapanki niemieckie, obławy, głównie do robót przy okopach. Raz o mały włos nie złapali żony Knolla. W pewnym momencie powstała koncepcja aby część Delegatury, w tym MOC przeniosła się do Krakowa, ponieważ w miejscowościach podwarszawskich zaczynało być „gorąco". Wysłano nas parę osób do Krakowa w celu przygotowania tam kwater i rozejrzenia się w terenie. Wszystko było już gotowe, zamówiony został wagon „bydlęcy" dla kilkunastu osób, mieliśmy wyjechać zaraz po Nowym Roku, gdy przyszła depesza od naszej łączniczki aby wstrzymać wszystko, gdyż w Krakowie wyłapują i aresztują masowo warszawiaków.

Pozostaliśmy więc nadal w Milanówku. W dniu 17 stycznia weszły wojska sowieckie. Rozpoczął się głód, byliśmy wszyscy na skraju nędzy, gdyż pieniądze wszystkie skonfiskowano. I znów powoli zreorganizowało się nasze grono. Był to już ostatni i najcięższy okres naszej konspiracji. Konspirowanie się przy Sowietach było o wiele trudniejsze. Przeciw Niemcom był jednolity front — obecnie zaczęła się obawa delatorstwa ze strony PPR. Nasze władze podziemne nie ujawniały się i w dalszym ciągu musiały się ukrywać. Rozpoczął się okres blokad poszczególnych willi w Leśnej Podkowie, Milanówku, Grodzisku. Była obawa, że willa „Pod Matką Boską", w której mieszkał Knoll (mieszkałam wówczas z nimi), może każdego dnia ulec blokadzie; mieliśmy umówiony znak: każdy z mieszkańców willi wracając do domu patrzał w oznaczone okno, czy stoi w nim kaktus — gdyby go nie było, oznaczałoby to blokadę. I znów Knoll doszedł do przekonania, może go nawet ostrzeżono, że pobyt jego w Milanówku przedłuża się zanadto i zaczyna być zdekonspirowany. Postanowił zmienić okolicę i przed samą Wielkanocą wyprowadził się do Chylic. Było to dokładnie w okresie rozmów między Delegaturą a przedstawicielami sowieckimi, Pimienowym i Iwanowym, które zakończyły się wciągnięciem Delegatów w pułapkę i wywiezieniem ich do Moskwy.

Nikt z nas nie znał przebiegu tych rozmów, były tylko szepty i domysły. Sprowadzono wówczas z Krakowa jednego z Delegatów; mówiono, że nastąpi jakieś porozumienie, że zawiozą Delegatów samolotem do Londynu dla rozmów. Nadzieja w nas

wstępowała, wierzyliśmy, że coś się musi stać. Dopiero w jakiś tydzień po wywiezieniu Delegatów z Pruszkowa ujawniła się okropna prawda. Zdaje się, iż była w pewnym momencie mowa o tym, aby Knoll został włączony do Delegacji. Dokładnie jednak nie znam tych spraw. W każdym razie uniknął sowieckiego więzienia.

Był to już zupełny pogrom; i tak zresztą przestaliśmy istnieć jako organizacja. Przed opuszczeniem Milanówka Knoll rozwiązał MOC i zwolnił nas. Odtąd każdy z nas na własną rękę musiał rozpocząć walkę o istnienie. Jeszcze jednak mieliśmy jakieś nadzieje. Knoll wierzył — może tylko pozornie — że choć stracone są ziemie wschodnie, jednak Rząd nasz dojdzie do głosu. Tak zresztą wierzyli wszyscy, takie to były mrzonki... Knoll pokładał przede wszystkim nadzieje w pomocy Aliantów. Nie przypuszczał wówczas ani na chwilę, że już w Teheranie i w Jałcie los nasz został przypieczętowany.

Nieraz, dawniej jeszcze, w długie zimowe wieczory pod okupacją niemiecką w Milanówku, snuliśmy marzenia o tym co będzie, gdy nastąpi koniec zwycięski. Knoll zawsze mówił, iż chce wyjechać jako ambasador do Turcji i tam zorganizować na szerokiej platformie placówkę specjalnie nastawioną na obserwację przeciw Sowietom. Nienawidził on Rosji całą duszą, zawsze twierdził, iż jest to „tłusta, rozlewająca się, plama na ciele Europy, która nie wniosła do cywilizacji nic prócz zniszczenia i rozkładu''.

Te długie rozmowy, dyskusje, wspomnienia dobrych czasów, przeplatane nadzieją, iż muszą one wrócić, że przyszłość będzie w całej pełni odwetem za straszliwą rzeczywistość — wypełniały nam długie mroźne wieczory tej ostatniej koszmarnej zimy 1944-45. Dom Knollów był ośrodkiem, do którego garnęli się przyjaciele po dawnemu. Mimo czyhających zewsząd niebezpieczeństw, osobistych trosk materiałych i niewygód, odnajdował jeszcze nieraz pan Roman przebłyski swego dawnego świetnego humoru i dowcipu. Stan jego zdrowia niepokoił nas, choć on sam śmiał się z tego i upewniał, że czuje się doskonale, częste ataki serca były ciągłą troską dla nas wszystkich a przede wszystkim dla jego żony.

Na wiosnę, jak już wspomniałam, Knollowie przenieśli się do Chylic, również koledzy z MOC'y rozproszyli się. Ja wyjechałam do Krakowa, lecz przed wyjazdem jeszcze wpadłam do Chylic odwiedzić ich na nowej siedzibie; zastałam Knolla w dobrej formie, był znacznie lepiej ze zdrowiem, pogodny, niemal wesoły — czekał na dalszy rozwój wypadków. Nie widziałam go potem parę miesięcy. W lipcu proklamowany został rząd tymczasowy — wiedzieliśmy zatem, że wszystko jest stracone. Pozostawał już tylko jeden cel — wydostać się z kraju zagranicę. W sierpniu wyjechałam do Warszawy i zaraz zgłosiłam się do Chylic — znów spotkałam tam wielu z dawnych kolegów i znajomych. Knoll nie miał już wówczas żadnych złudzeń i widział

już tylko jedną możliwość — wyjazd zagranicę. Było to w okresie przyjazdu do Polski polityków z Londynu — Mikołajczyka, Kota, Strasburgera. Byliśmy przekonani, że będą chcieli i starali się widzieć z Knollem, co chyba było zupełnie zrozumiałe. Spotkanie to jednak nie nastąpiło, zarówno Mikołajczyk jak i Kot postarali się go uniknąć. Zapewne działała w obu wypadkach obawa aby się ,,nie narazić'' reżymowi i aby nie zostało wyśledzone spotkanie z nieprawomyślnym politykiem podziemnej Polski. Jedynie Strasburger był u Knolla.

Co do wyjazdu Knolla były różne projekty: W sprawie tej wiem, że były prowadzone rozmowy z pewnym Amerykaninem z UNRRY, którego spotkałam w Chylicach. Były jednak duże trudności — oczywista wyjazd jego mógł być zorganizowany tylko drogą nielegalną. W październiku 1945 wyjechałam zagranicę i znalazłam się w Rzymie. Gdy żegnałam państwa Romanów w ich malutkim domku w Chylicach — nie wiedziałam, że ich już nie ujrzę nigdy... Byliśmy pewni że zobaczymy się wkrótce w Rzymie. —Miałam polecone skontaktowanie się w Rzymie z przyjacielem Knolla, Romeo Purini, jednym z dyrektorów Lloyd Triestino, który miał ułatwić Knollowi pewne sprawy w związku z jego przyjazdem do Włoch. Widziałam się z Purinim, który wkrótce miał jechać do Warszawy i załatwić tam wszystko z Knollem. Niemal w przeddzień wyjazdu Purini zmarł nagle. Był to jakiś tragiczny splot W końcu grudnia przyjechał do Rzymu przez zieloną granicę wysłannik Knolla, i bliski jego przyjaciel, który zapewnił mnie, iż przyjazd Knolla nastąpi wkrótce. Było jakoby przygotowane już wszystko aby mógł wyjechać francuskim pociągiem ewakuacyjnym Czerwonego Krzyża. Knollowie byli już wówczas u swych krewnych w Katowicach. Dlaczego nastąpiła zwłoka — nie wiem, jakoby nie otrzymał na czas potrzebnych pieniędzy. Czekaliśmy go w Rzymie, ja i jego przyjaciel, z takim upragnieniem. W marcu 1946 zmarł nagle — pewnej nocy nie obudził się więcej.

Dokładnie w trzy miesiące po jego śmierci żona jego odebrała sobie życie. Otruła się na jego grobie.

Śmierć ich obojga była dla wszystkich jego przyjaciół bolesnym ciosem. Wobec Knolla nie można było być obojętnym, miał on albo niechętnych sobie, nawet wrogów, albo ludzi bezgranicznie mu oddanych. Był zbyt wielką indywidualnością, aby można zachować było wobec niego obojętność. Można go było nie znosić albo przepadać za nim. Potrafił podobno, gdy uważał to za konieczne, być ostry i nieprzyjemny (z tej strony nie poznałam go nigdy), ale gdy chciał, był tak uroczy, że trudno było czarowi temu się oprzeć. My, jego zespół, po prostu uwielbialiśmy go.

Knoll był i pozostał do końca zwolennikiem i wielbicielem Marszałka Piłsudskiego, widział w nim wielkiego męża stanu, polityka i wodza i śmierć jego uważał za stratę niepowetowaną dla Polski. Rozszedł się jednak zupełnie z jego otoczeniem z lat

ostatnich i był zdecydowanym przeciwnikiem rządów sprzed września 1939, w szczególności ministra Becka.

...Roman Knoll był gorącym i ofiarnym patriotą, sprawie polskiej oddanym bez zastrzeżeń i nie wahał się dla sprawy tej każdego dnia ryzykować wolność swą i życie w ciągu tych długich lat.

Ada KACZKOWSKA

W następnym numerze będzie zamieszczony w tym dziale artykuł St. J. Karolusa o szkolnych obozach wojskowych w Szwajcarii w czasie wojny.

Kronika kulturalna

Na marginesie sztuki Van Haardta

Kilka miesięcy temu, w czasie trwania wystawy Jerzego van Haardt'a w Drian Gallery, w Londynie obiecałem mu napisanie recenzji i, aż do teraz, mimo wielokrotnego zaczynania — nie mogłem zdobyć się na jej wykończenie. A przecie prace van Haardt'a zainteresowały mnie naprawdę, z ich autorem zaprzyjaźniłem się na pniu — jak można więc tłumaczyć taką opieszałość w wypełnianiu danej obietnicy? Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że moje opory wewnętrzne w stosunku do wypowiedzi o twórczości van Haardt'a polegały na podświadomym stwierdzeniu, że nie sposób mówić o tego rodzaju sztuce bez generalnej rozprawy z jej założeniami; — a ja właśnie, mimo przeczytania tęgiego odsetka gigantycznej zaiste literatury na temat ,,Sztuki Niefiguratywnej'' (*L'Art non figuratif* jak mówią Francuzi) i po pochłonięciu wzrokowym wielu ton farby, którą energie Nie-figuratywistów rzuciły na powierzchnie płócien — nie czułem się gotowy do takiej generalnej wypowiedzi.

Malarstwo van Haardt'a jest właśnie ,,nie-figuratywne'' — a zastrzega się on najsurowiej aby nie było ono nazywane malarstwem abstrakcyjnym. W opinii odbiorczej, a i wśród samych malarzy, mimo zalewu i erupcji twórczej i jej krytycznych analiz, panuje taki chaos, takie mnóstwo nieporozumień i co do istoty tego kierunku i co do metod wartościowania jego uzewnętrzeń i co do perspektyw na przyszłość — że nie sposób mówić o jakimś fragmentarycznym, indywidualnym przejawie w tym prądzie, choćby tak ciekawym jak malarstwo van Haardt'a, bez ustalenia bazy wyjściowej dla takiej wypowiedzi. Bazę tę ustalą odpowiedzi na trzy pytania : 1. Jaka jest istota malarstwa abstrakcyjnego. 2. Jakie konsekwencje, przywileje i ,,niebezpieczeństwa'' są z nim związane. 3. Jaka przyszłość zdaje się zarysowywać dla tej pasji współczesnej? W odniesieniu do pierwszego pytania, pozwoli czytelnik, że nawiążę do wypowiedzi umieszczonej w moim artykule pt. ,,Zalew manieryzmu'' w

,,Kulturze'' w grudniu 1956 r. Tam, i wielokrotnie w innych enuncjacjach, podawałem przyjęty przeze mnie podział zjawisk w malarstwie wszystkich epok (odnosi się to i do rzeźby) na trzy grupy : naturalizm, ekspresjonizm i formizm. Cytuję definicję tych postaw ze wspomnianego artykułu... ,,Naturalizm w sztuce — to postawa oparta o kontemplacje form świata zewnętrznego i sprowadzająca dyscyplinę twórczą do analizy form i związków (wizualnych), które je łączą. Krótko : w naturalizmie świat zewnętrzny rzutuje swoje prawa na realizacje twórcy''.

,,Ekspresjonizm — jeżeli wyjdziemy z ostatniego zdania charakteryzującego naturalizm — jest postawą odwrotną. W jej ramach twórca rzutuje na świat zewnętrzny swoje dyspozycje uczuciowe i myślowe; w wyniku tego procesu realizacja twórcza podlega mniejszym lub większym deformacjom w stosunku do dyktanda natury. Mimo swej przeciwstawności, i naturalizm i ekspresjonizm, w naszej definicji, mają wspólny podkład : formy świata zewnętrznego, w naturalizmie — narzucające swoje prawa twórcy, w ekspresjonizmie — poddające się jego (twórcy) narzuceniom''.

,,Formizm — to postawa oparta o świadomą lub nieświadomą wiarę, że artysta jest władny tworzyć formy własne, niezależne od tych, które występują w naturze. W czystym ,,formizmie'' mamy więc do czynienia z formami ,,a priori'', zaś w ,,naturalizmie'' i w ,,ekspresjonizmie'' — z formami ,,a posteriori'' w stosunku do form natury''.

Prawo kontrastu, prawo o powszechności chyba kosmicznej, znajduje jedno z niezliczonych potwierdzeń i w przejawach psychiki ludzkiej, zarówno jednostkowej jak i zbiorowej. — Jeżeli wizję europejską w malarstwie (i rzeźbie) cechował w pokoleniu naszych dziadów skrajny naturalizm (impresjonizm na przykład, w naszej definicji, jest gałęzią najskrajniej pojętego naturalizmu) — pokolenie współczesne, prawem kontrastu, zostało porwane problemami wprost przeciwstawnymi do postawy naturalistycznej : problemami skrajnego formizmu, z częstymi odcieniami ekspresjonistycznymi. Tęsknotą sztuki współczesnej stało się stworzenie przedmiotu ,,a priori'', przedmiotu który by był owocem czystej wyobraźni człowieka, możliwie najbardziej oderwanej od dyktanda natury i chyba w ostateczności podległej jej zapłodnieniom; odrzuca więc ta postawa wszelkie niewolnicze obserwowanie świata zewnętrznego ale i wszelkie naśladowanie tego co pokolenia przeszłe dokonały. Ostatnia teza jest zresztą typowa dla każdego naprawdę twórczego prądu sztuki.

Przyglądając się bez uprzedzeń tej fali tęsknot abstrakcyjnych w młodej, a często z siwizną nie sprzecznej, wizji współczesnej, trzeba stwierdzić jej spontaniczność, jej bezkompromisową nietolerancję dla innych postaw, jej uzurpowanie prawa do jedynie wartościowej i istotnej reprezentacji ducha współczesności. Są to cechy typowe dla każdej żywotnej i zdobywczej ideologii i przejście nad takimi przejawami do porządku ze wzruszeniem ramion byłoby tylko starczym zaprzeczeniem nieodpartych w swe

słuszności tez Asnyka: „Trzeba z młodymi naprzód iść, po życie sięgać nowe", „przeżytych kształtów żaden cud, nie wróci do istnienia".

I zresztą jakże się dziwić pokoleniu, które, dzięki udoskonalonym środkom reprodukcji dzieł artystycznych, może co dzień przyglądać się rozprawie dziadów z bezpośrednią prowokacją aby cud żywej natury jak najbezpośredniej opowiedzieć z doskonałością Chardin'a, Corot'a Barbizończyków, Boudin'a, Courbet'a, impresjonistów i neorealistów jak Utrillo — jakże się dziwić, powtarzam, że oni, to młode pokolenie, mają już dość prób uwieńczonych tylokrotnie triumfem — i że chcą wejść w mało zbadaną krainę, której granice zakreśla tylko niczym nie skrępowana wyobraźnia, nie znająca innego prawodawcy niż tajemnicze siły tkwiące w człowieku.

Najmocniejszym zarzutem rzucanym abstrakcjonistom jest stwierdzenie, że każdy wysiłek ludzki, oparty tylko na snuciu z siebie, bez pożywki dotknięć empirycznych — musi się wyjałowić. Otóż jest to zarzut tylko pozornie słuszny w odniesieniu do fanatyków abstrakcji. Przecie najzagorzalsi spośród nich, chociaż odrzucają bezpośrednio studium natury, nie odrzucają studiów wątku i narzędzia, którymi się posługują w procesie twórczym. A właśnie ten wątek, materiał, farby, spoiwa, glina, kamień, metal — zmuszając do rozprawy ze sobą, daje tym artystom dotyk empiryczny, choć, zdawałoby się, jednostronny. Przecie Condillac wierzył, że jeden zmysł, gdyby człowiek nie posiadał tradycyjnych pięciu, wystarczyłby mu dla nawiązania pełnego kontaktu ze wszechbytem. W równej mierze jest dopuszczalna argumentacja, że sama jedynie rozprawa z wątkiem twórczym, z materiałem i wgłębianie się w nieskończone możliwości jego obróbki, przez narzędzia kierowane wolną ręką artysty może dać temu ostatniemu dostateczny przypływ pożywki zewnętrznej, aby się nie zmanierować w operowaniu, bądź co bądź ograniczonymi źródłami własnego „ja".

Szczep abstrakcjonistów dzisiejszych, objętych nazwą *Action painters* (po polsku chyba „dynamiści"), niejako frakcja „taszystów" bywa zwykle podawana przez wrogów sztuki niefiguratywnej, za szczyt dziwactwa i absurdu. Cytuje się tu klasyczny przykład malarza, który wywalił zwały farby na „cardbordy" leżące na podłodze i „malował" w tym wątku jeżdżąc po nim na rowerze. Wobec takiego eksperymentu prawie pensjonarsko niewinnie wygląda popis takiego Francisa, (jeden z jego obrazów zakupiony do „Tate"!), który rzuca z odległości, odpowiednim zamachem, na płótno kilkanaście rozplaśnięć farby, zaczerpniętej za każdym razem z innego kubła — i może wyczytać w krytyce o sobie, że „...artysta z nadzwyczajną inwencją łączy własną osobowość z przypadkami tworzywa, w którym się nurza z rozkoszą...". Otóż nawet z tak, zdawałoby się, doskonale bezsensownych wyczynów, mogą być wyciągnięte pożytki przez przyszłe generacje malarzy. Zrealizowanie najskrajniejszej tezy, że ślepe poddanie się własnemu odruchowi, i w ope-

rowaniu tworzywem i narzędziem, słuchając tylko nakazów czy sto fizycznych tego tworzywa i praw, które charakter narzędzi automatycznie narzuca — jest jednak pokazaniem konkretnych wizualnych skutków i konsekwencji takiego eksperymentu. A tysta przeszłości, całkowicie doceniając własności tworzywa i na rzędzia, ograniczał jednak władztwo tych czynników, każąc im służyć przedmiotowi własnej koncepcji. Skrajny ,,dynamista dzisiejszy przyjmuje poddanie się własnemu odruchowi i orga nicznym prawom tworzywa i narzędzia — właśnie za koncepcję twórczą. Powtarzam, że dojrzały sąd o takim wyczynie może być tylko jeden: każda próba nie szkodzi, a nawet może by wykorzystana na przyszłość. Zacząłem od opisu prób na ty polu najskrajniejszych i mogących wzbudzić zainteresowan chyba tylko śmiałością. Chociaż rekord nie do pobicia już zost tu ustalony trzydzieści kilka lat temu: na wystawie ,,suprema tystów'' w Wilnie w r. 1923-im, widziałem obraz na który skła dało się białe, niezamalowane płótno z podpisem — ,,Oczek wanie''.

Otóż na całej rozciągłości pola bitwy o współczesną wiz abstrakcyjną, od Kandińskiego, Mondriana i suprematystów rosyjskich do takich dzisiejszych przedstawicieli malarstwa ni figuratywnego jak Jerzy van Haardt, dokonano wprost nieza czonej ilości prób, często nadzwyczaj ciekawych, pouczający i udatnych, aby przekazać nową wieść o nieznanych treścia człowieka, bez podkreślania relacji do przedmiotów, które na rzuca świat zewnętrzny.

Nasuwa się pytanie, czy z biegiem czasu nie wytworzą próby nowych idiomów plastycznych, specjalnych symboli wi zualno-pojęciowych, nowego języka, który stanie się zrozumia dla szerszych mas odbiorczych. Dla szerszych mas? Czyż wła ciwie taki język dostępny dla ,,szerszych mas'' istniał kiedyko wiek w malarstwie naprawdę? Oczywiście, każdy przecięt widz odczyta w obrazie Chardin'a treść przedmiotowo-narracy ną — kubek, owoce, serwetę. Ale proszę postawić obok arc dzieła Chardin'a obraz bez żadnego istotnego sensu malarski go, a oddający rzeczy z podobną siłą ewokacji pseudo-realistyc nej, a 90 % widzów weźmie go za taką samą monetę. Dowo z młodości dobrze mi się utrwalił w pamięci: zwiedzałem z gr nem przyjaciół sale ,,Zachęty''. Te same osoby stawały prz wielkim dziełem, ,,Altana'' Gierymskiego, i twierdziły: ,,jak to piękne, jak żywe''. A potem to samo zdanie powtarzały prz sławetną ,,Damą z Kwiatami'' Czachórskiego... Wszystko to niejako argumenty na rzecz wizji abstrakcyjnej. — Cóż z te że jest ona niezrozumiała dla przeciętnego widza? Istotne tre malarskie były i dawniej dostrzegane jedynie przez wyjątkowy widzów. Tłum zachwycał się zawsze pseudo-podobieństwem ,,natury''. Każdy malarz wie, że niezależnie od relacji w st sunku do przedmiotu którego ideogram stwarza na obrazie, fa by położone obok siebie mogą mieć sens malarski lub go n mieć. I Vermeer van Delft i Messonier równie doskonale opis

ią przedmiot w znaczeniu narracyjnym; tylko, że wyrobiony od
iorca widzi bez ale: elementy, które ewokują formy Vermeera,
mają sens malarski — elementy czysto malarskie Messonier'a
— takiego sensu nie mają! Inaczej: jeżeli popatrzymy na obraz
Vermeera jako na ,,abstrakcję'' — jest to realizacja o pełnym
ensie malarskim, jeżeli ten sam eksperyment przeprowadzimy
Messonier'em — wyjdzie malarskie fiasco. A więc znowu ar-
umentujemy na rzecz abstrakcji: jeżeli mogą być treści ,,nie-
ależne'' malarskie w każdym dobrym obrazie, w oderwaniu od
ego treści narracyjno-przedmiotowej — czy to nie powód aby
rtysta łożył swoje wysiłki na stworzenie wizji zupełnie nieza-
eżnej od opowieści o przedmiotach świata zewnętrznego, po-
obnie jak muzyka stworzyła swój świat układów dźwiękowych,
upełnie niezależnych od tych, które słyszymy w naturze.

Często się mówi, że abstrakcja w sztuce musi prowadzić do
degeneracji, bo jak grzyby po deszczu, będą wyrastali nieucy,
manią wielkości, ogłaszający każde własne smarowidło za
dzieło sztuki. Przecie gdy nie ma kontroli porównawczej z mo-
delem, jedynej dyscypliny istotnej, jak się wielu wydaje — rzą-
dzi tylko ,,widzimisię'' i w wyniku musi być nicość twórcza.
W istocie, niebezpieczeństwo zalewem tanizny ,,abstrakcyjnej''
nie jest większe jak i masowa produkcja kiczów ,,figuratyw-
nych'', wystarczy tylko popatrzyć na salony Royal Academy,
Royal Society of Oil Painters, Royal Society of Portrait Pain-
ers, itp. Nie ma tam ani mniej ani więcej szmir niż na pokazach
wystaw rzekomo ,,awangardowych''. Zalewisko tą pseudo-twór-
czością dzisiaj nie jest groźniejsze, ani powszechniejsze od tego
co zawsze się działo na jarmarkach sztuki. Jest natomiast wtór-
ny oddźwięk tej erupcji współczesnej, który bezsensem grand-
ilokwencji i zupełnym oderwaniem słowa od sensu — pobił rekor-
dy wszystkiego co się składa na termin ,,grafomania''. Mowa
tu o krytyce szczepionej z ,,nową wizją'', ,,nie-figuratywną'',
,,abstrakcyjną'', ,,bezprzedmiotową''. Gdy jeszcze Malewicz
uważał że potrzeba podpierać swoje próby plastyczne takimi
elukubracjami: ,,kolor nieba pokonany przez system suprema-
tyczny wszedł w kolor biały, jako realne i istotne przedstawie-
nie nieskończoności. Zwyciężyłem podłoże kolorowego nieba,
zerwałem zeń i włożyłem kolory w twórczy worek i zawiązałem
go na węzeł! Awiatorzy przyszłości! Lećcie! Biały, wolny bez-
kres — nieskończoność przed wami!'' — To miał on na swoje
usprawiedliwienie, że od epoki grand-ilokwencji — *Fin de
siècle*'u — dzieliło go tylko kilkanaście lat a słowa te na pewno
nic nie dodały, ale też i nie wzięły, z wyczynu, bądź co bądź,
nowatorskiego — w plastyce. Ale gdy się dziś czyta na temat
pierwszego lepszego pacykarza, że ,,jak Einstein'', że ,,jak w
teorii kwantów'', że ,,w epoce atomowej'' i ,,erze międzyplane-
tarnej'' — nie można się nie dusić w zaduchu takich bredni i nie
pytać kiedy sensowi słowa będzie oddana należna przyzwoitość.

Powtarzam: wystawa van Haardt'a mi się podobała. Ze
wszystkich krytyk, jakie czytałem o nim, skrót syntetyzujący

Stanisława Balińskiego w tytule recenzji pt. ,,Dramat Formy' — ma pokrycie. Ale niech mi van Haardt wybaczy : Jego wypo wiedź o malarstwie : ,,*La peinture est F O R C E : état de voi au delà de toute compréhension, de toute nomination, de tout signification; liaison entre l'émission d'énergie, le rythme, l dissolution, l'action et la figure colore, force latente, réceptive en puissance, quintessence de la sensualité : Fraise Sauvage évasion de la limite, de la manifestation, de la forme, de l'espace du temps, de la lumière même''*... — Co to jest?

Czy to poezja?, czy proza informująca? — Ani jedno ar drugie. A więc nie trzeba tego pisać, bo zaburza to żelazne pra wo : malarz ma wypowiadać się środkami plastycznymi i ko mentarz słowny tylko wyraz tych środków mąci. Dla widzącyc oczu obraz van Haardt'a mówi nieskończenie więcej od prz toczonych słów. A dotyczy to i wszystkich autentycznych twó ców (jak van Haardt) we współczesnej Sztuce; żadne gadan siły ich wypowiedzi nie zwiększy ani jaśniejszą nie uczyni. Niec malarze malują i o sobie milczą.

A zamiast wszystkich słów, zbudowanych za pomocą lit na marginesie wyrazów van Haardt'a, budowanych formar plastycznymi, tj. zygzakami i liniami, ułożonymi w określon porządki, synkopami niespodziewanych zaburzeń w rytmice ma kontrastami miejsc zapełnionych i pustych w dziwnych a pro tych arabeskach, w zestawieniach barwnych, zawsze wraż wych — zostawiłbym jedno zdanie zgodne, zdaje się, z przek naniem malarza : w języku form, które stwarza artysta, niez leżnie od tego czy są one w bezpośrednim związku z kształtan które nam natura pokazuje czy też nie, — w języku tym mo (choć nie musi) odzwierciedlić się cały twórca. Van Haardt m wi — ,,artysta i jego sztuka to jedno''. Nie. — Sztuka artys nie jest z nim tożsama. Ona tylko jest kluczem do pewnych tre ci, które w artyście tkwią i które innymi środkami dla wid otwarte być nie mogą.

Marian BOHUSZ-SZYSZKO

Trzy polskie widowiska

Trzy polskie przedstawienia w Londynie : występ młodego, piониersk go zespołu z kraju; sztuka zasłużonego autora dramatycznego; uroczysty w czór na czterdziestolecie ZASP'u z inscenizacją ,,Księcia Niezłomneg I równocześnie trzy niepowodzenia, trzy oczywiste pomyłki wywołujące uczucie zażenowania. Dlaczego? Przecież to wszystko robią ludzie najlep woli, dzielni, ambitni, pracowici i wierzący w swoją misję wobec pols

sztuki. Tu jednak wiara gór nie przenosi. Wręcz przeciwnie, wrasta coraz głębiej w to samo miejsce, odgrodzone od świata rodzimym opłotkiem.

W każdym z trzech wypadków podobna przyczyna zmarnowania wysiłku i zebrania rozczarowań. Jest nią brak wyczucia granicy własnych możliwości, przesadne mierzenie sił na zamiary, niedostateczna sposobność porównywania swej pracy z pracą innych, przekonanie że będzie uchodzić za nowość to, co już się stało starzyzną. Do tego w kraju często dołącza się przekonanie że należy uprawiać eksport domowego gospodarstwa artystycznego, grubo do tego dopłacając, a poza krajem mania szycia kontuszów przy każdej sposobności choć materiału ledwie na rękawy starczy. W obu sytuacjach coś zbliżonego do zarozumiałego prowincjonalizmu. O najpoczciwszych intencjach.

◆

Wrocław jest miastem żywych inicjatyw. Prasa, wydawnictwa, samodzielny ośrodek artystyczny i naukowy. Jedno z najlepszych miast w Polsce. Wrocławski Teatr Pantomimy powstał tam dzięki zabiegom Henryka Tomaszewskiego, który potrafił zdobyć pomoc już istniejących scen wrocławskich i pozyskać grupę młodych zapaleńców dla sztuki tylko pozornie łatwej i błahej. W istocie zaś mającej możność współzawodniczenia z teatrem satyrycznym i teatrem poetyckim, technicznie zaś należącej do najtrudniejszych. Wymaga ona dużej muzykalności, rozumienia malarstwa i rzeźby, precyzji matematyka, spontaniczności aktora i sprawności tancerza. Parę minut pantominy, tak samo jak zwięzły szkic baletowego pas des deux, muszą być zdolne do wyrażenia tego co mówi pełna scena w teatrze czy cała nowela. W czasach Renesansu określano mimów jako ludzi ,,zdolnych do naśladowania wszystkiego co żywe i martwe'', nagrobek słynnego Gaspara Debureau głosi że spoczywa pod nim aktor który umiał powiedzieć *całą* prawdę, ,,nie mówiąc ani jednego słowa''.

Kiedy w XIX wieku pantomina stała się popularnym widowiskiem bulwarowym, jej ton odbijał każdą zmianę mody, karykaturował każdy nowy konwenans postępowania. Występując pod przebraniem cyrku i akrobacji pantomimy wymykały się spod drobiazgowego nadzoru cenzury i pełno było tam scen, przypominających niemy epizod z dzisiejszego teatru satyrystycznego w Warszawie, gdzie na pustej scenie spotyka się dwóch panów, zaopatrzonych w transparenty ,,Naród'' i ,,Ustrój''. Aktor, który przedstawia ,,naród'' raz po raz zagaduje do aktora, uosabiającego ,,ustrój''. ,,Ustrój'' wszakże uparcie milczy. To wszystko. Rozwiązanie mimicznego rebusu: ,,Ustrój narodowi nie odpowiada''.

Po ostatniej wojnie pantomima odżyła głównie dzięki talentom J.L. Barrault i M. Marceau. Przede wszystkim jako poetycki skrót życia, jako pozornie bezpretensjonalne symbole obecnej sytuacji. Zmieniła przy tym publiczność, stała się widowiskiem wymyślnym, przeznaczonym dla wyrafinowanego widza znudzonego teatrem realistycznym. Z takim właśnie intelektualnym ujęciem musiał się zmierzyć zespół Tomaszewskiego.

Od razu widać że nie może sprostać konkurencji, przy której wygląda jak ubogi kopciuszek. Wymaga to bowiem dużego, wytrawnego zespołu, doskonałych scenografów, możliwości zafascynowania widowni całością

obrazu. Wrocław pokazał dekoracje bardzo skromne, kostiumy mało ory-ginalne, lub wręcz nieestetyczne. Ilustracja muzyczna była nagrana tak okropnie, przy takim fałszowaniu dźwięków, że nie sposób pojąć po c w ogóle używa się owego zgrzytliwego tła. Do dalszych części teatru dola-tywały tylko jakieś smętne popłóczyny muzyki.

Najważniejsze wszakże że teatr Tomaszewskiego nie dowiódł swoje racji bytu, gdyż scenariusze były na ogół mało oryginalne, przeważni streszczające znane dzieła literackie, a więc nie posiadające własnej rac istnienia.

Tomaszewski spełnia w Polsce pożyteczną rolę pionierską i jego teat powinien być otoczony należytą opieką. Nie należy jednak do niej wysy-łanie go za granicę, i to zwłaszcza do Londynu — drugiej obok Moskw stolicy baletu i pantomimy. Co gorsza zespół wrocławski przyjecha w chwili, kiedy Anglia była wprost przesycona, po festiwalu edynburskim widowiskami zbliżonego typu i gdy znacznie lepsze teatry musiały odwo-ływać zapowiedziane przedstawienia. Powinien był ktoś czuwać nad tyn aby kosztowne wyjazdy zagraniczne odbywały się we właściwym momenci i trafiały na przygotowany teren.

Mniejszym nakładem można było zamiast tego wysłać zagranicę jedn ze studenckich grup satyrycznych, posiadających właśnie to, czego najba dziej brakło konwencjonalnym inscenizacjom Tomaszewskiego — orygina-ność. Teatr studencki mógłby śmiało liczyć na powodzenie w licznyc w Anglii ośrodkach akademickich i skupiskach polskich. Tylko, po wpływem gorączki prestiżowej, nie należy go pakować do jednej z na większych londyńskich sal teatralnych, gdzie wprost zginie i nie będz nawet słyszalny. Dla wrocławskiego zaś Teatru Pantomimy dwa złote medal przywiezione z Moskwy, nie okazały się dostateczną rekomendacją — tea był oderwany od aktualności, od rzetelnego folkloru, nie rozporządzał a dosadnością satyry, ani śmiałą poetycką syntezą dzisiejszej „situati humaine". Przyjemny zapał jego młodych aktorów lepiej trzeba wyzyska a kierownictwu i czołowym solistom za część pieniędzy wydanych na w-prawę londyńską zapewnić dłuższe stypendia zagraniczne.



Tak się osobliwie składa, że współczesną polską twórczość drama-tyczną reprezentuje za granicą wyłącznie autor doskonałej „Obrony Ksa-typy". Nikt nie ma odwagi pokazać ani „Święta Winkielrida", ani prz-róbki teatralnej ostatniej powieści Andrzejewskiego, ani jednej z nowy sztuk Zawieyskiego, czy choćby wesołej, satyrycznej komedii Jurandot. Słowem nic z tego, czym pasjonuje się publiczność teatralna w kraju. Nat-miast bez końca L.H. Morstin, wszystkie zagadnienia polskie widzian poprzez komediowe okulary Morstina.

Zespół aktorów polskich w Londynie, kierowany przez L. Kielanow-skiego, wystawił ostatnio nową jego sztukę pt. „Buntownica", zapow-dzianą równocześnie przez teatr w Wrocławiu. Jest to pierwsza krajow prapremiera — poza krajem. Jakież ciekawe byłoby to wydarzenie, gdyk sztuka umiała powiedzieć coś więcej od naiwnej anegdotki o młodej zako-nicy, w świecie — panny Lubomirskiej, opuszczającej klasztor i uzyskuj-cej zwolnienie ze ślubów zakonnych.

Morstin przeciwstawia tu kontemplacji i modlitwie zanurzenie się w życie społeczne i czynienie dobrze przez bezpośrednią pomoc bliźniemu. Sprowadza jednak tę antynomię do wymiarów tak płaskich że obniża to poziom konfliktu. W końcu jedyną rekompensatą i jedynym wcieleniem w życie hasła czynnego w nim udziału ma być nawracanie w małżeńskiej sypialni redaktora komunistycznej gazety. Akt drugi ześlizguje się w farsę, ośmieszającą niezaradność i naiwność mniszki, rozebranej z habitu, akt trzeci — w sentymentalne romansidło. Obie strony, niby to walczące o duszę i życie siostry Moniki, tak mało są interesujące, tak dalekie od głoszonych przez siebie ideałów że wśród rażących uproszczeń i atmosfery „wart Pac pałaca..." gubi się istotny sens starcia. Klasztor staje się synonimem wręcz nieprawdopodobnej reakcji, jedyną zaś widoczną zaletą przedstawiciela „współczesności" jest uprzednie staranne przygotowanie doświadczalne do miłości z eks-zakonnicą.

Ze sztuki Morstina wypływa wniosek, tym bardziej paradoksalny że niezamierzony przez autora, iż oba środowiska, świeckie i klasztorne, grzęzną w tej samej mieszaninie snobizmu i ponurego, prowincjonalnego drobnomieszczaństwa. Niezamierzona satyra staje się mimowolną burleską, w którą wciągnięto sprawy zbyt poważne. Kierując się w wyborze sztuki jedynie nazwiskiem dochodzi się do tego że popaździernikowy dramat Polski reprezentuje na emigracji owa swoista „Trędowata" à rebours, z aktem drugim jak gdyby poprawionym przez Wiecha, aktem zaś ostatnim przez duchy Dołęgi-Mostowicza i Pawła Staśko.

Przygotowano tę dziwaczną mieszankę starannie, wystawiono ładnie, w reżyserii Kielanowskiego łagodzącej ostrości tekstu. I grano na ogół dobrze, na poziomie rzetelnej sceny. Aktorzy ratowali w miarę możności autora, który tak chętnie daje im swe sztuki, pamiętni sukcesów „Obrony Ksantypy" i „Przygody Florenckiej".



Wybór głośnej sztuki Calderona na wieczór, mający w Londynie uświetnić czterdzieści lat istnienia polskiej zawodowej organizacji aktorskiej wyniknął chyba z przesadnej interpretacji jej treści i z nierealnej w obecnych warunkach ambicji współzawodniczenia z legendą, jaka otoczyła w Polsce przedwojennej wawelską inscenizację Osterwy.

„Il Principe Constante" jest dziełem świetnej poezji, popisem wirtuozerii wersyfikacyjnej, są tam momenty kiedy dialog toczy się w stanzach sonetu. Zarazem jednak ideologia tragedii, niezależnie od bohaterskiej postaci infanta Portugalii, przepojona hierarchią wartości feudalnej, religijnością utożsamianą z patriotyzmem i połączoną z interesami państwa, od współczesnego widza jest tak odległa że trzeba wspaniałej wystawy aby zrobić z tego widowisko o blasku turnieju rycerskiego, przesłaniające wartościami czysto teatralnymi i pięknem słowa rewoltujące nieraz zespoły pojęć i statyczność akcji. Premiera w polskim Londynie, skromna, łatana, próżno parająca się z wymaganiami repertuaru monumentalnego, próbowała na to miejsce wprowadzić ton misterium narodowego i odwołać się do żałobnych sentymentów emigracyjnych.

Legendę nieskazitelnej piękności przekładu Słowackiego stworzył prof. J. Kleiner, a rozszerzył swą porywającą kreacją aktorską J. Osterwa. Spro-

wadzeniu zwłok poety do kraju towarzyszyły proroczą cytatą ostatnie słow księcia Fernando, zapowiadające „powiozą gdzieś przez morza do kraj garstkę popiołów".

Calderon podbił wyobraźnię Słowackiego. Toteż tłumacząc w gorącz kowym uniesieniu „Księcia Niezłomnego" poeta widział w sobie pokre wieństwa z rolą Don Fernanda, poświęcającego się dla współobywatel okupującego ich wolność własną męką, zdobywającego sobie pośmiertn cześć narodu. Słowacki starał się wiernie przekładać tekst, ale od zmia rytmiki począwszy a kończąc na doborze słów o posępnych barwach i żałob nych brzmieniach, przekształcał rzecz całą zindywidualizowaniem form w utwór o odrębnej treści wewnętrznej. „Il Principe Constante" Calderon gra purpurą i złotem, „Książę Niezłomny" Słowackiego utkany jest z srebra i czerni. Droga Don Fernanda jest drogą rycerza i męczennika dum nego ze spełniania przeznaczeń wytyczonych ręką Najwyższego Suweren u poety romantycznego staje się przede wszystkim pokornym cierpienie ofiarowanym Bogu.

Cała sztuka jest konsekwentna w ramach metafizyki i filozofii życiow wielkiego poety baroku. Dziś wszakże, jeżeli na tę tragedię nie patrz wyłącznie jako na zabytek historyczny i posąg piękna formalnego, j treść musi wywołać znaki zapytania. Jeżeli Fernando reprezentował tale wojskowy królestwa, skazanie się na niewolę i wytrącenie miecza z rę było najgorszą taktyką. Jeżeli zaś nieszczęścia niewoli miały być karą nadmierną dufność, ambicję i próżne przelanie krwi portugalskiej na piaska Afryki, nie mają wówczas podstawy cienie rzucane na ks. Henryka. D słuchaczy Calderona wyprawa afrykańska była dziełem na wskroś chrześc jańskim, dzisiaj jednak wydaje się przekroczeniem granic słusznej obro własnego kraju i najazdem zaborczym. Instynktowne polskie sympatie sta po stronie arabskiej. Cywilizacja tym między innymi różni się od barb rzyństwa że podbojów dokonywa w imię ideologii, która zawsze się znajd pod ręką w odpowiedniej chwili. Ekspedycja Fernanda jest typowym prz kładem zasady nawracania siłą i tępienia tej czy innej kategorii niewiernyc

Fanatyzm Fernanda, jego wizje pól bitewnych zalanych krwią, bud przerażenie. Wynikają bowiem z niebezpiecznej, niezachwianej pewno co do tego jak świat powinien być urządzony. Człowiek szlachetny i naw tolerancyjny w stosunkach prywatnych, przejęty rycerskim kultem męstw wierności i miłości, Infant jako polityk i wódz opętany jest doprowadzani do ostatecznej konsekwencji swego światopoglądu. Może staje się przez prawie narodowym świętym ówczesnej Portugalii, lecz staje się także n ludzki. Jego heroizm w niewoli jest odwrotną stroną fanatyzmu w imię k rego wytracił swych rycerzy.

Ale wystawiając sztukę Calderona w środowisku polskim myślano n pierw o czymś innym. O niewolnikach jęczących w łańcuchach, o jeńca znoszących poniżenia wśród tęsknoty za ojczyzną. Widziano w tym analog czyniono aluzje i do kraju i do emigracji. Fałszywe, gdyż cierpienia e gracji są dziś co najmniej wątpliwe, a położenie w kraju wyraża się bardz złożonymi kategoriami niż łańcuch niewolnika. Apoteoza Fernanda nie j najlepszą lekcją dla polskich nastrojów, palma męczeńska stanowi wątpli wartość polityczną.

Toteż na widowni skutek tych egzortacji był nieraz wręcz humorysty ny. Wśród moich sąsiadów na premierze szepnięto: — „Jakto, miało b

na białym koniu, a teraz to już tylko zwłoki do kraju... I po trzydziestu latach...".

Licząc na cierpiętnicze analogie sztuki, przeoczono iż Fernando broni niebezpiecznego kodeksu moralnego czasów feudalizmu. Nienawiść do Maurów nie idzie tak daleko by podważać jedną z podstaw dobrobytu w postaci pracy niewolniczej. Nawet wobec muzułmańskiego króla Fezu Infant potwierdza zasadę że ,,... nad gminem król ma sobie berło dane i ma mieć od niewolnika posłuszeństwo...". Przestrzega go w przesadnych objawach szacunku wobec władcy, którego stał się wojenną zdobyczą, sam Don Fernando, i widzi w tej postawie pokory brańca jedną z cnót rycerza chrześcijanina.

W dobrej inscenizacji nad tymi wszystkimi zastrzeżeniami będzie górować bogactwo poezji i intensywność wiary Calderona. Lecz niełatwo we współczesnym teatrze unieść ciężar tyrad, wyznań i spowiedzi przedśmiertnej Infanta. Nie uniósł go też Wojtecki, żałosny i wygnańczy już w pierwszych scenach triumfu.

Przedstawienie, które nie mogło być widowiskiem a nie stało się akademią piękna słowa, zawiodło wybór, spowodowany szukaniem romantyczno-mesjanistycznych analogii. W stosunku do polskich klasyków wciąż używa się argumentu iż należy grać to, czego nie można wystawiać w kraju. Taka zasada nie zawsze otwiera drogę do przemilczanych arcydzieł, i nawet przy licznych wizytach z kraju zawsze będzie dość fikcyjnym rozwiązaniem sprawy. Byli zresztą na premierze goście z kraju — wyszli z niej zgorszeni i zawiedzeni. Czas otrząsnąć się z bezpłodnej płaczliwości, z passeizmu, marnujących tyle kapitału dobrej woli inscenizatora, reżysera i aktorów.

Zdzisław BRONCEL

Nagrody i Konkursy

NAGRODY PISARSKIE SPK

Rok 1958 jest ósmym z kolei, w którym Stowarzyszenie Polskich Kombatantów przyznaje w dniu Święta Żołnierza swoją pisarską nagrodę przeznaczoną dla uczonego, literata lub publicysty.

Dotychczasowymi laureatami tej nagrody byli: w roku 1951: gen. M. Kukiel (*Czartoryski and European Unity* 1770-1861) oraz G. Herling-Grudziński (*A World Apart*); w 1952: prof. O. Halecki (*The Limits and Division of the European History* i *Borderlands of Western Civilisation*) oraz Koło Cichociemnych Spadochroniarzy AK (*Unseen and Silent*); w 1953: K. Wierzyński (*The Life and Death of Chopin*) i Z. Dmochowski (*The Architecture of Poland*); w 1954: prof. W. Lednicki (*Russia, Poland and the West*), prof. W. Weintraub (*The Poetry of Mickiewicz*) i dr J. Pietrkiewicz (*The Knotted Cord*); w 1955: prof. J. Łukasiewicz (ca-

łość prac i *Aristotle's Syllogostic*), dr J. Zubrzycki (*Polish Immigrants* *Britain*) i Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii (pra zbiorowa z polskiej historii wojskowej po francusku); w 1956: prof. Znaniecki (*Cultural Sciences* i *Modern Nationalities*), prof. dr T. Kom nicki (*The Rebirth of the Polish Republic*) i dr K. Marek (*Identity a Continuity of States in Public International Law*); w 1957: O. I.M. B cheński (*Die Philosophie der Gegenwart*) i W. Zagórski (*Wicher W ności*).

W ostatnim wreszcie, ubiegłym 1958 roku odznaczono: książkę prof. Adama Żółtowskiego, *Border of Europe*, prof. Z.L. Zaleskiego szereg rozpraw w wydawnictwie francuskiej Akademii Nauk Moralny i Politycznych oraz książki dr. Jerzego Żarneckiego, *English Romane Sculpture* oraz *Early Sculpture of Ely Cathedral*.

PIĘĆ NAGRÓD LITERACKICH ZW. PISARZY

Marian Hemar został laureatem nagrody literackiej Związku Pisa Polskich na Obczyźnie na rok 1958 za całość twórczości. Nagrodę w w sokości 50 funtów ufundowało w roku bieżącym ,,Ognisko Polskie" w L dynie.

Ferdynand Goetel za całość twórczości otrzymał nagrodę imienia H minii Naglerowej wynoszącą również 50 funtów.

Nagrodę 100 dolarów Koła AK w Detroit jury z udziałem Józ Garlińskiego prezesa Koła AK w W. Brytanii przyznało Zygmuntowi Z rębie z Paryża za książkę o walce podziemnej w Kraju ,,Wojna i kons racja".

Nagrodę £30 dla krytyka i eseisty zdobył dr Wit Tarnawski, red tor książki zbiorowej Związku Pisarzy ,,Konrad Żywy".

Nagrodę młodych £25 otrzymał poeta i tłumacz poety Garcia Lo Florian Śmieja, lektor języka hiszpańskiego na Uniwersytecie Londyński

W roku ubiegłym nagrodę Związku otrzymał Józef Wittlin, nagrodę H. Naglerowej Czesław Miłosz, a nagrodę krytyki Juliusz Sakowski.

NAGRODA SYNDYKATU DZIENNIKARZY POLSKICH W NIEMCZECH

Syndykat Dziennikarzy Polskich w Niemczech ustanawia jedną nagr na rok 1958/59. Wysokość nagrody — $ 50. Nagroda jest niepodzie i może być przyznana tylko członkowi Związku Dziennikarzy R. P.

Nagroda będzie przyznana za oryginalny artykuł publicystyczny, kt go tematem będą sprawy polskie w czasie drugiej wojny światowej. mat może być przez autora obrany dowolnie z dziedziny zagadnień kr wych lub działalności polskiej na obczyźnie.

Nagroda przyznana będzie za publikację ogłoszoną drukiem w wo prasie polskiej na Zachodzie w okresie od 1. X. 1958 do 1. X. 1959

Prace przedstawione do nagrody należy nadsyłać na adres Syndyk Dziennikarzy Polskich w Niemczech do dnia 1. XI. 1959. Prace m przesyłać sami autorzy, redakcje pism lub Zarządy bądź członkowie S dykatów Dziennikarzy Polskich. Prace należy nadsyłać w takiej form w jakiej zostały ogłoszone, z zaznaczeniem, gdzie i kiedy je opublikow (nazwa pisma, data, numer). Jednocześnie należy podać dokładny a

autora wraz ze wskazaniem, jakiego Syndykatu Dziennikrzy Polskich jest członkiem.

Jury nagrody, powołane przez Zarząd Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech, wydaje orzeczenie o przyznaniu nagrody większością głosów. Orzeczenie Jury będzie ogłoszone do dnia 15. XII. 1959.

Adres Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech brzmi:
Union of Polish Journalists in Germany
c/o Mr. T. Celt
München 19
Nibelungen-str. 53/1
GERMANY

JUBILEUSZ STANISŁAWA VINCENZA

W dniu 30 listopada odbył się w Bernie obchód 70-ej rocznicy urodzin Stanisława Vincenza w obecności około pięćdziesięciu przedstawicieli świata kulturalnego Szwajcarii, w tym członków dwu zrzeszeń młodych pisarzy. Przemówienie powitalne wygłosił przewodniczący Związku Pisarzy Szwajcarskich, Hans Zbinden, po czym wręczono jubilatowi Księgę pamiątkową, zredagowaną staraniem szwajcarskich przyjaciół a zawierającą utwory 80 współpracowników z całego świata napisane w dziesięciu językach, wśród nich nie tylko polski i ukraiński, ale też jiddisz, grecki i bern-deutsch. Ponadto grupa młodych pisarzy „Tageleist" wydała w języku niemieckim specjalny tomik poświęcając go Vincenzowi. Polską emigrację w Szwajcarii reprezentował na wieczorze Paweł Hostowiec.

Zjednoczenie pisarzy ukraińskich „Słowo" w Stanach Zjednoczonych przesłało na ręce Stanisława Vincenza następujący list:

„Prezydium Zjednoczenia pisarzy ukraińskich „Słowo" poczytuje sobie za zaszczyt i obowiązek przesłać Panu serdeczne pozdrowienia z okazji Pańskiego Jubileuszu. Nie tylko urodzenie w uroczym zakątku naszej ziemi,na Huculszczyźnie, która stała się natchnieniem dla wielu poetów i pisarzy ukraińskich, ale też Pańska działalność pisarska i naukowa jest bliska nam wszystkim, jak i przekonujące są dla nas Pańskie ideały filozoficzne i światopoglądowe.

Pisarze ukraińscy przyjmują Pana duchowo do swego grona za Pańskie cenne dzieło „Na wysokiej połoninie", w którym z takim mistrzostwem swego talentu, z wielkoduszną solidarnością uczonego-badacza i z tak głęboką miłością przedstawił Pan Huculszczyznę...

Za prezydium: *Ostap TARNAWSKYJ*



WYRÓŻNIENIE POETY EMIGRACYJNEGO

Jury Nagrody Poznańskiego Listopada Poetyckiego, na posiedzeniu odbytym w Warszawie, w dniu 10. 11. r. ub. uznało za godną nagrody książkę Jerzego S. Sity pt. *Wiozę swój czas na ośle*.

Powyższy tomik poezji został wydany w roku 1958 przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik" w Warszawie.

Książki

Spóźniony prekursor

Gdyby książka Jana Potockiego pt. *Le manuscrit trouvé à Saragosse* (,,Rękopis znaleziony w Saragossie") ukazała się przed laty trzydziestu, w okresie pełnej ekspansji nadrealizmu — zwolennicy tego kierunku uzna- liby ją za dzieło prekursorskie, pomimo że zawiera ona stosunkowo mało ekscentryczności i w porównaniu z Lautréamontem wydaje się blada. Ale może to i lepiej : mniej związana z wybrykami mody — ma większe szanse przetrwania.

Jan Potocki żył na przełomie XVIII i XIX wieku. Pierwsza część tej książki, napisanej w języku francuskim, została wydana w Petersburgu w r. 1804 i 1805 pt. *Le Manuscrit trouvé à Saragosse*, druga część — uka- zała się w Paryżu w r. 1813 pt. *Avadoro, histoire espagnole* i była podpi- sana tylko inicjałami. W r. 1847 pojawiło się polskie tłumaczenie doko- nane przez Edmunda Chojeckiego. Obecnie dzieło Potockiego zostało przy- pomniane przez Rogera Caillois, ale część zasługi należy przypisać Tuwi- mowi, który w swej dwutomowej ,,Polskiej noweli fantastycznej" zamieścił krótki fragment ,,Manuskryptu" pt. ,,Historia Komandora Torelwy". Cail- lois, poszukujący ostatnio materiałów do antologii noweli fantastycznej do- wiedział się o tym od jednego ze znajomych Polaków, co skłoniło go następ- nie do odgrzebania z niepamięci całego dzieła Potockiego. Obecnie prowa- dzone są dalsze studia nad Potockim w Polsce, na podstawie nowych frag- mentów odkrytych w archiwum rodzinnym w Krzeszowicach.

Życie Potockiego nie było przeciętne. W młodości — wiele podró- żował, był we Włoszech, w Egipcie, w Turcji, w Anglii, w Hiszpanii i w Maroko. Latał także balonem, brał udział w wyprawach naukowych na Kaukaz, do Chin i do Mongolii. Jego dzieła z zakresu archeologii i etno- grafii cieszyły się dużym uznaniem w sferach naukowych. Zakończył życie śmiercią samobójczą w r. 1815.

Oprócz ,,Rękopisu" Potocki pozostawił także komedię pt. ,,Cyga- nie andaluzyjscy"; oraz ,,Parady", krótkie, kilkuminutowe ,,antrakty", w których groteska łączy się z niepozbawioną uroku naiwnością. Te — można by je tak określić — ,,żarty sceniczne" — były grane w r. 1792 na scenie teatralnej w Łańcucie. Ukazały się one niedawno w polskim tłumaczeniu w miesięczniku ,,Dialog".

,,Rękopis znaleziony w Saragossie" jest podzielony wzorem dawnych dekameronów na dnie i składa się z wielu opowiadań dość luźnie połączo- nych w jedną całość. Prawie we wszystkich stale powraca ten sam mo

yw : miłość do dwóch sióstr i przebudzenie się na wzgórzu wśród 2 wisielców. Motyw ten potraktowany jest jednak w sposób bardzo dyskretny i bez nadmiernego erotyzmu. Równocześnie występują także inne wątki związane z Kabałą, które dostarczają wytłumaczenia niektórych trudno zrozumiałych elementów. Książka Potockiego ma wiele uroku, styl jej przypomina najlepsze utwory powieściowe z XVIII wieku, treść dość oryginalna nie powoduje znużenia mimo powtarzania się sytuacji związanej z tym samym motywem. „Rękopis" zawiera w sobie wszelkie zalety dzieła prekursorskiego, ale niestety nie stanie się nim. Roger Caillois odnalazł go zbyt późno. Dzisiaj — wzbudzi on tylko zainteresowanie wśród szczupłej garstki umiejących go ocenić czytelników.

Jan BRZĘKOWSKI

Anatomia i fizjologia rewolucji

Dr Feliks Gross, Profesor Socjologii w Brooklyn College Uniwersytetu Miasta New York, ogłosił nową ciekawą, naukową tym razem, pracę o metodach zdobywania władzy. Choć autor omawia rozmaite drogi dojścia do władzy, główną uwagę poświęca metodom rewolucyjnym (1).

The Seizure of Political Power jest rozprawą pisaną przez teoretyka-socjologa o dużym praktyczno-politycznym doświadczeniu. Stąd częste ilustrowanie przez autora swych wywodów przykładami ze współczesnych dziejów Europy, czy też Ameryki. Nierzadko cytowane są wspomnienia osobiste Dra Grossa lub też fragmenty z jego rozmów z wybitnymi działaczami rewolucyjnymi, z którymi miał on okazję zetknąć się, czy nawet zaprzyjaźnić. Choć główny nurt pracy to doświadczenia rozlicznych odłamów rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, nie brak też i przykładów zaczerpniętych z przeszłości innych narodów, a m. in. z przebogatego tygla podziemia polskiego rozmaitych okresów.

Konstrukcyjnie książka podzielona jest na cztery części. W pierwszej części autor omawia teoretyczne założenia rozmaitych typów uchwycania i konsolidacji władzy. Część druga analizuje szczegółowo ewolucję rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, w okresie 1825-1917, z punktu widzenia jego podejścia do zagadnień władzy, tego centralnego problemu każdej opozycji legalnej, czy też nielegalnej. W części trzeciej mamy omówioną strategię i taktykę komunizmu światowego w okresie 1917-1956. W tej części czytelnika polskiego interesować mogą specjalnie dwa rozdziały : dwunasty, o opanowaniu Europy Środkowo-Wschodniej w latach 1944-1948, oraz trzynasty, poświęcony m. in. anty-komunistycznym ruchom oporu, w ramach Imperium Sowieckiego. Ostatnia część omawia rozmaite typy walki podziemnej prze-

(1) Feliks Gross, *The Seizure of Political Power in a Century of Revolutions*, Philosophical Library (1958), stron 398, XVIII, cena $ 6.00.

ciwko rozmaitym typom rządów autorytatywnych. W części tej uwadze czytelników polskich (nie tylko zresztą emigracyjnych) polecić należy szczególnie rozdziały czternasty i piętnasty, a zwłaszcza piętnasty, o roli uchodźców politycznych w walce o władzę. Oba rozdziały, ze zrozumiałych względów, bogato ilustrowane są przykładami z historii narodu, który od czterech, czy pięciu pokoleń specjalizuje się w powstaniach, walce podziemnej oraz systematycznym wysyłaniu znacznej części swej elity umysłowo-politycznej zagranicę.

Wartościowa praca Profesora Grossa zaopatrzona jest indeksem, ale ze względów oszczędnościowych opuszczona została systematyczna bibliografia przedmiotu. Jednakże bogate odnośniki umieszczone na końcu każdego rozdziału mogą pilnemu czytelnikowi posłużyć jako namiastka bibliografii.

M. K. DZIEWANOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

BAYKOWSKI (Julian). *Teka przedpo śmiertna (niepotrzebne skreślić)*. Wiersze. (Na prawach manuskryptu. Nakładem autora, St. Andrews, Szkocja. 1958-1959).

RUDNYTSKY (Ivan L.). *The intellectual Origins of Modern Ukraine*. Str. 1381-1405. (Odbitka z „Annals" of the Ukrainian Academy of Arts and Sciences in the U.S. Vol. VI, 1958, Nr. 3-4 (21-22).

VIII Rocznik Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, Rok 1957-1958. Str. 116. (Nakładem Polskiego T-wa Naukowego na Obczyźnie, Londyn. Cena 10 sh.).

ZBIERAŃSKI (Czesław M.). *O narodzinach lotnictwa polskiego*. Str. 132. (Nakładem autora, New York, N.Y. 1958).

Poèmes d'aujourd'hui pour les enfants de maintenant. Textes recueillis et présentés par Jacques CHARPENTREAU. Préface de Gaston Roger. Illustration de Robert Dalmasso. Pp. 144. (Les Editions Ouvrières, Paris, 1958, frs 840).

PANKOWSKI (Marian). *Sto mil przed brzegiem*. Wybór wierszy napisanych w latach 1945-1955. Str. 64. (Wyd. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1958. Cena 10 zł.).

HOELTHE (Christian). *Die Weimarer Republik und das Ostlocarno Problem* 1919-1934. Str. 306. (Wyd. Holzner-Verlag, Würzburg 1958).

Sprawozdanie Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego za okres od dnia 19 *lipca* 1957 *do dnia* 11 *lipca* 1958. Przemówienie Adama Ciołkosza, przewodniczącego Egzekutywy Zjedn. Nar. na posiedzeniu Tymcz. Rady Jedności Narodowej w Londynie, dn. 11 lipca 1958. Str. 30. Nakł. Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, Londyn).

ANDRZEJEWSKI (Jerzy). *La Révolte du Ghetto de Varsovie, raconté par un Chrétien*. Pp. 241. (Ed. Emmanuel Vitte, Lyon, 1958. Collection „Vent d'Est", dirigée par Benjamin Goriely).

WIENIEWSKI (Ignacy). *„Arcyserwis" i jego klasyczne koligacje.* Str. 417-429. Odbitka z Księgi Zbiorowej „Adam Mickiewicz 1815-1955. (Wyd. Polskie Two Naukowe, Londyn, 1958).

GĄSIOROWSKI (Zygmunt J.). *The Russian Overture to Germany of December* 1924. Str. 99-117. Odbitka z „The Journal of Modern History", Volume XXX, No 2, June, 1958.

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

POŁTAWA (Leonid). *Rymśki Sonety.* Str. 30. (Wyd. „Ukrainśki Wisti", Neu-Ulm, 1958).

KERNYĆKYJ (Ivan). *Heroj peredmistja.* Powist'. Okładynka i ilustraciji L. Hucaluka. Str. 198. (Wydawnycze Tow. „Knihospiłka", New York 1958).

WUSATYJ (Stepan). *Emihracija w pochodi.* Humoresky. Str. 191. (Wyd. Julijana Seredniaka, Buenos Aires, 1958).

MARCZENKO (Mychajło). *Suspilstwo najbłyżczoho majbutnioho ce nowe suspilstwo dribnowlasnyćke.* Str. 119. (Wyd. „Dribnyj Własnyk", Anglia, 1957).

K.U. (dr). *Perszyj napad Rosiji na Lwiw* (1914). Str. 104. (New York, 1957).

MIRCZUK (Pietro dr) i DAWIDENKO (W.). *W rjadach UPA.* Zbirka spomyniw. Str.351. (Nakł. Tow. b. Wojakiw UPA w ZDA i Kanadi, New York, 1957)

Knyha Judyty. Perekław z hrećkoho O. dr. W. DZIUBA, Str. 48. (Rym - Manczester - Toronto - München, 1957).

Try Knyhy Swiatoho Pyśma Staroho Zawitu: Knyha Rut, Knyha Towit, Pisnia Piseń. Perekław O. dr. W. DZIUBA. Str. 69. (München, 1957).

KOSACZ (Jurij). *Kubok Ganimeda.* Str. 48. (Wyd. „Lesyn Dim", New York, 1958).

FEDYNIAK (O.S., CzSWW). *Czerez Kapadokiju i Pont.* Str. 78. (Nakł. Wyd. Zapysok CzS-WW, Rym, 1957).

SOŁOWEJ (Dmytro). *Wyjaw naslidkiw polityky CK. KPSS za dopomohoju statystycznych danych pro rozdribnyj towaroobih Ukrainy.* Str. 22. (Widb. z Żurn. „Wilna Ukraina", Detroit 1958).

MAK (Olga). *Na woli.* Druhij Tom. Ist. roman. Str. 310. (Nakł. Wyd. „Homin Ukrajiny, Toronto, 1958).

CHRAPŁYWA (Lesia). *Witer z Ukrainy.* Str. 142. (Ukr. Wydawnyctwo, München, 1958).

HRYSZKO (Wasyl L.). *Chto z kym i proty koho?* Widkrytyj Łyst — widpowid' Juriju Smołyczu. Str. 41. (Wyd. Ukr. Informacijnoho Bjura, 1958).

JAKOWŁIW (A.). *Paryżska Tragedija.* 26 trawnia 1926 roku. Str. 39. (Wydannia Komitetu Oborony Pamiati S. Petlury ta Komitetu Budowy UAPC Chramu św. Symona w Paryżi, Paryż, 1958).

PIDMOHYLNYJ (Walerian). *Newelyczka drama.* Roman. Peredmowa prof. J. Bojka. Str. 342. Wydannja Perszoji Krainśkoji Drukarni u Franciji, Paryż, 1956).

TYS (Jurij). *Żyttja inszoji ludyny.* Powist'. Str. 187. (Ukrainśke Wydannia Perszoji Ukrainśkoji Drukarni u Franciji, Paryż, 1956).

JENDYK (Rostysław). *Żaga.* Noweli. Str. 300. (Ukrainśke Wydawnyctwo, München, 1957).

SOŁOWEJ (Dmytro). *Fakty dyskryminacijnoji polityky CK KPSS na knyżnomu żurnalnomu widtynkowi.* Str. 10. (Widbytka z żurnału „Wilna Ukrajina", Detroit, 1958).

DONCOW (D.). *Dwi literatury naszoji doby.* Str. 295. (Nakł. Wyd. „Homin Ukrajiny", Toronto, 1958).

BAHRJANNYJ (Iwan). *Kazka pro lelek ta Pawlyka-Mandriwnyka.* Str. 46. Wydanja druhe. (1958).

Listy do Redakcji

Londyn, dnia 28.X.1958. r.

Szanowny Panie Redaktorze

Dyskusja na temat rozmowy generała Kazimierza Sosnkowskiego z generałem Sir Henry Maitland Wilsonem w zamku myśliwskim, pod Casertą w dniu 3 sierpnia 1944 r., której streszczenie podaje w formie rozmowy wyszło na jaw po raz pierwszy w przedmowie gen. Sosnkowskiego do książki gen. Sosabowskiego pt. „Najkrótszą drogą", toczy się już w prasie emigracyjnej, polonijnej i krajowej od przeszło roku. Już na samym początku tej dyskusji podałem w liście do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza", opublikowanym w dniu 12.8.1957, wrażenie moje jakie po przeczytaniu tej rozmowy odniosłem. I dziś po tylu miesiącach ciągłego wałkowania tej sprawy (choć przyznać muszę, że starano się rzetelnie wyjaśnić wiele niedokładności i nieścisłości tak jednej jak i drugiej strony w tej sprawie), pojedynki słowne red. Bregmana z oficerami różnych stopni w niczym nie zachwiały mojego pierwszego wrażenia: relacja gen. Sosnkowskiego należy do serii „imaginary conversations", literackiego tworu w jakim lubował się angielski pisarz Walter Savage Landor.

Obrońcy gen. Sosnkowskiego zaliczali relację o rozmowie do dokumentów historycznych. W polemikach swoich (nie zajmuję się protestami kół generalskich i kombatanckich, bo te niczego do dyskusji nie wnoszą) wytaczano szereg argumentów najcięższego kalibru i strzelano nimi nie tam, gdzie trzeba było i gdzie należało.

Zdaniem moim nie jest w tym wypadku ważne i nie o to chodzi, ile razy gen. Sosnkowski rozmawiał z gen. Wilsonem lub z kimkolwiek innym w miejscowości Caserta. Nieważna jest nawet data. Ważne natomiast jest, czy relacja o tej rozmowie, taka jak znajduje się w książce gen. Sosabowskiego może być uważana za dokument autentyczny. Otóż tak forma tej rozmowy, ze względu na błąd w tytułowaniu (siedmiokrotne tytułowanie generała Wilsona marszałkiem, kiedy został nim dopiero pół roku później), jak i fantastyczna i nie do wiary treść zmuszają każdego rzetelnego badacza dziejów tego okresu do odrzucenia tego dokumentu jako bezwartościowego pod względem historycznym.

Francuski język, którym gen. Sosnkowski lubi się posługiwać, ma na tego rodzaju sprawozdania i relacje doskonały termin. Mówi o takich relacjach, że należą one do kategorii „l'esprit de l'escalier", co oznacza, że ktoś kto chce w swym sprawozdaniu ukazać się bardzo ważnym, pisze ile mądrych słów powiedział swemu rozmówcy, a tymczasem wpadły mu one do głowy dopiero po rozmowie i to... na schodach. Nie mogę nadziwić się tylko temu, że trzeba było aż trzynastu lat by zejść po schodach tego „pałacyku myśliwskiego Burbonów, położonego w górach ponad zamkiem w Casercie".

Przeczytanie wydanych przed 10 laty wspomnień z czasu wojny marsz. Wilsona („Eight years overseas — 1939-1947 by Field-Marshal Lord Wilson of Libya" — Hutchinson, London 1948), w których podaje jakie trudności lotnicze wywołało powstanie warszawskie mówi dostatecznie chyba o samej treści relacji gen. Sosnkowskiego.

Dopóki gen Sosnkowski, który tak dzielnie włada piórem, nie zaprzestanie wyręczać się innymi i nie odpowie sam na tak poważne zarzuty nieprawdziwości jego relacji, nie pozostanie nam, prostym uchodźcom, nic innego jak za ks. biskupem Krasickim powtórzyć:

„Był...
Żołnierz co się nie chwalił...
A cóż to jest za bajka
Wszystko to być może!
Prawda, jednakże ja to między
bajki włożę".

Z poważaniem

Andrzej W. TRENCZYŃSKI



Berkeley, Cal, 22 listopada 1958

Szanowny Panie Redaktorze,

Obok dynamicznego listu Wacława Zbyszewskiego („Kultura" nr 11/133) nie można przejść obojętnie. Jednym machnięciem swego błyskotliwego pióra załatwia się ze sprawą skomplikowaną i poważną. Wprawdzie Zbyszewski przemawia tylko we własnym imieniu podkreślając, że gotów jest się nawet zgodzić z zarzutem „pewnego zubożenia umysłowego", niemniej list jego, fascynujący i ofensywny, może podziałać zaraźliwie na mniej odpornych czytelników. Ich też mam na myśli pisząc ten list, sam Zbyszewski bowiem z góry się z polemiki wyłącza, gdy zaznacza, że mówi o rzeczach dla niego „doskonale obojętnych" i nieznanych.

Zaznaczyć trzeba przede wszystkim, że ta „doskonała obojętność" wobec wszystkiego, co wschodnie, nie jest u niego absolutnie doskonała. Pisze np. że nie jest ani pro- ani antywschodni, a jednak o parę wierszy wyżej twierdzi, że „państwo rosyjskie (a więc nie Rosja? — *przyp. mój*) prawie zawsze... reprezentuje ZŁO". A o kilkadziesiąt stronic przedtem w tymże numerze „Kultury", w świetnym artykule „Eksplozja demograficzna", przyznaje się do antypatii nie tylko do Sowietów, lecz w ogóle do Rosjan (str. 115). Tych twierdzeń nie można określić inaczej niż jako uraz antyrosyjski.

Gdy w liście swym Zbyszewski wyliczał narody, które dla niego mogłyby nie istnieć, czekałem że doda „i Polacy". Byłoby to w zgodzie z „oschłością intelektualną" człowieka zasklepionego w prowincjonalizmie (inaczej nazwać tego nie mogę) *swej własnej* — podkreślam to! — koncepcji Europy Zachodniej. No i w zgodzie z twierdzeniem, że Polska jest krajem „prymitywnym i zacofanym" (cyt. artykuł, str. 111).

Tu nie chodzi mi jednak o rangę kulturalną, którą Zbyszewski przyznaje Polsce. Chodzi o pytanie, czy zjawisko zwane przez jednych „duszą rosyjską" a przez innych „kulturą rosyjską" jest tak bardzo obce Polsce? Wspomniałem już raz o tym mimochodem w liście do Redakcji „Kultury" (nr 1/99). Nie wątpię że kiedyś ukaże się książka, w której *polski* pisarz

ustali — w sposób obiektywny, bez gniewu i urazów — jak się przedstawia w kulturze polskiej procentowy stosunek cech „wschodnich" do cech „zachodnich". Książka taka wyjdzie na pewno nie w naszym i zapewne nie w przyszłym pokoleniu. Dziś oburzyłaby po obu stronach żelaznej zasłony nie tylko kołtunów, ale i intelektualistów pewnego typu.

Zbyszewski pisze o „filizmach" — ja wspomnę o fobiach. Fobie, choćby zawoalowane „doskonałą obojętnością" zawsze trącą zaściankowością, bez względu na to czy to będzie judofobia, anglofobia czy rusofobia. „Zachodnioeuropejczyk" powinien być przede wszystkim *człowiekiem* i przynajmniej nie afiszować swej „doskonałej obojętności" wobec jakiegokolwiek człowieka, bez różnicy rasy, języka lub — strony świata.

Zbyszewskiego martwi bakcyl literatury rosyjskiej trapiący, jego zdaniem, Józefa Czapskiego i Stanisława Mackiewicza. Nie wiem czy i jakie bakcyle dręczą tych pisarzy, ale wiem że osobiście jestem „chory" na bakcyl *dobrej* literatury — bez względu na to czy to będzie literatura angielska, francuska, rosyjska czy jakakolwiek inna. W moich oczach literatura rosyjska stoi wysoko i szczerze żałuję tych, którzy jej nie uznają względnie w ogóle nie znają.

Wyrazy szacunku i poważania łączę.

Michał K. PAWLIKOWSKI

◆

Los Angeles, 2 grudnia 1958 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Eksplozja demograficzna" świadczy niepochlebnie o jej autorze, nie przyniosła zaszczytu „Kulturze".

Po pierwsze. Szkoda, że ktoś nie wiele wiedzący o teoriach ekonomicznych zabiera groteskowo apodyktyczny głos o nich.

Tomasz Robert (a nie Robert) Malthus, na przykład, przypisał niepomierny wzrost ludności nie płodności małżeństwa ale większej ilości wyprodukowanej żywności. W swym dziele „An Essay on the Principles of Population", wydanym w 1798 r., zastanowił się T.R.M. nad jednym z następstw tzw. Rewolucji Przemysłowej. Mianowicie nad zwiększającą się produkcją (w stosunku arytmetycznym) oraz następstwem tego — przyrostem naturalnym (w stosunku geometrycznym).

Teoria ta (nie pewnik) została zbita przez naukowców nie jeden raz, i z nie jednej szkoły myślowej. Napisałem: „naukowców"!

Po drugie. Jeszcze więcej przykrym nieporozumieniem są fantastycznie niepoważne, wprost ubliżające komentarze, a zwłaszcza odnośnie Pisma św. i „wykład" historii Kościoła. I tutaj wystarczy jeden przykład.

Powiada p. W. A. Z., iż nie ma nic w Nowym Testamencie o „mnożeniu potomstwa" (niby w przeciwieństwie do St. Test.), nie wiedząc o „małym" fakcie, że N. T. jest tylko dopełnieniem (nie zniesieniem) St. T. (Opłatę p. Z. koszta przylotu do Los Angeles jeśli wskaże mi słowa Zbawiciela, nawołującego do ograniczenia potomstwa).

Po trzecie. Wszystkie wycieczki pod adresem moralności, te zgoła niemoralne sugestie p. W. A. Z. są dowodem tragicznego niezrozumienia wartości życia ludzkiego. Przecież nikt nie weźmie poważnie zdania: „nadmierna rozrodczość była główną przyczyną ubóstwa Polski"... względnie

tej ,,perły'' : ,,dla ludzi myślących... groźbą jest widok kołysek z trzecim dzieckiem''.

Wreszcie, niechlujny styl autora, jego lubowanie się w prostactwie, migotanie świecidełkami tanich paradoksów, nie przyniosły — jak powiedziałem — zaszczytu ,,Kulturze''.

Łączę wyrazy dobrych życzeń,

Ks. dr Jacek PRZYGODA
Loyola University of Los Angeles

◆

Londyn w grudniu 1958

Szanowny Panie Redaktorze.

Artykuł p. W. A. Zbyszewskiego w ,,Kulturze'' nr. 11/133, listopad 1958, pod tytułem ,,Eksplozja Demograficzna'', jest tak egzotyczny i niebywały, że uważam, że wymaga właściwej odpowiedzi. Wydaje mi się, że są pewne rzeczy, w których podchwytliwe i demagogiczne wywracanie przyjętych zasad jest wręcz karygodne.

P. Zbyszewski oparł cały swój wywód na prawie Malthusa, że przyrost ludności jest szybszy niż przyrost produkcji żywności, a stąd powoduje głód i choroby oraz na tzw. teorii prawa spiżowego Lasalle'a, który udawadniał, że przyrost ludności jest odwrotnie proporcjonalny do zarobków. Teorie te rozwinięte zostały przez szkołę Fizjokratów w XVIII w. a swój wyraz znalazły w polityce tzw. *laissez-faire* w XIX wieku, i były sposobem usprawiedliwienia niebywałego w dziejach współczesnej Europy wyzysku robotnika. Polityka ta była tak nieludzka a doświadczenie tak sprzeczne z teorią, że jeżeli dziś weźmiemy jakikolwiek podręcznik ekonomii teoretycznej, stosowanej czy historii ekonomii, to znajdziemy wielkie tego potępienie i wstyd, że ludzkość kiedykolwiek mogła zdobyć się na coś podobnego. ,,Prawo'' czy teoria Malthusa doznało totalnego zaprzeczenia. Powiększenie się trzykrotne ludności Europy w XIX w. nie tylko nie spowodowało zubożenia ale odwrotnie przyczyniło się do szybkiego podnoszenia się stopy życiowej. Okazało się bowiem, że duża podaż rąk roboczych była nieodzownym warunkiem rozrostu przemysłu, bez której rozwój ten nie mógłby się odbyć w tej skali. Po drugie życie wykazało, że wzrost dobrobytu nie tylko, że nie przynosi zwiększenia przyrostu ludności, a wręcz działa hamująco. Doświadczenie to daje nam też historia innych kultur, gdzie wzrost dobrobytu doprowadzał do tego, że chęć użycia stawała się przyjemniejsza niż wychowywanie nowego pokolenia.

Dziś w Anglii, znana jest teoria o przeludnieniu wyspy. Jest ona naturalnie tylko wtedy słuszna, gdyby w Anglii wszyscy zajmowali się rolnictwem. Ale właśnie dlatego bardzo mało kto pracuje w tym zawodzie, a stąd przemysł angielski odczuwa nie nadmiar ale właśnie wielki brak podaży sił roboczych, co powoduje import robotników np. z Włoch.

Jest też wiadome, że gdyby nie 10 mil. wysiedleńców i 2 mil. uciekinierów ze Wsch. Niemiec, to przemysł Niemiec Zach. nigdy nie byłby w stanie w tak krótkim czasie podnieść swej produkcji do przeszło dwukrotnie większej jak w 1939 r.

Dziś państwo przemysłowe nie może być mniejsze niż 40 mil., ponieważ w przeciwnym razie chłonność rynku wewnętrznego nie jest wystarczająca do podjęcia produkcji w całym szeregu gałęzi produkcji. Ale nawet i ta ilość nie jest wystarczająca, aby wytworzyć gospodarkę samowystarczal-

ną. To jest właśnie powodem, dlaczego państwa Europy Zach. łączą się dziś we wspólny rynek, aby utworzyć blok 150 mil.

Polska przedwojenna na terenie co do wielkości równym nieomal dzisiejszemu, miała 36 mil. Z ilości tej 12 mil. odłączone zostało do Sowietów, a 6 mil. zginęło. Istnieje więc ubytek 18 mil. ludzi. I w tej to sytuacji p. Zbyszewski ma odwagę powiedzieć, że nasz przyrost naturalny grozi nam przeludnieniem.

Dążenie do jak największego przyrostu jest troską każdego państwa. Jedynie bowiem duży przyrost zapewnia przewagę podaży sił zdolnych do pracy rąk roboczych nad emerytami.

Między innym Polaków przyjęto na Wyspę dlatego, że chodziło o zwiększenie przyrostu obniżonego ubytkiem zabitych młodych mężczyzn. Dążenie do zwiększenia o procent czy nawet pół przyrostu było tu przedmiotem narad nawet gabinetowych.

Słowo pisane w uznanych pismach emigracyjnych ma nie tylko znaczenie przyjemności, ale pociąga za sobą pewną odpowiedzialność. Szkodliwość wywodów p. Zbyszewskiego uwidacznia się specjalnie jaskrawo w świetle zalegalizowania przez reżym komunistyczny w Polsce operacji spędzania płodu oraz obecnie dyskutowanej w sejmie propozycji zakazu małżeństw do 21-ego roku życia.

Kreślę się z ludowym poważaniem

A. J. CYDZIK



Szanowny Panie Redaktorze !

Odnośnie artykułu w listopadowej ,,Kulturze'' Nr 11/113, ,,Polacy w Szkocji'', chciałbym niektóre oświadczenia pp. B. Czaykowskiego i B. Sulika sprostować, a przeciw niektórym kategorycznie zaprotestować.

We wsp. ,,Kulturze'' autorzy zajęli się środowiskiem polskim w Glasgow i przy tej okazji dużo słów poświęcili Glasgow jako miastu. Jego wygląd przedstawili w sposób naprawdę pożałowania godny. Podkreślili i uwypuklili wszystkie złe strony tego najgościnniejszego miasta w świecie. Ani słowem nie wspomnieli o zabytkach kulturalnych i udogodnieniach dla kontynuowania nauki i pogłębiania wiedzy dla młodzieży i starszych, bez względu na rasę lub narodowość.

Dziwnym i wprost nie do uwierzenia jest fakt, że autorzy nie mogli dopatrzeć się niczego godnego ich uwagi w Glasgow, nawet takich zabytków kultury jak: Art Galleries, jednego z największych muzeów w świecie, Mitchell's Libraries, Kelvin Hall, czy też przepięknie urządzonych parków miejskich lub o światowej sławie boisk sportowych.

Nie powinna też ujść ich uwadze możność wypożyczenia nieomal każdej książki polskiej w jednej z licznych nowoczesnych bibliotek miejskich.

Jeśli już piszę o Glasgow, to chciałbym też zwrócić uwagę na wrażenia autorów, odniesione na przyjęciu u jednej z glasgowianek, żony Polaka. Wydaje mi się bardzo niepoważny a nawet nieprzyzwoity, sarkastyczny opis tego przyjęcia. Sarkazm, bowiem, zawsze będzie najpodlejsza formą krytyki ! W. sarkazm i złośliwość obfituje również opis ośrodków polskich, a zwłaszcza Domu Kombatanta. Z opisu tego przypuszczać by można, że autorzy występowali w roli komisji sanitarnej, a nie to, że rzekomo mieli

być badaczami sytuacji organizacji polskich na terenie Wlk. Brytanii, i ich możliwości stworzenia reprezentacji całego uchodźctwa polskiego.

Z kolei chcę poruszyć sprawy polskie przedstawione w artykule. Niezgodne jest z prawdą, jakoby Koło P.P.S. Glasgow zupełnie się „rozleciało". Na ten temat, jako sekretarz Koła rozmawiałem z autorami i oświadczyłem, że Koło P.P.S. istnieje, lecz chwilowo nie występuje na zewnątrz, w myśl uchwały walnego zebrania Koła z dnia 18-tego listopada 1957 r. Tu znów pozwolę sobie zwrócić uwagę autorom, że odnośnie spraw Koła P.P.S. winni opierać się z zasady i przyzwoitości na oświadczeniu władz Koła, a nie na twierdzeniach „Najwybitniejszych Działaczy", chociażby byli zwolennikami czy sympatykami p. Gomułki.

Odnośnie Towarzystwa Społeczno-Oświatowego im. gen. W. Sikorskiego, autorzy pozwolili sobie na do pewnego rodzaju nieścisłość, powołując się na twierdzenie pewnych osób, że T-wo jest wyłącznym dziełem p. W. Kota. Stwierdzenie to jest krzywdzące dla pp. Ciepielowskiego i Smolka. Bez współpracy tych osób, przekazanie budynku przez Vocational College Towarzystwu Społ.-Ośw. nigdy by nie nastąpiło, a to jednak uznane być musi za najważniejszy etap w pracy Towarzystwa.

Moim zdaniem artykuł jest oparty na poglądach i opinii osób wymienionych w nim, a chociaż zdaniem autorów są to zasłużeni i dynamiczni działacze społeczni, to jednak nie przedstawiają całokształtu sytuacji społecznej w Glasgow.

W ten sposób zredagowany artykuł wprowadza w błąd czytelnika, gdyż przedstawia Glasgow jako czarną plamę na życiu społecznym emigracji, gdy tymczasem Glasgow jest na dobrej drodze do zorganizowania przykładnego ośrodka.

Julian FRĄCZEK

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1958

Spis autorów

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

Utwory poetyckie

Najnowsza historia Polski

Sprawy krajowe

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

Kronika kulturalna

Wolna Trybuna

Sprawy i troski

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

Z języka francuskiego

Z języka włoskiego

Bibliografie

Listy do Redakcji

Dokumenty

Różne

Noty bibliograficzne autorów

Wydawnictwa książkowe

Biblioteka „Kultury"

Londyński korespondent „Kultury" : Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 1er *trimestre* 1959

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlinska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana		4 dol. am.	6 dol. am.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Ile, Paris-4	220 fr.	1.100 fr.	2.200 fr.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
IZRAEL : Diffusion du Livre Français, Ltd, 35, rue Rashi, B.P. 3172, Tel Aviv	350 fr.	1.280 fr.	2.560 fr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o **Polish Voice,** 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; **H.R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; **Vatra Trade,** 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew Ossetynski,** 421 Beach, 121 st., Rockaway Park, N.Y.; **S. Dziarczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **The Polish Book Importing C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **K. Trojanowski** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WLOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 400 frs.